





Drukem J. I. Kraszewskiego (Dr. W. Łebński) w Poznaniu.

Do

Józefa Kraszewskiego.

Wielki i kochany

Mistrzu!

Polska cała naszych Ojców a da Bóg i naszych wnuków, zjednoczona w wspólném uczuciu, święci od morza do morza Jubileusz pięćdziesięciu lat Twojej pracy, której plonem jest blisko sześćset tomów pysznych poematów epopejowych, znakomitych dzieł historycznych, skarbów pamiętnikowych wydobytych przez Ciebie z ukrycia, nakoniec powieści pełnych życia, prawdy, znajomości najgłębszej ludzi i czasów, ciągnących się nieskończoném pasmem przez dziesięć wieków naszej historyi. Nie masz w całym tym zbiorze jednego dziełka, któreby nie było naznaczone znamiem wszechstronnego geniuszu — wszystko

przenikającego rozumu i najczystszej miłości Ojczyzny promieniającej na jej przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Żaden jeszcze pisarz nie wzbogacił literatury swojego kraju równie hojnym darem.

Przyjm, Mistrzu, ten biedny listek do wieńca któren Ci — wdzięczny naród wije. Ofiaruję ci co mam najlepszego pod sercem — wspomnienia moje odnoszące się do wypadków, których następstwa rozwijają się ciągle, póki nie sprowadzą w logiczną, niechybną, konieczną syntezę wyzwolenia dla naszej drogiej Ojczyzny.

Jesteśmy starzy obydwaj i może nie doczekamy się tego wymiaru sprawiedliwości dziejowej, która jest sprawiedliwością Boga na ziemi. Możemy jednak umrzeć spokojni pod tym względem. Nas nie będzie ale Polska będzie, czy tego chcą czy nie chcą ci, co sądzą, że losy świata mają w rękę.

I.

W środku miesiąca Października 1848 roku, dwóch Polaków z Kongresowski przebywało na chłopskim wózku granicę galicyjsko-węgierską, na drodze z Nowego-Sącza do Preszowa, przechodzącą przez rozległą równinę, która dzieli strome i śnieżyste Tatry, nagle urwane od zaokrąglonych i zielonością okrytych Karpat wschodnich. Zmierzali oni ku Pesztowi z upoważnieniem na piśmie od całej niemal nowój emigracyi, z pod moskiewskiego panowania, która napłynęła była do Lwowa i Krakowa, do układania się z rządem węgierskim o utworzenie siły Polskiej w Węgrzech na zasadzie: „My dziś z wami — wy jutro z nami“.

Ci dwaj podróżni byli niegdyś kolegami w korpusie kadetów w Kaliszu. Jeden z nich walczył w 1831 roku, mając zaledwie lat 15^{cie}, lecz został był w kraju, odniósłszy ciężką ranę pod murami Warszawy, która nie dozwoliła mu podnieść się ze szpitalnego łóżka, jak to uczyniło wielu innych, ażeby dążyć za wojskiem. Drugi zbyt młody, ażeby wziąć mógł udział w wielkiej walce

narodowej — artysta zniepospolitym talentem — chciał służyć sprawie ojczystej w 1848 r. i przybył do Lwowa, gdzie taką sobie zjednał był popularność między nową emigracją, że go wybrała na prezesa swoich zgromadzeń.

Pierwszym był piszący, drugim Józef Kwiatkowski dziś budowniczy w Krakowie, gdzie wystawił kilka pięknych gmachów.

Nim postąpię dalej w opowiadaniu mojej Odyssei, niech mi wolno będzie przebież szybko wypadki, które mnie rzuciły na drogę rewolucyjnej dyplomacyi, dla odegrania nader małej wprawdzie roli, ale nieco uprzywilejowanej pod tym względem, że mogłem patrzeć z za kulis na niektóre sceny dramatu 1848 i 1849 roku, w których Polacy byli aktorami, a następnie poznać z bliska stroniectwa, koterye i wybitniejsze osobistości starzej emigracyi we Francyi.

Przybyłem do Lwowa na początku roku 1848 za interesem spadkowym, który się przewlekał, z powodu rozmaitych okoliczności politycznych i prywatnych od lat przeszło 60, i już był ostatecznem przedawnieniem zagrożony. Dodam nawiasem, że losu tego w następstwie — nie uniknął.

Kiedym od kilku tygodni obradował z moim mecenasem i wyszukiwał po archiwach niektórych potrzebnych mi jeszcze dokumentów, zawiała od zachodu owa burza, która wywróciła tron Ludwika Filipa i zawichrzyła całe Niemcy. Na początku Marca rozruchy w Kolonii, Monachium, Hamburgu zwiastowały, że gorączka rewolucyjna przekroczyła Ren. 13 Marca wybuchła ona w Wiedniu. Dobrotliwy cesarz Ferdynand, poświęcił Metternicha —

podporę absolutyzmu austriackiego i poczynił wszystkie ustępstwa jakich od niego żądano z jednej i drugiej strony Litawy. W moc rozporządzeń jego w ciągu trzech dni 14, 15 i 16 Marca, ludy Przedlitawii otrzymały wolność druku (cenzura została zniesiona), instytucję gwardyi Narodowej i pierwsze podstawy rządu konstytucyjnego, a dla dopełnienia dzieła, dekret cesarski zwołał zgromadzenie narodowe, oparte na wyborach we wszystkich prowincjach tej części monarchii. Jednocześnie Węgrzy, którzy już wszystkie te swobody i te instytucje posiadali, uzyskali ministerstwo odpowiedzialne z hr. Bathyanim na czele, i tym sposobem dualizm — cel dążeń patriotów węgierskich był osiągniętym — ale wtenczas na chwilę tylko. O Polakach najpóźniej rząd austriacki pomyślał. Dopiero 20 Marca ogłoszoną została amnestya dla skompromitowanych w dawniejszych ruchach obywateli Galicyi i Krakowa. Już w tej chwili całe Niemcy były wzburzone. 16 Marca lud Drezdeński wywalczył sobie wolność druku i konstytucję, 18 Marca zaś stoczyła się na ulicach Berlina krwawa walka między ludem i wojskiem, a lubo lud został odparty, król Fryderyk Wilhelm ułakł się ogólnego prądu niemieckiego i wydał odezwę do „swoich ukochanych Berlińczyków“ w wyrazach bardzo pojednawczych, zmienił ministerium, zniósł cenzurę, zwołał zgromadzenie narodowe konstytucyjne na 2 Kwietnia, a 21 Marca wystąpił solennie, jako obrońca idei zjednoczenia Niemiec na podstawach konstytucyjnych pod berłem niemieckiego cesarza, którym oczywiście sam być pragnął. Tegoż samego dnia ogłosił amnestyę dla wszystkich politycznych więźniów, którą lud Berliński zrozumiał jako hasło do podniesienia Polskiej sprawy.

Już lud Wiedeński w dniu swojej rewolucyi, t. j. 13 Marca wykrzykiwał na ulicach: „Niech żyją Polacy!“ Poświadczył to publicznie w Krakowie na zgromadzeniu akademickiem 17 Marca professor Brodowski i całe zgromadzenie wykrzyknęło nawzajem: „Niech żyją Wiedeńczycy!“ W Prusach lud miał od naszego powstania Listopadowego żywą sympatyę dla sprawy polskiej. Nigdzie więc, gruntowniej i serdeczniej nie pisano o naszej wielkiej walce. Wychodźców naszych przyjmowano w Prusach i w całych Niemczech po bratersku; przebywającym tam, nawet długie lata, okazywano ciągłą i szczerą uprzejmość. Doświadczyłem sam tego, uczęszczając w latach 1832, 1833 i 1834 na uniwersytet Wrocławski, i z miłym zadziwieniem słyszałem wtenczas śpiewaną dosyć powszechnie na ulicach jakby pieśń narodową — piosneczkę o Kościuszcze*). To współzucie wybuchło z niewidzianem dotąd w Niemczech zapalem po ogłoszeniu amnestyi dla politycznych więźniów przez króla Fryderyka Wilhelma. Lud Berliński pobiegł natychmiast tłumem do więziennego gmachu, wyprowadził z niego Mierosławskiego i innych Polaków skazanych na śmierć lub więzienie i obnosił ich w tryumfie po mieście. Przyniesiono ich przed zamek królewski i tysiące głosów wywoływało króla, a król chcąc się przypodobać ludowi, wyszedł na ganek i odkrył głowę przed ludźmi, których niedawno więził. Fakt ten wstrząsnął elektrycznie całem Księstwem Poznańskiem i Prusami polskimi. W trzy dni po nim, przedstawiła się już królowi pruskiemu deputacya z tych prowincyj z arcybiskupem Przyluskim na

*) „Denkst du daran mein tapferer Lagienko“ na nutę pieśni Beranger'a „Te souvient tu, disait un Capitaine“.

czele, ażeby mu wyrazić życzenia obywateli polskich. Fryderyk Wilhelm odpowiedział, że do tych życzeń zupełnie się przychyła, i że natychmiast wyznaczy komisję złożoną z obywateli obu narodowości, zamieszkujących Księstwo Poznańskie, ażeby wraz z naczelnym prezesem zajęła się reorganizacją tego księstwa, w duchu narodowym z uwzględnieniem wszakże Niemców poznańskich. Niemniej jak Księstwo Poznańskie zelektryzowana była emigracja Polska we Francyi, oczekująca od tak dawna jakiegośkolwiek promyka nadziei. 26 Marca ksiązę Adam Czartoryjski z Teodorem Morawskim ministrem z 1831 roku, generałem Chrzanowskim i P. Bystrzonowskim przybyli do Kolonii, a skoro tylko wiadomość o tem rozeszła się po mieście, lud zebrał się tłumnie z chorągwiami polskimi i niemieckimi, zaszedł pod okna ich mieszkania i uczcił długimi okrzykami: „Niech żyją Polacy! Niech żyje Polska odrodzona!“

Wśród takichże samych okrzyków na wszystkich stacyach, w wagonie przystrojonym rękami ludu niemieckiego w sosnowe gałęzie i wieńce z bluszczu (innéj zieloności nie było jeszcze w téj porze) jechał pierwszy ten poczet reprezentantów emigracyi Polskiej z Kolonii aż do Berlina, a po kilkudniowym pobycie w stolicy Hohenzollernów zawitał 8 Kwietnia na ziemi polskiej w Poznaniu. Wkrótce potem generałowie: Dembiński, Dwernicki i Bem przybyli do Lwowa, a następnie emigracja masami wyruszyła ku wrzekomo oswobodzonym polskim prowincjom, porzucając posady, zarobki, żony i dzieci, zachęcona przez Lamartina, który powiedział deputacyi polskiej tonem upewniającym: „Ojczyzna dla was otworem — wracajcie“. Z drugiej strony młodzież z Kongresówki zaczęła wszystkimi ścieżkami przemyskać się do Księstwa Poznańskiego, ażeby

zaciągać się pod chorągwie narodowe. Komisya bowiem, zapowiedziana przez Fryderyka Wilhelma i w krótkim bardzo czasie ukonstytuowana, na pierwszym zaraz posiedzeniu swoim uchwalila utworzenie wojska polskiego i kazala rozpisać powszechne zaciągi, a uchwała ta, nietylko że nie wywołala żadnego nieukontentowania między ludnością Berlińską, ale owszem, została tam nader sympatycznie przyjęta. Otworzono nawet w Berlinie listy składkowe dla zapomożenia ochotników, pragnących wstąpić w szeregi polskie, w przekonaniu, że ta siła Polska przeciw Moskwie obróconą będzie. Te objawy współczucia dla sprawy polskiej tak ze strony króla, jak i ludności berlińskiej miały po części pobudkę w obradach toczących się w Heidelbergu, a następnie w Frankfurcie n. M. W Heidelbergu zgromadzili się byli już, 5 Marca w liczbie 51, ludzie najwięcej wpływu mający na opinię publiczną w Niemczech: historycy publicyści, mówcy, jak Gervinus, Roemer, Brentano, Hansemann, Winter i inni, i przypatrując się ztamtąd ruchom niemieckim, usilowali im nadać jeden wspólny kierunek, a mianowicie przedstawić im za cel zjednoczenie ścisłe Niemiec na zasadach konstytucyjnych, i odbudowanie Polski dla zasłonięcia téj przyszłej rzeszy niemieckiej od ambicy i wpływu Moskwy. W skutek narad tych ogłosiło zgromadzenie wezwanie do wszystkich rządów i ludów niemieckich, ażeby wysłały na 31 Marca przedstawicieli swoich do Frankfurtu, w charakterze przygotowawczego parlamentu niemieckiego (Vor-Parlament) dla naradzenia się w kwestyach zasadniczych, dotyczących się organizacji rzeszy niemieckiej. Myśl ta bardzo przypadła do wszystkich umysłów niemieckich a szczególnież też

pruskich. Nie mówię tu o stronnictwie wojskowem, które ze zgrozą patrzyło na wszystkie ruchy rewolucyjne, lecz o klasie zwięcej się myślącą i postępową, której marzeniem było oddawna widzieć naród swój przewodniczący rzeszy niemieckiej, a która spodziewała się, że na takim stanowisku postawi go parlament niemiecki. Król sam nie miał jeszcze takiego wstępu, jaki później okazał do wszystkiego, co nosi znamie rewolucyjne; korona cesarsko-niemiecka wielce go nęciła, bez względu z jakich rąkby ją otrzymał, i to tłómaczy postępowanie tego monarchy wobec wybuchu ludowego 18 Marca, który w mocy jego było stłumić. Jego cel ambitny wykrył się w trzy dni potem, jak to już nadmienilem wyżej. Rankiem tego dnia, to jest 21go Marca, czytała publiczność Berlińska na rogach ulic odezwę króla, do „swoich ukochanych Berlińczyków“, w której oznajmiał im, że bierze w ręce sprawę jedności Niemiec, a obok było obwieszczenie ministeryalne zapowiadające uroczystą paradę na stwierdzenie sojuszu królewskiego z ideą niemiecką. Około południa, tegoż dnia minister oświaty i spraw duchownych, przyjmując na posłuchaniu delegację studentów, powiedział im: „J. K. Mość chce stanąć na czele Niemiec dla zabezpieczenia ich wolności pod tarczą konstytucyjnej Monarchii i w tym zamiarze przychylił się do zwołania bezzwłocznie Parlamentu przygotowawczego niemieckiego, któremu sam przewodniczyć będzie. Król liczy na poparcie ze strony swojego wiernego ludu, a czyż nie sądzicie Panowie, że na nim polegać można“? Młodzież odpowiedziała różnemi okrzykami, a po południu, podług ogłoszonego programu, Fryderyk Wilhelm przejeżdżał po ulicach Berlina, przybrany w godła rzeszy niemieckiej, w pośród tłumów ludu, które go witały

hucznemi wiewatami. Polacy, bawiący w stolicy pruskiej, mieszały się z ludem, mając na kapeluszach kokardy niemieckie obok polskich, na znak zespolenia się braterskiego z Niemcami.

Za przykładem Pruskiego poszły wszystkie inne rządy niemieckie i zezwoliły na zebranie się Parlamentu przygotowawczego w Frankfurcie.

Te postępy rewolucyi wprowadziły w gniew zapamiętały reprezentanta despotyzmu monarchicznego w Europie, cesarza Mikołaja, który od Lutowej rewolucyi w Paryżu trzymał dłoń na rękoiści swojej szpady*). Znanym jest powszechnie i często dotąd powtarzanym wykrzyk jego „korcie się ludy“, ale nie od rzeczy będzie przytoczyć całą jego odezwę:

My Mikołaj I. cesarz i samowładca wszech Rosyi,
Obwieszczamy:

„Po błogosławieństwach długoletniego pokoju, zachód Europy nagle zaburzonym został rozruchami grożącemi obaleniem Władz prawych i wszelkiego porządku społecznego.

Wszcząwszy się najprzód we Francyi, bunt i bezrząd udzieliły się prędko ościennym Niemcom, a rozlewając się wszędzie z gwałtownością, wzrastającą w miarę ustępnosci rządów, niszczyć ten potok dosięgnął nareszcie i sprzymierzonych z nami cesarstwa austriackiego i królestwa pruskiego. Obecnie nie znając więć granie zuchwałości,

*) 7 Marca na balu w Petersburgu powiedział car do oficerów: „Moi panowie! gotujcie się sięć na koń“, a 11 Marca nakazane zostały przygotowania wojenne Rosyi zgodnie z Prusami.

zagroza w szaleństwie swoim i Naszej od Boga powierzonej nam Rosyi.

Ale tak nie będzie!

Świętym przykładem prawosławnych naszych przodków, wezwawszy na pomoc Boga Wszechmocnego, jesteśmy gotowi spotkać naszych nieprzyjaciół, gdziekolwiekby się stawili i nie oszczędzając siebie, będziemy w nierozłącznym związku z świętą naszą Rosyą bronić imienia Rosyjskiego i nietykalności naszych granic.

Jesteśmy przekonani, że każdy Rosyanin, każdy wierny nasz poddany odpowie na wezwanie swojego Monarchy. Starodawne hasło nasze: za Wiarę i Ojczyznę! wskaże nam i teraz drogę do zwycięstwa, a wtenczas w uczuciach pobożnej wdzięczności jak i teraz w uczuciach świętego na tem polegania wszyscy razem wykrzyknijemy:

Z nami Bóg, wiedźcie o tem narody i korzcie się, albowiem Bóg z nami.

Dan w Petersburgu 14 Marca (26 Marca).

Mikołaj“.

Po takićj groźbie, wymierzonej przeciw całym Niemcom, można zrozumieć, że zbrojenie się Polaków w Wielkiem Księstwie Poznańskiem mile widziane było przez stronnictwo „czynu“ w Berlinie. Zanim jednak manifest carski doszedł do Niemiec (nie było wtenczas jeszcze dróg żelaznych w Rosyi), parlament przygotowawczy niemiecki już był zagajony. Członkowie jego zebrani na dniu 31 Marca w Frankfurcie w liczbie 574 zastali przygotowane dla siebie tryumfalne przyjęcie. Przeszli w całym zebraniu przez ulice miasta do miejsca posiedzeń pod zwycięzkami

łukami, wśród tłumów radosnego ludu, przy odgłosie dzwonów, huku dział i nieustannych wiwatach, a na pierwszych zaraz posiedzeniach 31 Marca i 4 Kwietnia ułożono i przyjęto następną uchwałę dotyczącą Polski:

„Związek niemiecki uznaje podział Polski za haniebną niesprawiedliwość i uważa za święty obowiązek ludów niemieckich wszelkich dołożyć starań, aby przywróconą została. Oświadczą przytem życzenia swoje, aby rządy niemieckie zapewniły Polakom wolne przejście bez broni do ich ojczyzny i w razie potrzeby pomocy im udzieliły“. Ta uchwała, lubo miała tylko charakter projektu do uchwały, wychodząc od zgromadzenia przygotowawczego, a nie od rzeczywistego parlamentu niemieckiego, wywarła jednak wrażenie ogromne nie tylko na ludy niemieckie, ale na całą Europę w ogólności.

Rząd austriacki pospieszył ogłosić w Gazecie Wiedeńskiej (6 kwietnia) deklarację, najzupełniej zgodną z duchem owęj uchwały. „Austria, słowa są deklaracyi, odpowie oczekiwaniom Polski, a przywracając ją da dowód sprawiedliwości i roztropnej polityki. . . . Wolna Austria przyniesie wolność Polsce, a silna związkiem z Polską i sympatją Europy, nie będzie wahała się walczyć z Rosyją w tak wielkim celu“. W tymże czasie była deputacya Polska w Wiedniu i 2 Kwietnia miała posłuchanie u arcyksięcia Jana, który uchodził za najlepszą głowę polityczną w familii panującej. Na przemowę Polaków, arcyksiążę odpowiedział w te słowa: „Bądźmy otwartymi. Moja babka i król Frydryk, dzieląc Polskę, ciężki grzech popełnili. Podział ten jest największem nieszczęściem Europy. Od tej chwili spokój i rzetelność w świecie politycznym ustały, a handlowanie narodami ze szkodą rządów się rozpoczęło.

Nieszczęście to trwać będzie, póki Polska bytu swego nie odzyska. Byt Polski jest rzeczą naturalną i konieczną. Nie ma więc co mówić o sposobach przywrócenia jój, bo rzecz naturalna i konieczna sama do skutku przychodzi jakimkolwiek sposobem. Roztropniej jest przeto dzisiaj o sposobach odbudowania Polski nie mówić, lecz do odbudowania tego się przygotować“*).

12 Kwietnia Sejm węgierski odezwał się z kolei w sprawie polskiej w sposób energiczny, żądając jój przywrócenia bezwarunkowego. Rząd tymczasowy francuzki, pomimo niechęci osobistej Lamartina dla Polaków, jawnej we wszystkich jego pismach, a do której zdaje się miał prywatne powody, uczuł, że mu milczeć nie należy w obec tego ogólnego ruchu na korzyść Polski w państwach niemieckich. Na wniosek jego zgromadzenie konstytucyjne wystosowało adres do przygotowawczego parlamentu niemieckiego z wyrazami współczucia za podniesienie przez niego sprawy polskiej. Agenci dyplomatyczni francuzcy za granicą otrzymali instrukcje do popierania tej sprawy przy wszystkich rządach, które to instrukcje wznawiane były aż do dni czerwcowych. Na dowód tego złożył Lamartine zgromadzeniu konstytucyjnemu 23 Maja 1848 roku okólnik, przesłany krótko pierwój posłom francuzkim na dworach północnych, następującej treści:

„Były rząd pozwalał z niechęcią, i jakby przymuszony, swoim Izdom oświadczać corocznie życzenia swe o wskrzeszenie narodowości polskiej. Rzeczpospolita mówi więc —

*) Ustęp ze sprawozdania deputacyi krakowskiej w dniu 2 Kwietnia r. b. do Wiednia wyprawionój. Gazeta Krakowska z 29 Kwietnia 1848 roku.

mówi przez swój rząd i głośno. „Sprawa przywrócenia narodowości polskiej w rozmiarach, jakie oznaczone zostaną w porozumieniu z trzema dworami, jest własną Francyi sprawą; sprawą, której nigdy ani opuści ani zapomni, sprawą, którą najprzód popierać będzie na drodze dyplomatycznej, a jeżeli się to nie uda, czynnem działaniem w dniu i godzinie, w której wypadki pozwolą jej rozważyć i przez zawczasu przygotowane kombinacye wystąpić ze sprzymierzeńcami swemi naturalnemi w sprawie wyswobodzenia Polski“.

„Powiedziecie panowie otwarciu rządowi pruskiemu, dobitnie rządowi austriackiemu, a bez obawy rosyjskiemu: pragniemy pokoju z wami, poszukiwać będziemy nawet przymierza z wami na zasadach sprawiedliwych dla wszystkich narodów, a dobroczynnych dla narodów słabych, lecz pierwszym warunkiem trwałości tego pokoju, szczerości tych przymierzy jest, aby Polska zabrana, ujarzmiona, wyzuta ze swojej narodowości, pozbawiona niezawisłości politycznej i religijnej, nie stała między wami a nami. Oddajcie Polsce, co jej się należy, usamowolnicie ją, uorganizujcie ją w porozumieniu z nią samą i z mocarstwami dbałemi o prawo i sprawiedliwość, które gwarantowały solidarnie traktaty 1815 r., odtwórzcie jednym słowem Polskę z własnem życiem i indywidualizmem, a tym sposobem wszystko się ułatwi, wszystko się zmieni w pokój i przyjaźń między Rzeczpospolitą francuską, a mocarstwami, które wzięły udział w podziale tego kraju. Inaczej zaś wszystko będzie chwilowe, fałszywe, nieprzy-

jazne, najeżone trudnościami, pełne zasadzek ukrytych, groźne wojną. Trwałość pokoju świata od tego zależy“.

Streszczając wszystkie przytoczone powyżej dokumenta i fakta powiedzieć można, że sprawa polska była w Marcu i Kwietniu 1848 wyprowadzona przed sąd ludów Europy w sposób, rokujący nam najpiękniejsze nadzieje. Od Polaków zależało posunąć ją ku rostrzygnięciu, a przynajmniej utrzymać ją na porządku dziennym polityki europejskiej, związując ją solidarnie i stale z kwestyą niemieckiej jedności, ale do tego trzebaby było ze strony Polaków wielkiej roztropności, wielkiego umiarkowania, wielkiego taktu, zalet, niestety, rzadkich bardzo między nami, a rzadziej jeszcze połączonych w jednej osobie z odwagą cywilną i mocą charakteru. Bywali ludzie, którzy mogli byli pokierować umiejętnie skolataną nawaą narodową, gdyby z niezachwianą energią i nie zważając na krzyki gawiedzi chcieli byli przeprowadzić własne swe zdrowe zdania, ale, niestety, woleli oni iść za prądem z dołu, ażeby nie narazić się na niepopULARNOŚĆ, na przezwiska niepatryotów i zdrajców. Tak się stało w Księstwie Poznańskim w roku 1848. Członkowie komitetu narodowego ks. arcybiskup Przyłuski, pp. Potworowski, M. Mielżyński, Libelt, Stefański, ludzie światli, wytrawni, nieposzlakowanej enoty obywatelskiej, na pierwszym posiedzeniu popelnili błąd, którego już później naprawić nie było podobna; uchwalili utworzenie wojska polskiego, nie pytając się, czy to wojsko, zamiast pomódz, nie zaszkodzi naszej sprawie; uczynili to, ażeby zadowolić rozbudzony patryotyzm mas, który się domagał halaśliwie pulków, legionów, orłów, chorągwi polskich, ale po co było z tem tak spieszyć? Szaleństwem było myśleć, że Księstwo Poznańskie wyda wojnę Rosyi na własną rękę.

Nie trzebaż więc było czekać, póki Niemcy a przedewszystkiem Prusacy, upojeni myślą zjednoczenia wszystkich państw niemieckich nie wywołają sami w szranki grożącego im kolosa północy, który wielkiego i wolnego państwa niemieckiego obok siebie znieśćby nie mógł za czasów Mikolaja.

Na Niemcach więc polegała w r. 1848 cała nasza nadzieja. Byli oni w zupełnej zgodzie z nami, co do zasady, że Polska jest niezbędną tak dla zaslonienia od Rosyi przyszłych Niemiec, jak w ogóle dla równowagi, spokoju i wolności całej ucywilizowanej Europy, ale w kwestyach szczegółowych, dotyczących się reorganizacji na sposób narodowy pruskiego zaboru, tudzież utworzenia wojska polskiego, kwestyach skomplikowanych i wielce drażliwych, mogliśmy się bardzo łatwo z nimi powadzić, czego koniecznie unikać należało, ażeby sprawy naszój, tak dobrze stojącej na szwank nie wystawić. Na to ani Komitet Narodowy ani Mieroslawski nie pomnieli.

Owoż zaledwie ogłoszone zostało rozporządzenie Komitetu, powołujące ludność Księstwa pod chorągwie narodowe wszystko, co żyło, chwyciło za broń. Szlachta, oficyaliści, mieszczaństwo polskie za strzelby myśliwskie, chłopci za kosy, i oddziały ruchawki zaczęły się snuć po całym Księstwie z hałasem zwykłym w takim rozgorączkowaniu mas; — młodzież z Królestwa przybywająca gromadami, przyczyniła się do anarchii, a Poznań stał się punktem zbiorowym tego pospolitego ruszenia. Na ten widok zaniepokoił się mieszkańcy niemieccy Księstwa, sądząc, że oddani będą pod panowanie polskie, a wojsko pruskie obruszyło się do najwyższego stopnia. Rząd pruski otrzymał od władzy wojskowej w Poznaniu raporta, wska-

zujące niebezpieczeństwo podobnego stann rzeczy, i nader nieprzychylne Polakom, oraz rozliczne zażalenia od Niemców téj prowincyi. Wskutek tego Poznań ogłoszony został w stanie oblężenia. Nowe pulki wysłano do Księstwa, które podniosły ogólną cyfrę konsystującego w téj prowincyi wojska do 20,000 żołnierzy, przyczem przyszedł rozkaz do nadgranicznych komend, ażeby nie przepuszczały przez granicę przybywających z Kongresówki ochotników, a żołdactwo w wykonaniu tych rozkazów wystąpiło z całym znauem swoim brutalstwem. Oddział jeden dragonów napadł z dobytymi palaszami na gromadkę takich ochotników, rozsiekał na śmierć dwóch braci Lipskich, ranił kilku innych, resztę rozpędził.

Komitet Narodowy zaniósł skargę do króla. P. Libulski, wysłany z tą skargą, odwołał się przytem jeszcze i do ludu Berlińskiego, zawiadamiając go publicznemi plakatami o podnoszącej się reakcyi w Księstwie Poznańskim. Wielu innych Polaków przebywających w Berlinie i nawet stary książę Adam Czartoryski, który bawił w téj stolicy, starali się także pomszyć opinię publiczną za Polakami. Król Fryderyk Wilhelm wielce tem wszystkiem zakłopotany wysłał do Poznania generała Willisena, ażeby strony powaśnione i interesa przeciwstawione sobie ile możności pogodził, i na niego złał misyę poruczoną poprzednio Komitetowi Narodowemu ułożenia planu reorganizacyi Księstwa.

Generał Willisen, był starym przyjacielem Polaków. W roku 1831 opisywał i rozbierał krytycznie w dzienniku wojskowym Berlińskim wszystkie bitwy, ntarczki i ruchy strategiczne naszego wojska z wielkiem współczuciem dla

naszej sprawy, a następnie wydał historję tejże kampanii, która jest bezwątpienia najgruntowniejszą ze wszystkich dzieł tego rodzaju, jakie wyszły.

Zdaje się, że rząd, powierzając mu misję reorganizatora Księstwa, nie dał mu szczegółowych instrukcyj, polegając zupełnie na jego sądzie. Myśl rządu później dopiero objawioną została, gdy już Willisen ogłosił był swój programm, który nierównie więcej Polakom przysądzał, niżeli to było w zamiarach rządu i niżeli mu tego oględność na interesa państwa pruskiego — bezstronnie mówiąc — pozwalała. Myśl rządu znajdujemy w dzienniku urzędowym pruskim *Allg. Zeitung* z 12 Kwietnia 1848 r. w artykule wstępnym pod tytułem: *Kwestya Polska*. Czytamy tam najprzód oświadczenie następujące: „Przedewszystkiem mamy sobie za obowiązek oświadczyć wyraźnie i otwarcie, wszystkim, którzyby o tem wątpić mogli, że Prusy przy rozwiązaniu kwestyi polskiej, wszelki interes własny odkładają na bok i że nie cofną się przed żadną terytoryalną ofiarą, potrzebną do utworzenia Poski, lecz te części Księstwa, które są istotnie niemieckie, muszą przy Niemcach i Prusach pozostać, i pod tym względem żadna nie zachodzi wątpliwość. Mieszkańcy sami rozstrzygną wolnemi głosami, czy chcą należeć do Polski czy do Niemiec“. Dalej pisarz oficjalny stara się udowodnić, że póki kwestya przywrócenia Polski nie będzie urzędownie wytoczona, póty rząd pruski żadnej części Księstwa z pod władzy swojej wypuścić nie może. Nie może także tolerować zbrojenia się i koncentrowania band anarchicznych, które nie wstrzymałyby się od napadu na Królestwo Polskie, z czego wynikłaby niezawodna porażka i zajęcie Księstwa Poznańskiego przez Rosyę wraz z fortecą poznańską, a tym sposobem

wschodnie prowincye monarchii byłyby tak dobrze jak odcięte od reszty, i Niemcy od Wschodu zupełnie odslonięte.

Trudno zaprzeczyć, że rozumowanie to było logiczne i słuszne ze stanowiska rządu pruskiego, ale generał Willisen już się był przechylił zupełnie na stronę życzeń polskich i program reorganizacji Księstwa, ogłoszony przez niego 8 Kwietnia, to jest na cztery dni przed za cytowanym wyżej artykułem dziennika urzędowego, nie tylko zastrzegał dla Księstwa najzupełniejszą antonomię, na coby się rząd pruski z pewnemi zastrzeżeniami na korzyść Niemców Poznańskich zapewne zgodził, ale warował jeszcze i wojsko narodowe, złożone: 1° z landweru, w którym oficerowie mieli być wybieralni, komenda polska i kokardy polskie; 2° z korpusu ochotników, który miał być uformowany z funduszków prywatnych. Na ostatek program reorganizacji zamieszczał warunek ten, że wojska z innych prowincyi, konsystytuujące w Księstwie będą odwołane.

Po ogłoszeniu tego programu, krzyk ogromny powstał między niemcami Księstwa na Willisena, a generał Wedell, komendernjący wojskiem pruskiem w Księstwie, ani sły szyć chciał o tym programie, o ile się tyczył spraw wojskowych. Dwie siły stały naprzeciw siebie: 28 tysięcy wojska pruskiego z jednej strony, a około 30 tysięcy rucha wki poznańskiej z drugiej strony. W téj rucha wce liczę kilka tworzących się naówczas regularnych pulków; mianowicie: jeden pulk piechoty i jeden ulanów, które zaczęły się organizować w Poznaniu kosztem miasta, a po ogłoszeniu Poznania w stanie oblężenia, wyszły do Karnaszewa kończyć tam swoją organizację, pulki ulanów T. Działyńskiego i Mycielskiego i może jeszcze inne.



Główna jednak masa pospolitego ruszenia składała się z gromadek bez żadnej organizacyi, uzbrojonych — jak wspomniałem wyżej — w strzelby myśliwskie a najpowszechniej w kosy. Gromady te, gdy bramy Poznania zostały dla nich zamknięte, skoncentrowały się jedne pod miastem Środą, gdzie liczone do dwudziestu tysięcy ludzi zbrojnych, inne w liczbie około 12 tysięcy ludzi pod lasem Krotoszyńskim pod wodzą Mierosławskiego. W takim stanie zastał J. Willisen Księstwo Poznańskie, i ludząc się co do zamiarów rządu swojego, chciał chaos ten uporządkować w taki sposób, ażeby z niego zrobić kraj polski, w osobie króla tylko złączony z Prusami. Działał on w myśl Komitetu Narodowego, który pod jego przewodnictwem urzędował dalej — ale ogłoszenie rządowe z 12 Kwietnia sparaliżowało czynności tak generała Willisena jak Komitetu. Komitet natychmiast się rozwiązał; generał Willisen zostawiony sobie samemu, nadaremnie usiłował nakłonić gromady zbrojne, ażeby się rozwiązały — stanowczo tego odmówiły, a wojsko pruskie zamierzało otoczyć całe zbrojne zebranie pod Środą, ażeby je głodem do poddania zmusić. Willisen użył pośrednictwa swojego między stronami, i z pomocą generała Colomba doprowadził je do konwencji, wskutek której ruchawka odstąpiła od Środy, ale udała się pod Wrześnię i Trzemeszno, a Mierosławski z pod lasu Krotoszyńskiego posunął się pod Miłosław. Niebezpieczeństwo starcia się ruchawki z wojskiem pruskim na chwilę więc tylko usunięte zostało. Rozważni patryoci poznańscy drżeli na tę myśl. W miejsce rozwiązanego komitetu uformował się nowy pod bokiem Willisena, złożony z dwóch członków dawnego komitetu, Libelta, M. Mielżyńskiego, i nowych członków: Mora-

czewskiego, Jarochońskiego, ks. Janiszewskiego i ks. Prusinskiego; wydał on odezwę do ruchawki, błagając ją w najgorętszych wyrazach, ażeby unikała wszelkiego zajścia z wojskiem pruskim. Jeneral Willisen zaś korespondował czynnie z rządem, chcąc uzyskać od niego jakiegokolwiek ustępstwo dla ducha wojskowego Polaków, ale przeciw niemu było całe stronnictwo wojskowe, które coraz więcej nabierało wpływu na dworze Fryderyka Wilhelma. Niemcy, osiedli w Księstwie i Prusach wschodnich, nie przedstawiali także użalać się na tego jenerała, że popiera wyłącznie żywioł Polski z krzywdą Niemców*), a co najgorsza obok niego wystąpił Mierosławski, jako wódz siły zbrojnej narodowej w Księstwie Poznańskim — quasi dyktator — i wysyłał raz po raz swojego szefa sztabu Krauthofera do króla, ażeby z nim traktować jak potęgą z potęgą. Znam Ludwika Mierosławskiego z ławek szkolnych, siedzieliśmy bowiem na jednej ławce w korpusie kadetów w Kaliszu; miałem z nim następnie stosunki we Francyi, i

*) Minister Camphausen otrzymał z Prus zachodnich z cyrkulu Karthausera prośbę następującą, datowaną 14 Kwietnia. „Odezwa tymczasowego polskiego komitetu ogłaszającego Prusy zachodnie za polską prowincję, zniewoliła mieszkańców naszych cyrkulów do następującego oświadczenia: Nie uwłaczając polskiej narodowości ani też do niej przystępując, jesteśmy zniewoleni prosić, aby Zachodnie Prusy, jako pruska prowincya, do związku niemieckiego przypuszczone były. Jesteśmy Prusakami i takimi zostać chcemy“.

Ta prośba pisana jest jeszcze w tonie grzecznym, ale Camphausen i król sam odbierali nieustanne zażalenia na Polaków, na Komitet Narodowy i jenerała Willisena w wyrazach cierpkich a częstokroć obelżywych. Ztąd to zapewne Bismarek wyciągnął ten wniosek, który Polakom wypowiedział, że sprawa polska więcej nierównie kłopotu aniżeli korzyści przynieść może Niemcom.

w dalszym ciągu tego opowiadania, będę miał sposobność skreślić jego wierny wizerunek; teraz to tylko powiem, że odegrał rolę fatalną w Księstwie Poznańskim jak się to zaraz pokaże.

Willisen, nie wskórawszy nic u rządu, wyjechał z Poznania dnia 21 Kwieciana, bądź odwołany, bądź zrzekłszy się własnowolnie powierzonoj mu misyi, której wypełnić nie było mu podobna. Po jego wyjeździe jeden człowiek był tylko w Księstwie Poznańskim, który mógł być przeszkodzić zgubnemu dla sprawy naszej starciu się Polaków z Prusakami, co więcj, nawet złączyć ściślej jeszcze nizeli były te dwie wielkie kwestye jedności niemieckiej i odbudowania Polski, gdyby ten człowiek miał był zmysł polityczny i uczucia obywatelskie. Tym był właśnie Mierosławski. Popularność ogromna, jaką mu proces jego zjednał był nietylko w Księstwie Poznańskim, ale w całych Niemczech, łatwo mogła z niego uczynić potęgę w obec zachwianych rządów niemieckich. Wnieść to można z wezwania, jakie późniój otrzymał od Badeńczyków, ażeby im przywodził. Nieszczęściem polityka Mierosławskiego nie przechodziła po za zakres junakeryi studenckiej i na myśl mu nawet nie przyszło, ażeby walec w Poznańskim przeszkodzić. Prusacy chcieli zająć Trzemeszno, ruchawka stojąca w mieście nie chciała ich wpuścić. Nastąpiła utarczka, która stała się hasłem dla Prusaków do uderzenia na wszystkie ruchawki polskie. Pod Miłosławiem zostali pobici przez dzielne chłopstwo wielkopolskie. Taktyka Mierosławskiego nie miała w tem żadnego udziału, ale po bitwie, dumny zwycięstwem wydał proklamacyę, wzywając Księstwo całe do powstania a w siedm dni potem zmuszony był kapitulować. Podpisał tę kapi-

tulacyę 9 Maja warując sobie pasport do Francyi, który po kilku dniach otrzymał na słowo honoru, że już więcej przeciw Prusakom broni nie podniesie i 14 Maja wyjechał do Francyi, zostawiwszy między Polakami i Prusakami przepaść, która się coraz bardziej rozszerza i nigdy się już nie zamknie. W dzień, w którym się toczyła walka pod Miłosławiem, Niegolewski na czele innych posłów polskich wnosił na sejmie pruskim, świeżo otwartym, ażeby to zgromadzenie wezwalo związek niemiecki w imię niemieckiego honoru do dotrzymania Polakom przyrzeczenia, przez parlament przygotowanego uczynionego. Wniosek przyjęty z wielkiem współczuciem 2 Maja, wrócił pod obrady 4 Maja. Już wiadomość o bitwie pod Miłosławiem przyszła była do Berlina, rozprawy w Izbie były żywe, gwałtowne, pełne wymówek dla Polaków. Wniosek nakoniec przyjęty został, ale tylko większością dwóch głosów. Było to pożegnanie, dane sprawie Polskiej przez Niemców. Jak tylko się bowiem rozeszło po Berlinie, że w Poznańskim wybuchła zacięta walka między Polakami i Pruskim wojskiem, cała sympatya Berlińczyków dla polskiej sprawy w jednej chwili zagasła. Studenci nawet oświadczyli na zebraniu swoim, że od sprawy polskiej ręce sobie umywają. W parlamencie przygotowanym już więcej mowy o niej nie było; tylko ażeby nie dać zaprzeczenia swoim zasadom, zgromadzenie zamykając posiedzenia swoje 31 Maja wygłosiło w sposób ogólny, prawo służące wszystkim obcym pierwiastkom w Niemczech do używania autonomii.

Były to ciche słowa. Krwawe zajścia w Poznańskim dały przeświadczenie wszystkim ludziom politycznym w Prusach, że odbudowując Polskę, wystawiliby przeciw sobie bardzo niebezpiecznego nieprzyjaciela i przez to cały ruch

niemiecki 1848 r., powiedzieć można, zwichnięty został. Niemcy zjednoczone, jakich chciał parlament przygotowawczy, miały bowiem żyć zgodnie z zachodem, i dla tego potrzebowały odgrodzić się od Rosyi przedmurzem potężnem odbudowanej Polski, a gdy samo podniesienie chorągwi polskiej pokazało się tak niebezpiecznem dla Prus, król Fryderyk Wilhelm zrzekł się swojego marzenia być koronowanym cesarzem niemieckim przez niemiecki parlament. Wolał się zbliżyć na powrót do Rosyi, solidarnie związanej z Prusami podziałem Polski, i do cesarza Mikołaja, dla którego miał dziwne jakieś uwielbienie, jak się to pokazuje z listów jego do Bunsena, gdzie tego żelaznego władcę nazywa wielkim i świętym człowiekiem.

Wypadki, jakie zaszły następnie we Francyi, wrzenie klubów, napad 15 Maja czerwonych republikańców na zgromadzenie konstytucyjne pod pozorem upominania się za Polską, i nakoniec straszliwe walki czerwcowe na ulicach Paryża, zniesławiły ideę rewolucyjną w ogólności. Uznano dosyć powszechnie w sferach oświeconszych, że otworzyć szluzę dążnościom ludowym, jest to puścić wolno potok wszystko niszczący. Od dni czerwcowych rząd republikański był we Francyi zachwiany i chylił się do upadku. W Niemczech, w Prusach mianowicie, reakcja i militarizm wzięły górę stanowczo; w Poznańskim zaprowadzony był ogólny stan oblężenia, i wszyscy emigranci dawni i nowi zostali z kraju wydalen, a parlament niemiecki, otwarty w pierwszych dniach Czerwca w krótkim czasie potrafił idee niemieckie śmiesznością okryć i obradował coraz w większem osamotnieniu tak, że w końcu już nawet echa nie powtarzały jego nudnych sporów.

Dramat rewolucyjny nie był jednak jeszcze skończony na całej téj rozległej scenie, na której się od miesiąca Marca odgrywał. Monarchia Habsburgów przedstawiała obraz chaotycznej walki rozprzężonych żywiołów, a nigdzie siły dosyć rozumnej, ażeby te różnorodne żywioły objęła i do zgody doprowadziła. Wszystkie narodowości austriackie powstały przeciw despotyzmowi centralnemu, ale jedna drugiej ręki podać nie chciała. Każda swój interes tylko miała na oku i działała na swój własny rachunek — a tym sposobem ściągała na siebie wszystkie siły, jakimi rząd rozporządzał. Rząd zaś sam, lubo miał dosyć mocy aby te rozstrzelone narodowości jedną po drugiej poskromić, nigdy nie był sam z sobą w zgodzie. Cesarz chciał wprowadzić wszystkim ludom podwładnym swemu berłu dogodzić, ale za nim była kamarilla, która każde ustępstwo, uczynione przez niego, kazała ludom drogo opłacać — wszędzie chciała przywrócić dawny stan rzeczy, a nigdzie tego dokazać nie mogła, bo jój w tem znowu cesarz przeszkadzał.

Kraków i Galicya przypuszczone do tychże samych swobód, jakie monarcha innym krajom swojego państwa udzielił, nie były nigdy pewne jutra przez cały ciąg tego rewolucyjnego peryodu. Po oświadczeniu urzędowem w Gazecie Wiedeńskiej, że Austria wolna wywalczy dla Polski wolność i niepodległość; co więcej, nazajtrrz po ogłoszeniu konstytucyi dla całego państwa austriackiego, to jest 26 Kwietnia — nagle, bez żadnej namacalnej przyczyny wojsko austriackie bombardowało Kraków, poczem Komitet Narodowy i gwardya narodowa zostały zniesione, ludność rozbrojona, emigranci wypędzeni, a generał Casti-

glione obejmuje dyktaturę, i znów w parę dni potem prezes rady ministrów Pillersdorf, odpisując na list księcia Jerzego Lubomirskiego, upewnia go, że autonomia Krakowa i Galicyi nie jest bynajmniej zagrożoną. W rzeczy samej, po tej krwawej zabawce wojska austriackiego, którą jeneral Castiglione sam dosyć ciężko opłacił, wolno było jak pierwój, mówić, drukować, gromadzić się w Krakowie, i nowoprzybyłych emigrantów młodych i starych policya już nie niepokoiła.

We Lwowie, który miał być z kolei bombardowany 2 Listopada, panowała aż do owego smutnego dnia zupełna swoboda, wprawdzie pod okiem silnej załogi, której bagnety i działa hamowały nieco zapal ludności. Władza autonomiczna skoncentrowana była w Radzie narodowej, wolnemi głosami wybranej. Dzienniki nie ulegały żadnej cenzurze, zgromadzenia nie były wzbronione, a młoda emigracya, napływająca ciągle z Królestwa, od czasu zwłaszcza jak w Księstwie Poznańskiem skończona była krótka epopeja Mierosławskiego, wolno chodziła po mieście. Młodzież ta opuszczała kraj, nie wiedząc dobrze, jak rzeczy stoją w Europie, sądząc, że sprawa Polski jest jeszcze na porządku dziennym, i że gdzieśkolwiek tworzyć się będą legiony polskie.

Na początku Września było we Lwowie takich młodych wychodźców z różnych klas społeczeństwa, z Kongresówki, a po części i z prowincyi przyłączonych do Rossyi, najmniej z tysiąc, których obywatele między siebie rozebrali, każdy po kilku, i gościli w swoich mieszkaniach. Były już i partye między nimi, ale główna masa zgromadzała się pod prezydencją mojego kolegi, jak już nadmienilem na

początku. Miał on, obok szczerój i braterskiej uprzejmości dla téj młodzieży, pewną stanowczość zdania, i coś w powierchowności, co mu, razem wzięte, jednalo popularność. Wysoki, wysmukły, z długimi włosami i miną artysty trafiał on do przekonania swoich słuchaczy frazesami trochę à la Joseph Prudhomme, którym dobitności dodawał machając długimi rękami.

Ubolewałem nad losem tylu dziarskich młodych ludzi, dla których bardzo mało było widoków w Galicyi; a w kraju, gdyby chcieli wrócić, czekały ich ciężkie prześladowania, gdy w tem zaczęły się rzeczy w państwie austriackiem groźnie gmatwać. Demokracja wrzała w Wiedniu. W jednym tylko klubie, prezydowanym przez Dr. Taussenau liczono kilkadziesiąt tysięcy — mówiono nawet 100,000 — członków. Cesarz z ministrami i sejmem przeniósł się do Kromieryża. W Węgrzech uchwały sejmowe wydane pod wpływem Kossutha względem uzbrojenia 200,000 wojska, i puszczenia w obieg banknotów na 60 millionów zlr. zaczynały wchodzić w wykonanie. Na początku zaś Października ministerjum zachowawcze Bathyani'ego ustąpiło i wybrano komitet obrony krajowej pod prezydencją Kossutha. Ten obrot rzeczy dodał mi otuchy. Wierzyłem w Kossutha, widziałem w nim człowieka jedyne go, który był na wysokości wypadków, i który zapewne podzielał szczerze opinię sejmu węgierskiego, wyrażoną solennie na posiedzeniu 12 Kwietnia „że sprawa polska jest sprawą węgierską“, ale Rada Narodowa galicyjska nie mogła być żadnych z nim układów zawiązywać, bez narażania miasta na bombardowanie, a całej Galicyi na niebezpie-

czeństwo nowej krwawej plagi jak ta, której pamięć była jeszcze świeża. Najwłaściwiej było, jak mnie się zdawało, żeby młoda emigracya wyprawila deputacyę od siebie do prezesa obrony krajowej w Węgrzech, ofiarując Węgrom swoje usługi, nie jako najemnicy, lecz jako zaród sprzymierzonego z niemi korpusu polskiego. Odpowiedzialność za taki krok nie mogła spaść ani na Galicyę, ani na Radę Narodową, ale wyłącznie na młodą emigracyę.

Myśl tę zwierzyłem Kwiatkowskiemu i oświadczyłem mu, że jestem gotów jechać w takiej missyi do Węgier, ale będąc od młodej emigracyi zupełnie nieznany, proponuję mu żeby jechał ze mną na koszt mój do Pesztu, uzyskawszy od owęj młodzieży upoważnienie dla nas obydwóch do traktowania z rządem węgierskim, opatrzone jak najliczniejszymi podpisami. Kwiatkowski zgodził się chętnie na to, i tegoż samego dnia rzecz całą przedłożył na zgromadzeniu młodej emigracyi, która projekt cały z entuzyazmem przyjęła i natychmiast zaczęła, ułożone przez nas upoważnienie podpisywać. Nazajutrz podpisy zostały uzupełnione, a trzeciego dnia ja i kolega mój wyjechaliśmy ze Lwowa, zaleciwszy jak najmocniej młodzieży, ażeby żaden nie ruszał do Węgier, póki komitet przy tój okoliczności utworzony, nie otrzyma od nas wiadomości.

Nie udaliśmy się wprost do Pesztu. Obróciliśmy drogę na Kraków, gdzie przebywało kilkuset młodych emigrantów. Porozumieliliśmy się z nimi. Wszyscy z zapalem przyłożyli podpisy swoje na upoważnienie podpisane przez ich braci ze Lwowa. Zaleciliśmy im po-

dobnie jak tamtym, ażeby czekali na znak od nas i pusciliśmy się w drogę do Węgier, a kilkunastu młodych emigrantów odprowadziło nas aż do Nowego-Sącza. Nazajutrz byliśmy na węgierskiej ziemi u węgierskiego szlachcica, do którego dano nam list polecający w Krakowie, jako do wielkiego przyjaciela Polaków.

II.

◉ W szlacheć węgierski — nazwisko jego wyszło mi zupełnie z pamięci — przyjął nas uprzejmie, ale bez wielkiej serdeczności. Był to stary kawaler, pan na kilku wioskach, lecz tak mało dbały o najprostsze wygodę w swoim domu, że pod wpływem pierwszego wrażenia uczyniłem z cicha uwagę mojemu koledze, iż jesteśmy podobno za granicami cywilizacji europejskiej. Łóżka mianowicie były tak wąziutkie, że w nich obrócić się nie było podobna, lecz gospodarz miał tę pociechę, że usypiał pod cieniem swojego szlachectwa, bo nad jego łóżeczkiem, wyrysowane na wielkiej karcie drzewo genealogiczne jego rodu, rozpościerało swoje rozliczne konary.

Przy wieczerzy, której fundamentem była jakaś narodowa potrawka z papryką, niecznośnie piekąca w gardle, gdyśmy już wychyliłi byli parę kieliszków wina, zdaleka tylko spokrewnionego z węgryzmem naszych stolów szlacheckich, gospodarz nasz pomny na to, że:

Węgier, Polak dwa bratanki,
I do szabli i do szklanki,

zaczął się poufale rozgadywać. Był to typ węgierskiego szlachcica dawniej daty, wielce zbliżonego w charakterystycznych rysach do szlachcica polskiego z przedrozbiorowych czasów. W oczach jego naród węgierski, to była szlachta węgierska sama jedna, inne zaś klasy były na to tylko stworzone, aby jęj służyły. Dlatego też zmiany, świeżo zaprowadzone naówczas w jego kraju, które pozwoliły chłopom pracować wyłącznie dla siebie a nie dla szlachty, były mu nienawistne.

— Dawniej — mówił nam ze słowacka po polsku — szlachta nasza słyęła z gościnności i hojności, teraz zaś, gdy za sprawą tego kalwina Kossutha, odjęto nam nasze odwieczne prawa, gdy nas opodatkowano i z chłopów naszych porobiono panów na swoich zagrodach, nie jesteśmy w stanie uczciwie przyjąć gościa. Dziś chłop nie wiele bogatszy niż był, a szlachta zeszła na biedaków.

Po tem pierwszym a szczerem odezwaniu się naszego amfitriona, pomyślałem sobie: straciliśmy parę dni najniepotrzebniej zbaczając z naszej drogi, ażeby zakosztować téj gościnności z papryką i kwaśnem winem, i zacząłem w duchu wyrzekać na lekkomyślność ziomka naszego w Krakowie, który w najlepszej chęci zapewne, ale nie znając sposobu myślenia tego obywatela, przyniósł nam list rekomendacyjny do niego z gorącą namową, abyśmy do jego domu wstąpili. Lecz po chwili rozważy spozrzegłem, że możemy pewną korzyść wyciągnąć z dziwnej owej okoliczności, która na wstępie naszym na węgierską ziemię zetknęła nas z zapalonym przeciwnikiem Kossutha. Kto wie — powiedziałem sobie — może popędziwszy go na szersze pole poufnej gawędki, wykryje nam prawdziwie ujemne strony charakteru lub położenia człowieka, na któ-

rym tyle budujemy nadziei, i będziemy wiedzieli, jak z nim począć. Popchnąłem więc dalej rozmowę dosyć kłopotliwą dla nas z początku.

— Zapewne — rzekłem — szlachta węgierska poniosła ciężkie ofiary, ale sądziłem, że była do nich gotową, skoro obie izby sejmowe przyjęły wygotowane przez Kossutha podanie do cesarza o opodatkowanie szlachty i uwolnienie chłopów od wszelkich pozostałych jeszcze powinności poddańczych, które wraz z innemi żądaniami uzyskało sankcyę cesarską.

— Ech! — odpowiedział Węgier niecierpliwie — widzę, że panowie nieświadomi jesteście zupełnie, jak się rzeczy działy. Pozwólcie mi opowiedzieć wam to od początku.

O wszystkich zmianach, jakie zaprowadzone zostały u nas w Marcu tego roku, nikt jeszcze w Lutym nie myślał prócz jednego Kossutha. Kossuth już od 1830 r. rzucał między naród idee demokratyczne w mowach swoich na rozmaitych zgromadzeniach i w pismach, mianowicie téż, kiedy był redaktorem głównym dziennika *Pesti Herlap* (*Gazety Peszteńskiej*); ale idee te przyjmowały się tylko między wychowañcami szkół kalwińskich, z jakich i on sam wyszedł. Do sejmu one nie przeniknęły. Kossuth sam, kilka lat temu, wyszedł był z redakcyi *Gazety Peszteńskiej* i uciekł, rzuciwszy się w przedsiębiorstwa przemysłowe. W roku zeszłym dopiero wybrany posłem na sejm przez komitet Peszteński, wrócił do życia politycznego, ale aż do rewolucyi lutowej we Francyi z żadnym planem reform nie występował. Rewolucya francuzka zelektryzowała go i 3 Marca wynagrodził sobie kilkoletnie milczenie piorunującą mową w izbie poselskiej,

która wstrząsła w podstawach swoich całą monarchię austryacką. Wszędzie się młodzież rozogniła, wszędzie masy zaczęły się poruszać i wszędzie powtarzano te słowa mówcy: „Politykę Metternicha czuć trupem.“ To był cios à la Jarnac, którym Kossuth zabił system Metternichowski, wymierzywszy go w chwili sposobnej.

— I dobrze uczynił — wyrwałem się prawie mimowolnie.

— Nie przeczę temu — odparł Węgier — ale było to wypowiedzenie wojny na śmierć Austrii, która na tym systemacie utkwiała jak na bezpiecznej kotwicy, i lubo go się zarzekła w chwili trwogi, trzyma go jednak w odwodzie i niebawem jawnie wróci do niego. Na zakończenie mowy swojej — ciągnął dalej nasz gospodarz — przedstawił Kossuth izbie projekt owego podania do cesarza, w którym domagał się najprzód odrębnego i odpowiedzialnego ministerium dla Węgier; pod tarczą zaś tego tak ponętnego dla naszego patryotyzmu żądania, zamieścił szereg innych, czysto demokratycznych, na korzyść chłopów a krzywdę szlachty. Mogę panom śmiało zaręczyć, że ogromna większość w Izbie słuchała z wewnętrznem oburzeniem tych ostatnich wymysłów, ale przekonana, że je Izba magnatów niewątpliwie odrzuci, chciała zważyć na nią niepopularność za rozstrzygnięcie w sposób tak doraźny ciężkiej kwestyi demokratycznej, a sama głosowała z udanym entuzjazmem za całem factum Kossutha, ażeby tanim kosztem pozyskać sobie sławę arcyliberalnego zgromadzenia.

W trzy dni potem, to jest 6 Marca, podanie przesłane zostało do Izby magnatów, która niestety! nie miała odwagi wręcz go odrzucić, wołała sprawę puścić w od-

włokę pod pozorem, że arcyksiężę Palatyn wraz z kilkoma największymi figurami z Izby, był w Wiedniu, i że w ich nieobecności nie należało Izbie stanowić w tak ważnym przedmiocie. Kossuth widząc tę chwiejność magnatów, uderzył na nich natarczywie w Izbie poselskiej, powiedział, że postępują niekonstytucyjnie i zagroził, że jeżeli ociągać się będą dłużej z decyzją, to Izba posłów zmieni się w konwencyę. Na jego wniosek Izba wystósowała do nich Nuntium, to jest odezwę, w tymże duchu. Poruszyło ich to i wyznaczyli dzień 14 Marca na obrady nad podaniem Kossutha. Było to 9 Marca i Kossuth miał cztery dni przed sobą, ażeby przyrządzić matnię, w którą tę nieradną Izbę wpędził. 14 Marca rano całe miasto Peszt napelnione było włościanami, których sprowadził z okolic. Przybyła milicya z Presburga, a kto tylko mógł ze stronnictwa demokratycznego z dalekich nawet stron podążył do Pesztu na ten dzień stanowczy. Byłem i ja tam, i jako świadek naoczny opowiadam wam, co się działo.

Na parę godzin przed otwarciem posiedzenia wróciła z Wiednia deputacya, wysłana z Izby magnatów do cesarza w początkach Marca pod przewodnictwem arcyksięcia Palatyna i przyniosła wiadomość, że w Wiedniu rewolucya i że Metternich złożył wszystkie swoje urzędy. Był to skutek mowy Kossutha z 3 Marca. Żarzewie, które on rzucił między studencką młodzież i gawieź wiedeńską, tlało dni kilka. Hałasy były na ulicach, krzyczano na Metternicha, gromadzono się coraz tłumniej; nakoniec 13 Marca wybuchły wszystkie żywioły rewolucyjne i zaczęły się owe ustępstwa ze strony rządu, które

w kilku dniach następnych zmieniły w chaos całą monarchię austriacką.

Wiadomość o wybuchu wiedeńskim przeraziła naszych magnatów, a w dodatku, idąc do Izby, przeciskać się musieli przez tłumy ludu, które ją oblegały; nawet w sali posiedzeń, miejsca przeznaczone dla publiczności, były młotem przepelnione. Po otwarciu posiedzenia prezydujący wyprawił dwóch członków do ludu na placu, ażeby się pytali, w jakim celu zgromadził się tak tłumnie. Wysłańcy wrócili z odpowiedzią od przywódców tego zbiegowiska, że włościanie z okolic a z nimi lud Pesztu zebrali się przed pałacem w nadziei, iż Izba magnatów przyłączy się do podania posłów i czekają spokojnie na rezultat głosowania dostojnych panów w tym przedmiocie, ażeby im swoje podziękowania oświadczyć. Odpowiedź ta, widocznie przez Kossutha zawczasu ułożona, znaczyła w gruncie, że jeżeli Izba magnatów podanie odrzuci, to ją lud rozpędzi. Magnaci pospuszczali głowy; niejednen zaplakał w ciichości, ale pod takim naciskiem zdecydowali się wszyscy głosować za podaniem do cesarza, które majątki ich o więcej niż połowę zmniejszyć miało. Kossuth tryumfował. Wieczorem cała tłuszcza różnorodna, którą on poruszał po woli swojej, wyprawiła Fackelzug na jego cześć. Nie zapomnę nigdy tego niewidzianego jeszcze u nas widowiska. Na czele szła milicya Presburska z pochodniami, chorągwiemi narodowemi i muzyką, a za nią potok ludu z krzykami, które się na całe miasto rozlegały. Ta hałaśliwa procesya zaszła przed gospodę pod *Grünen Baum*, gdzie mieszkał Kossuth, który wyszedł na balkon i długą mową uraczył swoich czcicieli. Tłum mu odpowiedział okrzykami *Elien*, poczem udał się w tymże samym po-

rządku przy odgłosie marszu Rakoczego, który grała muzyka milicyi Presburskiej, przed pałac Pałatyna, lecz wątpię, żeby ten był z tego uczenia równie uradowany jak Kossuth. Przez cały dzień następny przeciągnęły się jeszcze bachanale ludowe, a 16 Marca deputacya obu Izb sejmowych, z arcyksięciem Pałatynem na czele, powiozła do Wiednia dzieło Kossutha, żeby go cesarzowi przedstawić. W każdym innym czasie byłby go monarcha bez najmniejszego wahania się odrzucił, ale wobec rewolucyjnej zawiei, która się już na całe państwo była rozciągnęła lubo wojsko zostało mu wierne, na wszystko się zgadzał czego tylko od niego rewolucya żądała. Przychylił się też i do podania przyniesionego mu przez deputacyę naszych Izb sejmowych, nie wyłączając żadnego zawartego w niem żądania. Tym to sposobem udało się Kossuthowi, który przed rokiem był adwokatem bez klientów, dziennikarzem bez dziennika, przeprowadzić w kraju naszym radykalne zmiany, o których się nikomu pierwój nie śniło, którym cała szlachta była przeciwna, a w nagrodę za to samemu zostać ministrem skarbu w pierwszym ministerstwie odrębnem i odpowiedzialnem w Węgrzech.

— Manewrował biegle — pomyślałem sobie — i w okolicznościach nadzwyczaj przyjaznych jego planom a jako oswobodziciel chłopów pozyskał sobie podstawę, z której niełatwo go będzie zwalić. Lecz tę uwagę scho- wałem dla siebie. Węgry zaś chcąc nieco pocieszyć, powiedzialem mu, że naród jego, uzyskawszy zupełny samorząd, jeżeli będzie miał ministrów zdolnych, dbałych o wzrost przemysłu, rolnictwa, handlu — o zaprowadzenie dróg bitych, dróg żelaznych, żeglugi na rzekach i o inne ulepszenia materyalne, to straty poniesione przez szlachtę,

przez usamowolnienie chłopów, będą w kilku latach sowicie wynagrodzone.

— Och! — odrzekł Węgier — samorząd nasz potrwa miesiąc, dwa lub trzy, a potem wrócimy do dawnego stanu, lecz szlachta już tego nie odzyska, co jej odjęto.

— Dla czegoż pan tak źle wróżysz o prawach uzyskanych świeżo przez swoich współziomków? — spytałem go, przerywając mu z ciekawością.

— Bośmy je uzyskali — odpowiedział mi — pod naciskiem okoliczności nadzwyczajnych, nieprzyjaznych monarchii, a nie mamy dosyć sił, aby je utrzymać. Wszakżeż już miano ochotę koniecznie nam je odebrać, i w tym celu podszczerzo przeciw nam Kroatów; to był początek wojny między domem Rakuskim a Węgrami; wojny dotąd jeszcze nie jawnej, bo rząd austriacki ma ciągle do czynienia to z Włochami, to z Czechami, to z Wiedeńczykami; ale niech się z innych stron uspokoi, to na nas uderzy z całą swoją siłą. Widząc też, na co się zanoszą, ministerjum Bathyani'ego usunęło się. Arcyksiążę Palatyn wyjechał z Węgier, a sejm nie widział innéj rady jak powierzyć władzę prawie dyktatorską Kossuthowi, który nas w ten ogromny kłopot wprowadził. Czy zaś wyprowadzi nas z niego? to wielkie pytanie.

— My Polacy — odezwałem się — widzimy rzeczy jakoś w lepszym świetle; wprawdzie z po za gór. Mamy nadzieję, że Węgrzy dadzą radę domowi Rakuskiemu, a w następstwie spowodują rozpadnięcie się całej budowy kongresu wiedeńskiego. Ta nadzieja przywiodła nas tu, jak pan widzisz, aby związać ściślej na polu bitwy sprawę polską ze sprawą węgierską.

Węgier się skrzywił. — Ale na czemże panowie — rzekł — budujecie tę piękną nadzieję?

— Najprzód na patryotyzmie Madziarów — odrzekłem — i na materyalnej nawet ich sile wobec skolatanej Austrii, a następnie na okolicznościach, które się na to składają, ażeby im dać przewagę. W tej chwili nie jestże Wiedeń w pełnej rewolucyi? Wiedeńczycy czekają na pomoc Węgrów, a jakaż wyborna sposobność, żeby wziąć armię Windischgrätza i niedobitki Jelaczycza, oblegające stolicę Austryacką, we dwa ognie. Nie wątpię — mogę nawet powiedzieć, iż Europa cała nie wątpi, że Kossuth błędu tego nie popełni, aby zostawił Wiedeńczyków na pastwę wojskom, oblegającym ich miasto.

— Ale z czemże pan chcesz, żeby im przyszedł na odsiecz? — odparł nasz gospodarz — nie ma on armii Sobieskiego, możesz mi pan zawierzyć — dolożył żartobliwie.

Ale nie ma też pod Wiedniem Kara-Mustafy z całą dawną potęgą Ottomańską, — odrzekłem nie mniej żartobliwie — jest tam tylko Windischgrätz z niewielką siłą i Jelaczyc już poprzednio pobity przez Węgrów.

— Za pozwoleniem — przerwał mi — armia główna Windischgrätza liczy 50,000 ludzi, a niedobitki Jelaczycza to jeszcze 20,000 żołnierzy; oto jest siła oblegająca w tej chwili Wiedeń, na skrzydłach jej jest jeszcze, razem wziąwszy, około 30,000 wojska a w dodatku 8,000 stoi na Spiżu, tak, że jeżeli Kossuth zechce przyjść w pomoc Wiedeńczykom, będzie miał do czynienia z armią przeszło stutysieczną.

— Niechże i tak będzie — rzekłem, trochę za-
kłopotany — ale przecież Węgrzy mogą wystawić większą
jeszcze siłę.

Węgier się rozśmiał. — Wiesz pan — zagadnął
mnie — wiele Kossuth mógł wystawić wojska, ażeby ode-
przec napasć Kroatów? Oto 15,000 tysięcy, ściągawszy
wszystkie siły porozrzucane po kraju.

— A gdzież są — spytałem — owe 200,000 no-
wego wojska, którego pobór z takim entuzjazmem —
pamiętam to — zawotowany został przez sejm na
wniosek Kossutha jeszcze w pierwszej połowie Lipca?

Na papierze w archiwach sejmowych — odpowiedział
Węgier. — Cały ten entuzjazm odegrany został dla Wiednia
i dla Europy, a rzeczywiście z owego postanowienia sej-
mowego jedna część tylko weszła w wykonanie to jest
upoważnienie dla Kossutha, wówczas ministra skarbu do
wypuszczenia w obieg banknotów na 60 millionów zlr.,
bo w skarbie było pusto jak w kieszeni pana ministra.

— Jakto — wykrzyknąłem — więc cała siła
zbrojna Węgierska ogranicza się na 15,000 wojska!

— Hm — odrzekł, po chwili zastanowienia — dziś
jest zapewne trochę więcej. Kossuth miał czas sprowadzić
oddziały, które były na krańcach Węgier na północy i na
wschodzie w czasie najścia Kroatów i tym sposobem armia
nasza stojąca pod dowództwem generała Mogi nad gra-
nicą austriacką, może wynosić dwadzieścia, lub najwięcej
dwadzieścia kilka tysięcy ludzi; zwłaszcza jeżeli żołnierze
nasi z pulków będących w granicach Austrii nie prze-
stają przechodzić do Węgier.

— A więc — spytałem — są jeszcze pulki węg-
gierskie w granicach Austrii? Przecież powrót ich

do kraju zawarowanym był w podaniu sejmowem, do którego się cesarz przychylił.

— Tak — odpowiedział Węgier — było to przyrzeczone, i w pierwszej chwili dozwolono wrócić sześciu batalionom i około trzydziestu szwadronom, które się połączyły z dawniej będącymi w kraju pułkami węgierskimi i składają razem ową armię dwudziestotysięczną, o której dopiero co mówiłem, ale jak tylko rząd cesarski ochłonął nieco z pierwszego postrachu, wstrzymał powrót reszty pułków węgierskich. Kilka szwadronów huzarów, które konsystowały w Galicyi i miały oficerów rodaków, przebiły się do kraju, nie pytając o pozwolenie. Z innych zaś pułków naszych, porozrzucanych po różnych krajach austriackich, poczeiwi żołnierze nasi przemykają się do nas, tylko pojedynczo i nie wielu to się udało, a takich pułków jest dosyć znaczna liczba; w samych Włoszech pod marszałkiem Radeckim jest 12,000 Węgrów i ci dla sprawy narodowej są straceni.

Za to przyznaje, że mamy od Marca Honwedów, czyli gwardyę narodową, której część możnaby uruchomić, ale wszystkiego jest 10 batalionów honwedów po 1,200 ludzi każdy, czyli razem 12,000 honwedów w całym kraju. Od trzech tygodni zaczęto organizować korpusy partyzantów. Rozporządzenie w tym względzie wyszło od ministerium Bathyani'ego na parę dni przed jego ustąpieniem. Mialo być takich korpusów 4, każdy po 10,000 ludzi. Mianowano dowódców, naznaczono jako miejsca werbunku miasteczka: Papa, Bacz, Solnok i Arad, ale zaledwie że się zebrały pierwsze garstki ochotników, trzeba było je czempredźej wyprawić przeciw Kroatom, nie czekając, żeby się choć trochę nauczyły władać bronią. Ta

ruchawka stanowi dziś korpusik Percela wraz z batalionem przez niego na własną rękę jego uformowanym w komitacie Tolna. Podobno oszczędzono jeden zarodek korpusu partyzanckiego z czterech zamierzonych i ten organizuje się dalej w Aradzie pod dowództwem Maryaszego. Formuje się także w Peszcie parę baterii artylerii, a instruktorami — zabawna to rzecz — są artylerzyści austriacy z Budy. Legion szumnie nazwany Hunyady, którego twórcą jest Kossuth, miał być z 1200 piechoty i 800 huzarów. Kossuth wystąpiwszy z ministeryum Bathyani'ego, bardzo czynnie organizacją tego legionu się zajmował, ale dziś ma ważniejsze rzeczy na głowie i nie wiem, kto dalej dzieło jego prowadzi. Otoż wyliczyłem panom wszystkie siły i siłki, jakimi Kossuth rozporządza. Powiedzieć mi otwarcie, czy jest z czem tak bardzo wojować? Mogliśmy Kroatów rozpedzić, ale dajmy radę stutysięcznej armii austriackiej, za którą w potrzebie znajdzie się druga niemniej potężna?

— Ależ — odrzekłem — Węgrzy są narodem liczny i waleczny i mogą także wystawić dwakroć, a nawet trzykroć stutysięcy wojska, byleby Kossuth rozwinął niezłomną energię, jakiej okoliczności wymagają.

Uśmiech lekko szyderczy Węgra na tę apostrofę do jego miłości własnej narodowej dał mi poznać, że wcale go nie tknęła. — Zaiste — rzekł — można w Węgrzech oderwać trzykroć stutysięcy chłopów od roli, i wyrobników od rzemiosł, ludzi u nas nie brak, lecz niestety! brak nam wszelkich środków, ażeby z takiego motłochu zrobić armię porządną. Rząd austriacki postarał się o to, aby nas pod tym względem zupełnie ubezwładnić. Chciał mieć żołnierzy węgierskich, ale nie chciał mieć Węgrów oficerów, szczególnież też w węgierskich pułkach i tak też

utrudnił wykształceniejszej młodzieży zawód wojskowy, że ją od niego odstręczył. Ci, którzy z temi trudnościami odważyli się walczyć, nie czując się zapewne usposobionymi do innego zawodu, musieli po większej części wejść do pułków niemieckich i zostali Niemcami, karyerowiczami. Zaledwie kilku z nich ofiarowało w dzisiejszych okolicznościach usługi swoje ojczyźnie. W pułkach węgierskich jest bardzo mało oficerów Węgrów i pułki te pomieszane są z niemieckimi w brygadach i dywizjach pod dowódcami różnych narodowości, ale nie Madzjarami. Z takiego składu rzeczy wynikło, że gdy sejm uchwalił wystawienie dwukrośtotysięcznej armii, nie było dosyć oficerów i podoficerów, nietylko ażeby uorganizować armię, ale choćby nawet jedną nową porządną brygadę. Dowództwo starych naszych pułków trzeba było zostawić generałowi Moga, Wołochowi, którego przychylność dla węgierskiej sprawy jest areywuatpliwą. Musiano także zostawić na czele fabryk broni, prochu i wszystkich zakładów wojskowych, Niemców którzy niemi dawniej zawiadowali, bo nie było uzdolnionych do tego Węgrów. Nie było komu nawet powierzyć ministerium wojny, póki się nie zjawił Messaros przybyły z Włoch i jako tako obeznany z administracją wojskową, ale nie mógł on stworzyć ani korpusu oficerów czysto węgierskich, ani ludzi fachowych do objęcia tych rozmaitych posad, które są niezbędnemi kółkami w mechanizmie potęgi wojskowej. Utworzenie armii węgierskiej zostało więc problematem, na którego rozwiązanie adwokacki rozum Kossutha nie wystarcza.

Nie wiedziałem już, co Węgrowi na to odpowiedzieć; przybił mnie jakby maczugą. Nastąpiło milczenie, wśród którego usłyszeliśmy staroświecki zegar, bijący jedenastą

godzinę. Powstaliśmy i powiedzieliśmy dobra noc gospodarzowi, który nas odprowadził do przygotowanych nam na nocleg, owych wysławianych już przezemnie wązkich łózek, w małej izdebce i pożegnał uprzejmie, rad bardzo — malowało się to na jego twarzy — że wyrzekł ostatnie słowo w dyskusyi.

Trudno nam było obudwu zasnąć po tej rozmowie. Wszystko, co nam Węgier opowiadał, razem wzięte ukazało nam w tak niekorzystnem świetle sprawę węgierską, żeśmy zaczęli już powątpiewać, czy pielgrzymka nasza ma cel użyteczny i praktyczny.

Obradowaliśmy nad tem długo; powoli otrzęśliśmy się z pierwszego dotkliwego wrażenia i zgodziliśmy się na to, że nie mamy żadnego uzasadnionego powodu, ażeby odstąpić od naszego przedsięwzięcia; że utworzenie armii węgierskiej bez oficerów, jest wprawdzie ogromnem zadaniem, ale właśnie Polacy mogą być w tem niezmiernie użyteczni Węgrom. Emigracya dawna była jeszcze w owej epoce, z małym wyjątkiem, w sile wieku i mogła im dostarczyć generałów, pułkowników i oficerów niższych wszelkiej broni, z których znaczna liczba wyszła była ze szkół wojskowych a liczyliśmy na patriotyzm wszystkich, że nie odmówią usług swoich Węgrom, skoro ci się zobowiążą, że nawzajem pomogą nam do odzyskania ojczyzny. Chodziło tylko o to, czy będzie dosyć czasu na sformowanie armii węgierskiej, wobec tak szybko rozwijających się wypadków, które ciągnęły za sobą nieodwloczną wojnę między domem Rakuskim a Węgrami, ale bliska już zima dozwalała wróżyć, że choćby się czynności wojenne rozpoczęły, to niezadługo, w skutek mrozów i śniegów przerwaniem zostaną aż do wiosny. Zgola zgodziliśmy się na

to, że brak sił uorganizowanych w Węgrzech, nie był żadnym szkopulem dla naszej missyi, lecz owszem użyteczność jej poniekąd podwajał, byleby Kossuth jasno to pojmował, że w obec Rosyi niezawisłe Węgry bez niezawisléj Polski ostaćby się nie mogły, a o wysokim poglądzie Kossutha na rzeczy ani jeden ani drugi nie wątpiliśmy. Człowiek ten w oczach naszych górował nad poziomem powszechnym roku 1848. Z samego opowiadania Węgry, jakkolwiek mocno zaprawione było żółcią, pokazywało się, że on był jedyną dźwignią swojego narodu, że na jego głowie wszystko w Węgrzech spoczywało w ówczesnych okolicznościach, i że aż do chwili, do której się ten rozdział wspomnień moich odnosi, prowadził podjętą przez siebie sprawę oswobodzenia i odrodzenia ojczyzny, śmiało, wytrwale, z nadzwyczajną zręcznością i wielką logiką, zaczawszy przedsięwzięcie swoje od usamowolnienia i uwłaszczenia chłopów, o czem my na nieszczęście nasze nigdy szczerze nie pomyśleliśmy, tyle razy podnosząc broń przeciw naszym ciemieżcom zewnętrznym, a co jemu dało ogromną siłę, do dalszego działania.

Wszystkie te uwagi, które nam z kolei się nasuwały jednemu i drugiemu, dodały nam otuchy, i w ten sposób zakończyliśmy naradę rozpoczętą w smętnym humorze — prawie w zniechęceniu.

Mój kolega zasnął smacznie; ja zaś dobyłem ołówka z pugilaressu, papieru z tłómaczka i resztę nocy spędziłem na spisywaniu protokularnem, za świeżej pamięci, rozmowy, jaką mieliśmy z Węgrem. Na mnie bowiem spaść miał cały trud rokowania z Kossuthem, ponieważ kolega mój znał tylko język ojczysty, który niestety! nie wiele więcej znanym jest w Europie niż Chiński. Do tego zaś rokowania

chciałem być uzbrojony w argumenta, oparte, ile możliwości, na dokładnej znajomości stanu wewnętrznego Węgier.

Nazajutrz po kawie ranniej, którą nas uczęstował nasz gospodarz, podziękowawszy mu serdecznie za gościnność, pożegnaliśmy go i wyjechaliśmy, na góralskim wózku, który nas do niego przywiózł, do Preszowa, gdzieśmy przed wieczorem stanęli.

W Preszowie zamieszkiwał od wielu lat Polak emigrant z 1831 roku, który trudnił się kupiectwem i zrobił był sobie na tem mająteczek; mieliśmy do niego list polecający z Krakowa. Przyjął nas po bratersku, przepędziliśmy z nim wieczór i cały prawie dzień następny, bo dyliżans wyjeżdżał wieczorem dopiero do Pesztu. Czas ten bardzo miłe nam zeszedł. Ziomek nasz, którego nazwiska przypomnieć już sobie nie mogę, tak samo jak i nazwiska Węgry, u któregośmy gościli, nie nosił na sobie tego piętna walki z biedą i przeciwnościami różnego rodzaju, które znamionuje większą część emigrantów naszych we Francyi; żył między Słowakami jak między swoimi, szanowany i kochany od wszystkich, szczęście mu służyło, echa z Kraju go dochodziły, i dlatego zachował był humor wesoły i gościnność szczerą, wyłąną, prostoduszną. Oprawdzał nas po swoim miasteczku, które jest murowane, schludne, wesołe i niezeszpecone brudnem żydostwem, jak nasze miasta i miasteczka. W jednym miejscu była jakaś chlopska zabawa. Zaszedliśmy tam i przypatrywaliśmy się tańcom z prawdziwą przyjemnością. Lud słowacki zachował w narzeczu swoim, w fizyonomii, a nawet w ubiorze, tańcu i ruchach tak widoczne cechy ścisłego pokrewieństwa z naszym ludem krakowskim, że go braterskiem uczuciem pokochał. Pokrewieństwo to

stwierdza historia; ziemia krakowska wchodziła bowiem w skład państwa wielkiej Morawy, po którego rozpadnięciu się dopiero zagarnął ją Chrobry pod swoje berło. Lud słowacki jest pracowity, przemysłny, znacznie wyższy pod względem intelektualnym od ludu madziarskiego, rozrasta się też i bogaci, a w niedalekiej zapewne przyszłości wyruguje go zupełnie za Cisę.

W domu naszego ziomka poznaliśmy także kilka osób z mieszczaństwa Preszowskiego, złożonego wyłącznie prawie ze Slovaków. Mężczyźni byli przywoici, kobiety wesole i uprzejme; mówiliśmy do nich po polsku, oni do nas po słowacku i rozumieliśmy się bardzo dobrze, czasami tylko nie mogliśmy się wstrzymać od uśmiechu, słysząc wyraz jakiś, dosyć twardy w naszej mowie, zmięczony po słowacku tak, jak go małe dzieci u nas wymawiają, a za każdym uśmiechem naszym damy się rumienily.

Ziomek nasz nie mógł nam dać zrazu bardzo szczegółowych objaśnień o stanie wewnętrznym Węgier. Lecz gdy mu przeczytał protokół naszej rozmowy z Węgrem, poświadczył, że w opowiadaniu tem jest rzetelna prawda, tylko cierpko wyrażona; dolozył, że w ogóle szlachta osiadła jest Kossuthowi przeciwną, że niemniej przeciwne mu jest duchowieństwo katolickie, zwłaszcza wyższe, że ludzie, którzy dawniej pozyskali sobie byli sławę patryotów, poodsuwali się od niego jeden po drugim, w miarę jak się przybliżał do ostatniego rezultatu swojej polityki, to jest do zupełnego z Austryą zerwania, którego sobie żaden z nich nie życzył; że dziś niema ani jednego człowieka zdolnego w jakimkolwiek bądź fachu, na którego by się szczerze mógł spuścić; że w chmarze stronników jego najwięcej jest takich, którzy o własnem tylko wyniesieniu

myśla, i że Niemcy, których zostawiono na czele fabryk i innych zakładów wojskowych, wszystko na wspak robią, żeby Węgrom szkodzić.

Wymieniwszy te strony ujemne sytuacji Kossutha, wskazał nam jako jej stronę dodatnią, ogromną jego popularność między ludem prostym tak na wsiach jak i w miastach, oraz między młodzieżą madziarską, wyszłą ze szkół protestanckich, w których — wierności dla katolickiego cesarza Austrii nie bardzo, śnać uczono. Tę wierność zachował wprawdzie w sercu swym lud wiejski, ale potrafiło go trochę obalamucić tem, że to król węgierski w sporze jest z cesarzem austriackim.

W konkluzji ziomek nasz nie odradzał nam bynajmniej podróży naszej do Pesztu i owszem sądził, jak i my, że Polacy są Węgrom potrzebni, że kilkudziesięciu oficerów polskich może dać pomyślny obrót sprawie węgierskiej przy zasobach, jakie kraj ten posiada, i że raz związani z nami Węgrzy, jeżeli zdobędą sobie niezależność, zmuszeni będą samą mocą okoliczności, podnieść sprawę Polską.

Pożegnaliśmy pocziwego ziomka naszego, zabawiwszy u niego całą dobę i puściliśmy się w dalszą drogę dyliżansem przeszłowiecznej mody, dobrze wysłużonym i trochę kaleką, bo resory jego były postronkami pozwiązane, a wielki gościniec do Pesztu nie był drogą bitą, ani nawet wyrównaną. Częstośkroć sterczały pagórki na środku, czasami z jednego brzegu do drugiego takie było pochylenie, że powozom trudno było się na niem w równowadze utrzymać. Na jednej takiej pochyłości dyliżans nasz się przewrócił i o mało się w kawalki nie

rozleciał. Rankiem przejechaliśmy przez Koszyce, jeszcze słowackie miasto średniowiecznej postaci, otoczone murem ze strzelnicami, basztami i bramami, które dopiero otwierano gdyśmy wjeżdżali! Na rynku przed winiarniami obywatele posilali się winem czerwonym na śniadanie, zamiast kawy lub herbaty; byliśmy bowiem w kraju winnym, którego prawdziwą stolicą jest Erlau. Przejeżdżaliśmy następnie przez Miskowiec, czyli Miskolcz — niezbyt odległy od Cisy a od którego zaczyna się kraj madziarski — przez, tylko co wspomniane, Erlau, po madziarsku Jäger, położone wśród sławnych winnic, zasłoniętych od północy parawanem gór neogradzkich, któremu zawdzięcza smak wyborny swoich gron; dalej przez Gyöngyös otoczony wieńcem ogrodów dostarczających Pesztowi kwiatów i owoców, które nie równają się jednak z owocami Banatu, i ku wieczorowi, trzeciego dnia po wyjeździe naszym z Preszowa, stanęliśmy w węgierskiej stolicy.

Już było zapóźno, żeby się tego samego dnia przedstawić Kossuthowi. Poświęciliśmy więc resztę wieczora na zwiedzenie miasta. Peszt od niedawnego czasu zaczął się być podnosić i prócz swojego szerokiego Dunaju, kilku dosyć okazałych budowli, mianowicie hotelów nowo wystawionych nad jego brzegiem i imponującego położeniem swoim na wysokim wzgórzu, królewskiego zamku w Budzie, nic nie miał, coby uwagę cudzoziemca na siebie ściągało.

Zresztą było to wtenczas jeszcze raczej niemieckie niż madziarskie miasto; w sklepach i na ulicach język niemiecki przeważnie było słychać. Wstąpiliśmy do jednego księgarza, u którego widziałem wystawionych niemalo

broszur i książek w madziarskim języku i zażądawszy Przewodnika po Peszcie, powiedziałem księgarzowi sposobem komplementu, że madziarska literatura bezwątpienia kwitnie, skoro tyle u niego widzę publikacyi w tym języku.

Księgarz, który był Niemcem, rozśmiał się rubasznie. Te publikacye mój panie — odrzekł — dowodzą właśnie, że literatura madziarska jest poronionym płodem. Jest ich pełno u mnie dla tego, że ich nikt nie kupuje; próżno mi miejsce zawalają.

— Madziary więc nie lubią czytać? — spytałem go.

— Czytają — odpowiedział — ale tylko książki niemieckie, bo prawdziwym językiem klas wykształceńszych w Węgrzech jest niemiecki. Madziarskiego uczą się od niedawnego czasu i bardzo wielu jeszcze go się nie douczyło. Rozumieją go, ale nie są w stanie płynnie nim mówić, a mniej jeszcze nim pisać.

— Więc patryotyzm madziarski — rzekłem — jest tylko powierzchownym?

— Patryotyzm madziarski — odparł księgarz — mało ma styczności z ich językiem; i dodał z ironią; opiera on się na czemś silniejszym, to jest na ogromnej miłości własnej i pysze narodowej Madziarów.

Uwaga ta rubasznego księgarza Niemca naprowadziła mnie na wniosek, że wszelka narodowość najdłużej się utrzymuje ze swojemi odrębnymi cechami w ludzie prostym, i że tam ma właściwie swoje korzenie. Pychę klas wyższych może rząd zaboreczy ująć sobie tytułami, orderami, laskami różnego rodzaju, które go niewiele kosztują i tym sposobem łatwo je wynarodowia. Lecz lud prosty zostaje przez długie wieki wiernym swojej przeszłości, jak to wi-

dzimy na Szląsku, i czasami z jego łona zdrowe soki wstępują w te klasy, niby wyższe a podobne do schnących konarów na drzewie burzą ztraskanem i ożywiają je napowrót życiem narodowem. Takie widowisko przedstawiły Czechy w peryodzie od ostatnich lat wieku zeszłego aż do środka teraźniejszego, kiedy widziano panów czeskich przed niedawnym czasem jeszcze zniemczających, z nazwiskami swojemi rodowemi przetłómaczonemi na niemieckie, przeistaczających się napowrót w patryotów czeskich. Podobnyż fenomen zaczął się objawiać w Węgrzech na lat kilka przed naszą podróżą i zastaliśmy go w pełnym rozwoju.

Następnego dnia przed południem udaliśmy się do skromnej kamienicy, w której komitet obrony krajowej miał swoje biuro. Powierzyliśmy jednemu z urzędników nasze pełnomocnitwo, które wraz z podpisami stanowiło dosyć spory foliał, ażeby go prezydentowi wręczył i prosił od nas o wyznaczenie nam dnia i godziny na posłuchanie jeżeli go nam udzielić zechce. Niebawem wyszedł dyrektor policyi i oświadczył nam, że prezydent nie ma dziś jednej minuty wolnej, przygotowując wyprawę na odsiecz Wiednia, i że sam jutro wyjeżdża do obozu stojącego nad granicą austryacką, ale prosi nas, abyśmy mu towarzyszyli na statku parowym do Granu, a będzie mógł z nami szeroko rzecz naszą debatować. — Jeżeli panowie zgadzacie się na to, rzekł na końcu, bądźcie o 8 rano na wybrzeżu przed statkiem parowym, przedstawię was prezydentowi i wsiądziecie z nim na statek.

Ukloniliśmy się, odpowiadając, że zastósujemy się do woli prezydenta i nazajutrz stawiliśmy się przed ósmą

rano na wyznaczonem miejscu, gdzie zastaliśmy tłum zgromadzony, by pożegnać ulubionego naczelnika narodu.

O ósmój przybył Kossuth w mundurze honwedów pod szaraczkowym surdudem, przypominającym małego kaprala i w kapeluszu z czarném piórem na kształt Franciszka Igo. Za nim szła dosyć liczna świta, a w niej dyrektor policyi, który mu nas przedstawił. Kossuth powitał nas uprzejmie i powtórzył zaproszenie, żebyśmy mu przez część drogi towarzyszyli. Wstąpiliśmy za nim na statek i przy odgłosie tysięcznych Elień z brzegu, mieszających się z hukami kilku dział którym odpowiadało działko wiwatowe na statku, odpłynęliśmy w górę Dunaju.

III.

Kossuth stał czas długi na wązkim mostku nad pokładem blisko steru, a za nim był adjutant jego hr. Karol Leiningen (von Alt-Leiningen Westerburg), który go pokazywał ręką tłumom zgromadzonym na brzegach Dunaju, mianowicie na lewym brzegu, bliżej którego płynął nasz statek. Były to gromady włościan z wiosek nadbrzeżnych i nieco dalszych, gęsto rozsianych w pobliżu Pesztu. Witały one grzmiącemi Elien a Kossuth! prezesa rządu, oswobodziciela włościan a ze statku odpowiadały im okrzyki: Elien a Madziar! Głowa już mnie zaczynała boleć od tego ciągłego hałasu, ale nakoniec wplynęliśmy między puste pola; Kossuth zeszedł do swojej kabiny i wkrótce kazał nas poprosić do siebie. Zastaliśmy go w towarzystwie dr. Tausenau, którego nie wiem dlaczego, chciał mieć świadkiem naszej rozmowy; podał nam uprzejmie rękę i wskazał miejsce obok siebie na kanapce. Wtenczas dopiero mogłem mu się dobrze przypatrzeć. Był to w owój epoce człowiek

w sile wieku; miał lat 46, średniego wzrostu, szczupłej lecz kształtnej budowy ciała, twarzy pociągłej, śniadawej; z dosyć długim nosem prostym i nieco grubym. nosem słowiańskim, jedyną cechą jego chorwackiego z dziadów pochodzenia: włosy miał ciemne, wąs czarny zawieszisty i oczy czarne, nader wymowne, ale wejrzenie ich nie było wejrzeniem człowieka stworzonego do władzy, nie badało, nie przenikało nawskroś drugich, nie rozkazywało, przeciwnie, zdradzało w ciągu rozmowy własne jego wrażenia i częstokroć myśli, których wypowiedzieć nie chciał. Był to bowiem przede wszystkim mówca, szczery, sercowy, lubujący się w swoim słowie i ufający mu zupełnie, bo słowo było jego siłą, dźwignią którą poruszał masy, a kiedy płynęło z jego ust, rozlewało się zarazem i na całej jego twarzy. Ale podobny dar ma zwykle stronę odwrotną, która najlepsze chęci świetnego mówcy zdradza, gdy wejdzie na pole praktycznego działania i tak było z Kossuthem jak to zobaczymy w następstwie. Zapytał on nas po niemiecku, czy mówimy tym językiem, odpowiedziałem mu, że kolega mój mówi tylko swoim językiem rodowitym, a co do mnie rozumiem dobrze język niemiecki, tak, iż nawet słuchać w nim mogłem kursów uniwersyteckich, ale w mówieniu nim, mało mam wprawy, i jeżeliby to panu prezydentowi było jedno, nierównie łatwiej rozmówiłbym się z nim po francuzku. — „Na nieszczęście, rzekł Kossuth, jestem względem francuzczyzny w takim samym stosunku, w jakim pan jesteś do niemieczyzny, to jest, że ją bardzo dobrze rozumiem, ale bardzo mało nią mówię. Jest jednak sposób zaradzenia tej trudności, a ten jest, że ja będę do pana mówił po niemiecku, a pan do mnie po francuzku“. Skłoniłem się

wielce zadworniony z tego układu, i chciałem sprawę moją wprowadzić, ale Kossuth dał mi znak ręką, że chce sam głos zabrać, umilkłem więc. Raz, czy dwa wysunąłem się z mojem zdaniem w ciągu jego przemówienia, lecz mi znowu dał znak ręką, żeby mu nie przerywać; odtąd słuchałem go w milczeniu i tylko szum pary, regularne tętna maszyny i płusk fal, wtórowały jego słowom.

Streszczę, co mi powiedział w tem pierwszym przemówieniu, które trwało dobre pół godziny.

— Nie pierwsi panowie — rzekł mi — przybywacie do mnie z propozycją utworzenia w Węgrzech siły polskiej. Już mi kilka takowych uczyniono w rozmaitych warunkach i z rozmaitemi planami w dodatku. Pewien dawny pułkownik polski, zamieszkały w Węgrzech (dowiedziałem się później, że to był pułkownik Jerzy Bułharyn), radził mi, ażebym utworzył jak najprędzej korpus polski, i dodawszy mu dywizję huzarów wyprawił go do Galicyi, zapewniając mnie, że samo ukazanie się chorągwi polskiej wywoła powstanie w tej prowincyi; być to mogło ale o trzy mile od naszych granic jest Windischgrätz i Jelaczyc, przeciw którym wszystkie siły nasze ściągnąć nam trzeba było. Hrabia Adam Potocki, żądał odemnie rzeczy wprost przeciwniej, to jest, żebym mu dozwolił uformować za ziemi węgierskiej pułk polski, który on własnym kosztem wystawi i utrzyma, ale wyłącznie dla sprawy polskiej, a Węgrzy go w żadnym wypadku użyć nie będą mogli. Odmówilem wręcz; Węgrzy nie potrzebują mieć u siebie wojska któreby nie służyło na ich obronę — i znów trzech panów przybyłych ze Lwowa od jakiegoś komitetu młodzieży, przyobiecywało mi spro-

wadzić na obronę Węgier 6 do 8 set dziarskich młodzieńców, nie żądając nic więcej jak tylko ażebym z nich uformował batalion polskiej piechoty, szwadron jazdy i pół baterii artylerii, wprost w charakterze najemników, których po ukończeniu wojny wolno nam będzie rozpuścić. Nie dałem jeszcze na to odpowiedzi. Dziś panowie przychodziecie z propozycją w większych rozmiarach i opartą na dosyć mocnym fundamencie, skoro macie za sobą półtora tysiąca młodych ludzi, którzy, jak sądzicie i czemu bardzo wierzę, przyciągnąć mogą pod swoją chorągiew całe młode pokolenie polskie; ale wieleż to trudności — ileż niebezpieczeństw dla Węgier, gdybyśmy przystąpić chcieli do wykonania waszej myśli. My mamy pod dostatkiem ludzi — młodych, silnych, doskonałych na żołnierzy — tylko nie mamy czem ich uzbroić. Znaleźliśmy w arsenalach wszystkiego 40 tysięcy karabinów i z nich więcej niż połowę rozdaliśmy już Honwedom, korpusom partyzanckim i nowo tworzącym się pułkom. Mam wprawdzie nadzieję, że w niedługim czasie zapomożemy się w broń bądź z fabryk naszych, bądź z zagranicy, lecz teraz mamy jej bardzo mało i jeżeli uzbroję Polaków, to nie będę mógł uzbroić Węgrów, a lubo wysoko cenię polską waleczność, mogeż Polakom przed Węgrami powierzyć obronę kraju? To jest jedno pytanie, za którem podnosi się drugie nierównie ważniejsze a mianowicie, czy wasze mundury narodowe i wasze orły nie ściągnęłyby na nas Moskali? Oto są skrupuły i obawy, które budzą we mnie wszystkie propozycje polskie w ogólności, a wasza w szczególności. Dr. Tausenau, potakiwał głową tym słowom. Jeżeli panowie, rzekł Kossuth w końcu, widzicie jaki sposób dopomożenia skutecznie sprawie węgierskiej, nie

narażając ję z drugiej strony na zgubę, proszę mówić, słucham.

Spytałem go, czy mogę mówić otwarcie, odkładając wszelką dyplomacyę na stronę.

— I owszem — odpowiedział mi — im szczerzję mówić będziecie tem łatwiej się porozumiemy — jeżeli porozumienie się jest możebnem.

— Więc przede wszystkim panie prezydencie — rzekłem — (Kossuth nie przyjmował tytułu ekscelencyi), niech mi wolno będzie oświadczyć, że pierwszy wniosek, jaki wyciągnąłem ze wszystkiego, coś mi pan raczył powiedzieć, jest ten, iż stanowczo nie życzysz sobie współdziału Polaków w sprawie węgierskiej, ponieważ zdaniem pańskiem współdział ten zamiast być pomocnym, może ściągnąć na Węgry interwencyę moskiewską. Ale jest-że rzeczą pewną, że bez polskich mundurów i polskich orłów, Moskale nie wtargną do Węgier w ciągu obecnej wojny?

— Jest to przynajmniej mniej pewnem — odparł Kossuth.

— Mniej pewnem odrzekłem, jeżeli wojsko austriackie samo podola Węgrom, lecz jeżeli szala zacznie przeważać na stronę Węgier, sądzisz-że pan, iż Rosya spokojnie na to patrzeć będzie, jak gdyby obojętnem ję było, czy obok nię istnieje w całej swojej dawnęj potędze monarchia austriacka związana z nią odwiecznemi sojuszami, despotycznie rządzona i trzymająca Galicyę na uwięzi, czy się rozpada, ażeby na ję miejscu powstało grono mniejszych państw republikańskich lub konstytucyjnych, przeciwnych ję polityce zaborczej? Rzućmy okiem na przeszłość.

Od podziału Polski, Rosya opiera się na potrójnem przymierzu, przywodzi mu, jest jego spojnią i nieraz już poświęciła mu swoje zbyt gorące zachcianki, z obawy, żeby się nie rozchwiał, bo idąc ręką w rękę z Prusami i Austryą, dzieląc się z nimi swojemi łupami, lub ofiarując im kompensacye w innych stronach, rozszerza się powolniej ale bezpieczniej. Przymierze to jest dla niej zabezpieczeniem przed niebezpieczeństwem tych koalicyj europejskich, które dwukrotnie zachwiały potęgę Francyi — za Ludwika XIV i za Napoleona — a zarazem jest zabezpieczeniem wzajemnem trzech mocarstw samowładnych przeciw duchowi rewolucyi. Dlatego to na widok ustępstw, jakie w Marcu poczyniły ludom rządy Austrii i Prus, car Mikołaj wydał ów groźny krzyk lwa zranionego, który obudził wnet reakcyę w Prusach. Lecz car nie przestał na téj groźbie. Już od wybuchu rewolucyi lutowej w Paryżu zaczął się przygotowywać do wojny i dziś jest zupełnie gotowym, gdy tymczasem ruch ogólny ludów Europejskich, który mu zagrażał jest, z wyjątkiem Węgier, wszędzie sparaliżowany. W Węgrzech rozstrzyga się ostatecznie sprawa między ludami a monarchami i jeżeli rząd austriacki sam Węgrom niepodała, to cesarz Mikołaj nie byłby czem jest — to jest typem wszechwładnego cara, godnym następcą Iwanów i Piotra, gdyby nie przyszedł mu w pomoc, czy go będzie o to prosić, czy nie, a prawdopodobnie rząd austriacki w złym razie nie zawaha się uciec pod jego opiekę.

— Och, wtenczas — rzekł Kossuth — niewątpliwie odwołamy się do Polaków prawem odwetu.

— Będzie to za późno — odpowiedziałem. — Polacy nie mają gotowego wojska, a co gorsza Węgrzy

mają go tylko garstkę; ta garstka może oswobodzić Wiedeń, nie przeczę temu, jeżeli Wiedeńczycy mają dosyć siły, ażeby z nią skutecznie współdziałać. . . .

— Mają najmniej stopięćdziesiąt tysięcy gwardyi narodowej uruchomionéj — odezwał się dr. Tausenau.

— Ale oswobodzenie Wiednia — mówiłem dalej — nie rozstrzygnie sprawy węgierskiej. Rząd austriacki jest dobrze obwarowany w Kromieryżu i prócz armii Windischgrätza ma jeszcze armię Radeckiego we Włoszech. Będzie więc miał do wyboru, albo ściągnąć tę drugą armię, poświęcając czasowo Włochy, albo wezwać Rosyę na pomoc; w każdym razie Węgrzy, rzucając rękawicę Rakuskiemu domowi, powinny być przygotowane na długą, uporną, niebezpieczną walkę, a mogąż w obecnych warunkach wystawić potrzebną po temu siłę? Cóż znaczy, że mają ludność, liczną, waleczną, patryotyczną, kiedy nie mają ani broni dla niej, ani oficerów dla wytworzenia z niej porządnéj armii, kiedy nawet wszystkie zakłady wojenne pozostawione są dotąd pod zawiadywaniem Niemców, w braku uzdolnionych do tego krajowców, a Niemcy ci widocznie zdradzają położone w nich zaufanie.

Te uwagi moje, do których podał mi temat szlachciec węgierski, znany już czytelnikowi, poruszyły snać drażliwą strunę u Kossutha, bo twarz jego się zachmurzyła i rzucił na mnie zimne — urażone wejście.

— Wszakże pozwoliłeś mi panie prezydencie — rzekłem w odpowiedzi na to wejście — mówić do siebie otwarcie?

— Mów pan dalej, mów — odpowiedział.

Ciagnałem więc dalej rzecz moją: Jeżeli wtrąciłem się do szczegółów sytuacji militarnej Węgier — mówiłem

to dlatego, że właśnie sytuacja ta przemawia bardzo silnie za połączeniem solidarnem sprawy węgierskiej ze sprawą polską, które mogą wzajemnie się podpierać i złączonemi siłami obu narodów otrzymać zwycięstwo jedna i druga, a rozdzielone i zostawione każda samą sobie, prawdopodobnie upadną obydwie.

Pierwsza pomoc, jaką Polska udzielić może Węgrom, jest dać im tyle oficerów, ile ich potrzebować będą — zaczawszy od poruczników, aż do generałów. Generałowie i w znaczniejszej części wyżsi oficerowie nasi odbyli nie tylko kampanię w 1831 roku ale i wojny Napoleońskie; młodsi zaś powychodzili z różnych szkół wojskowych, które istniały w Polsce za czasów konstytucyjnych, a w bitwach 1831 r., okazali się godnymi swoich starszych towarzyszy broni. Jedni zaś i drudzy są w większej części na wygnaniu.

Kiedym to mówił, chmura na czole Kossutha rozpraszająca się stopniowo i oczy jego zajaśniały na nowo wyrazem serdecznej uprzejmości. — O! na generałach i wogóle na oficerach polskich — rzekł przerywając mi — polegałbym z nieograniczoną ufnością, ale jesteś-że pan pewnym, że oni zechcą w znacznej liczbie wejść do służby węgierskiej? Między nimi są różne partye, a ci, którzy się kupią około księcia Czartoryskiego, zdają się więcej pokładać nadziei w dyplomacyi niż w jakimkolwiek zbrojnym działaniu.

— Wszakżeż i sam książę Czartoryski — odparłem — pojechał do Poznania wraz z swoimi najbliższymi przyjaciółmi, jak tylko się rozpoczął ruch narodowy w tej części Polski. Wszystkie bowiem stronnictwa emigracyi polskiej w jedno się łączą wobec chorągwi polskiej, gdy się ona gdziekolwiek pokaże i możesz pan być przekonany,

że oficerowie polscy wyżsi i niżsi, którzy tylko mają jeszcze siły, pospieszą do Węgier, ażeby służyć węgierskiej sprawie, jeżeli będą mieli rękojmię, że Węgrzy poprą nawzajem wszystkimi siłami swojemi sprawę polską. Jako prości zaś najemnicy nie przyjdą oni — lub najwięcej przyjdzie ich kilku, i takich właśnie, na których najmniej polegać można, bo emigracya polska, jak każde ciało zbiorowe, ma swojego ducha i swój punkt honoru, który się na tem zasadza, ażeby służyć tylko sprawie ojczystej, a nie plamić jej w oczach świata, służąc obcym sprawom jako najemnicy.

Kossuth zamyślił się i powiedział po chwili:

— Stawiasz mnie pan w trudnej alternatywie.

— Mojem zdaniem — odrzekłem — nie ma tu żadnej alternatywy, sprawa węgierska jest sama przez się ściśle złączona ze sprawą polską z podwójnego względu. Raz, że Węgry pomyśleć nawet o tem nie mogą, aby się dla nich otworzyła jakaś przyszłość bez Polski niepodległej, któraby im służyła za przedmurze od Rosyi, — Kossuth dał głową znak potakujący. — Drugi raz, że i dziś już Węgry przygotowane być powinny spotkać za Austryą Rosyę, jak to starałem się dowieść. Czyż więc nie lepiej im iść śmiało naprzeciw niebezpieczeństwu, niż dać się przez nie zaskoczyć niespodzianie, to jest; przyjąć współudział Polaków i mieć w odwodzie — zamiast ją odpychać — tę wielką siłę, jaką znaleźć mogą, ku pomocy sobie, w powstaniu w Polsce w razie najścia Moskali?

Mając polskich oficerów, polskie legiony i powstanie w Polsce w perspektywie, mogą Węgrzy wystąpić do walki z Austryą i Rosyą z nadzieją zwycięztwa — Europa

będzie za niemi. Bez Polaków nie dadzą rady samęj nawet Austrii, skoro nie mają pomiędzy sobą oficerów do uorganizowania porządnęj armii.

Kossuth i dr. Tausenau, spojrzeli po sobie.

— Kwestya to jest arcy-ważna — odezwał się demokratą wiedeński — i może najwłaściwiéj byłoby traktować ją dopiero po rezultacie wyprawy pod Wiedeń.

— Przedewszystkiem — rzekł Kossuth — należy ją dokładnie sformułować. O cóż chodzi? Panowie proponujecie, uformowanie legionów polskich w Węgrzech, — nie wchodzę nateraz w szczegóły tego projektu, — i warujecie ażeby te legiony nie były rozpuszczone, dopóki los Polski nie rozstrzygnie się raz jeszcze na polu bitwy — wszakże takie jest wasze żądanie?

— Tak jest — odpowiedziałem.

— Na korzyść naszą w tym układzie — mówił dalej Kossuth — dodajesz pan zapewnienie, że na wezwanie nasze przybędzie znaczna liczba oficerów polskich, wyższych i niższych rang służyć węgierskiej sprawie.

— Mam to przekonanie — odrzekłem.

— Czy podejmujesz się pan jechać w takiej misyi do Francyi? — spytał Kossuth.

— Z największą chęcią — odpowiedziałem.

— A więc co do mnie, prywatnie — rzekł Kossuth podając nam rękę — przyjmuje propozycyę panów w zasadzie, ale, jako naczelnik komitetu obrony, potrzebuję być do takowego przyjęcia upoważnionym, choćby w sposób ogólny przez sejm, a zatem rzecz nie może być zupełnie zakończona, aż za powrotem moim do Pesztu. Jeżeli panowie nie macie innych jakich interesów w naszéj sto-

licy, towarzyszenie mi aż do końca wyprawy pod Wiedeń; wrócimy razem do Pesztu.

Skloniliśmy się jak najgrzeczniej ja i mój kolega na to uprzejme zaproszenie. Dokończyłem potrzebny komplet i rozmowa weszła na drogę poufalszą. Kossuth, przybierając ton serdecznej szczerości, który go czynił niezmiernie ujmującym, powiedział nam, że jest tyle prawie Polakiem, ile Węgrem.

— Byłem jeszcze młodym — mówił — nie miałem pełna lat trzydziestu i zaczynałem zawód adwokacki, gdy wybuchła wasza rewolucya. Aż do tego czasu żyłem bez wiary w postęp historyczny, bez nadziei w lepszą przyszłość dla ludów; przekonany, że chyba cud jaki sprowadzi tryumf sprawiedliwości na ziemi. Kto żył w państwie Austriackiem pod Metternichowskim systematem, łatwo ten pesymizm pojmie. System ten, który zresztą był tylko wydoskonaleniem dawniejszych systematów, przetwarzał zwolna liczny ów zbiór różnorodnych plemion, zostających pod berłem Habsburgów, w jedną ogromną masę czterdziestu milionów idiotów, i zdawało się, że nie ma sposobu temu przeszkodzić, tak przewrotnie obmyślane były wszystkie środki rządowe. W niemieckich prowincjach rząd popierał przynajmniej rolnictwo, przemysł i handel, ale w Węgrzech tak jak w waszej polskiej Galicyi, nie dopuszczał żadnych materyalnych nawet ulepszeń. Poczciwy Seczeni (Szecseni), jedyny w owym czasie patriota węgierski, zużył życie i poświęcił znaczną część swojego wielkiego majątku ażeby podnieść trochę bogactwo krajowe, a we wszystkim rząd stawiał mu uporne przeszkody. . . I tak nigdy nie uzyskał on pozwolenia na zbudowanie dróg bitych. A jednak magnaci nasi

i większa część szlachty, już zniemczeni, popierali ten rząd dlatego, że ich średnowieczne przywileje podtrzymywał; prosty lud zaś ślepo w niego wierzył. Jakżeż tu było marzyć o niepodległości Węgier? Nikt też u nas o tem nie marzył. Inaczéj się działo u was. Wy, Polacy, którzy jesteście pod potrójnem jarzmem, nie przestaliście nigdy myśleć o odzyskaniu waszój ojczyzny wolnej i niepodległej i wasze powstanie listopadowe przypominało staréj Europie heroiczne czasy. Od 29 Listopada z każdym dniem rosło podziwienie i współczucie ludów dla was. Dla mnie sprawa wasza stała się jakby moją sprawą ojczystą, gdyż wasz heroizm obudził nareszcie węgierskiego ducha. Rozniecić tę iskrę, stało się przedmiotem mojej ambicyi, celem mojego życia i zacząłem tę pracę w 1832 r., kiedym założył dziennik litografowany pod tytułem Sejm, który zdawał sprawę ze wszystkich obrad sejmowych; czego rząd nie dozwalał. Rozsyłałem ten dziennik po wszystkich komitatach i mogę powiedzieć, że stworzył pierwszą opozycję sejmową. Odpokutowałem to dwuletniem więzieniem, lecz z więzienia wyszedłem silniejszym niż byłem i stworzyłem demokratyczne stronnictwo za pomocą Peszteńskiej Gazety, której przez kilka lat byłem głównym redaktorem. Stronnictwo demokratyczne wysłało mnie do Izby, następnie wyniosło do władzy i z jego współudziałem mogłem zdemokratyzować Węgry, a teraz mamy i nasze powstanie listopadowe... oby się lepiej powiedlo jak wasze! Widzicie panowie, że cała karyera moja zaczyna się od 29 Listopada 1831 r., i że mogę się uważać za syna waszój rewolucyi.

Tu Kossuth zwrócił się do historyi naszej walki, rozstrząsał z nami, to jest ze mną i dr. Tausenau,

główne jój wypadki, następnie wypytywał się o naszych generałów, o emigracyę, jój koleje, jój byt dzisiejszy, a mówił z tak przyjaznem, tak serdecznem a przytem nieco poetycznem uczuciem, że ta pierwsza parogodzinna z nim rozmowa była dla mnie prawdziwą rozkoszą.

Przytoczę kilka słów jego, ażeby pokazać, w jakim świetle widział naszych wojaków z 1831 r.

— Walka wasza — powiedział mi zostawiła na umyśle moim takie wrażenie, iż w każdym wojskowym polskim widzę postać epopejową — prawdziwego rycerza — i nie przypuszczam, aby na nim mogła być jakaśkolwiek zmaza, bo rycerstwo jest waszym duchem narodowym. Na nieszczęście brak wam było w r. 1831 takiego wodza, jakich miewaliście w świetnej epoce waszjej historii. Ten byłby Moskali za Dniepr przepędził po zwycięstwie pod Dębem Wielkim. Bodajby się znalazł teraz taki, czy to między wami, czy między nami, a Węgry i Polska będą wolne i niepodległe.

Uważałem w ciągu rozmowy, że Kossuth kilkakrotnie wypytywał się ciekawie o Mierosławskiego i spostrzegłem, że wyobraźnia jego dosyć skłonna do szlachetnych złudzeń, trzymała w odwodzie tego przywódcę niedoszłego powstania w 1846 r. jako przypuszczalnego wodza, zdolnego stanąć na wysokości polsko-węgierskiego zadania.

Rozmowę naszą przerwały krzyki Elien z nad brzegu Dunaju i strzały z armaty wiwatówki na naszym statku, a szum wypuszczonej pary z maszyny, oznajmił nam, że dobijamy do lądu. Kossuth się zerwał.

— To Weitzen (Wacow), rzekl. Tu czekają na mnie honwedy z całej okolicy; muszę największą część ich pociągnąć za sobą pod Wiedeń, co mi zajmie parę

godzin. Panowie — dodał obracając się do nas trzech — obejrzyjcie miasto a potem możecie wrócić na statek; macie tu książki, dzienniki, karty, warcaby dla rozrywki.

Wysiadł na brzeg, poszliśmy za nim, przypatrywaliśmy się jakiś czas widowisku licznie zebranych honwedów, do których Kossuth przemawiał i którzy go słuchali z rosnącym entuzjazmem; potem obejrzelśmy wspólną katedrę Wacowską, jedyną budowę godną widzenia w tem mieście, którego słowiańska uazwa świadczyła nam, że jesteśmy w kraju Słowaków.. i wróciliśmy na statek

Dr. Tausenau opowiadał nam wypadki wiedeńskie, sławiąc je na ton liryczny. — Dowiedzieliśmy się od niego, że na wieść o zbliżaniu się Windischgrätza wysłany on został do Kossutha o pomoc, że Kossuth długo się ociągał, nie chcąc, jak mówił zejść z drogi legalnej; że żądał, aby go wezwał urzędownie sejm w Kromieryżu, który ze swojej strony nie chciał wejść na drogę rewolucyjną; że przed kilku dniami dopiero na ponowne i rozpaczne wezwanie Wiedeńczyków a przytem na usilne jego, Tausenaua, namowy, zdecydował się наконец przejść Rubikon. Demokrata wiedeński utrzymywał, że przez ten śmiały krok Kossuth wprowadził sprawę demokratyczną nie tylko w państwie Austryackiem ale w całych Niemczech, w całej nawet Europie, na nowe tory.

— Dotąd — mówił on — każdy lud tylko o sobie myślał, Węgrzy mianowicie, stali na bezczelnie samolubnem stanowisku usiłując wyzyskać na swoją wyłączną korzyść wszystkie te pojedyncze wybuchy ludów państwa Austryackiego, które wielkich kłopotów nabawiają dynastję panującą, ale nie są w stanie rozprządnąć monarchii. Owoż

wobec tych zawikłań Madziary do tego tylko dążyli, ażeby uzyskać dla siebie samorząd, a następnie ściągnąć dwór do Pesztu i zrobić z Węgier środek ciężkości państwa Habsburgów. Nie udało się to i Kossuth, spostrzegając coraz jawniej, że dom rakuzki, pobiwszy Włochów, poskromiwszy Czechów, jeżeli teraz jeszcze przytłumi rewolucję wiedeńską, to z całą siłą swoją obróci się na Węgrów. Moc okoliczności nakłoniła go więc przyjsć w pomoc Wiedniowi i wprowadzić tym sposobem w czyn wielką zasadę solidarności ludów, w której, jedynie, jest zbawienie dla Węgrów, dla Niemców i dla was Polaków — chodzi o to tylko, czy nie zapóźno wziął to postanowienie. Podróż nasza zajmie dni kilka, bo Kossuth ma wstępować do wszystkich znaczniejszych miast po drodze, ażeby pociągać za sobą honwedów; w samym Granie mamy zabawić dwa lub trzy dni; z Presburga będziemy ciągnąć lądem pod Wiedeń razem z honwedami a jest ze dwa etapy na téj drodze — zgola nie będziemy pod Wiedniem jak za sześć lub siedm dni a tymczasem kto wie, czy Windischgrätz nie zmusi głodem naszej bohaterskiej stolicy do kapitulacyi?

— Miejmy nadzieję, że tak nie będzie — odezwał się.

— Nie tracę też jeszcze nadziei — odpowiedział Tausenau — i owszem oczekuję téj pięknej chwili, gdy Węgrzy w Schwechat pod Wiedniem zapalą jaką stodołę podług umowy, ażeby dać znać Wiedeńczykom, że już przybyli, a Wiedeńczycy odpowiedzą im racą z wieży świętego Stefana.

Na téj rozmowie upłynęło parę godzin. Kossuth wrócił na statek; dwa czy trzy inne statki parowe przy-

pływały były za nami, podczas gdyśmy stali pod Wacowem; honwedzi wsiedli na nie i popłynęliśmy dalej razem wśród okrzyków z brzegu i ze statków. Wkrótce dano obiad, przy końcu którego znalazłem się w niemalém kłopotcie.

Doktor Tausenan wniósł toast na cześć Kossutha i przy téj okoliczności wypalił mowę kwiecisto-demokratyczną, którą zakończył wyszukany frazesem, że jeżeli Kossuth uosabia w sobie jednym cały rząd węgierski, to dlatego, ażeby nie było dwóch słońc na węgierskiem niebie.

Kossuth odpowiedział mi i miałem sposobność ocenić po raz pierwszy urok jego słowa. Była to wymowa daleka od wszelkiej napuszystości, bez klasycznych peryodów; płynęła naturalnie, gładko, potoczyście, i to podnosiła się do efektów dramatycznych, to spadała na ton poufaly, czasem żartobliwy, a słuchacze przechodzili z entuzjazmu do szczerzego śmiechu. Przy końcu mowy, niespodzianie obracając się ku nam, rzekł:

— Panowie mamy między sobą dwóch reprezentantów bohaterskiego narodu polskiego.

Tu wyliczył tytuły, jakie Polska ma do współczucia świata całego i do przyjaźni poszczególnej Węgrów, a zakończył toastem następującym:

— Pijmy na cześć naszych odwiecznych sprzymierzeńców Polaków. Obyśmy ich jak najprędzej widzieli wolnymi, złączonymi w jeden potężny naród, jakim byli przed zbrodnią podziału, a niech pomną na przyjaźń skojarzoną niegdyś między Polską a Węgrami, gdy oba narody miały na tronach swoich książąt z rodu Jagiellonów.

Wszyscy z entuzjazmem wychyliłi ten toast. Ja zaś czulem się przytłoczony ciężarem wdzięczności. Otóż to bieda na mnie, mówiłem sobie w duchu, trzeba na to piękne przemówienie odpowiedzieć. W jakimże języku? Po niemiecku nie potrafię, po francuzku nie rozumiem i pytanie czy zdołam choć słówko jedno bez zająknięcia powiedzieć, bo jeszcze nigdy publicznie nie mówiłem. Na szczęście przypomniałem sobie, że znam jeden wyraz węgierski, jeden tylko ale elektryczny i że ten może mnie wyratować; powstałem więc i wystąpiłem śmiało z oracyą francuską, bardzo krótką, to prawda, ale zakończyłem ją owym szczęśliwym wyrazem, to jest okrzykiem: *Elien a Kossuth! Elien a Magiar!* i zyskałem powszechne oklaski, jak gdybym powiedział mowę w Cycerońskim stylu.

Wieczorem przybyliśmy do Granu, gdzieśmy wszyscy na ląd wysiedli. Kossuth stanął w wspaniałym pałacu arcybiskupa, który jest Prymasem Węgier i używa jak niegdyś Prymas Polski książęcego tytułu, ale który natenczas wyjechał był umyślnie, aby nie przyjmować, nie-milego katolickiemu duchowieństwu, gością w swojej arcybiskupiej stolicy.

Nam dwóm wyznaczono mieszkanie u wikaryusza jeneralnego. Miał on osobny pałac a raczej okazałą kamienicę, w której mieszkał wraz z nim drugi wikaryusz i dwóch czy trzech innych księży. Był to staruszek z białą zupełnie głową — bardzo poważny w swoim obejściu — przyjął nas uprzejmie i podejmował przez te parę dni które przepędziliśmy w Granie, nie tylko gościnnie ale nawet wykwinicie; wprawdzie nie było w tem nic nadzwyczaj-

czajnego, bo dom jego urządzony był na stopę prawie pańską.

Pomimo całej uprzejmości swojej, nie zataił nam pocziwy staruszek swojego zdziwienia, że nas Polaków i katolików widzi w otoczeniu Kossutha kalwina; starałem się wytłumaczyć mu, że nasza misya nie ma nic wspólnego z religią, że jest czysto polityczną, ale cała wymowa moja nie trafiła do przekonania tych pocziwych księży.

Byliśmy jak dwaj obwinieni przed sądem, na szczęście przed sądem nader uprzejmym, a sumienie nasze nie nam nie wyrzucało.

Czas upłynął nam w Granie bez znudzenia, oglądaliśmy katedrę zbudowaną na wzór bazyliki św. Piotra w Rzymie w znacznie mniejszych, ma się rozumieć, rozmiarach, ale jeszcze kolosalnych. Grubość murów w podziemiach i średnica kolumn portyku są niemal takie, jak w Paryskim Pantheonie. Wspaniała ta świątynia nie była jeszcze w owej epoce zupełnie wewnątrz ukończona. Przypatrywaliśmy się także codziennie przegłodom honwedów i zadziwiającym skutkom wymowy Kossutha, która tych spokojnych dotąd ludzi poruszała elektrycznie i zmieniała nagle w wojowników. Po każdym przemówieniu jego, kompanie i bataliony całe, z małym wyjątkiem, ofiarowały się iść bezzwłocznie do walki.

Zbywające chwile spędzaliśmy na przechadzkach. Gran przedstawia się nader malowniczo; wznosi się na piętrzących się wzgórzach; na najwyższem z nich króluje katedra, której kopułę widać o parę mil dokoła. Miasto otoczone jest ogrodami, winnicami i zielonemi

naddunajskimi łakami. Gdyśmy wrócili z Kossuthem do statku, żeby w dalszą puścić się drogę, zastaliśmy całą flotyllę paropływów, tworzącą orszak naszemu statkowi. Jedne z nich były też same, które szły za nami od Wacowa i odwiózłszy będących na nich honwedów na przeznaczone miejsce, wróciły do Granu, inne były świeżo przybyłe z Pesztu; jedne i drugie zapelnili honwedzi z Granu i popłynęliśmy wszyscy razem przy zwykłych okrzykach, po których rozpoczęły się na towarzyszących nam statkach śpiewy narodowe, które to ustawały, to znów się rozlegały za nami przez resztę drogi naszej na Dunaju.

Płynęliśmy przez dwa dni, Kossuth wstępował do różnych miejscowości; w ważniejszych, jak w Komornie i innem miejscu, nie pamiętam już jakim, nocowaliśmy, Kossuth w mieście, my dwaj zaś, dr. Tausenau i parę osób z otoczenia Kossutha na statku. W tej drugiej części podróży naszej, miałem jeszcze długie pogadanki z Kossuthem. Głównem ich przedmiotem była misya, jaką mi chciał dać do Francyi, a która się stopniowo rozwijała w jego myśli. Chodziło mu najprzód o to, żebym mu sprowadził oficerów polskich jak to już nadmienilem wyżej, i w tym względzie mówił mi, że trzeba mi będzie znosić się z posłem węgierskim w Paryżu, hrabią Wł. Telekim, w którym zupełne pokładał zaufanie, i który miał w ręku znaczne fundusze węgierskie. Wymieniłem mu jednak niektórych jenerałów i wyższych oficerów, którzy zdaniem ogólnem najwięcej okazali talentu w kampanii 1831 r., a na czele ich stawiałem jenerała Prądzyńskiego.

— Myślałem ja już o nim — powiedział mi na to — ale dowiedziałem się, że on bardzo chory w Krakowie, i nie ma nadziei, ażeby się mógł wydźwignąć.

O innych jenerałach naszych nie miał wyrobionej opinii, ale myśl jego krążyła około jednej osobistości, która przed niedawnym czasem wzbudziła była wiele zawodnych nadziei, to jest około Mierosławskiego.

— Nie ujmuję — mówił on — talentom i charakterom już doświadczonym, ale do okoliczności nowych, trzeba ludzi nowych. Dla Mierosławskiego wojna wasza 1831 roku była tylko szkołą, z której skorzystał, jak się to dobrze pokazuje z jego dzieł. W roku 1846 wystąpił samodzielnie i śmiało, zbyt śmiało może, ale droga jaką obrał, była jedyna, na której Polskę zbawić można, to jest, droga demokratyczna. Wszakże to do was kiedyś powiedział Napoleon: „że czego chcą miliony ludzi i chcą szczerze i statecznie, to w końcu stać się musi“. Chodzi o to, żeby te miliony ludzi poruszyć, jedną myślą ożywić i do walki wyprowadzić. Tego chciał Mierosławski w 1846 r. Czy środki jego były dobrze obmyślane, to trudno osądzić; został schwytyany przez Prusaków, gdy zaledwie wziął się do dzieła, jednak już się masy ruszały, a obrona jego przed sądem była dla niego prawdziwym tryumfem moralnym.

— Widzę — rzekłem z uśmiechem — że pan prezydent radbyś go widzieć w Węgrzech.

— Nie taję się z tem — odpowiedział Kossuth — nie powierzyłbym mu wprawdzie odrazu żadnego dowództwa, wypróbowałbym go najprzód w sztabie głównym, dałbym mu rangę pułkownika z głosem doradczym na

radach wojennych, i jeżeli, jak sędzę, przyniosłby na to rady myśl młodą, pełną życia i siły, to zostałby szefem sztabu, a byłoby to szczęśliwem zdarzeniem, gdyby taką myśl młodą można skojarzyć z doświadczeniem praktycznem starego jenerała.

Nie miałem nigdy tak wysokiego wyobrażenia o Mięrosławskim, ale kiedym się z nim rozstawał w korpusie kadetów Kaliskich, on miał lat 18, ja nie miałem 15^{cie} i trudno mi było na wspomnieniach z owego czasu opierać sąd o człowieka, który z młodzieńca stał się człowiekiem dojrzałym i mógł się być wyrobić. Wolałem też milczeć. Kossuth mówił mi następnie o innem jeszcze poleceniu, które miał mi dać do Francyi. Rząd węgierski zamówił był znaczną ilość broni w Anglii i we Francyi, a hr. Teleki opatrzony był w fundusze potrzebne na zapłacenie i odstawienie jój, lecz zachodziło pytanie jaką drogą broń tę sprowadzić do Węgier, o tem zaś Kossuth zadecydować nie mógł, póki los wyprawy jego pod Wiedeń nie był rozstrzygnięty. Powiedział mi tylko nawiasem, że jeżeli broń tę wypadnie sprowadzić morzem, co było najpodobniejszym, to możnaby na tymże statku wyprowadzić ochotników z młodej emigracyi we Francyi, którzyby się ofiarowali wstąpić do polskich legionów.

Mówiliśmy także i o ogólnej sytuacji Europy, a chcąc miłe pogłaskać miłość własną Kossutha, wysunąłem się ze zdaniem, że jeżeli on, jak spodziewam się, zajmie Wiedeń a za sobą w Węgrzech zostawi organizującą się dwukroćstotysięczną armię, to zaopanuje to ogólną sytuację i będzie mógł nie tylko Węgrom otworzyć wielką przyszłość, ale dać syntezę wszystkim tym bezładnym aspi-

racyom i ruchom ludów europejskich, których początkiem była rewolucya Lutowa we Francyi.

Tak — być to może, odpowiedział Kossuth zamyślony — a oczy jego błyszczały płomieniem entuzjazmu. — Snać trafiłem w jego marzenie, które było także, przyznaję, po części i mojem. W owój epoce wierzone w logikę wypadków, w wielkie syntezy dziejowe, w ciągły postęp ludzkości na wszystkich drogach. To filozoficzne credo, do którego najpobożniejszy chrześcianin mógł się przyznać, było szczególnie pocieszajacem dla Polaków bo im ukazywało w perspektywie odrodzenie ojczyzny, jako niechybny wynik logiki dziejowej. Dlatego też wszystkie wypadki ważniejsze, które się pod oczami naszymi wytyczały, przybierały dla nas znaczenie nierównie donioślejsze niżeli go miały w istocie. W roku 1848 mianowicie myśleliśmy, że już się wali budowa kongresu wiedeńskiego a na jój miejsce powstanie porządek inny, oparty na prawach narodowościów — na solidarności ludów — na sprawiedliwości w jój najwyższem znaczeniu. Smutne doświadczenia lat następnych bardzo osłabiły tę piękną wiarę i sprowadziły na jój miejsce ohydny materializm — samolubstwo narodów i cześć siły brutalskiej. Przejdzie i ta faza — nowe pokolenie przekona się, że postęp jest niewątpliwie prawem ludzkości, tylko nie trzeba go mierzyć podług drobnej skali ludzkiego żywota które jest jedną chwilką na zegarze dziejowym; trzeba, o ile to podobna, wznieść się na stanowisko bezwzględne i wiekuiste, z którego Opatrzność Najwyższa baczy na pochod rod ludzkiego, a wtenczas zrozumiemy historję ale wróćmy do wypadków wyprawy węgierskiej.

Trzeciego dnia po wyjeździe naszym z Granu, wyładowaliśmy rankiem w pobliżu Presburga, ale na przeciwnym brzegu. Zastaliśmy tam obóz honwedów. Byli to ci których Kossuth zabrał ze sobą z Wacu i do których przyłączyli się byli inni z Raab. Z nami przybyła z Granu niemala ich liczba, tak, że razem uformowała się siła kilkunastu tysięcy honwedów, a wozów nagromadzonych tam z wiktuałami, winem, drzewem, ze słomą i próżnych była ogromna liczba. Przypomniły mi się dawne tabory naszych husarzy z tą różnicą, że wozy husaryi naszej zwiazywano razem i robiono z nich szańce ruchome dla oslonienia obozów, gdy tymczasem wozy węgierskie sprawiały tylko ogromny nieład w obozie, w marszach i na polu bitwy, jak się to pokazało niebawem.

W tym dalszym ciągu drogi do Schwechat jechaliśmy my dwaj Polacy wpośród honwedów na wózku węgierskim bardzo porządnym i dosyć wygodnym, a marsz wojska był dosyć podobny do przyjemnej przechadzki. Po ujściu pierwszej milki, wojacy nasi zatrzymali się w pięknym lasku, odszpontowali beczki z winem i posilili się sownie tym narodowym napojem. Po drugiej milce obiadowaliśmy i spoczywaliśmy parę godzin. Milkę dalej jeszcze stanęliśmy na nocleg. Było to w Parendorfie wiosce austriackiej na pograniczu węgierskiem. Nazajutrz dopiero 31 Października przybyliśmy o zmroku do Schwechat, gdzieśmy się połączyli z główną armią węgierską, stojącą już od miesiąca na obserwacyi w okolicy między wioskami Parendorf, Elen i Schwechat. Cała ta armia stanowiła niewielką kupkę, obozującą na pochyłościach jednego pagórka, i wątpię, ażeby wynosiła więcej nad 20,000

ludzi. Kossuth sprowadził był kilkanaście tysięcy honwedów, razem więc było w Schwechat trzydzieści kilka tysięcy wojska węgierskiego. Windischgrätz miał pod swoim dowództwem więcej niż dwa razy tyle żołnierzy, lecz pomimo téj nierówności sił, Węgrzy gdyby byli przyszli w porę, działając wspólnie z Wiedeńczykami mogli go byli zmusić do odstąpienia od oblężenia. Na nieszczęście w przeddzień przybycia Węgrów, Wiedeń już był wzięty o czem Kossuth ani się domyślał. Wieczorem według umowy z Wiedeńczykami, Węgrzy zapalili jakąś pustą budowlę i czekali, w odpowiedzi, na race które oblężeni mieli wypuścić z wieży świętego Szczepana, ale daremnie zwracali oczy ku téj wieży, którą dobrze widać z Schwechat — nie się nie pokazywało. Nie rozpaczali jednak, sądząc że Wiedeńczycy zaniedbali postawić kogo na straży na wieży, i nie wiedzieli o danym im znaku.

W takim to przypuszczeniu zdecydowali się wydać nazajutrz bitwę wojsku austriackiemu.

Ja i mój kolega, zawieruszeni w tę wyprawę, byliśmy w położeniu dosyć kłopotliwym, nie mieliśmy koni ażeby assystować Kossuthowi, uzbrojeniśmy byli tylko w laseczki, nie wiedzieliśmy więc co z naszymi osobami zrobić, ale gdyśmy się zabierali do spoczynku w ubogiej kwaterze, jaką nam wyznaczono, przyszedł do nas adjutant Kossutha, hrabia Leiningen, i powiedział nam, że Kossuth radzi nam, abyśmy pojechali do Presburga i tam czekali na wynik bitwy; dodał przytem, że jest podwoda na nasze rozkazy. Bardzośmy wdzięczni byli Kossuthowi, że pamiętał o nas i nie zwlekając, siedliśmy na podwodę i pojechalismy

do Presburga. Czekaliśmy tam niecierpliwie wiadomości z pola bitwy. Trzeciego dnia powiadają nam w hotelu, że mnóstwo honwedów snuje się po mieście i że, podobno, rzeczy zły obrot wzięły pod Schwechatem. Wyszliśmy, ażeby zasięgnąć pewniejszych wiadomości, i spotykamy demokratę wiedeńskiego dr. Tausenau, który spostrzegłszy nas, przybiegł przywitać się z nami z wielkimi objawami przyjaźni. Był on w całej tej sprawie przy boku Kossutha w nadziei, że z nim tryumfalnie wejdzie do Wiednia, i będzie miał sposobność wypalić mowę, której rozgłos rozejdzie się po świecie całym.

Opowiedział on nam wszystkie szczegóły tego pierwszego niefortunnego spotkania się Węgrów z Austryakami. 1^{go} Grudnia o świcie wojsko węgierskie stanęło w szyku bojowym. Naprzeciw niemu wystąpił Jelačyc z Kroatami i częścią armii Windischgrätza; rozpoczął kanonadę, ale kule nie dochodziły do linii węgierskich; wśród tej kanonady, przybiega Görgöj do Kossutha i oskarża generała Moge głównodowodzącego, że zdradza, że źle armię ustawił, że sam, ze sztabem w dolinę się schował, zkąd widzieć nawet nie może co się dzieje na linii bojowej, nakoniec, że armia żadnych obrotów dobrze wykonać nie jest w stanie, bo wozy płatają się między kolumnami i zawadzają im.

Kossuth uwierzył oskarżeniom Görgöj'a i bardzo się zafrasował. Wysłał swoich adjutantów, żeby wozy w tył usunęli; ci zamiast dotrzeć do wozów, krzyczeli zdaleka: *Die Wagen retiriren*; Artylerya i huzary, usłyszawszy słowo *retiriren* najdobitniej wymówione,

myśleli, że to jest rozkaz ogólnego odwrotu i zaczęli się cofać nagle, co widząc inne pulki, zabrały się także do odwrotu. Wkrótce ten odwrót zmienił się w popłoch, w ucieczkę ogólną, którą Kossuth nadaremnie chciał wstrzymać; przybiegł do huzarów, błagał, zaklinał, żeby się wrócili na miejsce, ale popęd był dany, panika ogarnęła całe wojsko i nie pozostało Kossuthowi jak konia zwrócić i uciekać jak wszyscy. O sobie mówił Tausenau, że dostał się nad brzeg Dunaju i spostrzegłszy łódkę rybacką, najał ją za grube pieniądze, i na tej łódce przybył do Presburga.

Taki był koniec wyprawy Węgrów pod Wiedni, po której tyle obiecywaliśmy sobie wielkich skutków, niestety!

IV.

Przez parę dni byliśmy w wielkiej niespokojności o Kossutha i o los armii węgierskiej. Wybawił nas z niej znowu demokratą wiedeński. 4 Listopada wpadł on do nas z doniesieniem, że armia węgierska przecież się znalazła, że jest w Parendorf, gdzie się udało nakonec Kossuthowi z pomocą niektórych oficerów powstrzymać uciekających i przywrócić jakiśkolwiek ład w tym odmiecie pomieszanych batalionów, ale że zmartwienie, jakie mu ta ucieczka sprawiła i wszystkie trudy z którymi miał do walczenia, oddziaływały na jego nie zbyt silną kompleksję, i że wczoraj wieczór przyjechał chory do Presburga.

Wyszedłem natychmiast wywiedzieć się o jego zdrowiu. W mieszkaniu, które zajmował, — był to zdaje się jakiś gmach rządowy, — była wielka sala, gdzie się gromadzili Węgrzy z jego otoczenia i gdzie można było wejść bez żadnego meldowania. Wszedłem tam. Hr. Leiningen natychmiast zbliżył się do mnie i powtórzył mi prawie toż samo, co nam już opowiadał Tausenau. Dodał tylko, że Kossuth dziś rankiem oddał generała Moge pod

sąd wojenny (który, mówiąc nawiasem, uznał go niewinnym) a Görgöj'a mianował jeneralem i tymczasowem dowódcą całej armii. Tę ostatnią nowinę oznajmił mi z widocznem niezadowolnieniem, które podzielala cała armia i ogół publiczności. Görgöj w nikim zaufania nie wzbudzał. Przyznawano mu wprawdzie wiadomości wojskowe, jako niegdyś uczniowi akademii wojskowej w Wiener-Neustadt. Nie odmawiano mu i odwagi osobistej, której dał był dowody w krótkiej walce z Kroatami, ale był to człowiek młody niedoświadczony, w którego minie napuszonej, ruchach i oczach siwych z wejrzeniem zimnem jak polysk stali, malowały się zarozumiałość, pycha i ambicja bez skrupułu. Zresztą od początku kryzys węgierskiej, która go zastała porucznikiem austriackim, piał się ciągłemi tylko intrygami do coraz wyższej rangi. Już w ciągu kroackiej kampanii dolki kopał pod Perczelem, którego świeżo nabyta sława była mu solą w oku, a odkąd Kossuth objął władzę prawie dyktatorską, ślaniał mu się nieustannie, wysuwając się z coraz nowemi projektami i w obec niego tak układał swoją powierzchowność, że się wydawał innym zupełnie człowiekiem, niżeli był rzeczywiście. Był potulnym, miał głos słodziutki i wejrzenie dziecka, które się do ojca swojego z miłością zwraca. Kossuth dał się schwycić na ten lep, tem łatwiej, że podług jego teorii do okoliczności nowych trzeba ludzi nowych i to był bezwątpienia argument, który w myśli jego przemawiał głównie za Görgöjem, ale na młodość, zdolność i odwagę jego zakredytował mu zbyt wiele, wynosząc go — niedawno porucznika — na wodza naczelnego armii węgierskiej i zdając tym sposobem los Ojczyzny w jego ręce. Tak samo myślał

i Leiningen, po chwili milczenia powiedział bowiem mi, że teraz już zapewne Kossuth żakuje, iż tak pospiesznie zamianował Görgöja generałem i wodzem.

— Dlaczegoż by tak prędko już miał żakować? — spytałem go.

— Ach! — odrzekł — bo mam jeszcze jedną ważną nowinę panu oznajmić. J. Bem potrafił ująć z Wiednia i przemknął się do Presburga. Był u prezydenta, nie ma temu pół godziny i prezydent po rozmowie z nim odżył, jest w weselszym humorze i zdaje się zdrowszym.

A czy mógłbym go widzieć? spytałem przerywając mu.

Bezwątpienia — odpowiedział Leiningen. — Wszakże on pana zawsze miłe widzi a pogadacie o Bemie. Radbym wiedzieć, co on z nim robi, bo trudno przypuścić, ażeby starego doświadczonego generała oddał pod rozkazy młokosa, który niczem się nie odznaczył jak Görgöj. To powiedziawszy, poszedł do przybocznego pokoju i wkrótce wrócił z oznajmieniem, że Kossuth prosi mnie do siebie.

Zastałem go w łóżku, pobladył, z przygasłemi oczami a na twarzy jego widać było zmęczenie i zniechęcenie. Wyciągnął ku mnie rękę białą i kształtną jak u kobiety.

— Ot, widzisz pan — rzekł — od czego zależy los wypraw wojennych; jeden rozkaz źle zrozumiany i wyprawa zwichnięta; — szczęściem, że nas nie gonili, bo cała armia byłaby zgubioną. Co mnie najdotkliwiej ubodło — mówił dalej — to tchórzostwo naszych huzarów dotąd zawsze tak walecznych; przybiegłem do nich, tłomaczyłem omyłkę, zaklinałem, ażeby wrócili na dawne

stanowisko i nie plamili sławy głośnej na świecie całym węgierskich huzarów, ale popłoch między nimi był taki, że mnie ani słuchać chcieli. Uciekali wciąż; i to przed niezem. Teraz trzeba koniecznie choćby małego jakiego odwetu dla podniesienia ducha w wojsku i w narodzie; inaczej sprawa Węgierska zgubiona w sposób haniebny.

Staralem się dodać mu otuchy, ale patrząc na tego człowieka, który nie mając władzy w ręku, tyle rzeczy śmiałych, tyle zmian radykalnych w swoim kraju dokonał słowem i piórem, a mając władzę chwiał się, nie umiał się poznać na ludziach i po pierwszej cięższej próbie, musiał się kłaść w łóżko, mówiłem sobie: tajemnica jego charakteru jest w jego ustroju nerwowym, raczej kobiecym niż męskim. Ztąd ten wdzięk szczególny w jego obejściu się, którym wszystkich ku sobie pociąga, ale ztąd także te optymistyczne złudzenia, te poszepty miłości własnej nader drażliwej i te wpływy nerwowe które w chwilach najważniejszych biorą w nim górę nad zimnym i praktycznym rozumem męża stanu. Kossuth opowiedział mi nagle pojawienie się Bema przy jego łóżku, co było dla niego najmilszą niespodzianką, jaka nadarzyć mu się mogła. Spytał mnie, czy znam tego generała, a na moją odpowiedź, że go nigdy nie widziałem, powiedział mi, że właśnie oczekuje jego przybycia i przedstawi mnie jemu.

Z powodu Bema rozpoczęliśmy raz jeszcze mówić o wojnie 1831 roku, o bitwie ostrołęckiej, w której on ocalił armię naszą i o szturmie Warszawy, który zmylił jego rachuby. Utrzymywał bowiem na radzie wojennej, że główny atak Moskali będzie od strony Królikarni i Mokotowa,

zkaąd rzeczywiście mogli się łatwo dostać w środek miasta, gdy tymczasem oni całą siłą uderzyli na punkt nierównie dalej wysunięty, na Wolę, ale znaleźli ją słabo bronioną i zdobyli ją w pół godziny. Gdy się zapuszczał w szczególności tej ostatniej wielkiej walki naszej, której wspomnienie tkwiło natenczas żywo jeszcze w mojej pamięci, jak gdyby się wczoraj dopiero odbyła, drzwi się otworzyły i wszedł mężczyzna pięćdziesięcio-kilko-letni, dosyć słusznego wzrostu, średniej tuszy, z twarzą zupełnie wygoloną, bladą, nieco nalaną, rysami bez charakteru męskiego, oczami zamglonemi, w surducie zapiętym aż pod szyję, i halsztuku bez kołnierzyka. Byłbym go wziął za kościelnego sługę w świątecznem ubraniu, gdyby go Kossuth nie był powitał z oznakami wielkiej czci, tytułując go generałem. Był to Bem. Pod tą powierzchownością pedela krył się wojownik z sercem nieustraszonem i duszą nieugiętą jak żelazo. O Lawaterze! jakże często ludzi mylisz. Kossuth zaprezentował mnie.

— Czy krewny generała — spytał mnie Bem.

— Syn — odpowiedziałem.

— Widzę po wstążce krzyża polskiego, którą nosisz, żeś służył w 1831 r.

— Tak jest.

Na to sklonił mi się lekko głową i obróciwszy się do Kossutha zaczął rozwijać mapę, którą z sobą przywiózł.

Kossuth mnie poprosił, ażebym kazał przywołać Görgöja. Wyszedłem, powiedziałem hr. Leiningen, czego żąda Kossuth i wydalilem się na miasto; ale chcąc pomówić z Bemem, w godzinę potem wróciłem przed dom, gdzie mieszkał Kossuth. Chodziłem jakiś czas tam i na-

powrót po ulicy, nareszcie u drzwi domu tego spostrzegłem Bema, rozmawiającego z pólkownikiem, późniejszym generałem Bułharynem*).

Zbliżyłem się do nich i opowiedziałem Bemowi cel naszego pobytu przy Kossucie. Słuchał mnie dosyć zimno, w końcu spytał zkąd weźmiemy oficerów do naszych legionów? odpowiedziałem mu, że mam jechać do Francji dla sprowadzenia takowych; p. Bułharyn dolożył, że przybyłych z Galicji oficerów polskich jest już dzisiaj znaczna liczba w Peszcie.

Bem głową potrząsnął i rzekł: — Inna to rzecz była formować legiony pod osłoną Francji, kiedy Francya głosiła po świecie zasady wolności, równości, braterstwa i bila na wszystkich punktach koalicję mocarstw despotycznych, a inna rzecz formować je w Węgrzech zamkniętych w kółku swoich małych, egoistycznych interesów wrogich wszystkim słowiańskim narodom i które się nigdy nie odważą na walkę z Moskwą.

— Będą do tego zmuszone — odrzekłem.

— Dużo o tem mówić, powiedział, ja nie mam czasu w obecnej chwili tem się zajmować, bo wyjeżdżam pokierować wyprawą na korpusik austriacki Simonicza,

*) P. generał Bułharyn w dziele swoim *Rys wojny węgierskiej w Paryżu 1852*, druk Martinetta wspomina o mnie i o moim koledze w tych słowach: „W Presburgu zastałem nową deputację z dwóch członków młodej emigracji polskiej, to jest z tój co niedawno kraj opuściła. Było ich do dwóch tysięcy w Galicji“. Więcej nie nie mówi, ale też raz tylko spotkałem w Węgrzech Bułharyna, który zupełnie obcym był wszelkim układom, tyjącym się formacyi legionów polsko-węgierskich i wszystko, co o tem mówi w swoim dziele jest bardzo niedokładne

lecz za powrotem moim rozważymy tę rzecz bliżej. To powiedziawszy skłonił się nam i odszedł.

Zostałem kilka chwil z p. Bulharynem, który mnie zapewnił, że Bem jest stanowczo przeciwny legionom polsko-węgierskim, i że nie przeciągnę go w tym względzie na naszą stronę.

„— Chce on, mówił Bulharyn, żeby, kiedy już młodzież polska garnie się do Węgier, porozrzucić oddziały polskie po całej armii węgierskiej. Jaką zaś w tém ma myśl i dla czego tak nieprzychylnym jest projektowi legionów, tego, doprawdy nie pojmuję i mocno nad tem ubolewam. Powodem do tego, zdaje mi się, była zbyt absolutnie pojęta i niewłaściwie w téj okoliczności zastosowana polityka ogólna Hotelu Lambert, do której generał Bem był wtajemniczony jako jeden z poufalech przyjaciół księcia Adama Czartoryskiego. Stary książę wiedząc aż nadto dobrze, że sprawa polska uważana była za ostatecznie straconą przez wszystkie gabinety i wszystkich wpływowych mężów stanu w Europie, jedną tylko przewidywał okoliczność w której by wystąpić mogła na porządek dzienny dyplomacyi Europejskiej, pewnym był mianowicie, że Rosya prędzej czy później sięgnie jeszcze po Konstantynopol a wtenczas wszystkie inne mocarstwa przekonają się jawnie, że innego sposobu nie ma na powściągnięcie jój nienasyconej ambicyi, jak odbudować Polskę i takim przedmurzem zasłonić od niej wschód równie jak i resztę Europy. Z taką myślą przewodnią książę Adam Czartoryjski obrócił główną działalność na wschód, ażeby Słowian Zadunajskich odciągnąć z pod wpływu Rosyi i uczynić powolnemi swojej polityce.

Niestety doświadczenie z roku 1855 okazało, że i ta rachuba była złudzeniem, bo w obec najgroźniejszego nawet niebezpieczeństwa ze strony Rosyi trzy naówczas najpotężniejsze w Europie mocarstwa nie czuły się już na siłach odbudować Polskę; lecz trudno mieć za zle księciu Czartoryskiemu, że tak nielogicznego rezultatu nie przypuszczał. Agenci jego na wschodzie pracowali bardzo czynnie i zręcznie i potrafili byli wielki wpływ pozyskać na Serbów i Bułgarów*). Prowadzili tę politykę jeszcze w 1848 roku, kiedy Czesi podnieśli myśl jedności Słowiańskiej poczynając od zjednoczenia Słowian w państwie Austryackiem. Myśl ta pozyskała sobie szczupłe tylko gronko zwolenników w Galicyi ale między niemi byli mężowie, którzy najwyżej stali w społeczeństwie, imieniem, bogaactwem, ustaloną reputacją prawości i patryotyzmu jako to: ks. Jerzy Lubomirski, ks. Władysław Sanguszko i hr. Adam Potocki. Zetknąwszy się z temi panami, — usposobiony już przychylnie dla Słowian pod wpływem Hotelu Lambert, lubo między polityką Hotelu Lambert a mrzonkami czeskiemi, którym ci ostatni dali się na chwilę uwieść był przedział ogromny — Bem wykombinował wraz z niemi plan, który miał pogodzić interesa słowiańskie, węgierskie i polskie. Jaki to był plan, to wyjaśnia list

*) Br. Zalewski — powiada w monografii Orpiszewskiego (Przegląd Polski na miesiąc Wrzesień 1875) że śp. ks. Jerzemu Lubomirskiemu jeden z wysoko postawionych mężów stanu w Austrii mówił w roku 1871: „Dowiedzioną jest rzeczą, że ze wszystkich państw europejskich, jedno tylko zrobiło coś dla cywilizacyi i przyszłości na wschodzie podtrzymując i podnosząc tam Unię, a to państwo (cette puissance) nazywa się księżę Adam Czartoryski i generał Zamoyski“.

Bema do hr. Z., ogłoszony w Tygodniu z 13go Maja 1877 Nr. 36, który tu przytaczam:

Lwów 29 Września 1848 r.

„Węgrzy, z którymi Polska od niepamiętnych czasów w przyjaznych była stosunkach, znajdują się teraz w położeniu bardzo krytycznem. Kroaci tudzież inni Słowianie, którzy od kilku wieków z nimi są połączeni, podburzeni dzisiaj przez Niemców a nawet przez Moskali, powstałi przeciw nim. Wojna domowa wzmaga się groźnie. My tylko Polacy, możemy powaśnionych pogodzić, nakłaniając Madziarów do zapewnienia Słowianom wszelkich swobód konstytucyjnych, a tych przekonywając, że dalszy ścisły związek z Madziarami jest dla nich najkorzystniejszy (sic).

„Do téj wielkiej misyi, namówilem syna JW. Pana Dobrodzieja. Książę Wł. Sanguszek, książę Jerzy Lubomirski i kilku innych najznakomitszych deputatów naszych należeć do niej będzie. Jedziemy na Tarnów i Wiedeń, gdzie zebrawszy się, ułożymy plan działań naszych a ztamtąd do Pesztu udamy się. Formacya legii polsko-słowiańskiej, do której cała emigracya się zaciągnie, pozwoli nam utworzyć w Węgrzech hufiec zbrojny, który naszej interwencyi powagi doda, a który dla przyszlég armii polskiej zawiązkiem się stanie“.

Pierwszym więc celem Bema było, utworzyć legion polsko-słowiański, co oczywiście skutecznieby się nie dało gdzieindziej jak na ziemi kroackiej i w razie potrzeby wystąpić nawet jak się zdaje z medyacyą zbrojną między Węgrami a Kroatami. Jaki zaś był jego cel dalszy, trudno się domyśleć. Być może, iż spodziewał się

pogodzonych Węgrów i Kroatów pociągnąć przeciw Moskalom, ale cały plan spoczywał na mgłę, i jak Bem przybył do Wiednia, już ta mgła była rozwiana. — Kroaci pobici uciekli byli na terytoryum austriackie, gdzie się wkrótce połączyli z armią Windischgrätza. W Wiedniu zaś wrzała rewolucya a demokracja rządząca w mieście, wzywała Węgrów na pomoc. Bem widział, że nie czas myśleć o godzeniu Słowian z Węgrami i zamiast jechać do Pesztu, przyjął dowództwo rewolucyi w Wiedniu. Gdy po wzięciu Wiednia przedarł się szczęśliwie do Presburga spostrzegł zapewne wyraźniej jeszcze, że występować ze swoim planem pojednawczym w owej chwili byłoby śmiesznością, ale z drugiej strony owe idee słowianofilskie, które wywiózł był z Francyi i zobowiązania się, jakie zaciągnął względem panów galicyjskich, czyniły mu wstrętnym wszelki projekt formowania legionów polsko-węgierskich, dla tego iż mogłyby przeciw Słowianom być użyte. Nie przewidywał, że Węgrzy zetrą się niebawem nie ze Słowianami lecz z Moskalami.

Zapratywanie się jednak Bema na kwestyę węgiersko-polską było zrazu czysto teoretyczne, i nie byłby się przy niem długo upierał, jak się to później pokazało, gdyby nie zaszła była okoliczność fatalna, która przeniosła na grunt węgierski namietności, pretensye ambitne i nienawiści stronnictw emigracyjnych i doprowadziła je do scen, jakie się chyba tylko w małych Rzeczpospolitych włoskich odbywały.

Okoliczność ta znana dziś tylko dwom osobom: Kossuthowi, który nawet o wszystkich jój szczegółach dokładnie nie wie, i piszącemu. Osoby, które w niej główne rolę grały, a których interesem było zachować

rzecz całą w tajemnicy — już nie żyją i godzina sądu historycznego dla nich wybiła. Opowiem też wiernie lubo nie bez żalu, wszystko co zaszło. Przedtem jednak kilka słów powiedzieć mi należy o wyprawie, której dowództwo Kossuth powierzył był Bemowi. Chodziło o to, o czem już, jako o gorączkowym życzeniu prezydenta Węgier nadmieniał wyżej, aby jakąkolwiek choćby małą koryzję odnieść nad Austryakami dla podniesienia ducha w armii. Owóż, parotysięczny oddział austriacki, pod dowództwem generała Simonicza, błakał się po prawej stronie małych Karpat na terytorium węgierskiem, podczas gdy cała armia Windischgrätza, cofnąwszy się do Wiednia, po ucieczce Węgrów z pod Schwechat znajdowała się w murach tej stolicy, Görgöj zamierzył oddział Simonicza otoczyć i do poddania się zmusić; w tym celu wysłał z pod Parendorf jeszcze 4 Listopada dwie dywizye pod dowództwem pułkowników Gyion'a i Lazar'a, żeby go zaatakowali, jeden z północy drugi z południa. Nad temi to dwoma dywizyami naczelne dowództwo objąć miał Bem, ale gdy przyjechał na miejsce operacji, już dwaj węgierscy pułkownicy, manewrując po omacku i tracąc czas na bezowocnych między sobą naradach, dozwolili byli Simoniczowi umknąć w wąwozy karpackie, gdzie ścigać go było już daremnem, i Bem wrócił, nie nie zdziaławszy do Presburga.

Tu zaczyna się ów smutny epizod w historii działań polskich w Węgrzech, o którym tylko co napomknąłem, a który teraz opiszę.

Po wyjeździe Bema na tę pierwszą jego wyprawę w Węgrzech zaszedłem, zwyczajem moim, następnego

dnia około południa do sali w mieszkaniu Kossutha, gdzie zbierali się Węgrzy z jego otoczenia. Wszyscy obiegli mnie, pytając, czy nie widziałem polskiej deputacyi, która przybyła do Presburga i przed chwilą przyjętą była przez prezydenta? Nie o tem niewiedziałem i była to dla mnie wielka niespodzianka. — Węgrzy mnie objaśnili, że jest trzech deputatów; dwóch członków Rad Narodowych ze wschodniej Galicyi trzeci zaś wysłany z Krakowa jest jakąś znakomitością wojskową; że tym deputatom towarzyszy orszak obywateli i oficerów w mundurach ułańskich, a nakoniec, że przybyli w tym samym celu co my, to jest, układać się z Kossuthem o uformowanie legii polskiej w Węgrzech. Nie wymieniono mi ich nazwisk, ale wskazano mi hotel, gdzie mieszkają.

Poszedłem z tą wiadomością do mojego kolegi i uradziliśmy, że w obec takiej deputacyi, rola nasza skończona — lecz że nam należy iść do tych panów i powiedzieć im, na czem stanęły układy nasze z Kossuthem. Udaliśmy się więc do ich mieszkania i zastaliśmy w szczupłym pokoiku hotelowym dwóch z pomiędzy owych deputatów galicyjskich. Jeden był mały człowieczek, szczupły, przedwcześnie osiwiały, mówiący cicho, powolnie, trochę ochrypłym głosem, a po niedługiej rozmowie można było poznać, że należy do bardzo rozrodzonego u nas gatunku safandulów. Drugi był wysoki, ogromnej tuszy, prawdziwy kolos. W oczach jego i na całej twarzy przebiegała wielka inteligencya a ton stanowczy z jakim przemawiał za obudwuch pokazywał od razu, że towarzyszem swoim obraca jak lalką.

Pierwszym był Wysocki, drugim Józef Dierzkowski, członek Rady Narodowej Lwowskiej, którego widziałem

już był na posiedzeniu tejże Rady. Miał na niem mowę, a lubo przedmiot był suchy, mówił nader gładko, płynnie, jędrnie, i podziwiałem w nim ten dar wymowy, tak rzadki w Polsce. Poprzednio czytałem był kilka jego powiastek bardzo udatnych i nimem go osobiście poznać miałem już o nim wyobrażenie, że jest, co nazywają Francuzi: un homme d'esprit, czyli człowiekiem bystrego pojęcia i łatwego dowcipu. Przeszłości jego bynajmniej nie znałem, a tem samem o charakterze jego żadnego wniosku czynić nie mogłem.

Opowiedziałem tym panom treść moich rozmów z Kossuthem i oświadczyłem w imieniu mojem i mojego kolegi, że teraz gdy oni przybyli w solennej deputacyi z Galicyi, my ustępujemy z placu.

— Ale bynajmniej — odezwał się Dzierzkowski — będziemy wszyscy razem składać jedną ogólną deputacyę polską: Wysocki z Krakowa, ja ze Lwowa, Borzęcki z Samborza, a panowie od młodej emigracyi. Zaczęliście bardzo dobrze, prowadźcież rzecz dalej wspólnie z nami.

Powiedziawszy to, podał nam rękę, a Wysocki powtórzył nam jak echo też same oświadczenia.

Co do mnie, to skojarzenie się solidarne z ludźmi, których wcale nie znałem, nie bardzo mi się spodobało wyznając to szczerze; instynkt mój zachowawczy, który mnie dotąd strzegł od wszelkich, improwizowanych stosunków, zażalił się w głębi mojej istoty, jak gdybym go boleśnie zranił, ale nie widziałem możliwego pozoru, żeby się od téj spółki uchylić. Ci panowie przyjechali do Węgier w charakterze deputowanych z Galicyi i w tymże

samym celu, jaki my mieliśmy przed sobą — jakże mogliśmy się odosobniać? Nie było na to sposobu.

Przy końcu naszej rozmowy przybył i trzeci deputat, wyżej wspomniany Józef Borzęcki prezes Rady Narodowej Samborskiej jeżeli się nie mylę, wkrótce po nim zeszli się i obywatele składający orszak panów deputatów, a między nimi ulan jedyny, który w imaginacyi Węgrów w kilku ulanów się pomnożył*). Był to książę Józef Woroniecki. Nazajutrz trzej panowie deputacyi i my dwaj wysłańcy młodej Emigracyi byliśmy razem u Kossutha i oświadczyliśmy mu, że odtąd stanowimy jedną deputacyę polską; Kossuth był bardzo uprzejmym i rozmownym — Dzierzkowski potrafił go nawet kilkoma zręcznemi komplementami w doskonały humor wprowadzić.

Wieczorem zaproszeni przez panów deputatów, byliśmy znowu u nich i zastaliśmy jak poprzednim razem tylko Wysockiego i Dierzkowskiego. Dali oni nam do przejrzienia różne projekta, tyżące się organizacyi siły polskiej w Węgrzech, urządzenia szkoły wojskowej dla młodzieży polskiej i inne podobne elekubacye, po większej części nie na czasie. Nie śmiałem jednak wręcz tego powiedzieć, owszem pochwalilem wszystko aby uniknąć nieskończonej dyskusyi. Wtenczas Dierzkowski wystąpił z wnioskiem, do którego się wnet i Wysocki przyłączył, ażebym ja jako dosyć poufale już będący z Kossuthem, projekta te w imieniu ogólnem przedłożył mu i prosił o spieszłą rezolucyę. Wszedłszy raz już w spółkę z temi

*) Ten mundur ulański był mundurem gwardyi narodowej konnej we Lwowie — ale ta zaledwo z kilku gwardzystów się składała.

panami, trzeba było brnąć dalej — przyrzekłem więc spełnić ich żądanie.

Tu dolożyć muszę szczegół drobiazgowy na pozór, ale który posłuży do wyjaśnienia następstw, jakie z poruczonego mi przez nich zlecenia wynikły. Dierzkowski wyszedł do innego pokoju z papierami, podczas gdy ja rozmawiałem z Wysockim. Po chwili wrócił i oddał mi papiery zwinięte w rulon i starannie obwiązane. Wręczyłem je następnego dnia Kossuthowi w dobrej wierze, że nie więcej w nich się nie zawiera jak owe projekta, które mi do przejrzania dano. Kossuth mi przyrzekł, że wszystko tegoż samego dnia uważnie przeczyta, i oświadczył mi, że nazajutrz wszyscy razem wyjedziemy do Pesztu; przyczem upoważnił mnie zaprosić w jego imieniu tak panów deputatów jak i towarzyszących im obywateli galicyjskich, ażeby wsiedli z nim na jeden statek — A w ciągu drogi, rzekł — przedyskutujemy razem przedłożenia wasze.

Przyszedłszy wieczorem do panów deputatów, zdać im sprawę z mojego widzenia się z Kossuthem znalazłem ich bardzo rozdrażnionych, a przyczyną tego było, że, przechodząc przed godziną koło mieszkania Kossutha, spotkali Bema, który wrócił do Pesztu i siedł do prezydenta. Przewidywali, że Bem wszystkie ich projekta zepsuje i wyrażali się o nim z wielką goryczą, szczególnież też Dierzkowski, który miał z nim jakieś zajście w Paryżu, i od tego czasu cierpieć go nie mógł.

Nazajutrz czekaliśmy wszyscy na Kossutha o naznaczonej godzinie przy statku parowym. Spotkałem tam mojego nowego przyjaciela Tausenau'a, który o mało mi się na szyję nie rzucił. Kossuth przyszedł i skłonił się nam bardzo zimno, jak gdyby nas nie poznał, z nim był Bem,

za niemi Bulharyn i Węgrzy z otoczenia prezydenta; wsiedliśmy wszyscy za nim na statek, lecz Kossuth poszedł do swojej kabiny i zamknął się w niej. Czeakałem napróżno parę godzin, żeby nas zaprosił na rozmowę, jak był przyrzekł. Pokazał się dopiero, gdyśmy przybyli do Komorna gdzie wysiadł i dwie godziny tam zabawił. Gdy wrócił, zasiedliśmy do obiadu; przy toastach Bem powiedział mowę po niemiecku, hucznie oklaskami Węgrów przerywaną — Kossuth mu odpowiedział, ale do nas przez cały ciąg obiadu ani słówka nie przemówił. Widziałem wyraźnie, że coś zaszło, co postawiło między nim a całą naszą deputacją, jakąś lodowatą przegrodę. Co to było? dojść tego chciałem koniecznie lecz czekałem długo jeszcze na sposobność zbliżenia się do niego. Po obiedzie zamknął się znowu w swojej kabynie, wieczorem dopiero wyszedł z niej z miną obojętną człowieka, który swoją pracę dzienną ukończył i chce dać myśli wypoczynek. — Zbliżył się do stołu, przy którym kilku Węgrów grało w karty; podszedłem ku niemu i powiedziałem mu z cicha, że po wszystkich dowodach uprzejmości jego dla mnie, i gdy na jego wyraźne żądanie od piętnastu dni podróżuję z nim, nie spodziewałem się podobnych oznak lekceważenia i niemal wzgardy jaką mi dziś okazuje.

— Pan sam temu winienes — odpowiedział mi sucho.

— Jakto? — krzyknąłem — jakimże sposobem? Kossuth wstał i biorąc mnie na stronę, rzekł:

— Pan mi przedłożyłeś wczoraj dwa nowe warunki do kontraktu tyżącego się legii polsko-węgierskiej. Warunek pierwszy ażebym pana Wysockiego mianował jene-

rałem i dowódcą legii, a żądanie to opierasz na wysokiem i ogólnem poważaniu jakiego pan Wysocki używa w emigracyi, z podwójnego tytułu jako patryota zasłużony i jako oficer, odznaczający się głęboką nauką, znakomitemi zdolnościami wojskowemi i niezaprzeczoną odwagą. Warunek drugi, ażebym p. Dzierzkowskiemu dał przy rządzie węgierskim stanowisko ministra reprezentanta interesów polskich, które to stanowisko ma być odpowiedniem znaczeniu jego, jako członka rady narodowej we Lwowie i sławie, ja kąso biezjednał we wszystkich częściach Polski swoim talentem pisarskim. Owoż dowiedziałem się z bardzo pewnego źródła — nie chciał powiedzieć, że od Bema — iż pan Wysocki jest tylko dawnym podporucznikiem wojska polskiego, i że żadnego tytułu nie ma do tego ogólnego poważania, którym, jak pan mienisz, ma być zaszczytanym w emigracyi; że pan Dzierzkowski nie jest czem innem, jak un *chevalier d'industrie* najgorszego rodzaju, żyjący z wyderkałów, z grubych nawet oszustw i którego prowadzenie się prywatne jest ciągłym skandalem. Nakoniec że ani jeden ani drugi nie są deputatami Galicyi, bo Galicya nie ma żadnego zgromadzenia reprezentacyjnego, mogącego wysyłać gdziekolwiek deputatów w imieniu kraju.

Słuchałem całej téj przemowy z rosnącym zdumieniem.

— Kiedyż ja panu przedkładałem te warunki, o których mówisz — wykrzyknąłem z nader bolesnem uczuciem. Pan się mylisz, ja pana Dzierzkowskiego raz tylko widziałem we Lwowie na posiedzeniu Rady Narodowej i przeszłości jego wcale nie znam, także i pana Wysockiego dopiero tu w Presburgu spotkałem, jakżebym mógł obudwu tak wysławiać.

— Chódźże pan ze mną — rzekł Kossuth tonem zlagodzonym i wprowadził mnie do swój kabiny.

Na stoliku leżały tam papiery, które mu przedłożyłem w przeddzień; z pomiędzy nich wydobył półlarkusik pisma i dał mi go w rękę. Były to owe warunki, które mi przytoczył, ale szerzej rozwiedzone i przedstawione Kossuthowi tak w imieniu tych dwóch panów jako i naszym?

— Więc spytałem Kossutha — to pismo było w jednym rulonie z projektami, odnoszącemi się do legii polskiej.

— Nie inaczej — odrzekł Kossuth — wszystkie te papiery, jak pan widzisz są jeszcze razem.

Ręce mi opadły; pomiarkowałem, że Dzierzkowski, wzięwszy projekta, które przejrzałem, niby dla zwinienia ich i obwiązania sznurkiem, wsunął pomiędzy nie ów półlarkusik zawierający pretensye osobiste obu tych panów, dolożywszy do nich frazes finalny, solidaryzujący mnie i kolegę mojego z nimi. Ale jakże to było powiedzieć Kossuthowi stałem chwilę zmięszany i mileżący.

— Widzisz pan — rzekł Kossuth — co to jest zbyt dobra wiara; można stać się bezwiednem narzędziem jakiejś intrygi, bo widzę aż nadto dobrze, iż pan ani się domyślałeś, żeś mi podał tak wygórowane żądania pana podporucznika Wysockiego, i pana literata Dzierzkowskiego, ale teraz muszę panu powiedzieć, że mając między nami tak znakomitego jenerała polskiego, jakim jest Bem, który zapewne obejmie naczelne dowództwo naszej armii, bez jego porady nie nie postanowimy względem zamierzonego legionu polskiego.

Ukloniłem się na to i wyszedłem, bo nie pozostało mi nic innego do czynienia. W salonie ogólnym zastałem Wysockiego, który siedział odosobniony i czatował na mnie.

— No i cóż? — spytał glosem przytłumionym od wzruszenia, biorąc mnie pod rękę.

Wyprowadziłem go na pokład, gdzie wśród ciemności nocnej mogliśmy mówić bez innych świadków, jak ludzi ze służby statku, którzy się tam snuli.

— Cóżście zrobili, rzekłem; nie tylko żeście sobie samym zaszkodzili, ale bodaj czy nie zniweczyliście całego projektu legionów.

Opowiedziałem mu następnie, co zaszło między mną a Kossuthem, osłaniając ile się dało to, co zbyt boleśnie urazić mogło obu panów deputatów galicyjskich. Wysocki, który był dosyć ograniczonego umysłu i bardzo słabego charakteru, tak, że zawsze ktoś drugi nim kierował, ale gdy był zostawiony samemu sobie, miał natchnienia uczciwe i słuchał, co mu szeptał głos honoru, zaczął wyrzekać i rozpaczać zwalając wszystko złe na Dzierzkowskiego.

— On to, mówił, był autorem owęj noty z wygórowanemi pretensjami i on ją bez wiedzy mojej wsunął między papiery, które pan miałeś podać Kossuthowi. . . . Teraz nie pozostaje mi, dolożył, jak napisać do Kossutha, że chcę być żołnierzem w legione polskim i żadnej innej rangi ani pragnę ani przyjmę.

Gdyśmy kończyli tę rozmowę, ukazała się w cieniu ogromna postać Dzierzkowskiego. Wysocki wpadł na niego z wyrzutami, które on obojętnie przyjął.

— I cóż dalej? rzekł. Stało się, a w Peszcie odpłacimy się Bemowi za jego sztuczkę, bo tam już pełno jest młodzieży, która z nami będzie trzymać.

Wysocki jeszcze czas jakiś się dąsał, ale go Dzierzkowski swoim cynicznym szyderstwem powoli rozbrajał i nim przyjechaliśmy do Pesztu, już go był napowrót pod swój wpływ podgarnął.

W Peszcie, gdzieśmy wszyscy stanęli w jednym hotelu nad Dunajem, zastaliśmy rzeczywiście mnóstwo młodzieży galicyjskiej, z niemi część niecierpliwszą młodej emigracji, która dała się pociągnąć przykładem Galicyanów, nie czekając na znak od nas, i znaczną dosyć liczbę dawnych oficerów Polaków, jednych ze służby austriackiej, drugich nierównie liczniejszych z wojska polskiego z przed 1830 roku. Byli to, o ile sobie przypominam, z artyleryi naszój: Łącki kapitan, Bienicki i Stobiecki porucznicy; z piechoty oficerowie różnego stopnia: Idzikowski, Grochowalski, Czernik, Mateczyński, Żurowski, oraz nie wiem już jakiej broni: Bleszyński, Wierucki, Żółtowski, Korzełliński, Dunowski i inni. Niebawem przyjechali, dawny kapitan czy major kawaleryi Tchórznicki z młodym Janem Alexandrem Fredro, który mu był pod opiekę oddany i Ponjński, dziś generał dywizyi wojska włoskiego a naówczas młody, dymisiowany porucznik austriacki, wyszły ze szkoły inżynierji w Wiedniu.

Mieszkanie nasze stało się jakby kwaterą główną, gromadzących się w Peszcie Polaków. Wszystkim spieszo było formować bataliony, szwadrony, baterje polskie i wszyscy garnęli się nie około Bema, ale, jak to przewidział był Dzierzkowski, kolo Wysockiego i kolo niego, a centralizacya demokratyczna w Paryżu taki urok wy-

wywierała na ówczesną młodzież naszą, że cały ten zastęp, który na początku grudnia już był w Peszcie, uważał Wysokiego za naturalnego, że tak rzekę, dowódcę przyszłej legii, dla tego jedynie, że należał do téj centralizacji; innego bowiem tytułu do tego nie miał; w Dzierzkowskim zaś widział pełnomocnika polskiego w Węgrzech, nie pytając się, czy miał po temu jaki legalny mandat i czy charakterem swoim zasłużył na podobne zaufanie; dosyć było dla tych młodych ludzi, że był członkiem Rady Narodowej we Lwowie i głośnym demokratą. Dodać należy, że niezaprzeczoną wyższością inteligencji i wymowy, zdawał się rzeczywiście do takowej misji nader sposobnym.

Lecz jeżeli zdemokratyzowana młodzież polska, napływająca do Pesztu a za jęj przykładem i starsi ludzie, nawet oficerowie z przed 1831 roku, kupili się około tych dwóch reprezentantów demokracji, to z drugiej strony dla Kossutha, jego ministrów, mianowicie Messarosa ministra wojny i najwięcej wpływowych członków Izby poselskiej węgierskiej Bem był wyrocznią. Było już rzeczą prawie postanowioną, że dowództwo naczelne armii węgierskiej odjęte będzie Görgöjowi i jemu oddane, a Bem przeciwny z zasady formacji legii polsko-węgierskiej, jeszcze zażarcię się jęj sprzeciwiał od czasu, jak się przekonał, że Wysocki pnie się na jęj naczelnika.

Rząd węgierski uległ jego wpływowi tem łatwiej, że sam przez się niezbyt chętnym był wystawieniu pokąźnej siły polskiej w Węgrzech, mając to zawsze na myśli, że ona ściągnąć może Moskali na Madziarów.

Za przybyciem też Kossutha do Pesztu, Messaros, minister wojny zawiadomił Polaków, iż rząd przychylając się do propozycji pierwszej deputacji Lwowskiej, w imieniu

której występowali kapitanowie gwardyi narodowej tego miasta Czernik i Matczyński (oficerowie z 1830 r.), pozwala na uformowanie batalionu, a tymczasowo dwóch kompanij polskich, pod dowództwem wyżej wymienionych kapitanów, tudzież jednego szwadronu ulanów i jednej baterji artyleryji. Przytem rząd pozwala Polakom formować mniejsze oddziały, które będą przyłączane do batalionów węgierskich.

To postanowienie rządowe ubodło niezmiernie Polaków. Dawni oficerowie nasi, pierwsi o niem uwiadomieni, mieli się zejść u nas na naradę. Pochwycilem chwilę, kiedy Wysocki był sam w domu i zacząłem pracować nad nim, żeby nie nakłaniał ich do natychmiastowego zerwania z Węgrami lecz żeby wprzód uczynić krok solenny do Bema i spróbować, czy przemawiając do jego patriotyzmu nie potrafimy go nawrócić na naszą stronę w tej kwestyi legionów, która tak zły obrót wzięła a za jego wdaniem się mogłaby jeszcze inaczej być rozstrzygniętą. Podjąłem się wybadać sam, czyby przyjął Bem i jakby przyjął deputacyę, któraby się w tym celu do niego udała. Wysocki długo się wzdrażał, nakoniec zgodził się na proponowany przezemnie krok, a ja poszedłem wyszukać Władysława Jordana, adjutanta Bema, ażeby mi w tej sprawie pojednawczój dopomógł. Znałem Jordana od kilku dni zaledwo, ale od pierwszej chwili spostrzegłem, że nie był adjutantem dworakiem, że miał charakter niepodległy, trochę sceptyczny, trochę szyderski, lecz mężki i że przedewszystkiem był dobrym Polakiem. Znalazłem go łatwo, porozumieliśmy się prędko i poszliśmy razem do Bema.

Zastaliśmy go nadspodziewanie dobrze usposobionym. Po krótkiej rozmowie powiedział mi:

— Przyjdźcie do mnie, będę wam bardzo rad i roztrząśniemy razem co jest za i przeciw legii polsko-węgierskiej. Niech przyjdzie i Wysocki, nie jako centralizator, bo z takim do czynienia mieć nie chcę, ale jako młodszy do starszego, jako niższy oficer do generała, a przyjmę go z otwartymi rękami.

Wróciłem do domu przed naradą, o której wyżej nadmienilem i w skutek rozmowy mojej z Bemem, którą Wysockiemu i Dzierzkowskiemu opowiedziałem, naradzano się już tylko nad tem, czy iść do niego czy nie iść? Wszyscy zgodzili się na to, żeby pięciu czy sześciu z nas poszło do niego w imieniu wszystkich Polaków, będących w Peszcie. Dzierzkowski proszony, żeby należał do téj deputacyi wymówił się, ale nazajutrz, gdy deputaci, w których liczbie i ja byłem, zgromadzili się i gdyśmy już mieli iść do Bema, wziął on Wysockiego na stronę i uzupełniając zapewne lekcję, którą mu dał był w cztery oczy, rzekł dosyć głośno:

— Pamiętajże Wysocki, żebyście nie dali się Bemowi otumanić, trzeba z nim trzymać się hardo, przypomnieć mu legiony portugalskie i zagrozić, że jeżeli nam będzie przeszkadzał w formowaniu legionów w Węgrzech, to zaprotestujemy we wszystkich pismach publicznych przeciw jego postępowaniu i wykazemy, że gdy chodziło o jego prywatne korzyści nie wahał się frymarzyć krwią polską a teraz, gdy z kwestyi węgierskiej wywinie się prawdopodobnie kwestya polska, nie chce, żebyśmy byli gotowi do walki.

— No, bądź spokojny, odrzekł Wysocki, będę ja wiedział, co mu powiedzieć — i tak nastrojony poszedł z nami.

Bem uprzedzony o naszej wizycie, czekał na nas, przyjął bardzo uprzejmie, podał nawet rękę Wysoc-kiemu.

— Jesteśmy tu panowie en famille, rzekł do nas, i zaczęła się rozmowa poufała i ożywiona.

Jenerał nam powiedział, że nigdy nie był stanowczo przeciwny legionom, ale nie chciał, żeby je formowano od samego początku kampanii węgiersko-austriackiej a to z wielu przyczyn. Mianowicie, żeby przy organizowaniu armii węgierskiej nie wprowadzać w nią rozdzielenia a ztąd anarchii, następnie, żeby nie ściągnąć przedwcześnie Moskali na Węgry, наконец, żeby nie podać się w nienawiść Słowianom, których przez tyle lat staraliśmy się ująć sobie i których powinniśmy łagodnie doprowadzić do zgody z Węgrami. Zdaniem jego lepiej jest uformować jeden tylko batalion polski i małe oddziały, porozrzucane po armii węgierskiej, któreby powoli wcielano do tego batalionu i tym sposobem batalion wyrósłby niepostrzeżenie na legion, a legion na armię polską.

Zbijaliśmy ten system różnemi argumentami, szczególnież tem, że zostawiłby nas na łasce Węgrów, i że młodzież polska nie rozumiejąc takiej, trochę zawikłanej polityki, rozeszłaby się z Węgier, zniechęciła w kraju innych młodych ludzi gotowych biedz pod chorągiew polską, i w skutku tego nie byłoby może ani jednego polskiego batalionu.

Tu Wysocki wysunął się niezgrabnie z przypomnieniem legionu portugalskiego i Bem wpadł w zły humor.

— Och! ten legion portugalski c'est toujours votre cheval de bataille, odezwał się cierpko i zaczął usprawiedliwiać ten nieszczęsny koncept, lecz

rozmowa zwróciła się niebawem znowu do legionu polsko-węgierskiego.

Bem oświadczył nam, że skoro życzeniem ogólnem jest, aby taki legion był bez zwłoki utworzonym, obowiązkiem jego jest przyłączyć się do ogółu, pod warunkiem wszelako, że legion ten będzie uorganizowany dawnym trybem wojskowym, a nie na zasadzie demokratycznej wyborów na oficerów i podoficerów. Wszyscyśmy się na to zgodzili, prócz Wysockiego, który milezał. Jeden głos się odezwał, żeby choć dowódzca legionu był wybrany ogólnem głosowaniem.

— Niechże będzie wybrany, odrzekł Bem, ale wyłącznie przez tych, którzy do legionu mają należeć — chodziło mu zapewne o to, ażeby Dzierzkowskiego od głosowania wyłączyć.

Zgodziliśmy się i na to i już zabieraliśmy się pożegnać generała, gdy Wysocki, który nie chciał odejść, nie wyrecytowawszy swojej lekcji, wystąpił z napomnieniem do Bema mniej więcej w tych słowach: Niechże generał przyrzeczenia swojego nie zapomni, bo inaczej będziemy protestowali i uczynimy generała odpowiedzialnym przed narodem i światem całym za zniweczenie nadziei, które budowaliśmy na sprawie węgierskiej.

Bem nie dał mu skończyć — twarz jego zwykle błada i zimna, przybrała wyraz zajadły.

Takim zapewne był w ogniu bitwy, gdy w Siedmiogrodzie sam jeden rzucił się na działa nieprzyjacielskie; uderzył ręką w stół.

— Tak! krzyknął, protestować, szkalować, szarpać najzasłużeńsze reputacye, to wasze rzemiosło! protestujcież

więc i szkalujcie! ja z wami już nie mam do czynienia, idźcie precz! . . .

Nie było podobna naprawić złego, które głupstwo Wysockiego zrządziło. Wyszliśmy ze smutkiem w duszy. Wysocki tylko był pyszny, jakby dopełnił wielkiego obywatelskiego obowiązku! W jaki sposób zdał sprawę Dzierzkowskiemu z widzenia się naszego z Bemem i co uradzili we dwóch, tego nie wiem, lecz następnego ranka usłyszałem gwar idący crescendo w naszym wspólnym salonie. Zajrzałem tam. Była to młodzież nasza, która się gromadziła na wezwanie, zapewne Wysockiego; niektórzy byli już w mundurach kompanij polskich, które im w przeddzień rozdano. Gdy już salon i korytarze były napelnione, ukazali się dwaj wrzekomi deputaci galicyjscy. Wysocki powiedział mowę do młodzieży tonem zimnym, ale żółć się z niej lała. Była to ciągła diatryba na Bema, którego wystawiał jak intrygantą, myślącego zawsze i wszędzie tylko o swoich osobistych korzyściach, na dowód czego przytaczał ową starą i oklepaną historję legionu portugalskiego, a przystępując do okoliczności obecnych, oskarżał go, że nie wiedzieć w jakich widokach sparaliżował dobre chęci rządu węgierskiego dla Polaków i w niwecz obrócił projekt legionów polsko-węgierskich. Zakończył radą, ażeby młodzież opuściła Węgry, bo nie godzi się Polakom służyć obcym, wprost tylko jako żołdactwo najemne.

Słowa te wywołały między tym tłumem młodych ludzi oburzenie niezmierne; wyszli wymyślając na Bema i złorzeczając mu; tegoż samego dnia kilkunastu ich opuściło Peszt, ażeby się przemknąć na powrót do Galicyi; ale znalazł się jeden, który postanowił zemścić się za

wszystkich. Safandula Wysocki ani się domyślał zapewne, że w jego wyuczonej mowie jeden z jego słuchaczy wy-czerpnie myśl zabójstwa.

W rzeczy samej w parę godzin po zebraniu, o któ-rem tylko co mówiłem, młody jeden galicyanin nazwiskiem Ksawery Kołodziejski zjawił się u drzwi Bema pod po-zorem, że przychodzi w ważnym interesie. Jenerał kazal go wpuścić, Kołodziejski zbliżył się na dwa kroki do niego i dobywszy znienacka pistolet, który trzymał w kie-szeni, wystrzelił zeń. Kulka utkwila w kości policzka jenerała. Jordan przytomny téj scenie dobył palasza i chciał porąbać zabójcę, ale go Bem wstrzymał i pochwyciwszy Kołodziejskiego za kołnierz, krzyknął na służącego, żeby zawołał policję.

Wiem czyja to sprawa, rzekł do Jordana, ale trzeba, żeby to sąd sprawdził.

Kilku policyantów przybiegło, ujęło młodego zabójcę i tegoż samego dnia oddany został pod sąd marcyalny.

Jak tylko wiadomość o tym zamachu rozeszła się między młodzieżą polską, zebrała się ona natychmiast na naradę i postanowiła Kołodziejskiego ratować wszelkiemi środkami, a Bema zabić moralnie. Młodzież ta składała się, jak już nadmienilem wyżej, w większej części z galicyanów, znających dobrze język niemiecki, którym prze-ważnie mówiono w Peszcie, to jój dawało możność poru-szenia w téj sprawie opinii publicznej po swojej myśli. Jedni z tych młodych ludzi rozbiegli się po biurach gazet, drudzy po kawiarniach, winiarniach i innych miejscach publicznych, a hasłem jednych i drugich było głosić, że Bem jest człowiekiem nader niebezpiecznym tak dla Polaków jak i dla Węgrów, że ciężą na nim zdrady

z r. 1831, — nie wahali się zmienić w zradę świętego czynu, którym zbawił armię naszą pod Ostrolęką, — że w emigracji życie jego było ciągiem intryg i pan Bóg wie co jeszcze. Co zaś do Kołodziejskiego wystawiali go jak bohatera, który się poświęcił, ażeby Węgrów i Polaków ustrzedz od niechybnej zrady.

Nazajutrz Kołodziejski doraźnie osądzony, był wystawiony pod pręgierzem, a w 24 godzin później miał być rozstrzelany, ale wszystkie gazety, które wyszły rano, uniewinniały go, a potępiały Bema, powtarzając to, co głosiła młodzież.

Młody winowajca stawiony pod pręgierzem, okuty w kajdany był przedmiotem ciekawości powszechniej, tłumy ludu cisnęły się, ażeby mu się przypatrzeć. Był to młodzieniec małego wzrostu, trochę zsiadły ale twarz miał piękną, męską, z zawiesistym wąsem, a na niej ani cienia obawy lub wyrzutu; wyraz jęj był pogodny, śmiały, tryumfujący. Nie trudno mu też było przy pomocy dzienników i ciąglem adwokatowaniu współziomków całą publiczność przeciągnąć na swoją stronę. Gdzież publiczność nie daje się pozorami uwodzić?

Po południu nie można już było przecisnąć się do Kołodziejskiego, tak nabity był ludem plac gdzie on był wystawiony pod pręgierzem, a krzyki Elien na cześć jego nie ustawały. Krzyczano nawet przed palacem prezydencji „precz z Bemem! niech żyje Kołodziejski.“

Rząd uląkł się tego wybuchu opinii, kazał Kołodziejskiego z pod pręgierza uprowadzić, przetrzymano go kilka dni w areszcie i wypuszczono na wolność *).

*) Wysocki przyjął go do batalionu piechoty polskiej w Aradzie.

Zarazem rząd widział się zmuszonym odstąpić od zamiaru powierzenia Bemowi naczelnego dowództwa armii. W obec tak źle uprzedzonej przeciw niemu opinii stało się to niepodobnem.

Nie dosyć na tem. Rząd chcąc także i nieukontentowanie Polaków ulagodzić, mianował Wysockiego dowódcą dwóch formujących się kompanij polskich z rangą majora i do tych kompanij przyłączył szwadron ulanów i baterię artylerji, lecz w myśli Kossutha, jak się to niebawem pokazało, było pozbyć się jak najprędzej Polaków z Pesztu. Postrzegł on, że duch niezgody jeszcze nas nie opuścił i niestety! zapewne tak prędko jeszcze nie opuści, bo ma głębokie korzenie w charakterze indywidualnym każdego z nas. U nas to szczególniej co głowa, to rozum; tak zawsze bywało i tak jest jeszcze dzisiaj. Jednak po pierwszych bitwach przekonał się Kossuth, że ten duch niezgody ma swoją przeciw-wagę w bohaterstwie Polaków do wszelkich poświęceń gotowem, którego w sprawach nie dotyczących nawet bezpośrednio ojczyzny dawali dowody we wszystkich czasach.

V.

Nadzieje z jakimi przyjechałem do Węgier osłabły były bardzo po wypadkach, których byłem świadkiem poczynawszy od ucieczki Węgrów z pod Schwechat a skończywszy na zamachu Kolodziejskiego na Bema. U ludzi mojego pokolenia — zwłaszcza u najmłodszych między nimi — źródłem złudzeń, które ich na smutne rozczarowania narażyły tak w Węgrzech w 1848 r., jak we Francyi w r. 1870, gdy się wmięszali w tok wypadków, były wspomnienia naszego Listopadowego powstania. Myśleliśmy że wszędzie gdzie naród występował do walki w obronie swoich praw lub swojego honoru znajdziemy tenże sam zapał ogólny — to zrzeczenie się wszelkich osobistych celów — to poświęcenie się bezwarunkowe sprawie narodowej, jakie widzieliśmy w r. 1830 i 1831 w Polsce. Owoż w Węgrzech trochę odmiennie się działo. Arystokracja i posiadła szlachta w małej tylko liczbie przyłączyły się do ruchu rewolucyjnego. Masy nie rozu-

miały po większej części o co chodzi — zaciągały się do honwedów i szły do walki na słowo Kossutha — ale bez entuzjazmu. Oficerowie zaś — zarówno ci, którzy dawniej już służyli wojskowo a tych było bardzo niewiele — jak i ci, którzy rozpoczynali w tej wojnie zawód wojskowy, pojmowali sprawę węgierską nie inaczej tylko jako grę, w której zyskać mogli stopnie pułkowników, generałów, ba nawet i wielki los — to jest buławę wodza naczelnego. Kossuth jeden był uosobieniem czystego patryotyzmu Węgierskiego. Na nieszczęście nie miał ani dosyć bystrego oka, ażeby się na ludziach łatwo mógł poznać i ustrzedz od intryg, które się koło niego knuły, ani dosyć silnej woli, żeby trzymać na wodzy charaktery niesforne i hamować nierozważne popędy tłumów. Wszystko to już było widocznem w chwili do której zaszedłem w mojem opowiadaniu i wielce ostudziło moje współczucie dla węgierskiej sprawy, ale był jeszcze inny szkopał, o który się rozbijały moje nadzieje jako Polaka. Widziałem, że Węgrzy w okolo Kossutha nie radzi byli uformowaniu siły polskiej w ich kraju i zespoleniu dwóch spraw. Zdawało mi się, że i Kossuth przechyła się na ich stronę a po krwawym zamachu Kołodziejskiego i postępowaniu większej części młodzieży Polskiej w Peszcie w tej okoliczności, sądziłem, że wszystkie zachody, aby nawrócić go do naszego projektu byłyby nadaremne; uważałem też misyą moją jako chybioną i chciałem, jakimkolwiek sposobem wydostać się z Węgier, uwiadomić młodą emigracyę o stanie rzeczy w tym kraju i samemu przeczekać w jakim spokojnym zakątku do końca burzy; potem wrócić do kraju, jeżeli by to być mogło nie pociągając za sobą epizodu mniej

więcej długiego w cytadeli Warszawskiej — lub podróży przymusowej w lodowate kraje.

W tej myśli napisałem do Kossutha list pożegnalny. Nazajutrz otrzymałem od sekretarza jego F. Pulskiego bilecik z uwiadomieniem, że prezydent prosi mnie do siebie na chwilę rozmowy w południowej godzinie. — Poszedłem do niego — przyjął mnie z tą miłą uprzejmością, jaką mi dawniej okazywał na statku parowym wciągu podróży naszej pod Wiedeń. Dlaczegoż pan chcesz z Węgier wyjechać? spytał mnie. Odpowiedziałem mu, że główną tego przyczyną jest rozchwianie się projektu, za którym przyjechałem. — Mylisz się pan, rzekł, ten projekt nie jest bynajmniej rozchwiany. Legiony Polskie będą w Węgrzech — daje panu na to moje słowo — tylko przyjeśliśmy w znacznej części rady Bema jako rozstropne i bardzo praktyczne. Formujemy na teraz tylko dwie kompanie Polskie bo dla tych dwóch kompanij Rossya nam wojny zaraz nie wypowie, a gdybyśmy ogłosili, że formujemy legiony Polskie, byłby to niewątpliwie casus belli. Skoro zaś te dwie kompanie będą umundurowane i uorganizowane wyślemy je na prowincję a w Peszcie rozpocznie się po cichu organizacya dwóch nowych kompanij, i tak dalej. Mówilem o tem z pułkownikiem Bulharynem, który jest stary żołnierz, poczciwy człowiek, wolny od tych stronniczych uprzedzeń i namiętności, które z emigracyi wieją na młodzież Polską w kraju — on będzie ciągłym organizatorem tych kompanij Polskich, jedna po drugiej. Przytem wszystkie oddziały Polskie piechoty, kawaleryi i artyleryi, które z początku rozrzucone będą po wojsku Węgierskiem w danym czasie połączą się z uformowaną już legią;

tym sposobem stanie korpus Polski, gotowy rzucić się na tyły Moskali w razie gdyby wkroczyli do Węgier i wywołać powstanie w Galicyi i w Królestwie. — Oto mój plan.

Zmięklek po takim wyjaśnieniu rzeczy, chwyciłem rękę Kossutha i ścisnąłem ją serdecznie. „Widzisz pan — powiedział mi — że nie miałeś żadnego słusznego powodu do zniechęcenia się. Ja zaś liczyłem i liczę na pana, że zechcesz oddać wielką usługę sprawie Węgierskiej a tem samem i sprawie polskiej podejmując się misji do Francji o której mówiliśmy dawniej — Ja o niej myśleć nie przestałem i owszem dziś nierównie więcej przywiązuję do niej wagi, niżeli wtenczas, kiedy pierwszą myśl jej powziął w ciągu podróży naszej na Dunaju, bo od tego czasu trudności i niebezpieczeństwa ogromnie się wzmogły wokół nas“.

Na to wezwanie tak podehlebne odpowiedziałem Kossuthowi iż skoro sądzi, że mogę podwójnej sprawie Węgierskiej i Polskiej użytecznie posłużyć, gotów jestem jechać do Francji i dołożyć wszelkich usilności, ażeby godnie odpowiedzieć jego zaufaniu.

Wtenczas wytłumaczył mi szczegółowo czego żąda odemnie. Najprzód co się tyczy werbowania dawnych oficerów polskich do służby Węgierskiej powtórzył mi, że należy mi się znosić z hr. Telekim posłem Węgierskim w Paryżu, prócz dwóch osobistości, które mam w jego własnem imieniu uprosić, ażeby talenta swoje sprawie Węgierskiej poświęciły, to jest generałów Dembińskiego i Mierosławskiego. Pierwszemu ofiaruje znaczne dowództwo, prawdopodobnie naczelne armij Węgierskiej, drugiemu rangę pułkownika w sztabie głównym z per-

spektywą, że może prędko wyżej postąpić, jeżeli okaże zdolności odpowiednie wyższemu stanowisku. Co do drugiego interesu, o którym także dawniej mi już mówił, to jest sprowadzenia do Węgier broni zakupionej w Anglii i w Belgii, prosił mnie żebym hr. Telekiemu zawiózł te ustne instrukcje: 1) że dziś nie ma innej drogi dla sprowadzenia tej broni jak morzem do portu kroackiego Fiume, gdzie naprzeciw tej wysyłki — jeżeli będzie o niej zawczasu uprzedzonym — wyprawi Perczela z korpusikiem partyzanckim; — 2) że na tymże samym statku możnaby wyprawić oficerów polskich i młodych ludzi z nową emigracyi, którzy by chcieli jechać do Węgier i że tych ostatnich należałoby uzbroić na morzu, ażeby za wylądowaniem w Fiume mogli w połączeniu z korpusem Perczela bronić transportu; — 3) że ponieważ według wiadomości przed kilkoma już tygodniami otrzymanych przez rząd Węgierski, Piemont gotuje się do nowej wojny przeciw Austrii, jest więc bardzo prawdopodobnem, że z chęcią by użyczył statku wojennego na przewóz broni i emigrantów polskich, bądź z Marsylii, bądź z Genuy lub z portu Spezia do Fiume byleby hr. Teleki dołożył potrzebnych po temu starań — w czem i ja mogłbym mu być pomocnym — a hr. Teleki usługi moje bez wątpienia z wdzięcznością przyjmie.

Kossuth dołożył, że jeżeli mi nie daje instrukcyi pisanych dla posła Węgierskiego, to przez ostrożność konieczną w interesie tak wielkiej wagi, ale mi da list do mnie wystósowany w takich słowach, że mu zaufać każe wszystkiemu co mu powiem. W końcu uprzedził mnie, że nie będę mógł wyjechać prędzej jak za 8 lub 10 dni ponieważ on pierwój widzieć się potrzebuje

z Perczelem, —naówczas nie obecnym w Peszcie i naradzić się z nim, w jakich warunkach przetransportowanie broni, o którą mu przedewszystkiem chodziło, byłoby możebnem z Fiume do Pesztu — przytem złożyć chce jeszcze radę z ministrami czy nie ma innych interesów do załatwienia we Francyi i w Anglii, wszystkie zaś te kwestye wymagają namysłu.

Wróciwszy po téj długiej rozmowie z prezydentem Węgier do mojego mieszkania rozważałem na zimno położenie w jakim mnie rezultat jój postawił. Puszczając się na drogę politycznych awantur, bez wielkich złudzeń, mianowicie co do patryotyzmu Węgrów i energii Kossutha — jak się już poprzednio pod tym względem rozpisałem — i wiedziałem dobrze, że w razie gdybym był schwytany w przeprawie przez Galicyą będę niechybnie rozstrzelanym lub powieszonym podług praw marcyalnych a gdybym się ustrzegł podobnego niebezpieczeństwa — jeżeli sprawa Węgierska upadnie, to zostanę tułaczem. Lecz parę tysięcy Polaków było już wplątanych w sprawę węgierską i sprawy téj nie miałem żadnego gruntowego powodu uważać za straconą ani nawet za niebezpiecznie zagrożoną. Rząd austriacki nie miał stałego gruntu pod nogami, na żadnym bowiem z ludów monarchii polegać nie mógł; przytem najrozmaitsze wpływy nim miotaly, a armia, która pozostała mu była wierną trzymała się biernie, od zajścia pod Schwechat jakby nie czuła się na siłach Węgom podolać bez znacznego wzmocnienia się. Korzystając z téj przerwy w kampanii, Węgrzy przygotowywali się dosyć czynnie do odporu. W takich okolicznościach generał energiczny, śmiały i zręczny za jakiego uważanym był Dembiński i kilkudziesię-

sięciu oficerów Polskich sprowadzonych z Francyi mogli przeważać szalę wojny na stronę Węgier; zwłaszcza że Piemont gotował się do nowej wojny z Austryą, która ogromną dywersyę zrobić mogła na ich korzyść.

Z tych wszystkich względów wycofać się ze sprawy Węgierskiej, gdy sposobność mi się nastęczyła być jęj użytecznym byłoby wprost zbiegostwem. Nie przeszło mi też to wcale przez myśl. Po rozwadze jak i przed rozwąą byłem zrezygnowany, stawić życie moje na grę w tęg misyi hazardownęj, którą mi Kossuth poruczał. Wysocki przed którym zataić nie móglem, że jadę do Francyi i w jakim celu — byłoby to bowiem niesłuszną podejrzliwością z mojęj strony — nalegał na mnie, ażebym za przybyciem do Paryża zniósł się z centralizacyą demokratyczną, która, mówil mi, przedstawia większość emigracyi i najenergiczniejsze jęj żywióły. Przyrzekłem mu to, bo ani wtenczas, ani później do żadnego stronnictwa nie należałem i pewny byłem, że wszystkie pod chorągwią Polską łatwo się połączą. Zresztą potrzebowałem się zetkać z centralizacyą, choćby ze względu na Mierosławskiego, którego ściągnąć miałem do Węgier. Nadmienilem o tem Wysockiemu. — Rozśmiał się. — Byleby Mierosławski rzekł mi nie chciał swoich wynalazków wojennych, swoich kozłów i barykad przenośnych, zastósowywać w Węgrzech, bo okryłby śmiesznością siebie i nas. W ogóle sąd jego o tem współzawodniku swoim do hetmańskięj demokratycznęj bulawy nie był wcale podchlebny.

W parę dni po mojem widzeniu się z Kossuthem spotkałem Wl. Jordana. Zbliżył się do mnie i podając mi rękę rzekł z ironicznem uśmieclem: „Jedziesz do Francyi

werbować jenerałów naszych dla ocalenia Węgier.“ Przyznałem mu, że tak jest i nie potrzebowałem się pytać z kąd miał tę wiadomość; widocznem było, że od Bema, który był jeszcze w Peszcie i zawsze w zażyłości z Kossuthem. Szliśmy czas jakiś razem, Jordan ciągle mi o misyi mojej mówił w sposób żartobliwy — nagle odezwał się — wiesz co najzabawniejszego w tem, oto że i ja jadę do Francyi w takijże samėj misyi. Jakto spytałem zdziwiony, także od Kossutha? Nie, odpowiedział mi, od Bema. Ach rozumiem, rzekłem, Bem myśli, że ja samych demokratów chcę nasłać Węgrom. Widział mnie ciągle z Wysockim i Dierzkowskim i zapewne sądzi, że z nimi trzymam ściśle. Nie inaczej, odrzekł, i wybić mu tego z głowy nie mogłem. Mniejsza o to, powiedziałem i owszem, wierz mi, że cieszę się bardzo, że cię wysyła gdyż co by się mnie samemu nie udało, to nam dwom może się udać działając zgodnie. Jordan podobnie jak ja nie był człowiekiem partyi. Zgadzaaliśmy się dosyć we wszystkim. Przysiękliśmy też sobie nawzajem, że jeden bez drugiego nie nie pocznie.

Upłynęło jeszcze kilka dni, w ciągu których slyszalem Kossutha mówiącego w Izbie Węgierskiej ze zwykłym skutkiem, naprzemian, najgorętszego entuzjazmu i najserdeczniejszego śmiechu w całej izbie, stósownie do tego, czy poruszał jęj struny patryotyczne — czy zabawiał ją żartobliwemi uwagami, następnie byłem obecny przy poświęceniu Polskiej chorągwi.

Miły to był obrzęd dla serca Polskiego. Dwie kompanie Polskie pięknie umundurowane — po kilku tygodniach ćwiczeń — marszerowały dobrze — robiły bronią niezłe a żwawe ruchy tój młodzieży i jęj fizionomie

inteligentne tchnące zapalem i odwagą odznaczały ją wśród batalionów Honwedów — jak prawdziwie rycerską falangę.

Obie kompanie uszykowały się na placu przed muzeum wśród ogromnego tłumu ludu. Wkrótce przybyła uproszona na matkę chrzestną chorągwi, w zastępstwie chorągwi żony Kossutha, siostra jego pani Ruthkay, otoczona w swoim powozie licznym orszakiem oficerów Węgierskich. Muzyka wojskowa węgierska zagrała mazurę „Jeszcze Polska nie zginęła“. Straż chorągwianna przyniosła pani Ruthkay chorągiew, na której pierwszy świeczek przybiła, Węgrzy z jej orszaku przybili inne. Nastąpiła cisza, Ksiądz poświęcił solennie nasz znak narodowy, pod którym dzielna młodzież Polska miała iść do walki — poczem matka chrzestna wzięwszy go w rękę, oddała go straży chorągwiannęj, wyrażając życzenie, ażeby prowadził Polaków do zwycięstw, do chwały i do odzyskaniej ojczyzny. Na zakończenie Dzierzkowski miał mowę do młodych wojaków jak zwykle bardzo udaną i powiedzianą głosem donośnym i dźwięcznym.

Czekałem już tylko na dopełnienie tego obrzędu, ażeby się puścić w drogę ku Francji. W przeddzień wezwał mnie był Kossuth i wręczył mi list do mnie adresowany i odnoszący się do mojej misji. List ten podpisany był przez F. Pulskiego, świeżo mianowanego ministrem spraw zagranicznych na miejsce generała Kaźmierza Bathyaniego, który przeszedł do służby czynnej w armii. Dał mi zarazem drugi list, podpisany przez ministra spraw wewnętrznych do komisarza politycznego*)

*) Ci komisarze z rozległą władzą ustanowieni byli przez Kossutha.

w miasteczku nadgranicznem Kesmark u stóp Tatrów, ażeby mi wszelkimi możliwymi środkami ułatwił przejście granicy między Węgrami a Galicyą. Wziąwszy te papiery pożegnałem z żalem naczelnika rządu Węgierskiego, do którego szczerze się przywiązałem, a którego już więcej widzieć nie miałem, i nazajutrz wyjechałem z Pesztu dyliżansem, w towarzystwie Dzierzkowskiego i dawnego kolegi mojego Kwiatkowskiego, który zniechęcony wszystkim, co widział i słyszał w Węgrzech wracał do Galicyi. Obudwom Kossuth dostarczył dosyć hojnie funduszu na drogę.

Jechaliśmy aż do Preszowa tymże samym traktem, którym przyjechałem do Pesztu. W Preszowie poszliśmy odwiedzić znajomego nam Polaka tam osiadłego. Zastaliśmy u niego Łabęckiego emigranta *), który trzymał dzierżawkę nie daleko Preszowa pod samemi Tatrami i żył w niej z żoną i kilkorgiem dzieci. Zaprosił on nas do siebie na wieczerzę i nocleg w sposób tak serdeczny, żeśmy mu odmówić nie mogli i pojechaliśmy z nim razem. W dworku jego drewnianym, bardzo skromnym ale dosyć obszernym, gościło już kilku Polaków. Razem było nas gości siedmiu lub ośmiu i uraczał nas czem miał pod sercem — tak bywało u niego ciągle, od początku poruszenia Polskiego w sprawie węgierskiej. Dom jego był istnym karawanserajem dla przechodzących z Galicyi do Węgier i z Węgier do Galicyi, ale ta gościnność zrujnowała go ze szczytętem i później widziałem go we Francyi w ciężkiej biedzie.

*) Było kilku emigrantów tego nazwiska, jedni byli jego braćmi, drudzy tylko imiennikami.

Dowiedziawszy się on, że jadę z misją do Francyi i mam się przemykać przez Galicyą, wziął mnie na stronę i powiedział mi: „Niepotrzebujesz wlec się przez Galicyę rzemiennym dyszlem od obywatela do obywatela, narażając się na to, że w nie jednym miejscu źle cię przyjąć mogą, albo nawet odprawić z kwitkiem, co by cię postawiło w nader niebezpiecznem położeniu. Ja mam stryja mieszkającego kilka mil od granicy Węgierskiej ku Krakowowi — jest to najpocziwszy człowiek na świecie, do którego ci dam list. Dostań się tylko do niego a możesz być pewnym, że cię przyjmie jak ojciec i odeśle do samego Krakowa“.

Podziękowałem mu szczerze za tę przysługę. Przenocowałem u niego jakby w obozie, bo wszyscy razem leżeliśmy pokotem na sianie w dwóch izbach i nazajutrz gdy się żegnał z nim, jego rodziną i zgromadzonemi u niego Polakami, dał mi przyrzeczony liścik do swojego stryja a ja schowałem go starannie jakby jaki talizman. Wkrótce pokaże się, na jak okropne niebezpieczeństwo wystawił mnie właśnie zacny Łabęcki swoim optymizmem, myśląc, że każdy ma równie złote serce jak on.

W domu Łabęckiego zostawiłem moich dwóch towarzyszyw podróży i pojechałem sam do miasteczka Kesmark. Jest to punkt ważny na drodze handlowej z Węgier do Krakowa i do królestwa kongresowego. Są tam wielkie składy wina, komora celna i obszerne domy zajazdne. Przybywszy do tego miasta udałem się natychmiast do komisarza politycznego i wręczyłem mu list urzędowy dany mi przez Kossutha. Komisarz przeczytawszy go uważnie rzekł mi: „Uczynię wszystko co będę mógł, aby panu przejście granicy ułatwić, ale nie mogę mu

zataić, że zadanie jest trudne. Granica Galicyjska jest strzeżona przez trzy kordony mniej więcej uzbrojone. W pierwszej linii stoją zwykli strażnicy pograniczni (Gräntzjäger), których liczba ogromnie powiększoną została ostatnimi czasy. Ci pilnują wszystkich dróg, ścieżek i zajmują wszystkie wyniosłości tak, że jeden drugiego widzi i kontroluje. — Za nimi rozstawiony jest Landsturm chłopski, w trzeciej zaś linii są komendy wojskowe we wszystkich miasteczkach i znacniejszych wsiach, a patrole ciągle chodzą od jednej do drugiej komendy. Każdy przejeżdżający lub przechodzący granicę prowadzonym jest pod eskortą strażników granicznych do takiej komendy gdzie pokazać musi swój paszport i usprawiedliwić się zkąd, dokąd i w jakim interesie się udaje. Nie dosyć na tem, w całej Galicyi chłopci otrzymali nakaz, aby każdego podróżującego, który by nie był im znanym, chwyтали i odstawiali do najbliższej komendy wojskowej; mają obiecaną nagrodę w razie schwytania emisariusza lub emigranta, co przy znanem usposobieniu chłopów waszych jest dla nich bardzo pożytecznym polowaniem. Ażeby wszystkich tych niebezpieczeństw uniknąć widzę tylko jeden sposób, a ten jest wyprawić pana z pierwszym transportem wina, który z tąd wyjdzie do Krakowa. Kupiec i agent towarzyszący wysylce są mi dobrze znani — ułożę rzecz całą z tym ostatnim i dam panu paszport jako pomocnikowi agenta. W tym charakterze zajedziesz bezpiecznie i spokojnie aż do samego Krakowa. Lecz transport nie wyjdzie ztąd prędzej jak za dni piętnaście.

Och! wykrzyknąłem piętnaście dni czekać nie mogę. Wprawdzie zwłoka ta nie mogła bardzo zaszkodzić mojej

misji, ale byłem jeszcze młody, nie przyuczony do cierpliwości i perspektywa przesiedzenia 15 dni w małej Węgierskiej mieścinie była dla mnie tak odstraszająca, że m w mawiał w siebie iż mi honor nie pozwala czekać tak długo, jedynie przez wzgląd na własne moje bezpieczeństwo.

Komisarz snać trochę urażony, że m bez namysłu odrzucił jego projekt — rzeczywiście praktyczny — powiedział mi sucho, że skoro mi chodzi o to, żeby bezwzględnie przejść granicę, to mi da przewodnika, który mnie przeprowadzi przez góry, zarośla i lasy — tylko trzeba mi będzie drapać się po skalach — a w miejscach odkrytych czolgać się. Nie nśmiechało mi się to wcale i spytałem go, czy nie ma innego jeszcze sposobu — pośredniego między dwoma które mi podawał, bo po skalach drapać się nie potrafię. Komisarz się uśmiewał i po chwili namysłu rzekł. Jest jeszcze jeden, tylko naradzić się nad nim musimy z pewnym obywatelem Galicyjskim nadgranicznym, który szczęściem dla pana jest właśnie w tój chwili w Kesmarku, gdzie przyjechał dla widzenia się z synem swoim, żołnierzem z polskiego batalionu przybyłym z Pesztu. Chodźmy do niego. Poszliśmy do wielkiego zajazdnego domu, gdzieśmy zastali owego obywatela i jego syna. Komisarz opowiedział mu mój interes a potem swój projekt, który był następujący. Jutro, powiedział, jest dzień targowy w Nowymtargu, dokąd się wybiera, jak zwykle, dużo chłopów z tój strony granicy. Pod pretekstem targu może i pan ten — wskazując na mnie — przejść granicę, ma się rozumieć stósownie przebrany. Dam mu paszport i oddam go pod opiekę znajomego mi gospodarza, na którego włożę ciężką odpowiedzialność za

jego osobę. Oto jest wszystko, co mogę w téj okoliczności uczynić. Ale to nie dosyć; zachodzi jeszcze pytanie, gdzie chłop ma tego pana zaprowadzić przeszedłszy Nowy-targ i jakim sposobem odstawić mu wszystkie rzeczy do niego należące, a których z sobą żadną miarą zabrać nie może? W tem pan jeden, rzekł do Galicyjskiego obywatela, możesz nam dać użyteczną radę, a może i pomoc.

Obywatel Galicyjski przeprosił mnie, że do swojego domu zaprosić mnie nie może, gdyż wskutku zaawanturowania się jego syna do Węgier i dzisiejszej wycieczki jegoż samego do Kesmark, znajduje się w położeniu nader niepewnem względem władz Austryackich, ale mi radził, żebym zaszedł do pana Stadnickiego mieszkającego pół mili za Nowymtargiem, który mnie bez najmniejszej wątpliwości gościnnie przyjmie i odeśle ku Krakowowi rze-miennym dyszlem. „Pan Stadnicki — mówił mi on — jest to człowiek w wieku i nader zacny. W r. 1846 był okropnie zrabowany i pobity przez chłopów, co jednak nie złamało bynajmniej jego charakteru; do niego więc śmiało możesz się pan udać, a o rzeczy swoje nie potrzebujesz się troszczyć — ja je zabiorę i odwiezę panu do domu pana Stadnickiego — tylko, jeżeli pan masz papiery ważne i kompromitujące, zechciej je dobrze scho-wać, a najlepiej przy pomocy szewca — między podeszwy obuwia“.

A więc zadanie rozwiązane rzekłem — i ze wszech miar bardzo dogodnie. Ścisnąłem rękę jednego i drugiego z prawdziwą wdzięcznością. Komisarz zaprosił mnie na dzień następny na śniadanko ranne i dołożył, że u niego dokonam mojej toalety jako hayduk.

Podług tego programu nazajutrz po śniadaniu u komisarza — przebrany za hayduka — w spodniach z koziej sierści mieszanėj z wełną, obcisłych jak trykoty i ktore za każdym poruszeniem nieznośnie mnie drapały — w butach zużytych, których fałdy koło kostek piłowały mi ciało, — w krótkim kożuszk z rostworami pod pachami, któremi gdym był w drodze przechodził mróz tego dnia 12^{to} stopniowy i na wskroś mnie przenikał, a na dopełnienie przebrania, z twarzą posmarowaną mieszaniną sadła, sadzy i innego jakiegoś jeszcze brudu, co mi nadawało cerę górala, wyruszyłem na moją pielgrzymkę w towarzystwie prawdziwego górala, którego mi komisarz dał za przewodnika, zapowiadawszy mu, że jeżeli włos mi z głowy spadnie, to on za to mieniem swoim i skórą odpowie.

Dzień był mroźny lecz piękny — słońce świeciło w pełnym blasku a promienie jego łamały się pryzmatycznie w atomach lodowych zawieszonych w powietrzu. Wyszedszy za miasto, jeden z najpiękniejszych krajobrazów Tatrzańskich odkrył się przed memi oczyma w śnieżnej powloce niepokalanėj białości; na lewo wzniosłe Tatry z jodłowemi lasy przystrojonemi, jakby w białe draperie; na prawo modra wstęga Dunajca, za nią wśród skalistych wzgórz ruiny Czorsztyńskiego zamku, które zdawały mi się jakby miejscem znajomem, bo niegdyś dzieckiem czytałem z wielkiem zajęciem powieść, utytułowaną „Zamek na Czorsztynie“; nakoniec przed nami szeroki wąwoz, przez który Dunajec z Popradem wymykają się z Węgier ku Polskiej ziemi i który otwiera widok na rozległą, falowaną, mnóstwem wiosek i gajów ożywioną, Nowotargską równinę.

Prześliśmy granicę bez trudności. Paszport, jakim mnie opatrzył komisarz z Kesmarku żadnego nie wzbudził podejrzenia u strażników granicznych, ale to niebezpieczeństwo zażegnane nie było jedyne z którym spotkać się miałem. Wnet pokazało się drugie, o którym nie myśleliśmy bynajmniej, ani ja, ani komisarz z Kesmarku ani obywatel Galicyjski. Po drodze przyłączyli się do nas wieśniacy i wieśniaczki dążący na targ, pojedynczo lub, gromadkami i starali się zawiązać z nami rozmowę. Mój przewodnik znajdując się w swoim żywiole, rozgadywał się z innemi gospodarzami o cenach bydła, o urodzajach, o różnych zdarzeniach wiejskich, a mnie zostawił na pastwę kobietom ciekawym i gadatliwym. Owoż wtenczas dopiero postrzegłem, że mój akcent warszawski tak się różni od góralskiego, iż dosyć mi było dwa słowa powiedzieć, aby się zdradzić. Co tu było począć? Przemysliwałem nad tem — a kobiety zaczęły mnie pytaniami — nagle blysło mi natchnienie — zebrałem w pamięci, co tylko mogłem słów Węgierskich prawdziwych czy fałszywych: „Serem tem tem, Elien a Kossuth, Elien a Madziar etc“, i w odpowiedzi wypaliłem to jednym tchem. Baby mruknęły. „Dyé to prawdziwy Węgier — to się z nim ani dogadać“, i dały mi pokój. Tym sposobem zaszedłem bezpiecznie do Nowegotargu, a ztamtąd do włości pana Stadnickiego odległej o pół mili, czy mile od tego miasteczka. Zatrzymałem się na wejściu do wsi i wysłałem mojego przewodnika do dworu, ażeby prosił pana Stadnickiego o krótką gościnność dla Polaka idącego z Węgier, a który się do niego udaje z polecenia pana * * tu wymienilem nazwisko obywatela, który mnie do tego naklonił i snać od odpowiedzialności za to usu-

nać się nie myślał, skoro miał sam do pana Stadnickiego przyjechać i rzeczy mi przywieść. Dolożyłem przewodnikowi, że powinien ostrzedz pana Stadnickiego, iż jestem w ubraniu hayduka, i że może byłoby dobrze, gdyby mi przysłał jakie okrycie — jeżeli zechce mnie przyjąć — ażebym nie wszedł do jego domu w tem ubraniu; zwłaszcza że wyjdę w innem.

Po niezbyt długiem czekaniu spostrzegłem człowieka sędziwego, słusznego wzrostu, idącego ku mnie z moim przewodnikiem. Był to pan Stadnicki. Bez żadnej przedmowy poprosił mnie poważnym tonem, żebym szedł z nim tak jak jestem ubrany, bo jest pewnym swoich sług i swoich włościan. Zdziwiło mnie to nieco, wiedząc że był ciężko pobitym i zrabowanym przez chłopów przed dwoma laty, lecz nie pozwoliłem sobie uczynić żadnej nad tem uwagi i poszedłem z nim.

Dom pana Stadnickiego był bardzo skromny — żył on w nim samotnie; niewiem czy był kawalerem, czy wdowcem. Poważny — mało mowny — zimny jak Anglik, z początku przejmował mnie chłodem. Myślałem, że jestem dla niego osobą podejrzaną i czekałem niecierpliwie na przyjazd obywatela, któremu powierzyłem był moje rzeczy i który, jeden tylko mógł podejrzenia jego rozproszyć. Przy tem zimnem obejściu się był jednak bardzo gościnnym dla mnie. Zaraz po wejściu mojem w jego progi poprosił mnie do swojego gabinetu, gdzie mi ze swojej garderoby przyniósł ubranie, ażeby mnie zwolnić od mojej roli hayduka. Gdy wróciłem do jego saloniku zastałem go w rozmowie z młodym jakimś człowiekiem, który nie mogąc przedrzeć się do Węgier, chciał wrócić do rodzicielskiego domu i prosił pana Stadnickiego o uży-

czenie mu bryczki i koni, żeby mógł zajechać do najbliższego obywatela. Pan Stadnicki dosyć sucho i z niczem go odprawił. Niebawem drzwi się otwierają i wchodzi z wielkiem zdziwieniem mojem Wł. Jordan, który także przyszedł prosić o odesłanie go dalej. Pan Stadnicki odpowiedział mu, że swoich koni użyczyć mu nie może, ale mu każe wynaleść podwódkę chlopską, na co się Jordan chętnie zgodził. Przyniesiono podwieczorek. Jordan opowiedział nam, że przeszedł granicę nocą przez góry — bez przebierania się — i zablakał się do domu państwa * * * w niedalekim sąsiedztwie pana Stadnickiego — ostrzegł mnie, żebym ten dom omijał, bo przyjęliby mnie jak włóczęgę, tak, jak jemu się stało. Pan Stadnicki słuchał i nie mówił. Jordan wskazał mi, do kogo się mam udać za przybyciem do Krakowa i w krótkce zobaczywszy, że wózek chlopski zajechał przed dwór, pożegnał gospodarza. Po jego wyjeździe oświadczyłem panu Stadnickiemu, że i ja podobnie jak Jordan nie żądam, ażeby mnie wysłał w dalszą drogę swojemi końmi, lecz tylko, żeby mi raczył podwódkę nastreczyć.

„Za pozwoleniem, odezwał się pan Stadnicki. Jeżeli tym dwom panom odmówilem koni moich to dlatego, że je dla pana zachowuję, bo przyszedłeś pierwszy do mnie i nie znasz kraju. Jutro po śniadaniu odeszlę cię do znajomego mi domu, gdzie cię gościnnie przyjmą i odprawią dalej. Możesz być o to spokojnym“.

O zmroku dopiero przyjechał obywatel tak oczekiwany przezemnie z moim tłumoczką i resztę wieczora przepędziliśmy we trzech bardzo mile. Im więcej poznawałem charakter pana Stadnickiego tem więcej mnie do siebie przyciągał. Rzadki też to był typ w naszym polskim

społeczeństwie, w którym wszystko niestety! polega najczęściej na powierzchownych oznakach gościnności, ludzkości, przyjaźni, nawet patryotyzmu. Pan Stadnicki przeciwnie — poważny — zimny — skąpy w słowach — w częstowaniu skromny, okazywał dopiero czynem, jak się później dowiedziałem, że do wszelkich ofiar zawsze gotowy. Naza-jutrz po rannym obiadku zajechała przed dwór piękna bryczka z dziarskimi końmi, którą odjechać miałem. Pojedziesz pan, powiedział mi mój gospodarz do państwa * * *. Ależ panie! wykrzyknąłem, wszakże mnie Jordan ostrzegal, ażeby ten dom omijać. Nie zważaj na to, odrzekł z lekkim ironicznym uśmiechem. Wstąpisz do państwa * * * na krótki popasik, koni od nich żądać nie będziesz i z tego względu mam nadzieję, że cię źle nie przyjmą, że może nawet zaofiarują ci kawy ze śmietanką na podwieczorek, poznasz ich dom a potem pojedziesz do panów * * *, za których ja ręczę. Byli to dwaj bracia, których nazwisko mi wymienił, ale mi wyszło z pamięci, jak większa część nazwisk z tego czasu.

Pojechałem więc od pana Stadnickiego do państwa * * * gdzie wrzeczy samój zostałem dosyć grzecznie przyjęty, zapewne dla tego, że się w innych warunkach przedstawił niż Jordan.

Była to dobra szlachecka rodzina, której zachciało się uchronić za pańską i zawisła w powietrzu jak trumna Mahometa między szlachtą, od której się odłączyła a panami do których się przylączyć nie potrafiła. — Próżność panowała w tym domu i cechowała się w najdrobniejszych szczegółach, nie mogąc podnieść się do okazałości, ani nawet do elegancji. Jeżeli patryotyzm był wygnany z tego

domu to dla tego zapewne, że się wydawał państwu * * * spospolitowanym i nie modnym.

Od państwa * * * zajechałem na szczero-polską gościnność, dobre zrazy z kaszą i wygodny nocleg do panów K., bo zdaje mi się, że od téj litery zaczynało się ich nazwisko. Ugościwszy mnie, chcieli oni z kolei wyprawić mnie do znajomego im domu, za który mi odpowiadali. Gdybym już wtenczas należał do bractwa piszących, byłbym może korzystał ze sposobności zwiedzenia rozlicznych dworów obywatelskich, aby zdejmować obrazki obyczajowe, ale nie zajmowałem się jeszcze tem dosyć niewdzięcznem u nas rzemiosłem a najazdy podobne na niezajome mi domy wcale mi w smak nie szły. Miałem ciągle na myśli radę poczciwego Łabęckiego, ażeby zajechać do jego stryja. Sądziłem, że ten stryj nie zbyt daleko od panów K. mieszkać musi, prosiłem ich więc, ażeby mnie do niego odesłać raczyli, jeżeli to jest rzeczą możliwą. Odpowiedzieli mi, że nigdy o tym obywatelu nie słyszeli, ani o wiosce, w której mieszka, co nie przeszkadza, że mnie do niego odeszłą, skoro sobie tego tak bardzo życzę. Spodziewali się, że woźnica ich zna wioskę pana Łabęckiego, ale i on nie o niej nie wiedział. Wydo byłem list synowca jego z pugilaresu, żeby popatrzeć, czy nie ma na kopercie jakiej skazówki i rzeczywiście wymienioną tam była wioska przyległa. Tę wszyscy znali, była odległą pięć mil od majątku panów K., lecz to nie zdawało się ich bynajmniej frasować, kazali tylko woźnicy wieźć mnie dobrym truchtem, abym przed nocą na miejsce zajechał.

Była już jednak godzina 9 wieczorem, gdyśmy stanęli w owéj wiosce, pytamy się o pana Łabęckiego i o jego

majątność, powiadają nam, że to jest szlachcic zagonowy, który ma swoją chałupę w osadzie złożonej z takiejże szlachty lecz za wsią. Była to pierwsza niespodzianka trochę złowroga, ale pomyślałem, że i szlachcic zagonowy może mieć wózek i konia i odesłać mnie do Krakowa a niczego więcej mi nie potrzeba. Jedziemy więc do téj osady — składała się z kilkunastu domków nie wiele różniących się od chałup chłopskich — i zajeżdżamy przed domek pana Łabeckiego. Wnet wyszedł do nas stary człowiek w wyszarżanej kapocie; powiedziałem mu, że mam do niego list od jego synowca; poprosił mnie do izby. wielce zmieszany i — druga niespodzianka — przeczytawszy list przy łojowej świeczce, „Ach panie, wykrzyknął! ja biedny człowiek koni nie mam i pana w domu swoim przyjąć nie mogę. Na miłość Boską, dodał tonem błagającym, na rany Chrystusa, jedź sobie pan dalej, gdzie chcesz, a mnie nie narażaj, żeby mi mój kawalek ziemi zabrali i mnie samego uwięzili“. W téj chwili przybył jego synalek, istny parobek i obaj zaczęli mnie naglić, żebym z ich domu natychmiast wyszedł. Wracam do bryczki, nie wiedząc, co z sobą zrobić; proszę woźnicy, wtykając mu pięć reńskich w rękę, żeby mnie zawiózł do najbliższego obywatela, woźnica mi odpowiada, że za żadne pieniądze dalej mnie nie zawiezie, bo nie ma na to rozkazu, a koni na swoją odpowiedzialność męczyć nie może. Więc zatrzymaj pieniądze odrzekłem a zawieź mnie choć do plebanij we wsi przyległej; widziałem tam bowiem piękny murowany kościół. Woźnica zgodził się na to i zawiózł mnie do owéj plebanii. Wszędzie światła już były pogaszone, ledwie znalazłem furtkę w murze otaczającym plebanie. Dzwonię kilka razy, psy mi tylko odpowiadają;

po namyśle bojąc się, ażeby mnie ksiądz proboszcz nie odprawił w gorszy jeszcze sposób, jak pan brat szlachcic zagonowy, powziąłem heroiczne postanowienie; pytam się woźnicy, czy popasie w karczmic? odpowiedział, że tak — a więc wieź mnie rzekłem do karczmy. Przed karczmą stało kilka wózków wiejskich a w izbie szynkownej było pełno chłopów, wszedłem między nich i nadrabiając miną, lubo dusza była na ramieniu, odezwałem się: „Chłopey, jest tu który, coby mnie do Krakowa zawiózł?“ Chłopi spojrzeli po sobie i nastąpiła chwila strasznego dla mnie milczenia. Gdyby jeden tylko powziął był podejrzenie, że przybywam z Węgier, byłby wszystkich podszczuł na mnie i odstawili by mnie do wojskowej komendy. Szczęściem młody jakiś chłopiec z glupowatą miną nie dał im się długo namyślać. Ja pana zawiozę, zawołał. Bylbym mu się na szyję rzucił, gdybym mógł był iść za naturalnym popędem. Chłopi widząc sprawę skończoną, wrócili do swoich rozmów i niebezpieczeństwo zdawało się minione; tak jednak nie było. Chłopiec nie chciał natychmiast jechać, trzeba mu było jeszcze parę godzin popasć. Arendarz ofiarował mi na ten czas izbę gościnną i poprowadził mnie do niej przez inną, przytykającą do szynku, a w niej dwóch żydów leżało na sianie. Nie spali jeszcze i przez drzwi otwarte słyszeli wszystko, co się mówiło w szynku. „Sie kommen von der Gräntze“ rzekł do mnie jeden z nich. Zaprzeczyłem temu z oburzeniem ale żydów nie przekonałem. „Sagen Sie was sie wollen, Sie kommen von Ungarn“, rzekł drugi. Jestem zgubiony pomyślałem sobie i przepędziłem dwie czy trzy godziny w okropnej niespokojności. Nakoniec

chłopiek przyszedł oznajmić mi, że jest gotów i wyjechałem bez szwanku. Żydom zapewne wstawać się nie chciało w nocy, żeby się z chłopami zmówić przeciw mnie — a może też byli poczciwsi niżelim sądził.

Kilka mil dalej był nowy popas nadedniem w jakiejś mieścinie, gdzie widziałem oddziały piechoty austriackiej, przechodzące przez rynek. Nie wysiadłem już z wózka, lubo mróz krew mi w żyłach ścinał i przebyłem nowe dwie, czy trzy godziny w męczącej niespokojności.

Słońce już było wysoko na niebie gdyśmy zajechali na Kaźmierz. Wtenczas dopiero odetchnąłem swobodnie. Kazalem się zawieść w Krakowie do osoby wskazanej mi przez Wł. Jordana, zdaje mi się, że to był pan Nurkowski, nie jestem jednak tego pewny. W każdym razie był to zacny człowiek, poświęcony sprawie narodowej i należący do jakiegoś tajnego komitetu. Zaprowadził on mnie natychmiast do pałacu Wielopolskich, gdzie mi wyjednał bezpieczne schronienie a następnie opiekował się mną troskliwie przez kilka dni pobytu mojego w Krakowie. Byłem z nim u umierającego już generała Prądyńskiego, którego miałem polecenie odwiedzić i pozdrowić w imieniu Kossutha. Wyraził mi to Pulszki w swoim liście, a uznanie to talentów i zasług naszego znakomitego strategika, przychodzące z obcego kraju, było dla niego pociechą na łożu śmiertelnem.

Widziałem się w Krakowie z Władysławem Jordaniem i jego bratem Edmundem i ułożyłem się z pierwszym, że jeden na drugiego czekać będzie w hotelu zum weissen Adler w Wrocławiu.

Zacny człowiek, który czuwał nademną w Krakowie, dał mi za przewodnika wieśniaka, gospodarza znanój poczciwości, poświęconego sprawie narodowej — należał do ruchu powstańczego w 1846 r., — ażeby mnie zawiózł na granicę Pruską i przeprowadził na drugą stronę. Przeprawa była niebezpieczniejszą jeszcze niż ta, którą odbyłem przez granicę Węgiersko-Galicyjską. Mój przewodnik zostawiwszy wózek swój z końmi w ostatniej karczmie Galicyjskiej i wzięwszy mój tlomoczek na plecy zaprowadził mnie nad brzeg Przemszy, rzeczki dzielącej Szląsk Pruski od Galicyi, postawił tlomoczek mój pod krzakiem i powiedział mi, żebym usiadł na nim, przycupił się i ani znaku życia nie dawał. Sam zaś przeszedł Przemszę w bród, aby sprowadzić z drugiego brzegu przewoźnika z czółnem.

Usiadłem pod owym krzaczkiem ogoloconym z liści i zupełnie przezroczystym, a noc była jasna, księżycowa; śnieg okrywający pola dodawał jój jeszcze jasności; niebawem usłyszałem tentent kopyt końskich, odwróciłem się i postrzegłem patrol kawaleryi Austriackiej, przebiegający opodal; za nim w kwadrans przebiegł drugi patrol i tak było ciągle przez cały czas mojego czekania, które trwało z półtorej godziny. Najniebezpieczniejszą chwilą była ta, gdy się dał słyszeć wśród ciszy nocnej plusk wody na Przemszy a w pełnem świetle księżyca ukazało się czołno przewozowe zmierzające ku Galicyjskiemu brzegowi. Serce mi drżało, szczerze się przyznaje. Szczęśliwym trafem żaden patrol nie przechodził. Mój przewodnik przybiegł do mnie, zabrał znowu mój tlomoczek na plecy i odprowadził mnie do czółna. Przy pożegnaniu dopiero powiedział mi, że szczęśliwie uszedł

wielkiego niebezpieczeństwa ale bezpieczniejszej drogi do przeprawienia mnie do Prus nie było. W godzinę później byłem na drodze żelaznej idącej do Wrocławia a w południe w Wrocławiu pod Białym Orłem. Był tam już Wł. Jordan i zeszliśmy się u stołu przy obiedzie. Z Jordanem przyszedł był Francuz ruchliwy, gadatliwy, pan Lombard, jeden z redaktorów National'a wysłany do Wrocławia jako reporter do wypadków Węgierskich. Mieszkał on także pod Białym Orłem, a Jordan znał go z Paryża. Po obiedzie poszliśmy na cygara do pokoju Jordana i Francuz począł nas wypytywać o nowiny Węgierskie. Jordan lubiący bardzo drwinkować, rozповідаł mu niestworzone rzeczy, które Francuz spieszenie notował, później przesłał je do swojego dziennika, w ówczas używającego wielkiej powagi jako organ Cavaignac'a i Bastida, i ten je ogłosił. Za Nationalem powtórzyły też same nowiny inne dzienniki Francuzkie, Angielskie i Niemieckie i blagi Jordana obiegły całą Europę, z czego później w Paryżu naśmialiśmy się obydwoj, trochę jak studenci po spletanym figlu.

Zabawiłem parę dni w Wrocławiu, parę dni w Dreźnie, aby odwiedzić miejsca, gdzie nłynęły te lata młodości mojej, które dla urodzonych na szczęśliwszej ziemi są złotymi latami; to jest od 1820 do 2020 roku życia. Po wojnie bowiem 1831 r. wróciwszy od szpady do książki, kończyłem nauki na uniwersytecie w Wrocławiu a w Dreźnie przepędziłem całe lato 1832 roku, kiedy to miasto, dosyć lubie Polakom, było główną stacją, wielkim karawanserajem, na drodze naszych wychodźców. Moźniejsi zatrzymali się tam byli dla urzędzenia, o ile można było swoich interesów i trochę także w nadziei

jakiegoś zwrotu w polityce Moskiewskiej pod naciskiem innych mocarstw. Ubożsi ciągnęli tam z Prus, z Austrii, i bardzo wielu także z Królestwa Kongresowego, uciekających przed poborem Moskiewskim, bo w Dreźnie był komitet, z Panią Klaudyną Potocką na czele, który dostarczał emigrantom wszystkiego, czego potrzebowali na dalszą drogę do Francji. Prócz emigrantów było w tymże mieście mnóstwo przyjezdnych za paszportami z różnych części Polski, którzy przybyli tam, ażeby pożegnać się z krewnymi swemi, idącemi na wygnanie. Zgola stolica Saska wydawała się miastem na w pół Polskiem. Na ulicach, na Brylowskim tarasie, w galerji obrazów, w muzeach, w teatrze, w Linkische Baden i w małowicznych okolicach miasta, wszędzie słyhać było polską mowę i zwykle w tonie dosyć wesolym, tak, że nie jeden Niemiec mógł sobie pomyśleć, że Polacy idą na wygnanie, jakby na zabawę.

Z Drezna zajechałem bez wytchnienia aż do Louvain w Belgii, gdzie stał garnizonem J. Kruszewski, któremu chciałem złożyć moje uszanowanie, jako jednemu z najdzielniejszych Polskich oficerów i dawnemu bardzo znajomemu; przytem z jenerałową łączy mnie niteczka powinowactwa, słaba wprawdzie, ale od czasu jak ją poznałem wzmocniona najszczerszą przyjaźnią. Jenerał dowodził dywizją kawaleryi, lubo zostawał w randze jenerała brygady. Rząd Belgijski przez wzgląd na cara Mikołaja nie śmiał posunąć go wyżej. W gościnnym domu państwa Kruszewskich przepędziłem parę dni, podczas których rozstrzygał się los Rzeczypospolitej Francuzkiej. Odbywał się bowiem wybór na jój Prezydenta. Gdym wyjeżdżał z Louvain wynik ostateczny głosowania nie

był jeszcze wiadomy, ale z obliczeń częściowych pokazywało się już, że ogromną większość miał za sobą książę Ludwik Napoleon. Wiedząc jakby pożyteczną mi była w takich okolicznościach rekomendacja do osoby przeznaczonej do znacznej roli pod rządem Bonapartystowskim dał mi generał Kruszewski list do Aleksandra Walewskiego, którego znał dobrze w 1831 r., gdy byli razem adjutantami Skrzyneckiego. List ten wielce mi posłużył, jak się to pokaże dalej. Z Louvain pociąg parowy zawiózł mnie w parę godzin do Bruxelli, gdzie w pół dnia zatrzymał, ażeby odwiedzić Lelewela i tegoż samego dnia w nocy przybyłem do Paryża a pierwsza nowina, o jakiej się dowiedziałem, wysiadając z wagonu, była, że w południe książę Ludwik Napoleon ogłoszony został z ganku ratusza prezydentem Rzeczypospolitej Francuskiej na mocy przeszło 5 milionów przychylnych mu głosów.

VI.

Paryż był długo dla myśli mojej jakby rajem utraconym, do którego się odnosiły moje najdawniejsze i najczarowniejsze wspomnienia, wspomnienia poranku życia i szczęśliwości niewinnéj, zupełnéj, niczem nie zamaconéj.

Przebyłem bowiem z rodzicami półtora roku w tym nowoczesnym Babylonie mając lat cztery i pięć, to jest, gdy nie jeszcze nie było stale odbitego w mojej pamięci, gdy dusza moja otwierała się dopiero na świat, cheiwa życia, kochania, radości, a świat był tak pięknym w koło niéj i tak mile się do niéj uśmiechał! Wszystkie też wrażenia moje z owego czasu odfotografowały się w niéj na tle złotem jak obrazy bizantyjskie. Wspaniałe bulwary paryzkie z rojącą się na nich elegancką publicznością i mnóstwem najwytworniejszych powozów przewijających się środkiem — ogród Tuileryjski napełniony wiosną i latem, w przedobiadowych godzinach, strojnemi, żwawemi, wesołemi dziećmi, igrającemi pospolu w wielkich kołach —

widowiska maryonetek w teatrzyku „Les ombres chinoises“, którym towarzyszyły serdeczne śmiechy kilkuset małych widzów pod opieką swoich bon, — baliki dziecinne urządzone w sposób najrozmaitszy, ale zawsze z tą miłością dla dzieci posuniętą aż do balwochwalstwa, która charakteryzuje Francuzów i ich obyczaje — czarodziejstwa opery i baletu, których kilka widziałem z niewypowiedzianem zachwyceniem — i wpośród tego wszystkiego szkółka, gdzie chodziłem uczyć się pisać, kreśląc na piasku posypanym na pulpicie litery, które nauczyciel pisał, na wzór dla nas, na wielkiej tablicy — oto panorama, która się dotąd przesuwa przed moją myślą, gdy ją zwracam ku początkom mojego tulaczego żywota nim się rozpoczęły dla mnie lata sieroctwa.

Dosyć to już odległa przeszłość. Było to w peryodzie od końca 1819 do początku 1821 r. Wielka epopeja napoleońska kończyła się wtenczas smutnym i straszliwie pouczającym epilogiem. Zwyciężony Tytan konał powoli na skale św. Heleny, a na miejscu jego panował stary, ocieężały, okaleczały Ludwik XVIII, otoczony niedobitkami wersalskiego świata, zgromadzonemi w koło jego tronu, po dwudziestu kilku latach tulactwa po całej Europie.

Ta przeszłość powołana napowrót do życia zbiegiem najdziwniejszych okoliczności, ażeby w piętnaście lat później zniknęła na zawsze w ponownej rewolucyi, miała pewną stronę rzewnie poetyczną, która oddziaływała nawet na mnie, małego chłopczykę, obcego na francuskiej ziemi. — Miałem bonę nader żarliwą royalistkę, do której się serdecznie przywiązałem. Widzę ją jeszcze w pamięci z fularową chusteczką na głowie, nieco na bakier za-

wiązaną i w fartuszkach białym, zwykłym wówczas ubraniu bon paryskich; — ona na przechadzkach i w domu opowiadała mi ciągle różne sceny z epoki terroryzmu, a szczególnie żalącą historię Ludwika XVI i jego rodziny, którą codzień niemal powtarzała z coraz nowymi szczegółami, a ja słuchałem ciekawie i z rozrzuwaniem. Wkrótce zrobiła ze mnie małego royalistę, a na domiar swojego prozelityzmu zaprowadziła mnie w rocznicę śmierci nieszczęśliwego monarchy do kaplicy pokutnej (Chapelle expiatoire) na nabożeństwo żałobne. Modliłem się na kolanach i wylewałem potoki łez, tak że wróciwszy do domu szlochałem jeszcze i rodzice utulić mnie nie mogli. Dowiedziawszy się o przyczynie tego zmartwienia, złajali mocno bonę za tę zbyt uczuloną royalistowską, którą we mnie wpajała, lecz ziarno rzucone w młodziutką duszę puściło w niej kiełki i kiedy w przeszło ćwierć wieku później przyjechałem znowu do Francji, miałem jeszcze cześć niemal religijną dla męczenników królewskich, nienawiść dla rewolucjonistów 1792 i 1793 r. i jakieś platoniczne przywiązanie do dawnej monarchii francuskiej — mówię platoniczne, bo kto tylko nie jest legitymistą ze krwi, widzi jasno, że Francja zerwała stanowczo i na wieki ze wszystkimi tradycjami dawnej monarchii. Prąd dziejowy uniósł ją daleko od tego portu i niesie coraz dalej bądź ku jakiejś szczęśliwej atlantydzie dotąd nieodkrytej, bądź na skały o które się rozbije.

Tymczasem wpadła była na wieliznę z różnemi ukrytymi skałami, wyborem księcia Ludwika Napoleona na prezydenta Rzeczypospolitej. Fakt ten zdumiał całą Europę i rozczarował ostatecznie tych, którzy w rewolucji lutowej i wywołanym przez nią ruchu ludów od

Oceanu aż do Sprewy i Karpat siedmiogrodzkich, widzieli zapowiednię nowój ery dla Europy. W takim rozczerwaniu przyjechałem i ja do Paryża ale niebawem widok téj zachwycającej stolicy, ruch odurzający, jaki w niej panuje, wspomnienia lat dziecińczych, które mnie obiegły, oderwały mnie od wszelkich zimnych rozważ.

Przez parę dni oswoić się nie mogłem z tą myślą, że jestem w Paryżu, a następnie, gdy się zetknąłem z Emigracją, odetchnąłem jakby polskiem powietrzem z 1831 roku. Zdawało mi się, że ta epoka przedłuża się dla nas nad Sekwanną, aż póki nie wybije godzina wyzwolenia ojczyzny naznaczona przez Opatrzność.

W rzeczy samój w 1848 r. emigracja przedstawiała jeszcze w streszczeniu Polskę z 1831 roku, lubo śmierć wiele już wyłomów poczyniła była w jój zastępie. Na czele jój byli przedniejsi członkowie rządu, ministrowie, posłowie, generałowie z téj epoki. Plejada naszych wielkich poetów wyszłych na tułactwo była jeszcze w swoim komplecie a w wielkiej masie emigracyi liczącej około pięciu tysięcy wojowników z pod Grochowa, Ostrołki, Warszawy, wszystkie pulki stare i nowe ówczesnej armii naszój i wszystkie prowincye polskie były chlubnie reprezentowane. Emigracja miała swoich kapłanów i swoje Siostry miłosierdzia, miała swoje instytucye wtenczas w pełnym rozwoju, bibliotekę polską, Towarzystwo historyczne, szkoły i pensyonaty dla młodego pokolenia, miała swoje dzienniki i kluby a nawet restauracye, gdzie Litwini znajdowali kolduny a Koroniarze barszcz i zrazy z kaszą. Zgoła miała wszystkie warunki potrzebne do podtrzymania narodowego życia na obczyźnie a we wszystkich jój kolach panował ruch ogromny

wywołany wypadkami, które na tylu punktach Europy poruszyły była kwestyę polską.

Nimem się jednak zbliżył do emigracyi miałem sobie za powinność być u posła Węgierskiego i z nim się porozumieć względem postępowania mojego w powierzonej mi misyi. Nazajutrz też po przybyciu mojem do Paryża wybrałem się do niego i gdym rozpatrywał szyldy na ulicy Rivoli, ażeby wynaleść hotel Meurice, gdzie poseł mieszkał, słyszę głos wołający mnie po nazwisku; odwróciłem się i postrzegłem Wł. Jordana. To nowe spotkanie i w tak ogromnem mieście jak Paryż, za pierwszym wyjściem mojem z hotelu gdzie staną, było tak nadzwyczajnym i zarazem tak komiecznym trafem, że podając sobie rękę nawzajem śmialiśmy się serdecznie.

Jordan zaprowadził mnie do hr. Telekiego, z którym poprzednio już się był zaznajomił, przybywszy na kilka dni przedemną do Paryża.

Hr. Władysław Teleki uchodził w kraju swoim za znakomitego męża stanu i gorliwego patryotę; nawet śmierć jego samobójcza poczytana mu została za akt heroizmu patryotycznego w katońskim rodzaju.

Widziany zbliższy trochę inaczej się wydawał. Był jeszcze w sile wieku, lecz twarz jego wychudła, wywiedła, poorana, oczy wygasłe, wargi zwieszone oznajmiały człowieka zupełnie zużytego. Jeżeli płonął w nim kiedyś ogień święty to już chyba tylko trochę dymu pozostało było po nim.

Dałem mu do przeczytania list Pulskiego. Przebiegł go oczami dosyć obojętnie. Opowiadałem mu następnie co się dzieje w jego ojczyźnie — usiłowania Kossutha ażeby wydobyć wszystkie siły narodowe do walki z Austryą —

zapał jakim przejęte są dla niego masy, ruch panujący w całym kraju — starałem się rzeczy nieco ubarwić, ażeby poruszyć w nim strunę patryotyczną, ale odezwał się tylko sceptycyzm. „Pan jesteś młody i jeszcze ufasz nadziejom“, rzekł mi głosem kwękającym i lekką ironią zaprawnym, który mi dał poznać, że trzeba z nim z inną beczki, jak to mówią, zacząć. Przybrałem ton więc więcej stanowczy, opierając się na poleceniach Kossutha; wnet rozmowa nasza poszła płynniej, a w toku jęj postrzegłem, że Teleki ma wielkie poważanie dla księcia Adama Czartoryskiego i że ten użytecznie wpłynąć na niego może jeżeli zechce.

Tegoż samego dnia jeszcze byłem w hotelu Lambert. Książę Czartoryski przyjął mnie w salonie, w którym zgromadzone były księżna Adamowa, księżna Wirtemberska, księżna Anna Sapieżyna i księżniczka Iza wysmukła, biała i piękna pięknoscia Dianny z Luwru, nieprzystępną dla śmiertelnych.

Znałem starsze panie od lat moich najmłodszych. Samego księcia prawie nie znałem; widziałem go wprawdzie i nieraz, ale byłem wtenczas małym dzieckiem. Miał on w r. 1848 lat 78, które jednak lekko na barkach swoich nosił, bo u Czartoryskich starosc zaczyna się dopiero ku dziewięćdziesiątce. Zdrowie jego było nienadwerężone, jeździł jeszcze konno i umysł jego był rześki. Był to prawdziwy patryarcha emigracyi. Wiek jego sędziwy, wielkie imię które nosił, znaczenie jakie od pół wieku miał w Europie, zasługi ogromne, które położył w ojczyźnie i charakter jego jeden z najszlachetniejszych w naszej historii, dawały mu do tego tytułu nie zaprzeczane prawo. Wprawdzie nie było w tym charakterze

wielkiej sprężystości i wielkiej sily, jakiej potrzeba do kierowania ludźmi w epokach burzliwych. Książę Adam przez zbytnią dobroć, delikatność i pewną nieufność w sobie odstępował częstokroć od swojego zdrowego zdania pod naciskiem przyjaciół i przechylał się do ich życzeń nie zawsze dobrze rozważonych. Tak było mianowicie w tej kwestyi niewczesnie podniesionej przez Janusza Woronicza, kasztelana Narcyza Olizara, a głównie Władysława Zamoyskiego, ażeby w rodzinie Księcia uosobić zasadę monarchiczną i przeciwstawić ją dążnościom anarchicznym demokracji. Bronisław Zaleski tak się w tym względzie wyraża: „Że sam książę Adam Czartoryski długo się przeciw wystąpieniu z ideą monarchii bronił, tylko niechętnie uległ, gdy najbliżsi doradcy i przyjaciele zbawienie w tem dla ojczyzny upatrywali, jest rzeczą niezawodną, stwierdzoną i publicznymi jego oświadczeniami i listami prywatnymi *)“ a Bronisław Zaleski ma wielką powagę we wszystkim, co się odnosi do księcia Adama Czartoryskiego, bo pisze jego życie z umysłem niepodległym i podług mnóstwa różnorodnych pamiętników, listów i innych dokumentów autentycznych. Zresztą w roku 1848 idea dynastji Czartoryskich była już pogrzebana i bardzo niemilo było księciu, gdy ktokolwiek dotknął jęj przy nim choćby z daleka.

Wielką też nieszlusnością byłoby zarzucać mu w sposób ogólny słabość charakteru dla tego, że się okazał miękkim w tej okoliczności i kilku innych małej wagi. W patriotyzmie swoim był on niezachwiany. Przez

*) Monografia Ludwika Orpiszewskiego przez Bronisława Zaleskiego w Przeglądzie Polskim na miesiąc wrzesień 1875 r.

cały ciąg długiego życia swojego miał jeden tylko cel przed sobą, wyratować ojczyznę z przepaści, w którą wpadła i postawić ją na bezpiecznym gruncie zasad, które sejm czteroletni przekazał testamentem swoim przyszłym pokoleniom polskim z rozszerzeniem tych zasad do stosunków włościańskich.

Od tego celu nie go odwrócić nie mogło, ani najświetniejsze widoki osobiste, które mu się przedstawiały, gdyby zboczył ze swojej drogi, ani przyjaźń Alexandra, którą na ciężką próbę wystawiał i którą w końcu utracił, ani nareszcie perspektywa srogięj zemsty Mikołaja. Wszystko to niknęło przed jego oczami w obec wielkiej misji, którą wypełniał jako przekaz święty dwóch poprzednich pokoleń w swoim rodzie.

Wiadomo powszechnie, że jemu Polska w różnych dzielnicach swoich zagarniętych przez Rosyę winna była wszystkie korzyści, jakie osiągnęła była pod panowaniem Aleksandra I: autonomię w prowincjach zabranych, świetność Uniwersytetu wileńskiego, opiekę nad szkołą krzemieniecką, na koniec konstytucję w Kongresówce.*) Wiadomo także, co go wyprowadziło na wygnanie, wyzutego z majątku**) i skazanego na śmierć.

Na tem nie skończyło się jego działanie. W emigracyi, w palacu księcia, gościnnie otwartym dla wszystkich

*) Konstytucya Kongresówki była w znaczniejszej części jego dziełem. Alexander podpisując ją, powiedział mu: „Pamiętaj, że pierwszy żałować będziesz, żem ci ustąpił“. Ile to ustępstwo go kosztowało, tego dowodem była niełaska, w jaką odtąd książę Adam popadł u niego.

*) Majątek księcia na emigracyi pochodził od matki żony jego księżnej Sapieżyny, z wyjątkiem niewielkich kapitałów, które mu pozostały były w Anglii.

współziomków emigrantów i przyjezdnych, było jakby wielkie bióro wychodźstwa do jego spraw wewnętrznych i zagranicznych. Tam się tłumnie cisnęli biedacy, którzy nieumiejąc żadnego rzemiosła, mogącego im dać sposób do życia we Francyi, nieznając nawet języka francuskiego, byliby powymierali z głodu, gdyby nie zasilki, jakie dla nich zbierała księżna Czartoryska ciąglem kwestowaniem, balami, wentami, urządzanemi na ich korzyść i zachodami wszelkiego rodzaju. Ztamtąd rozchodziły się do wszystkich dzienników francuskich artykuły, wiadomości i sprostowania dotyczące się Polski, ażeby utrzymać dla niej sympatyę ludów. Książę sam większą część dnia trawił na korespondencyach z agentami swoimi w różnych krajach i wpływowemi ludźmi w parlamencie angielskim, których zjednać potrafił dla sprawy polskiej. Zajmował się przytem gorliwie wszystkimi instytucjami polskimi, z których jedno sam był pozakładał a drugie czynnie podpierał. Zgola w kraju i na wychodźstwie żył tylko dla ojczyzny i dla współziomków.

Moja pierwsza wizyta w hotelu Lambert była tylko holdem złożonym staremu księciu i księżnom składającym starszą część rodziny zamieszkującej przy nim. O celu przybycia mojego do Paryża zaledwie kilka słów nadmienilem, prosząc księcia o poufną w tym względzie rozmowę. Naznaczył mi dzień następny i tego dnia przyjął mnie w swoim gabinecie, gdzie z nim był tylko młodszy syn jego książę Władysław, wówczas młodzieniec dwudziestoletni. Opowiedziałem rzecz moją, książę Władysław mi odpowiedział. Ojciec przygotowując go do prowadzenia dalej misyi Czartoryskich, gdy jego już nie będzie, rad był kiedy zabierał głos w sprawach roztrząsanych w jego ga-

biniecie, zachowując sobie ostateczne ich rozstrzygnięcie. Młody książę nie był za łączeniem się Polaków z Węgrami z podwójnego względu, raz że Węgrom nie bardzo ufał, drugi raz, że podług niego zniweczyłoby to wieloletnią pracę hotelu Lambert, aby ustrzedz od wpływu Rosyi a zjednać dla Polski Słowian południowych.

Przytoczyłem mu w odpowiedzi fakta, które w owęj chwili czyniły los Polski zawisłym od sprawy węgierskiej. Dyskusya nasza przedłużała się i obawiałem się, że do żadnego rezultatu praktycznego nie dojdzie, bo stary książę słuchał uważnie, ale milczał. Nakoniec wziął mnie na stronę i rzekł półgłosem: „Idź odemnie do generała Dembińskiego i pogadaj z nim a ja się później z nim naradzę“.

Wyszedszy z gabinetu księcia udałem się do pułkownika Zamoyskiego, który mieszkał naówczas w hotelu Lambert. Zastałem go na wychodnem i nie miał czasu zatrzymać się dla mnie, lecz dowiedziawszy się, że mieszkam na ulicy de Provence zaofiarował mi odwiedzić mnie do jego hotelu, gdyż jechał w tamtą stronę a przez drogę mieliśmy czas pogadać.

Pamiętałem pułkownika Zamoyskiego młodym oficerem, a ostatni raz widziałem go w towarzystwie w Warszawie w początku lata 1831 roku gdy byłem z pułkiem na garnizonie w stolicy. Nosił on rękę na temblaku w skutku rany odniesionej w szarży na czele pułku Zamoyskich, zdaje mi się w bitwie pod Kuflewem, a na piersiach jego błyszczał, krwią nabyty, krzyż *Virtuti militari*. Był to uader przystojny mężczyzna, wybujały i wysmukły jak palma, z kruczemi i nieco kręcącemi się

włosami; wyraz twarzy miał męski, oczy myślące, obejście się uprzejme i pełne godności. Tój powierzchowności odpowiadał charakter jego rycerski i umysł poważny. Obrawszy sobie zawód wojskowy pokochał go całem sercem i starał się nabyć wszystkich wiadomości, które niemniej potrzebne są, jak męstwo, aby się dobić sławy na tój drodze. Będąc już oficerem i adjutantem W. Księcia nie miał sobie za ujmę uczęszczać na kursa nauk wojskowych w szkole aplikacyjnej. Z tój epoki jego życia przytoczę jeden epizodek, który go charakteryzuje.

Szkoła aplikacyjna była najwyższą szkołą wojskową w Polsce kongresowej, do której prowadził jako niższy szczebel tejże samój edukacji korpus kadetów w Kaliszu. Na trzydziestu jednak mniej więcej uczniów wychodzących co rocznie z tego ostatniego zakładu, załedwo 4—5 lub najwięcej 8 wybranych dostawało się do szkoły aplikacyjnej, gdzie liczba elewów*) ograniczona była na 24-ch. Wpływ arystokracji potrafił był jednak przełamać tę regułę i kilku młodych potomków historycznych rodów: jeden Zamoyski, jeden Potocki, jeden Czetwertyński, przyjętych zostało do owój akademii wojskowej nie przeszedłszy przez korpus kadetów i niezdawszy nawet egzaminów z potrzebnego przysposobienia. Panicze ci zawiązali między sobą koteryę, która się odosobniała od reszty elewów, dając im czuć, że między jednymi a drugimi zachodzi wielki przedział. W odwet ci drudzy postanowili dać paniczom przy pierwszej sposobności koleżeńską naukę i tę ściągnął na siebie, najmniej dumny ze

*) Uczniów szkoły aplikacyjnej nazywano elewami.

wszystkich w gruncie duszy, Zdzisław Zamoyski. Obraził on jednego z kolegów nie karmazynowych, za tym ujęli się wszyscy inni należący do tejże samej kategorii i wieczorem w sypialni wymierzili mu nie tyle bolesną ile upakarzającą dla jego miłości własnej karę, przeprosiwszy go, że nie na kobiercu bo takowego nie było.

Zdzisław Zamoyski pośpieszył pożalić się przed bratem lecz Wł. Zamoyskiemu nie przyszło nawet na myśl odwołać się do przełożonych w szkole i owszem nazajutrz po lekcji odwróciwszy się do elewów, którzy byli tak srogimi dla jego brata, powiedział im, że dobrze zrobili i przeprosił ich za Zdzisława; dolożył tylko: „Ta jedna nauka, zechciejcie mi wierzyć, wystarczy, Zdzisław będzie odtąd dobrym kolegą i nie zasłuży na ponowienie kary“. W rzeczy samej odtąd Zdzisław Zamoyski stał się wzorem koleżeństwa i pozyskał szczerą przyjaźń wszystkich współuczniów a przykład jego oddziałał korzystnie na całą koteryę arystokratyczną.

W powstaniu aż do nieszczęsnego wejścia do Galicyi korpusu Romaryny, w którym był szefem sztabu, Władysław Zamoyski pozyskiwał sobie coraz większą sławę. Postąpienie jego z W. Księciem Konstantym było pełne delikatności, godności i taktu. Wymógłszy na nim, pomimo sprzeciwianie się księżnej Łowickiej, że odprawił gwardye przy nim będące i upoważnił je, aby się połączyły z narodem, sam odprowadził go aż do granicy Kongresówki.

Dopełniwszy tego obowiązku honoru, bił się walecznie, krwi swojej nie szczędził, krzyż i rangę pułkownika zdobył sobie na polach bitew i byłby może został wodzem naczelnym po Skrzyneckim, gdyby to zależało było od

głosowania oficerów, których wielka część odzywała się głośno w obozie pod Bolimowem, że gdyby jemu powierzono dowództwo wojska, wyprowadziłby sprawę naszą na lepszą drogę a przynajmniej honor narodu ocalił. Na tę piękną reputację padł cień przy końcu wojny.

Po obrzydłych scenach 15 sierpnia, następnie wyniesieniu intryganta Krukowieckiego, posądzonego, że temu roznamietnieniu demagogii potakiwał, na naczelnika wojska i rządu, a w końcu upadku Warszawy, Władysław Zamoyski zrozpaczył o sprawie narodowej i przyjął odpowiedzialność za wejście korpusu Romaryny do Galicji, gdyśmy mieli jeszcze 70 tysięcy wojska i powinni byli raczej trzymać się do upadłego, niż iść na tulaczkę. Za tę chwilę rozpaczy pokutował on przez resztę życia.

Gdyś szedł do generała Zamoyskiego, miałem żywo w pamięci jego postać wyniosłą, pełną dystynkcji i w całym jeszcze blasku młodości, jaką miał przed 17^{tu} laty. Ale jakież zmiany znalazłem w całej jego osobie. Krucze jego niegdyś włosy posiwiały były przedwcześnie, oko jedno występowało nieruchomie ze swojej oprawy w skutku rany, jaką odniósł na samem wejściu do Galicji. Na twarzy jego wyrobił się był wyraz nieugiętej energii, ale zarazem ciężkie choroby jakie przebył i które zostawiły w jego organizmie śmiertelne nasienie wybiły na niej swoje smutne piętno. Niemniej jak powierchowność i charakter jego był zmieniony. Nie był to już ów koleżeński pułkownik z roku 1831, był to człowiek zgryziony, rozdrażniony, zakwaszony cierpieniami fizycznymi, zawodami szlachetnej ambicji, którą żył od lat najmłodszych, działalnością gorączkową w próżni a wreszcie klótniami emigracyjnymi.

To rozdrażnienie jego charakteru uderzyło mnie już mocno w ciągu półgodzinnej z nim rozmowy w przejeździe z hotelu Lambert na ulicę de Provence. Mówił cierpko o rzeczach i ludziach, nieoszczędzając nawet osób w których stary książę, wuj jego, pokładał zupełne zaufanie. Słuchał on opowiadania mojego o działaniach polskich w Węgrzech uważnie nie okazując jednak, ani sympatycznego zajęcia się niemi, ani też nieprzychylnego usposobienia. Widziałem, że dla niego związek między sprawą węgierską, a sprawą polską był kwestyą, nad którą potrzebował się bliżej zastanowić, ale gdy mu szczerze powiedział, że zamierzam zetknąć się ze wszystkimi stronnictwami w emigracyi, ażeby wszystkie pociągnąć pod jedną chorągiew polsko-węgierską, przybrał natychmiast ton lodowaty i od całej téj sprawy zdawał się ręce umywać. Było to jednak przemijające tylko wrażenie. W kilka miesięcy później zdecydował się sam jechać do Węgier. Uczucie patriotyczne przeważało w nim wszelkie względy uboczne, i tak było zawsze. Gdziekolwiek się pokazała chorągiew polska, jak w 1849 roku w Węgrzech, w 1854 roku na Wschodzie, on tam stawić się musiał, jak żołnierz na apel . . . nie pytając się, czy ten ruch polski jest dobrze obrachowany i kto nim kieruje, niezważając nawet na okropne cierpienia fizyczne, którym ciągle ulegał, a gdy już sam nie mógł być wśród walczących, to im posyłał posiłki w ludziach i zapomogi jakie mógł uzbierać, jak w powstaniu 1863 roku.

Po rozmowach jakie miałem z posłem węgierskim, z księciem A. Czartoryskim i epizodyczne z Wł. Zamoyskim należało mi, nie ociągając się dalej, zaatakować generała Dembińskiego. Generał mieszkał bardzo

skromnie, niemal ubogo, gdym przyszedł do niego siedział nad jakimiś szpargałami, w małej izdebce, w której nie było ognia na kominku, lubo to było w grudniu. Był on już pozyskany dla sprawy węgierskiej przez Władysława Jordana, który mu przyniósł list od Bema i uprzedził go, że ja przyjdę do niego w formalnem poselstwie od Kossutha. Nie potrzebowałem więc szeroko rzeczy mojej przedstawiać. Po kilku słowach, które poparłem listem Pułskiego, odpowiedział mi, że gotów jest wybrać się do Węgier i że niezwłocznie pójdzie do księcia Adama pomówić z nim o tem. Zresztą słuchał jednym uchem tylko, com mu o sytuacji Węgier mówił, jakby mu to było rzeczą obojętną i miał coś innego na sercu, czego mi powiedzieć nie chciał. Był widocznie zakłopotany. Dowiedziałem się wkrótce z jednej strony od Jordana, z drugiej strony od Telekiego o co mu chodziło. Poczciwy generał był jak wielu bardzo emigrantów zadłużony. Nie wiedział już jak wybrnąć ze swoich kłopotów, gdy jak *Deus ex machina* pojawił się u niego Jordan z propozycjami węgierskimi. Bardzo je też mile przyjął i dał do zrozumienia Jordanowi, że jeżeli Węgrzy chcą, ażeby swojej starej szabli dobył dla oswobodzenia ich kraju, to muszą naprzód jego samego oswobodzić od trapiących go wierzycieli. Przedemną, którego pierwszy raz widział, nie chciał z tym występować, lubo mu to żadnej ujemy nie czyniło, ale księciu Czartoryskiemu wyjawil otwarcie sekret swojej sytuacji. Książę podjął się negocjować z Telekim w jego interesie. Nie szło to jednak bardzo gładko. Teleki, był sceptykiem,

wierzył w to tylko, czego się dotykał i nie lubił rozstawać się z jakimikolwiek pieniędzmi, czy to własnymi, czy powierzonymi mu przez swój rząd. Gdyby był miał matematyczną pewność, że za kilka tysięcy franków okupi tryumf Węgrom, byłby się jeszcze może targował, a téj pewności nie miał. Zwlekał też kilka tygodni ze swoją ostateczną decyzją. Dopiero gdy wiadomości przyszły, że Austriacy wkroczyli do Węgier, że prą Węgrów i zbliżają się do Pesztu, uląkł się odpowiedzialności jakąby ściągnął na siebie, gdyby nie przysłał generała, na którego talenta wojskowe liczyli i zgodził się na warunki Dembińskiego.

Biedny stary generał! Puszczając się na największe niebezpieczeństwa, przedzierając się przez kordony pruskie i austriackie i iść walczyć za sprawę, która zdawała się upadać, dla tego, aby mieć czem zaspokoić swoich wierzycieli, co za los dla człowieka zasłużonego i obywatela niegdyś możnego! Bez wątpienia w owej chwili nie miałbym był odwagi namawiać go do takiej awantury, ale on był już na wszystko zdecydowany, nie przewidywał tylko, że ta suma, którą mu Teleki z góry wypłaci, będzie ciężkim dla niego łańcuchem. Tak bowiem w rzeczy samej stało się. Ona to krępowała jego wolę, gdy zmienność Kossutha, nieposłuszeństwo jawne Görgeja i intrygi podrzędnych dowódców czyniły mu służbę węgierską nieznośną.

VII.

Ściągnięcie Mierosławskiego do Węgier było zadaniem więcej nierównie skomplikowanem niż naklonienie Dembińskiego, ażeby przyjął dowództwo armii węgierskiej. Wiedziałem dobrze, że Mierosławski miał się za wielkiego człowieka, a Kossuth chciał go wypróbować na stanowisku drugorzędnem w sztabie głównym, lecz przypuściwszy, żeby się na to zgodził, zostawało jeszcze pytanie, czy Dembiński zechce przyjąć za współdziałacza improwizowanego hetmana demokratów? Nie śmiałem sam go badać w tym względzie, wołałem się uciec do pośrednictwa jego przyjaciela, czcigodnego Barzykowskiego, którego codziennie prawie spotykałem na obiedzie w klubie polskim na ulicy St. Honoré. Barzykowski był człowiekiem umiarkowanym, rozważnym, wytrawnym i nieposzlakowanej uczciwości. Prosiłem go nie tylko, ażeby wysondował Dembińskiego, ale żeby wpłynął ile będzie mógł na niego i nakłonił go do zapomnienia uraz, jakie mieć może tak

do Mierosławskiego jak i do innych zwolenników demokracji, którzyby służyć chcieli w wojnie węgierskiej pod jego dowództwem. Barzykowski przyrzekł mi to i w parę dni później przyniósł mi do klubu odpowiedź Dembińskiego. Jenerał mu powiedział, że opinie polityczne Mierosławskiego wcale go nie obchodzą, że w Węgrzech ma on być oficerem a nie trybunem, że pisarzowi historii wojny 1831 roku przebaczyłby najostrzejszą krytykę jego działań wojennych i politycznych, ale że Mierosławski przeszedł wszelką granicę uczciwej krytyki względem niego. Napisał bowiem w swojej skróconej historii kampanij 1831 r. w języku francuskim, te słowa „Dembiński wszedł do Warszawy jako zbawca, a wyszedł z niej jako zdrajca“ i tego mu nigdy nie przebaczy. Wyraz „zdrajca“ wystósowany do Dembińskiego zrobił na mnie wrażenie tak bolesne, jakby do mnie samego był wymierzony. Pewny jednak byłem, że nie wyszedł z przekonania Mierosławskiego, że go rzucił tylko w swój frazes dla antytezy. Powiedziałem to Barzykowskiemu i dołożyłem, że Mierosławski, jeżeli zechce iść do Węgier, to musi napisać list do jenerała Dembińskiego i wyrazić mu żal za oszczerstwo, jakiego się dopuścił na niego tak nierozważnie. To mu honor nakazuje. W takim razie, rzekł Barzykowski, nie wątpię, że jenerał Dembiński rękę mu poda.

Mierosławskiego nie było w ową chwilę we Francji. Ukrywał się jeszcze w Sycylii po upadku powstania, którym tak nieszczęśliwie dowodził, ale spodziewano się go z powrotem w Paryżu w niedługim czasie. W nieobecności jego ciekawy byłem wybadać usposobienie centralizacyi, której on był członkiem i od której przeto

zależał; przytem centralizacya stała na czele bardzo liczniego stronnictwa, za obrębem którego trudno by było znaleźć dostatecznej liczby oficerów do legionów Polskich w Węgrzech, gdyby okoliczności dozwoliły rozwinąć na wielką skalę będący już w tym kraju zaród polskiej siły.

Poszedłem więc do Józefa Ordęgi, jednego z centralizatorów, do którego miałem list polecający, od Wysokiego. Ordęga był bardzo rad, że się do centralizacyi zgłaszam, i niebawem oddając mi wizytę zaprosił mnie w imieniu swoich kolegów na ich zebranie. Czterech tylko członków centralizacyi było obecnych w Paryżu: Darasz prezydujący, Worcel, Ordęga i Chrystowski. Przed tymi panami więc stawilem się jakby na jakie posłuchanie solenne i wyłożyłem im cel mojej misyi w ogólności a w szczególności zlecenie jakie mi dał Kossuth odnośnie do Mierosławskiego. Tu pokazały się nowe trudności. Darasz mi powiedział, że Mierosławski jest moralnie związany z rządem tymczasowym Badeńskim, który mu zaofiarował za pośrednictwem centralizacyi dowództwo naczelne wojska a on takowe listownie przyjął.

Wypadki Badeńskie ówczesne są już dziś zapomniane i nie od rzeczy będzie zapewne dać czytelnikom krótkie o nich objaśnienie.

Na kilka tygodni przed przyjazdem moim do Paryża, wojsko Badeńskie zbuntowało się było. Jeden pulk dał przykład, za którym poszły niemal wszystkie inne i porozpędzały swoich oficerów, z wyjątkiem jednego porucznika Sybla, którego opinie demokratyczne i entuzjazm dla idei wolności i jedności wszech-niemieckiej były znane. Wnet potem wybuchnął i lud rzemieślniczy po miasteczkach. W. Książę uszedł ze swojego księstwa z całą swoją ro-

dziną; za jego przykładem dwór jego, możniejsze rodziny i wszyscy oficerowie wydalili się z kraju a w Karlsruhe ustanowiony został rząd tymczasowy złożony z adwokatów i dziennikarzy. Sybel objął dowództwo wojska wraz z ministerstwem wojny i zajął się gorliwie organizacją ruchawki ale rząd tymczasowy chcąc owęj rewolucyi w małym kątku Niemiec nadać cechę wszechniemiecką nie przestawał na cichych lubo rzeczywistych zdolnościach wojskowych Sybla, pragnął postawić na czele sił badeńskich wielkiego człowieka z głośną w Niemczech sławą i odwołał się do Mierosławskiego, który od czasu obrony swojej przed sądem berlińskim uchodził w istocie między demokracją niemiecką za wielkiego człowieka, za apostoła ogromnych idei. Nie szło za tem, ażeby go na seryo wziąć mieli gdy ze swoim polskiem nazwiskiem i nie umiając ani słówka po niemiecku stawia im się jako patriota niemiecki i obrońca ich mrzonek.

Zdziwilo mnie to niemało, że podejmuje się téj roli Condottiere rewolucyjnego i że mu centralizacya potakuje. Staralem się wytłumaczyć panom centralizatorom, że on niema co robić w téj awanturze, która bynajmniej nas nie obchodzi i zresztą już jest spóźniona, że nie nie zdziała i okryje się śmiesznością. Miejsce jego, mówiłem im, jest w Węgrzech, gdzie wywieszona już jest chorągiew polska, a parę tysięcy dzielnej młodzieży czeka na znak, aby połączyć się pod nią w jedną falangę, gdyż dziś Węgry walczą z Austrią, jutro zetrą się z Moskwą.

Centralizatorowie w odpowiedziach swoich sprowadzili dyskusyę na ciasne pole interesów stronnicych. Upierali się przytem, że Mierosławski związany już z Badeńczy-

kami, że ci liczą na niego i że zawieść ich zaufanie byłoby niegodnem; głównie jednak chodziło im, a mianowicie Daraszowi o to, że w Węgrzech rola Mierosławskiego obok Dembińskiego byłaby podrzędną, bez wpływu na los sprawy polskiej, gdyż przez Dembińskiego hotel Lambert będzie wszystkim kierował; zwłaszcza, że poseł węgierski w Paryżu jest raczej reprezentantem arystokracji niż demokracji i żyje w ścisłych stosunkach z księciem Czartoryskim, z niemi zaś bez wątpienia znosić się nie zechce. Te ostatnie kilka słów dały mi poznać, że kwestya miłości własnej ma niemałą wagę dla centralizacyi w tych rokowaniach i dla tego wziąłem na swoją odpowiedzialność powiedzieć im, że i owszem, Teleki życzy sobie zapoznać się z niemi i spytałem ich, czy chcą, żeby przyszedł sam do nich, czy też raczą pofatygować się ze mną do niego. Oświadczyli mi skromnie, że pójdą chętnie ze mną do niego, gdy im wyznaczy dzień i godzinę na to widzenie się.

Teraz może czytelnik rad będzie zaznajomić się bliżej z ludźmi, których demokracja emigracyjna wybrała na swoich przewodników. Nie znałem ich dostatecznie, ażebym mógł skreślić ich wizerunki dokładne, ale oto są choć sylwetki tych, z którymi miałem w owym czasie do czynienia.

Darasz był jeszcze dosyć młodym; mógł mieć 36 lat najwięcej. Na twarzy jego okrągłej, świeżej nieco chłopkowatej malowała się pewna dobrodusznosc, z którą w sprzeczności były jego oczy żywe, latające, badawcze. Mało mówił i zawsze tonem spokojnym, nigdy się nie unosząc, a wśród swoich kolegów wyglądał jak sfinks, którego myśl każdy z nich chciał odgadnąć, żeby się

podług niej kierować i to niezawsze im się udawało gdy on tymczasem wszystkich znając do gruntu, łatwo każdego z nich przenikał.

Co więcej znał doskonale wszystkich niemal członków stronnictwa demokratycznego i umiał wyzyskać na cele stronnictwa co tylko użytecznego pod tym względem wyciągnąć z nich mógł; talenta lub odwagę jednych, pieniądze drugich, stosunki towarzyskie innych. Nie jeden się zżywał, lecz w końcu każdy wpływowi jego ulegał, bo wpływ ten opierał się na wyższości rzeczywistej, jaką nad pospolitemi charakterami mają przekonania stałe, silna wola, panowanie nad sobą i umiejętność trafiania w słabe strony drugich. Przeszłości Darasza dobrze nie znam; był podobno synem odźwiernego palacu Potockich w Warszawie, co mu ujmy nie przynosi, ale tłómaczy zaciekłość jego opinij demokratycznych. Z władzą w rękę byłby on polskim Robespierem, tak nieprzejednaną nienawiść żywił do arystokracji i szlachty; lecz z tym ultrademokratyzmem, czyli jakby dziś powiedziano radykalizmem łączyły się w nim republikańskie cnoty: żył skromnie, żadnych rozrywek nie szukał i z zupełnem zrzeczeniem siebie oddany był sprawom swojego stronnictwa, które uważał za jedyną dźwignię mogącą podnieść ojczyznę.

Stanisław Woreel možny niegdys obywatel i marszałek swojego powiatu na Wołyniu, następnie poseł na sejm 1831 r., był już w r. 1848 w wieku dosyć podeszłym. Włosy jego siwiece i rzadkie rozrzucone były w nieladzie na głowie, twarz jego łagodna zwykle zamysłona, nosiła piętno wielkiego zmęczenia i nieukojonéj tęsknoty za krajem, za dziećmi, które w nim pozostawił

i może za idealnem dobrem, którego urzeczywistwienia pragnął nadaremnie na ziemi. Był to bowiem filantrop od lat najmłodszych. Przeszedł przez najrozmaitsze stowarzyszenia, mające na celu wyzwolenie Polski lub polepszenie bytu ludzkości wogóle i w końcu zabląkał się na bezdroża socjalizmu. Należał do szkoły Fourriera, zmodyfikowanej przez Consideranta. Pomimo tego zachował był przyjazne stosunki i szacunek ogólny w obozie konserwatywnym. Była też to najpocziwsza dusza pod słońcem. Nigdy biedny współwygnaniec nie zgłosił się napróżno do niego. Radził, pomagał, wspierał jak mógł, częstokroć ostatnim groszem dzielił się z drugimi, a do skrajnej demokracji i do socjalizmu zawiodło go jedynie wygórowane nad wszelką praktyczną miarę uczucie ludzkości.

Józef Ordęga szlachcic kaliski, żywy wesół, uprzejmy, gościunny, z tą cechą lekko gaskońską właściwą kaliszanom ówczesnym, godził w swoim umyśle Robespiera z Chrystusem Panem. Sądził bowiem, że terroryzm był zbawiennym dla Francyi, ale demokrację polską chciał ufundować na przykazaniach Ewangelij a nawet na obietnicach Chrystusowych tak jak je rozumiał. Wykładał mi to w ten sposób: Zbawiciel powiedział wprowadzie „królestwo moje nie jest z tego świata“, ale stosował to tylko do chwili, w której to mówił, bo natychmiast dodał *nunc autem regnum meum non est hinc*. A zatem królestwo jego nie było wtenczas z tego świata i nie jest dziś jeszcze, ale przyjdzie kiedyś i dla tego w pacierzu ułożonym przez samego Chrystusa, modlimy się ażeby przyszło. Teologowie tylko rozstrzygnąć mogą, czy miał szłusznąć czy nie. W każdym razie nie wielu

znalazł stronników do swojej tak zwanéj Demokracji chrystusowéj*), bodaj czy nie jednego tylko poczciwego Januszewicza ex-prezesa komisyi Województwa Sandomierskiego a swojego wiernego przyjaciela. Ordęga był wielce użytecznym centralizacyi przez swoje dosyć rozległe stosunki między Francuzami, którzy lubili jego żwawość, jego entuzjazm dla sprawy demokratycznój a nawet i ten akcent z nad Prosnę z jakim śmiało rąbał po francusku. Był mianowicie w zażyłości z ludźmi politycznymi z partyi Nationala jak Bastide, Carnot, Bois le Comte, a nawet Cavaignac, których rewolucya wyniosła była do steru republiki.

Chrystowski najmłodszy między centralizatorami był sobie mały człowieczek cichy, potulny, którego nie wiem dlaczego postawiono tak wysoko w demokracji emigracyjnój, chyba że się nim koledzy jego posługiwali mogli na wszelkie sposoby.

Z podanój tu próbki mógł się czytelnik przekonać, że centralizacya w składzie swoim nie była bynajmniej jednolita, jeden ciągnął ją ku socjalizmowi bezwyznaniowemu, drugi ku Ewangelii zastosowanój pewną metodą do polityki. Sam zaś prezes był dosyć dalekim od socyalizmu jak mnie o tem w cztery oczy upewniał, ale też i na prawidlach Ewangelii wcale nie poprzestawał. Podstawą, na którój się głównie opierał były „prawa człowieka“ sformułowane na czele konstytucyi francuskiej 1789 r. i konsekwencye, jakie z tych praw wyciągał.

*) Nie należy mieszać demokracji chrystusowéj Ordęgi z Polską Chrystusową Ludwika Królikowskiego, która była nazwą systematu filozoficznego dosyć zbliżonego do konkluzyi Cieszkowskiego.

Centralizacya nie miała już od wypadków 1846 r. żadnego stałego planu działania dla oswobodzenia Polski. Była ona wykolejona. Przez lat kilkanaście zmierzała tak pismami swojemi jak pracą podziemną, prowadzoną przez swoich emisariuszów, do wywołania ogólnego powstania mas we wszystkich dzielnicach Polski. Hasłem, które rozsylała wszędzie, gdzie tylko biją serca polskie, było, że demokracya jedna dając ludowi równouprawnienie zupełne z innemi klasami społeczeństwa i wszystkie warunki dobrobytu, może Polskę ocalić, ale kogóż poruszyła? Szlachtę zawsze gotową do najwyższych poświęceń dla ojczyzny, lud zaś wiejski w Królestwie głuchym był na całą tę propagandę, a w Galicyi przerzucił się na stronę nożów i rabunku. Była to gorzka nauka. Wnosząc, że nie poszła w las, pracowałem nad centralizacyą, ażeby ją przeciągnąć ku projektowi sojuszu naszego z Węgrami, któren nie wykluczał ani monarchicznych ani demokratycznych zasad. Książę Czartoryski nie miał mi wcale za złe mojej roboty. Muszę i demokratom tę sprawiedliwość oddać, że mi nie naganiiali moich wizyt w hotelu Lambert.

Wracam do porządku chronologicznego w mojem opowiadaniu. Nakłoniłem Telekiego — nie bez biedy wprawdzie — że zdecydował się przyjąć centralizatorów i dzień mi po temu naznaczył. Przyprowadziłem ich do niego. Był nader grzecznym, powiedział im nawet kilka komplementów, lecz w ogóle cedził swoje słowa i widocznie było, że siedział jak na szpilkach. Gdyśmy wyszli od niego, centralizatorowie zgodnie osądzili, że odegrał z niemi komedję. Musiała jednak pochlebić ich miłości własnej, bo przy rozstaniu oświadczyli mi, że nie

mają nie przeciw temu, abym szukał w szeregach demokracji oficerów do służby węgierskiej, że nawet Mierosławskiego od tego odwożić nie będą, jeżeli sam się do moich propozycji nakłoni, ale że nie mają jeszcze dosyć przekonania, ażeby na współdziałanie demokratów polskich z Węgrami uroczyście bębnili.

Nie żądałem też tego od nich. W początku ograniczyć mi się trzeba było na pozyskaniu dla Węgrów kilku tylko oficerów. Wysyłka wielkiej liczby emigrantów zależała od tego, czy rząd Karóla Alberta zechce użyć ich im wojennego statku, lub przynajmniej jakiego parowca na przeprawę do portu Fiume? bo innemi drogami niezmiernie trudno było dostać się do Węgier i każdy emigrant, który się tam udawał, narażał się na większe niebezpieczeństwo w przeprawie niż w walnej bitwie. Kwestya przesyłki emigrantów łączyła się tym sposobem z ważniejszym jeszcze dla Węgrów zadaniem sprowadzenia im broni, do czego inną drogą nie było, jak morzem na Riekę (Fiume), lecz Teleki z zwykłą swoją opieszałością i swoim sceptycyzmem żadnego kroku w tem nie czynił, odkładając go z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień. Chcąc mu bodźca dodać i czynność mu ułatwić, skorzystałem z listu jaki mi dał generał Kruszewski do Aleksandra Walewskiego i udałem się do téj osobistości głośniejszej w świecie eleganckim, gdzie za nic innego uchodzić nie chciała, jak za szlachcica polskiego. Był to człowiek słusznego wzrostu, dosyć mocnej tuszy, z głową Napoleońską, tylko twarz miał pełną, podług polskiego typu, a w oczach jego zamiast płomienia geniuszu, którym błyszczało wejrzenie Napoleona, był wyraz uprzejmości, słodczy charakteru i inteligencji otwartej, lecz bierniej.

Mówił z razu z pewnem wahaniem się, które w toku rozmowy znikalo, zresztą wszystko w nim cechowało prawdziwego gentlemana. Był on w owęj chwili luźnym dyplomata, ale ze świetną przyszłością, którą mu wybór księcia Ludwika Napoleona na prezydenta Rzeczypospolitej otwierał. Przyjął mnie bardzo nprzejmie, na co zapewne wpłynęła była pamięć mojego ojca, wielkiego przyjaciela jego matki. Gdy mu opowiedział mój interes, rzekł mi: „Szczęśliwie pan trafiłeś. Jest właśnie w Paryżu adjutant i najpoufniejszy powiernik króla Karóla Alberta a mój zażyły przyjaciel, pułkownik Cipriani. Ma on, między nami mówiąc, różne tajne zlecenia od swojego monarchy, odnoszące się do wojny która w tych dniach rozpocznie się na nowo między Sardynią a Austryą, ma przytem rozległe pełnomocnictwo do działania i pewny jestem, że wszystkich starań doloży, aby wam dopomódz w waszym projekcie, który może przyczynić się bardzo skutecznie do rozerwania sił austryackich na korzyść Sardynii. Przyjdź pan do mnie jutro na obiad, zastaniesz go tutaj i będziecie mogli szeroko się rozprawić.“ Nazajutrz stawilem się z wielką przyjemnością na zaproszenie Walewskiego. Zaprezentował muie on swojej żonie, málj, szczupléj, zgrabnéj i nader miłéj Florentce, z domu hrabiance Ricci z kilku kroplami krwi polskiej, a nawet królewsko-polskiej w żyłach. Była bowiem wnuczką, jeżeli nie w zupełnie prostéj, to przynajmniej w urzędowo sprostowanej linii, Stanisława Poniatowskiego, podskarbiego Litewskiego. Był już w salonie państwa Walewskich pułkownik Cipriani, jeszcze dosyć młody, nader przystojny, z fizyognomią wojskową, lecz czysto-włoską i z ukladnością człowieka żyjącego oddawna w sferze

dworskiej. Po obiedzie gastronomicznym lubo hotelowym, bo Walewski nie wiem dlaczego mieszkał nie w prywatnym domu ale w hotelu Mirabeau na ulicy de la Paix, rozmówilem się z adjutantem Karóla Alberta. Był on już uprzedzony przez Walewskiego o co mi chodzi i konferencya nasza nie długo trwała. Cipriani mi powiedział, że nie ulega żadnej wątpliwości, iż Rząd Sardyński dostarczy nam statku parowego na przewóz broni i emigrantów polskich do portu Fiume; co więcej, ponieważ wojna między Sardinią i Austryą już będzie rozpoczęta zanim ten transport przygotujemy, Rząd Sardyński każe jednej fregacie eskortować go, ażeby mógł bezpiecznie dopłynąć do Fiume i tam być wyladowanym. Trzeba tylko, żeby poseł węgierski zrobił podanie w tym względzie na jego ręce do hr. d'Azeglio, prezesa Rady ministrów, a on za skutek pomyślny ręczy.

Rezultat ten bardzo mnie ucieszył, lecz obawiałem się, że Telekiego nie pociągnę na drogę, którą nam pulk. Cipriani otwierał. Zaczynałem bowiem wielce powątpiewać o zamówionej broni przez niego w warsztatach angielskich i belgijskich, jak mu to był Kossuth polecił. Zbyt mało miał wiary w sprawę węgierską, ażeby się tak wielkim interesem chciał być zająć. Wiele razy mu o téj broni wspominałem, odpowiadał mi ogólnikowo, z pewnem zakłopotaniem, i sprowadzał rozmowę na inny przedmiot zwykle błahy; najmiléj bowiem było mu rozmawiać o kobietach, o gastronomii, o fraszkach światowych. Wtenczas ożywiał się i dowcipkował a polityka go zasępiała.

W ważnej okoliczności, która się teraz przedstawiała, nieczując się na siłach, ażeby przemódz stanowczo tę

jego polityczną apatyę, udałem się do księcia Czartoryskiego, opowiedziałem mu rzecz całą i prosiłem go, ażeby zechciał nakłonić Telekiego do korzystania ze sposobności, która mu pozwalała zaopatrzyć Węgry w broń, oficerów i ochotników. Książę interesował się coraz więcej sprawą węgierską*) i chętnie mi przyrzekł wpłynąć ile będzie mógł na Telekiego. Rzeczywiście też, gdym w parę dni potem był u posła węgierskiego nie opierał się, jak się obawiałem, iść ze mną do Walewskiego i Ciprianego; lecz Walewski, którego uprzedziłem o téj chęci jego złożenia mu wizyty, nie bardzo temu był rad. Powiedział mi szczerze, że w położeniu wyczekującym w jakim się znajduje, wszelkie mieszanie się jego do kwestyj politycznych bieżących, mogłoby być wzięte za intrygowanie, za wrywanie się z jakąś rolą samodzielną, i zaszkodzić mu w opinii Prezydenta Rzeczypospolitej. Ledwo się dał uprosić, że raz jeden przyjmie Telekiego, ażeby mu dodać zaufania do Ciprianego. „Potem, rzekł, będziecie mieli drogę otwartą do działania, a mnie zostawcie na boku“. Przyprowadziłem więc do niego węgierskiego dyplomate. Walewski wypytywał się go ciekawie o różne szczegóły sprawy węgierskiej, czem zachęcony Teleki,

*) Gdy Moskale już byli wkroczyli do Węgier, pisał stary książę do Orpiszewskiego: „Nigdy w życiu nie pamiętam aby smutniej było. Węgrzy podobno potrafili wstrzymać niezmiernie siły koalicji, ale trzeba znaczniejszych zwycięstw, aby w Europie skutkowały. Niewiem dla czego wiadomości zwycięstw nie zostawiają po sobie pociechy. W każdym przypuszczeniu przyszłość jest pomieszana, niepewna, bez światła. Jeżeli zaś Moskale przemogą, to Polska poniesie ostatni cios, trzeba będzie zwinąć naszą budowę polityczną, bo nie będzie czem i po co ją utrzymać“. Br. Zaleski, Żywot Orpiszewskiego w Przeglądzie Polskim na Wrzesień.

dawszy mu wszystkie objaśnienia jakich żądał, chciał zakończyć opowiadanie swoje wielkim efektem wymowy i tonem płaczliwym polecił jego opiece nieszczęśliwe Węgry. Lekki uśmiech przebiegł po twarzy Walewskiego; odpowiedział mu, że on w téj chwili jest nieczem i do sprawy węgierskiej mieszać się nie może; prosił go o zachowanie w tajemnicy pogadanki jaką z nim miał, i odesłał go do Ciprianego, lecz ostrzegł nas, że on wyjechał do Turyn i nie wróci jak za ośm dni najprędzej.

Nieszczęściem, w ciągu tych ośmiu dni zmieniała się postać rzeczy w Węgrzech.

Już w drugiej połowie grudnia zaczęły przychodzić wiadomości niepomyślne z teatru wojny nad Dunajem. Anstryacy wkroczyli do Węgier dnia 15 czy 16 grudnia, jak już nadmienilem wyżej, i parli przed sobą porozrzucane po obu stronach Dunaju korpusy węgierskie. Wprawdzie Görgej stawil im mężny opór pod Wieselburgiem, a Perczel pod Moorem, ale jeden i drugi zamiast podpieierać się nawzajem, cofnęli się dwoma drogami do Pesztu. Wojsko anstryackie zbliżyło się pod to miasto, i dnia 4 stycznia zajęło go, a główna armia węgierska cofnęła się za Cissę, gdzie wraz z nią przeniosły się władze krajowe. Drugiego dnia po nadejściu tych wiadomości poszedłem do Telekiego. Zasób jego nadziei w sprawie swojego narodu, którą miał wrzekomo podtrzymywać we Francji, był zawsze nader słaby a w téj chwili zastałem go zupełnie zrozpaczonego. „Widzisz pan — rzekł do mnie — iż miałem słuszność niezajmować się tak nagle wysyłką broni i emigrantów do Fiume. Nie przyjdzie już tam teraz Perczel, ażeby ją przeprowadzić

pod zasłoną bagnetów do Debreczyna, a fundusze jakie miałem na ten cel, dobrze jest zachować dla emigracji węgierskiej, która niebawem pojawi się na francuskiej ziemi“. Nie miałem argumentów dosyć silnych na podniesienie w nim ducha. Okoliczności zdawały się rzeczywiście dawać słuszność jego pesymizmowi i nie było już mowy między nami ani o rokowaniach z pułkownikiem Ciprianim, ani o wyprawieniu oficerów polskich do Węgier. Cały werbunek ograniczył się na Dembińskim, który miał sobie za obowiązek honoru przedrzeć się do tego kraju i już był w drodze, oraz kilku oficerach wskazanych przez niego Telekiemu z poparciem księcia Adama. Za nimi wyruszył i Wł. Jordan, który dopełniwszy danego mu pojedynczego zlecenia, winien był wrócić na teatr walki jako oficer węgierski. Tego obowiązku ja nie miałem, a lubo posel węgierski jakby na znak że zwinął swoją misję, przeniósł się z okazałych apartamentów do dwóch skromnych emigranckich pokojów, i oddalił nawet swojego sekretarza Szarwadięgo, nie utracilem był nadziei, że się rzeczy polepszyć mogą w Węgrzech, i że może być jeszcze coś do działania we Francyi na korzyść tej sprawy. Wszakże i w naszej wojnie r. 1831, w pierwszym peryodzie cofnęliśmy się aż pod Grochów, a z Grochowa do Warszawy i na lewy brzeg Wisły. Sprawa nasza zdawała się już straconą, a jednak później zwycięstwa pod Wawrem i Dębem mogły być dać zupełnie inny obrót naszej sprawie, gdybyśmy byli mieli człowieka z geniuszem na czele wojska. Zostałem więc w Paryżu, zasmucony ale nie zrospaczony.

VIII.

Przez parę miesięcy następnych, to jest dopóki sprawa węgierska zuowu się na chwilę nie podniosła, ograniczyć się musiałem na bierną rolę obserwatora wśród emigracyi. Ale jakież to ciekawy przedmiot do studyów był ten świat emigracyjny, którego ruchliwe stronnictwa, sekty gubiące się w mgłach mistycyzmu, typy osobliwe wytworzone pod wpływem okoliczności wyjątkowych z daleka od rodzinnej atmosfery, można było porównać do wysilonej roślinności w cieplarni — bujnej, żywo ubarwionej lecz nietrwałej i nieplodnej. Dzięki tytułowi mojemu wysłańca z Węgier przynoszącego, jak sądzono, ważne nowiny, trochę otuchy patriotycznej i rangi wojskowe dla emigrantów gotowych udać się do Węgier, miałem nie tylko łatwy przystęp do wszystkich, ale byłem nawet dosyć poszukiwaną osobą i w krótkim czasie mogłem poznać, jeżeli nie całą emigrację, to przynajmniej tych, którzy jej żywioły składowe najwybitniej reprezentowali. Niektóre postacie odskiko-
wałem już pobieżnie, teraz dopełnię obrazu, o ile to jest

w możności mojej, poczem idąc za chronologią moich wspomnień, wróćę do sprawy węgierskiej.

Prócz stronnictw arystokratycznego i demokratycznego było jeszcze w emigracyi trzecie stronnictwo tak zwane wojskowe, nieliczne wprawdzie i bez wpływu, ale którego pominąć mi nie należy. Naczelnikiem jego nominalnym był generał Rybiński, a duszą J. B. Ostrowski. O istnieniu tego stronnictwa dowiedziałem się dopiero w parę tygodni po przybyciu mojem do Paryża, będąc w odwiedzinach na dalekiem przedmieściu u dawnego kolegi mojego z 13^{go} pułku, Kisielewskiego. Wyrzucił on mi, że nie byłem jeszcze u ostatniego naczelnego wodza naszej armii, który podług niego był rzeczywistym naczelnikiem emigracyi, trzymającym chorągiew polską na francuskiej ziemi. Dowodził, że nawet rząd francuski za takiego go uznaje, gdyż mu płaci odpowiednie temu stanowisku subsydyja (400 franków na miesiąc) i uważa za legalne stany służby i wogóle wszelkie świadectwa podpisem jego opatrzone, a do których on nie zaniedbuje nigdy przyłożyć pieczęci z orłem i pogonią. Lubo argumentowanie to nie przekonało mnie ażeby wódz armii od 18 lat nieistniejącej był z prawa naczelnikiem emigracyi, przypomniało mi jednak, że z innych miar powinienem złożyć mu hold mojego uszanowania i przyrzekłem to uczynić. Kisielewski zaofiarował się zaprowadzić mnie do niego i kilka dni później poszedłem z nim odbyć tę wizytę. Generał Rybiński przyjął mnie otoczony całym swoim dwo-rem. Byli przy nim J. B. Ostrowski, jego alter ego, pułkownik Święciecki jego szef sztabu i kilku innych dawnych oficerów z różnych pułków. Między nimi jeden z 4 pułku liniowego, podobno naówczas już unikat

z Olszyny Grochowskićj i z pod Dębego, którego nazwisko jednak wyszło mi z pamięci.

Jenerał Rybiński w 1848. r. już starzec sześćdziesięciokilkoletni, ale który miał przeżyć lat 90, był małego wzrostu, niepokąźny, małowowny, trochę zakłopotany przyjmując obcych i zupełnie pod wpływem J. B. Ostrowskiego. Ten za niego mówił, pisał i krzątał się gdzie było tego potrzeba i niepotrzeba. On zaś, wyłącznie żołnierz, żadnej innćj roli odegrać nie umiał. Odbył zaszczytnie kampanie napoleońskie i wszystkie stopnie swoje z kolei zdobył na polach bitew. Za czasów W. X. Konstantego był pułkownikiem dowódcą 1go pułku piechoty liniowćj i gdy w małym jakimś miasteczku na garnizonie przebywał, myśl ambitna mu przyszła przetłumaczyć na język polski świeżo wydaną strategię Arcyksięcia Karola, która w świecie wojskowym ogromny pozyskała była rozgłos. Potrzeba mu było biedzić się okropnie nad tem tłumaczeniem, bo języka francuskiego, z którego przekładał, dokładnie nie znał i musiał się ciągle słownikiem posługiwać. Języka swego także nie wyuczył się był na dobrych wzorach i żadnej wprawy nie miał w pisaniu. Łamał się więc z trudnościami dwóch języków i nie potrafił ich przewyciężyć. Ciężko jest czytać jego tłumaczenie. Miał jednak to szczęście, że W. Książę, który niecierpiał wojskowych bawiących się w autorstwo, odstąpił tym razem od swojćj reguły, zapewne dla uczczenia austriackiego wodza, i wydał rozkaz wszystkim pułkownikom, ażeby przekład jego Strategij swoim oficerom narzucili, potrącając każdemu z nich z żołdu cenę jednego egzemplarza. Praca Rybińskiego rozpowszechniła się tym sposobem w wojsku, a on uchodził za uczonego oficera...

mianowicie między tymi, którzy przekładu jego nie czytali. Lepszą sławę zjednały mu umiejętne obroty jego pod Dębem Wielkim gdzie już był jenerałem dywizyi i przyczynił się głównie do owego zwycięstwa, które tyle nadziei, zbyt prędko niestety zniweczonych, wzbudziło w sercach polskich. Odtąd Rybiński uważany był za jednego z najlepszych naszych jenerałów i po wzięciu Warszawy wybrany został wodzem naczelnym. Trudno mu zarzucić, że wyprowadził szczątki wojska naszego do Prus. Były one już zupełnie rozprzężone i nikt rozkazów jego słuchać nie chciał.

Rybiński nie był wszakże stworzony na hetmana. Nie miał potemu ani potrzebnej inicjatywy ani energii, lecz był niezaprzeczenie mężnym oficerem, dobrym Polakiem i uczciwym człowiekiem.

Będąc pułkownikiem, ozdobionym kilkoma orderami nie wstydził się odwiedzać ojca, który był starym sługą w domu książąt Sanguszków w Sławucie i okazywać mu publicznie synowskie uszanowanie. W emigracji żył dosyć długo w zapomnieniu, zamknięty w kółku rodziny, która dzieliła jego wygnanie. Zajął dopiero trochę wybitniejsze stanowisko gdy spadł na niego legat 200,000 franków po hr. Leonowej Malachowskiej, z domu Księżniczce Sanguszkównie. Byłżeto rzeczywisty legat? Cała sprawa sukcesyi po p. Malachowshiej jest tajemnicą — i zdaje się straszliwą tajemnicą — w jej grobie zamkniętą. To jest tylko pewnem, że jenerał przyjął ofiarowaną mu sumę w dobrej wierze, iż była mu przekazaną przez tę znaną Polkę jako hold oddany jego zasłudze i pamiątkę od siostry Ks. Eustachego Sanguszki, w domu którego był wyrósł. Część tej sumy obrócił na wspomnienie biedniejszych oficerów i na urządzenie skromnego archiwum,

w którym złożone zostały akta sztabu głównego z r. 1831, oraz wiele dokumentów z ministerstwa wojny z epoki W. Ks. Konstantego, które uprowadził do Francji. Oddał to archiwum pod dozór pułkownika Świącieckiego. Ten sporządzał stany służby z drukowanemi nagłówkami i inne świadectwa po jakie emigranci się zgłaszali, a na których generał przykładał swój podpis. Była to czynność nżyteczna bo niewielu emigrantów potrafiło zachować swoje papiery wojskowe, ale Rybiński nie miał wysokiego poczucia swojej godności, dostępny był intrygom, wydawał świadectwa jakie kto chciał; rozdawał nawet awanse wojskowe w emigracyi i podpis jego niebawem całą wagę swoją stracił, w dodatku poddał się pod kierunek J. B. Ostrowskiego i skompromitował się tem do reszty.

Kto był J. B. Ostrowski o tem zapewne dziś mało kto wie po za szczipnem kółkiem pozostałych jeszcze starych emigrantów. W swoim czasie był jednak znanym... jak zły szeląg. Redaktor Nowej Polski w 1831 roku odznaczył się on już wtenczas swoim ostrem piórem. W emigracyi cały talent jego, niezdolny wznieść się nad poziom artykułów gazetarskich, a co najwięcej broszur, w żółé się obrócił. Była to zawiśé chodząca, która nikomu nie przebaczała; zawiśé w jaką wyradza się wielka ambicya, nie mogąca wyrobić sobie żadnej drogi na świecie i trawiąca wewnątrz człowieka. Nienawidził on arystokracji, dla tego, że się nim posługiwać nie chciała; demokracji, że się na nim nie poznała; mężów zasłużonych, że go émili lub lekceważyli; pisarzy zdolniejszych, że im nie dorównał; ludzi bogatszych, że nie miał tyle co oni. Opowiadania jego i sądy o drugich piekły uszy tych co go bezstronnie słuchali, tak były pełne żółci

jadowitej, wylwajacój się w oszczertstwa, do których lada poźór mu służył. Odepehnięty od wszystkich, przyczepił się nakoniec do Rybińskiego, opanował jego słaby umysł, potrafił mu wytłumaczyć, że nie przestał być wodzem naczelnym wojska z 1831 roku w emigracyi i w kraju, a gromadzące się przy nim kółko usiłował zmienić w stronnictwo, aby je przeciwstawić arystokracji z jednej strony, demokracji z drugiej. Nie szczędził po temu zachodów i intryg; redagował Rybińskiemu podania do ministrów, później adresy do Napoleona w okolicznościach sposobnych a stronników jego ujmował sobie pochlebając miłości własnej wszystkich a potrzebującym wyrabiając powiększenie subsydjów lub gratyfikacye; miał bowiem wpływ dosyć znaczny w biurze wychodźców w policyi, nie wiem z jakiego tytnu. Pomimo tego wszystkiego J. B. Ostrowski budował na piasku. Stronnictwo, które stworzył, nie oparte na żadnej idei politycznej, było tylko koteryą, w której on uchodził dosyć długo za luminarza, ale w końcu wszyscy się na nim poznali i odwrócili się od niego. W epoce kiedy przyszedł pierwszy raz złożyć moje uszanowanie Rybińskiemu, J. B. Ostrowski, czyli jak go powszechnie zwano Ibus, jeszcze rój wodził w najlepsze w owem stronnictwie wojskowem. On był jego oratorem i skreślił mi obraz emigracyi, który mnie przejął odrazą . . . ku malarzowi. Na nikim on jednej pocziwój nitki nie zostawił, wszystkich zbrukał, błotem obrzucił, prócz przyjaciół Rybińskiego, których na tem tle ciemnem w najpiękniejszym świetle wystawił. Między nimi tylko, podług niego, była prawdość, czysty patryotyzm, prawdziwe braterstwo. Byli to rzeczywiście pocziwi ludzie, których jedynym błędem było, że się dali

otumanić Ostrowskiemu. Większa część ich oświadczyła mi gotowość udania się do Węgier, ale trudności takiej wysiłki codziennie się zwiększały i nie pozwalały mi żadnych przyrzeczeń im czynić.

W ogóle perspektywa wystąpienia w wyższych lub przynajmniej dawnych stopniach pod polską chorągwią w Węgrzech była nader ponętną dla emigrantów wojskowych z przed 1830 r. tych zwłaszcza, którzy żadnych posad nie mieli i żyli z szczupłych subsydjów, jakie im płaciła Francya. Weterani nasi nawet garnęli się do tego. Jenerał Sierawski, legionista polski, z białą głową, chciał koniecznie jechać za przykładem Dembińskiego do Węgier. Przyszedł do mnie parę razy z pod Neuilly, gdzie mieszkał, żeby mnie przekonywać, że może być Węgrom bardzo użytecznym. „Dembiński, mówił on mi, jest jeneralem kawalerji, ale ja jestem jeneralem piechoty i jeneralem doświadczonym, przynasz to, a takich Węgrom potrzeba“. Napróżno mu napomykałem, iż ciężkoby mu było puszczać się w tak dalekie strony i przedzierać się jak młodzik przez kordony austryackie. „Ależ, skoro Dembiński jedzie, odpowiedział mi, dla czegoż ja nie mógłbym to samo uczynić“. Była to emulacya trochę komiczna, ale która miała swoją stronę rozrzewniającą. Stary legionista zapomniał, że Dembiński lubo już nie młody, był jednak o kilkanaście lat młodszy od niego, i że miał w swoim stanie służby chlubny odwrót z Litwy, gdy tymczasem on uchodził zawsze za wojownika bez szczęścia, tak że Chłopicki i Skrzynecki wahali się powierzyć mu ważniejszą komendę. Ostatni dał mu na koniec dowództwo korpusu po Pacu i w bitwie pod Kaźmierzem, pomimo, iż poczynił dobre rozporządzenia

i w ogniu walecznie osobę swoją nadstawiał, został pobity. Ale i poza obrębem wojskowości nie miał szczęścia. Los zdawał się zawsze naigrywać z niego. Sierawski dwa razy się żenił niemając majątku i biorąc żony bez posagu — miał snąć powołanie do stanu małżeńskiego — a w jednym i drugim małżeństwie dzieci mu się sypały, jak z rogu obfitości i nie wiedział jak sobie z nimi dać radę. W emigracyi skazany żyć z nową familią, którą się otoczył, ze skromnych subsydyów, stu franków na miesiąc, i nie wielkim dodatkiem z innych stron, cierpiał w starych latach swoich biedę tem sroższą, że miał apetyt Gargantui, a bardzo rzadko sposobność zaspokojenia go zupełnego. Krążyły o tem zabawne anegdoty między emigrantami. Opowiadano mi między innemi, że wychodząc raz z restauracyi w Palais royal, spotkał znajomego Polaka idącego do tejże saméj restauracyi. „Jaka szkoda, rzekł ten, że generał już po obiedzie, byli-byśmy zjedli razem“. „Ba, jeżeli mnie zapraszasz, odrzekł generał, to ja gołów jestem powtórzyć“. Bis repetita placet i zjadł bardzo smacznie drugi obiad począwszy od zupy.

Ostatniem zapewne jego marzeniem, bo niedługo potem umarł, była owa wojaczka w Węgrzech, w której widział wyjście z biedy emigracyjnój — i może, godny żołnierza koniec dla siebie na polu bitwy. — Nie mogłem mu też myśli téj z głowy wybić, aż dopiero zajęcie Pesztu przez Austryaków poddało mi argument stanowczy przed którym uległ, pewny, że go do końca ściga jakaś fatalność, której zrezygnował się oddać życie swoje za wygraną. Innym weteranem, który miał podobnie i może po części z takichże samych pobudek wielką ochotę

dobyć jeszcze swojej zardzewiałej szabli, był generał Jerzmanowski; ale ten dał się łatwiej przekonać, że straszliwa trudność przeprawy do Węgier i powrotu z tamtąd do Francji w razie pobicia Węgrów, były nad siły jego sędziwego wieku. „Ano masz słuszość, rzekł mi, nakładając krótką fajeczkę wyobrażającą głowę Napoleona I w trójężnym kapeluszu, diabelska to ta przeprawa do Węgier, ale jeżeli gdzieś bliżej Renu pokażą się nasze chorągiewki ulańskie, to niezawodnie wsiądę na koń“. Jerzmanowski miał jeszcze czarne włosy i czarne wąsy, zaledwie przypruszone poczynającą się siwizną, a jednak był także legionistą, lecz z legiów Kniaziewicza i chrzest ognia otrzymał pod Hohenlinden. Odbyszwy kampanie Napoleońskie miał zaszczyt dowodzić temi stoma ulanami polskimi na wyspie Elbie, na które zredukowaną została armia zwycięzcy Europy i przeprowadził go z niemi szczęśliwie w 1814 r. aż do Grenoble. Służył następnie parę lat pod W. ks. Konstantym, który go wielce polubił, ale nie pozyskał wzajemności z jego strony. Wziął w 1818 r. demisyę w stopniu generała, gdyż w służbie był tylko pułkownikiem i wrócił do Francji. Tam od trzydziestu lat przebywał, gdym mu się przedstawił jako syn dawnego kolegi, i sam niezupełnie mu nawet nieznany, bo mnie widział przed laty w Paryżu, gdym był małym dzieckiem. Był to miły typ wojaka z czasów księcia Józefa, do którego był trochę z twarzy podobnym. Zachował był dawne uczucia, dawne wyobrażenia, dawną cześć niemal balwochwalczą dla Napoleona i dawną szczerą prostotę wiarusa, a po polsku mówił, jak gdyby wczoraj dopiero z kraju wyjechał. Śnać miał silniejszą polską naturę, niż rówieśnik jego pułkownik

Komierowski, dawny adjutant Marmonta, który zostawszy we Francyi po upadku Napoleona, zapominał był zupełnie rodzinnego języka, tak że dwóch słów w nim skleić nie umiał. Po francusku jednak mówił najgrubszym polskim akcentem.

Jenerał Jerzmanowski żył we Francyi z dosyć chudój emerytury, którą mu rząd francuski wypłacał. Miał kłopotów nie mało, bo zaciągnął był ciężkie obowiązki — sercowe niestety! Wyniesienie synowca Napoleona na prezydenta Rzeczypospolitej nie polepszyło jego sytuacji. Książę Ludwik Napoleon nie raczył go sobie przypomnieć i odmówił mu posłuchania, tak jak go odmówił jenerałowi Wąsowiczowi, który Cesarza Napoleona przywiózł na swoich sankach ze Smorgoni do Warszawy. Ale to wszystko nie zasepiało dziarskiego humoru Jerzmanowskiego; przechadzał się po ulicach, pałac swoją krótką fajeczkę, zawsze pogodny, rad, gdy spotkał znajomego rodaka, z którym mógł pogadać, a gdy miał świeżą jeszcze kwartalną swoją pensję w kieszeni, zaprosić go na obiad do Palais royal.

Obok tych wszystkich znajomości świeżych lub odnowionych, które mi nastreczyła moja misja węgierska, nie zbyt jednak pomyślnie idąca, miałem szczęście poznać olimpijską osobistość Mićkiewicza. Trzeciego czy czwartego dnia po przyjeździe moim do Paryża przyszedł do mnie emigrant z miną ascetyczną prosić mnie od naszego wieszcza, ażeby do niego przyszedł. Redagował on wtenczas dziennik *La Tribune des Peuples* („Mównica ludów“) i chciał mieć odemnie świeże i dokładne wiadomości z Węgier. Pospieszyłem do niego i jadąc na Batignole, gdzie wtenczas mieszkał, serce mi bilo mocniej

może, niż gdybym szedł na schadzkę miłosną. Zdawało mi się, że mówić będę nie ze zwyczajnym śmiertelnikiem, ale z wyższą jakąś istotą. Frasowało mnie też ogromnie jak mu mówić: „Panie“ po prostu lub „Panie Dobrodzieju“, to zbyt pospolite, „Wieszczu“ to zbyt pompatyczne na ciągły użytek, „Mistrzu“ to pretensjonalne i w moich nstach, niebędąc ani poetą ani zwolennikiem towianizmu, wcale niewłaściwe. Prożnom przemyślał, niemógłem natrafić na stosowny tytuł i z tem nierozwiązaniem w głowie zadaniem wszedłem do jego skromnego mieszkania. Zajmował dół małego domku. Wechodziło się do niego przez małą sionkę ciemną, oświeconą tylko z kuchni będącej na prost drzwi. W niej pani Mićkiewiczowa gospodarowała; — wyszła ona wnet do mnie i z wielką uprzejmością zaprowadziła do pokoju męża. Gdy otworzyła drzwi ujrzałem przez obłok tytoniowego dymu wielkiego Wieszczę siedzącego w szlafroku, z długim cybuchem w rękę, przy stoliku zarzuconym papierami i książkami. Światło lampki palącej się na tym stoliku — bo już był wieczór — padało na twarz jego, na której objawiała się taka potęga myśli, że kto raz tę twarz widział już mu zawsze przytomna była w pamięci. U nóg jego tarzalo się po ziemi parę najmłodszych jego dzieci, ładnych jak aniolki, a po różnych kątach siedziało kilku mężczyzn z cygarami lub papierosami w ustach. Byli to dwaj bracia Chodźkowie Aleksander i Michał, Służalski faworyt poety, postać ogromna i typowa przypominająca najzabawniejsze figury z pamiętników Paska lub pamiętek Soplicy i dwóch lub trzech innych z fizyonomiami gminuemi.

Mićkiewicz nie dał mi czasu wypowiedzieć ile się czuję zaszczyconym i szczęśliwym, że mnie wezwał do

siebie; pierwszy odezwał się do mnie przeciągłym litewskim akcentem. „No i cóż tam słyhać w Węgrzech szanowny ziomku; siadajże tu i opowiadaj nam“. Tytuł „szanowny ziomku“ wybawił mnie z kłopotu; wiedziałem już jak do niego mówić idąc za przykładem jaki mi dał i opowiedziałem mu stan rzeczy w Węgrzech. Słuchał mnie z ciekawością, bo sprawy Węgierskie były mu zupełnie nie znane; o kraju węgierskim nawet miał bardzo ogólne tylko i trochę mgliste wyobrażenie.

Prosił mnie, żebym napisał choćby po polsku artykuł o sytuacji Węgier do jego dziennika. Przyrzekłem mu chętnie nie tylko jeden artykuł ale kilka i po francusku nawet, bo to dawało mi sposobność zawiązania z nim bliższych stosunków. Jako też w parę dni później przyniosłem mu pierwszy artykuł, z którego był zadowolony, i umieścił go na wstępie wyszłego nazajutrz numeru de la Tribune des peuples. Następnie co kilka dni przynosiłem mu artykuły długie lub krótkie w tymże samym przedmiocie, które on mile przyjmował. To mnie zachęciło odwiedzać go i bez pretekstu. Stosunki moje z nim przetrwały aż do nieszczęsnego wyjazdu jego na wschód, z kąd już tylko zwłoki jego przywieziono na powrót do Francji, aby je złożyć obok żony na cmentarzu w Montmorency.

Jakkolwiek wiele już pisano o tym uwielbionym naszym poecie, którego każdy wiersz poruszał serca i zapalał wyobrażenie współczesnego mu pokolenia, przedmiot nie jest bynajmniej wyczerpany, bo Mićkiewicz był pod względem psychologicznym zagadkową istotą, łączącą w sobie najdziwniejsze sprzeczności a ztąd fizjonomia jego moralna, z różnego na nią zapatrując się stanowiska,

przedstawiała się coraz odmiennie. W życiu też jego są pewne chwile nie wyjaśnione, tak jak w poezjach jego są ustępy — są nawet postacie — tajemnicze. Można więc nie jedną jeszcze rzecz nową o nim powiedzieć, przydatną do rozwiązania tych zagadek — i w tej myśli podaje tu niektóre wspomnienia moje odnoszące się do nieśmiertelnego autora *Wallenroda*, *Dziadów*, *Pana Tadeusza*.

Mickiewicz miał w 1848 r. zaledwie lat 50, cała postać jego dosyć słuszną i kształtną budowy, nosiła jeszcze cechę sily i zdrowia, ale głowa już była starca; włosy miał prawie białe na tył głowy niedbale zarzucone, czoło głęboko pomarszczone, oczy zmęczone. Gdy był pod wpływem jakiejś myśli, która go silnie zajmowała, wszystkie muszkuły jego twarzy ściągały się ku oczom jak gdyby wzrok wyteżał, ażeby dostrzedz coś niewidzialnego, ale wejrzenie jego nie miało blasku i że użycie własnego jego wyrażenia, było jakby na wewnątrz zwrócone*), lecz jeżeli wyższa część jego twarzy oznajmiała umysł nadzwyczajnej potęgi, usta naprzód wysunięte i nieco wydęte na których wdzięczny uśmiech rzadko bardzo postać, zdradzały naturę pyszną, zwykle zamkniętą w sobie, przytem trochę szorstką. Trzeba było długo obcować z Mickiewiczem, ażeby doczekać się jednej z tych chwil, w których się wewnętrzny człowiek w nim wyjawiał, szlachetny, szczery, prostoduszny aż do naiwności, jakim się okazuje w swoich ponfących listach, a jednak górujący nad wszystkiemi polotem myśli. W życiu codziennym

*) Mówił to o Kancie.

był to Litwin z Nowogródka; zakuty Litwin ze wszystkimi upodobaniami i nawyknięciami z czasów swojej młodości. Form wyższego towarzystwa i wszystkiego, co tchnęło wykwiutnością światową nienawidził aż do rękawiczek włącznie. Raz gdym wszedł do niego, przy powitaniu spojrzał na moje ręce, które były w rękawiczkach: „Panie! rzekł mi, rękawiczkamiśmy Polskę zgubili — tak, rękawiczkauni, bo tem odróżniliśmy się jako pyszni próżniacy od ludu, który nie wstydzi się pokazywać swoich rąk zapracowanych. Trzeba przejąć się zupełnie ludem a wtenczas dopiero Polskę zbawienmy“.

W innéj okoliczności słyszałem go opowiadającego zdumienie, w jakie go wprowadził Józef Potocki, gdy na pewnym wieczorze, ufryzowany, wyfrakowany i w białych rękawiczkach, wspominał o jakiejś szarzy, w której był ranny. Męstwo i poświęcenie dla ojczyzny nie godziły się w jego umyśle z ufryzowaną głową, frakiem i białymi rękawiczkami; widział je tylko tam, gdzie miały za rękojnię prostotę, choćby rubaszną, byle polską. W prostocie się kochał, prostocie wierzył, prostota jedna trafiała do jego duszy i gdy była złączona z naturalnym dowcipem, rozweselala mu umysł więcej, niż najzabawniejsza książka. Służalski był typem, który sobie upodobał. Był to jak już nadmienilem ogromny mężczyzna, którego cała postać wyrażała siłę, odwagę i spryt. Słówek on nie cedził, fraka zapewne nigdy nie wdział, przynajmniej w emigracyi. Przy sposobności wina za kołnierz nie wylewał, lubo i on także z duchami przestawał; ale mu to Mićkiewicz wybaczał, bo miał ton szczerzy, humor jowialny i niewyczerpany zapas dykteryek staropolskich, w rodzaju Pamiętników Soplicy, a opowiadając je dopo-

magął sobie wyrazistemi gestami; czasem nawet cała sól jego dykteryjki była w jednym giescie. Pamiętam, jak raz opowiadając jakąś przygodę swojego dziadka, świeżo wymyśloną, wspomniał, że ten miał szablę prawdziwą turecką z Damaszkku, z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej na klindze. Jakto, odezwano się z różnych stron, szabla turecka z wizerunkiem Matki Boskiej i zaczęto drwinkować sobie z niego kto lepiej — na wyścigi. Służalski nie zmieszał się bynajmniej i chcąc rzecz zagadać, wymyślił na prędce komentarz do swojej historii. „No i cóż w tem tak dziwnego, rzekł — wizerunek dorobiono w Warszawie; był na to majster — wymienil jego nazwisko i ulicę na której mieszkał. Bo to widzicie, mówił dalej, kiedy starzy Polacy wyciągali na wpół z pochew szable przy Ewangielii, to nie było tylko dla pokazania, że gotowi są zawsze bronić wiary orężem, lecz każdy prawie miał na klindze, jak mój dziadek, wizerunek Matki Boskiej i dobywając szabli cmoknął ją po drodze. Tu uczynił giest, jakby wyciągał szablę i cmokał ją, który wywołał śmiech ogólny w całym kółku Mićkiewicza dosyć licznem tego wieczora i sam wieszcz się śmiał serdecznie, co mu się bardzo rzadko zdarzało.

Można stąd pojąć urok, jaki wywarł na niego Henryk Rzewuski, mistrz niezrównany w podobnych opowiadankach. Udało mi się jednego wieczora naprowadzić rozmowę na tego tak oryginalnego pisarza i przytoczyłem, co mówił o nim Kraszewski w pewnem towarzystwie w Warszawie, w którym i ja się znajdowałem. Genialny nasz powieściopisarz opowiadał, że gościł raz kilka dni z Michałem Grabowskim na wsi u Rzewuskiego.

Pzez pierwsze trzy dni czarował ich obudwu swojemi opowiadaniem, które płynęły z jego ust ciągłym potokiem; ale czwartego dnia przyjechał gość nowy i Rzewuski rozpoczął ab ovo tenże sam szereg dykteryjek w nowój edycyi, co go przekonało, że repertoar jego w trzech dniach już był wyczerpany. „Myli się Kraszewski, przerwał mi Mićkiewicz, ja przebywałem dosyć długo w towarzystwie Rzewuskiego i mogę poświadczyć, że jest niewyczerpany. Przy mnie nigdy się nie powtórzył.“ Przyzna jednak szanowny ziomek, odrzekłem, że talent jego obudził się dopiero pod wpływem Pana Tadeusza, którego koloryt przejął i to jest główną jego zasługą. „Otóż to jest sąd świata, odezwał się Mićkiewicz, bo zapewne niejednen tak myśli, a rzeczy się miały wprost przeciwnie. To ja wzięłem z opowiadań Rzewuskiego myśl pierwszą Pana Tadeusza i cały koloryt historyczny tego poematu nawet i nazwisko Soplicy“. Przy tój okoliczności opowiedział mi całą historję stosunków swoich z Rzewuskim. „Znałem go już, mówił, z Petersburga i Odessy. Spotkałem go w Rzymie 1831 r. i przebywaliśmy tam kilka miesięcy razem. Rzewuski rozpocząwszy swoje opowiadania, już nie ustawał; wysnuwały się one jedne z drugich nieskończonem pasmem. Słuchałem go z rosnącym zajęciem i ze zdumieniem. Pytam go się raz, czy pisał co kiedy? Odpowiedział mi, że nigdy do druku nie pisał, a był już w wieku dojrzałym. Wykrzyknąłem na to: Ależ człowiecze, Pan Bóg cię stworzył na pisarza i zostawiłeś odlogiem najpiękniejszy talent pisarski w Polsce dzisiejszój. Nie traćże już więcej czasu, bierz pióro i pisz. Te słowa zrobiły na nim snać wielkie wrażenie, bo w trzy dni potem przyniósł

mi kilka éwiartek zapisanego papieru. Rzuciłem okiem, były to wiersze — przeczytałem, pretensjonalna lichota — ale że to był człowiek wytrawny, nie zaważałem się powiedzieć mu wręcz: „Nie zrozumiałeś mnie, kochany panie. Nie zachęcałem cię bynajmniej do pisania wierszy, nie wiedząc, czy masz do tego dar, a widzę teraz że go nie masz. Pisz prozą, nie sadź się na frazesy, nie puszczaj myśli w górne loty. Pisz jak opowiadasz, a napiszesz rzecz oryginalną i bardzo piękną“. Rzewuski nie obraził się za moją szczerość i owszem nśluchał mnie i w niedługim czasie przyniósł mi parę obrazków z Pamiątek Soplicy, a jednocześnie w głowie mojej rozwinął się z jego dykteryjek plan Pana Tadeusza“.

W lat ośm, czy dziewięć po téj rozmowie z Mićkiewiczem wszystkie szczegóły jego opowiadania potwierdził mi Henryk Rzewuski, którego spotkałem w Paryżu u siostry jego pani Lacroix. Dowiedziałem się zarazem jak sądził autor „Pamiątek Soplicy“ autora „Pana Tadeusza“, uczeń mistrza. Było w salonie dwóch literatów francuskich, Juliusz Lacroix mąż pani domu, poeta dosyć ceniony, autor kilku dramatów i brat jego starszy Paweł znany pod pseudonimem le Bibliophile Jacob. Spytałi oni Henryka Rzewuskiego, co myśli szczerze i rzetelnie o Mićkiewiczu. „Można mieć różne o nim zdania, odpowiedział, ale niezaprzeczenie banalnym nigdy niebył, nawet wtenczas kiedy szalał“, a siostra jego rzekła mi po cichu: Tak, był to wielki poeta, ale jakże źle wychowany, jak nieokrzesany. Słówko to wyrzeczone przez jedną z tych dam, które nosabiają w sobie wszystkie wykwinności wyższego towarzystwa, było jakby odwetem salonów za wzgardę, jaką okazywał Mićkiewicz dla elagancyi i form

salonowych, ceniąc tylko naturalność i prostotę. Można było sądzić, że cała jego estetyka na naturalności i prostocie polegała. Rady, jakie dawał Rzewuskiemu zastoso-
 sował on niemal dosłownie do Wincentego Pola, który towarzysząc Mićkiewiczowi w 1832 r. w wycieczce z Dreżna do Szwajcaryi saskiej, opowiadał mu po drodze — jak mówi Dębicki w życiorysie Pola — z gorącym uczuciem i nader żywym kolorytem wrażenia swoje z podróży po kraju ojcystym. Mićkiewicz długo milczący schwytał go w końcu za rękę i rzekł: napisz to wszystko wierszem, ale napisz tak po prostu jak opowiadasz, jak się to rysuje w twojej pamięci, a utworzysz poemat, jakiego jeszcze nie mamy, przed którym wkąt pójdą „Ogrody“ Delilla i „Ziemiaństwo“ Koźmiana. Pol usłuchał i napisał na ton wskazany mu przez mistrza „Pieśń o Ziemi naszej.“ Sam Mićkiewicz jednak nie trzymał się wyłącznie prostoty ani w sonetach krymskich, ani w śpiewie do Wilii, ani w niektórych wspaniałych obrazach litewskiej natury w Panu Tadeuszu. Tam poeta śpiewał hymny górcom, rzekom, puszczom, stepom, porankom wiosennym, nocom letnim.

Najdalej zapewne posunął Mićkiewicz swoją miłość prostoty w myśli, którą poddawał A. Oleszczyńskiemu, później autorowi jego posągu w Poznaniu. Snycerz ten opowiadał mi, że gdy wyrobił był model z gliny do nagrobku Niemcewicza i Kniaziewiczza, autor „Pana Tadeusza“ przyszedł do jego pracowni, obejrzał model, który wyobrażał dwie leżące postacie zmarłych, a u głów ich klęczącego aniołka i długo myślał nic nie mówiąc. Oleszczyński czekał niecierpliwie jego sądu. „Ot wiesz panie, rzekł nakoniec: lepiej byłbyś zrobił, gdybyś zamiast tego

nie nie znaczącego aniołka wyobraził był wózek chłopski z chłopską szkapką i polskiego chłopka. Toby był symbol polskiej ziemi, któryby każdego Polaka rozrzewnił.“ Oleszczyński zdumiał na taką herezyę w pojęciach sztuki snycerskiej, której zadaniem jest idealizować wszystko czego się dotknie. Wy tłumaczyłem sobie to uczucie poety, gdym przeczytał list jego pisany z Konstantynopola do pani de Klustine, w którym opisuje z jaką przyjemnością zatrzymuje się w najbiedniejszej części tej stolicy, na placu jednym błotnistym, gnojem i śmieciami zawalonym, piórami popruszonym i po którym przechodzą się spokojnie kury, indyki i różnego rodzaju zwierzęta, bo ten widok przypominał mu jak powiada jego rodzinny Nowogródek. W takich chwilach najpowszedniejszych w jego życiu, Mićkiewicz był prostoduszny Litwinem, w którym przemawiało tylko serce jego wolne od wszelkich próżności, szczere, gorące, napełnione miłością ziemi rodzinnej. Aż do łez rozrzewniało go wszystko, co mu ją przypominało, ale natura Mićkiewicza była bardzo skomplikowana. Tenże sam Litwin prostoduszny, gdy wyobrażnia jego była żywo podbudzoną, stawał się najśmielszym, najzuchwalszym z poetów, dla którego przyroda cała nie miała dosyć farb, dosyć światła, dosyć życia, a świat widomy był za ciasny — który wszystko ożywiał swoim tchnieniem plonącym i myślą rozkiełznaną wzbijał się ponad gwiazdy, aby klócić się ze Stwórcą.

Różnica między tymi dwoma ludźmi w jednej jego osobie była tak uderzającą, że kto go znał tylko w ostatniej epoce jego życia, kiedy już przestał być pisać, nie przypuszczał, żeby mógł wtenczas wydobyć z siebie jeszcze jakiś poemat nowy, podobny do dawnych. Każdy niemal

sądził, że poeta już w nim umarł. Tak jednak nie było, na kilka miesięcy przed śmiercią, ta arfa czarodziejska odezwała się raz jeszcze pełnym akordem w łacińskiej odzie na wzięcie Bomarsundu, jakby na pokazanie, że żadna jej struna jeszcze nie zerwana, ale że milczy bo na milczenie dobrowolnie się skazała.

Że Mićkiewicz był poetą w pewnych tylko i coraz rzadszych chwilach życia, to łatwo jeszcze psychologicznie i fizyologicznie wytłumaczyć, jakkolwiek wielka różnica była w nim między poetą a człowiekiem codziennym, ale były w naturze jego sprzeczności nie równie trudniejsze do wytłumaczenia.

Miał on serce złote, nikt nie był wierniejszym w przyjaźni od niego, przyjaciele jego w młodości byli przyjaciółmi jego do zgonu, z którymi się dzielił wzajemnie wszystkimi radościami i wszystkimi smutkami życia. Żonę i dzieci kochał najtęskliwszym uczuciem, dowodzą tego jego listy, a sam widziałem go płaczącego jak dziecko na pogrzebie żony. Skory do czynności, posuwał ją często aż do abnegacyi; narażał się z rodziną swoją na biedę, ażeby pomóc biedniejszemu. Ufność jego, prostoduszność, graniczyły z naiwnością jak już wspomniałem. Ambicja jego była w nader skromnych szrankach zamkniętą. Wyznał mi raz, że w młodości marzeniem jego było zostać sekretarzem jakiego wielkiego pana, miłośnika nauk i literatury, mianowicie księcia Adama Czartoryskiego, „ale, dodał z giestem zniechęcenia jak gdyby to miał jeszcze na sercu, przekonałem się, że to było niepodobieństwem.“ W emigracyi gdy powołany został na profesora w Collège de France znalazł się na szczycie do jakiego ambicja jego nigdy nie

siegała. O dziełach swoich bardzo rzadko mówił, a gdy mówił, to bez żadnej zarozumiałości, częstokroć bardzo mało przykładając ceny do tego, co publiczność zachwycało, a wogóle nie uważał się za jedynego wielkiego poety polskiego. Bohdana Zaleskiego i nawet Stefana Garczyńskiego, uznawał za zupełnie równych sobie, co było przesadzoną skromnością.

Jednak obok tego wszystkiego Miśkiewicz miał ogromną wrodzoną pychę, nigdy on nie szedł torem ubitym, sam sobie we wszystkich kierunkach nowe drogi torował. Żadnego przeciwieństwa nie znosił, czego dał pierwszy dowód w pamiętnej odpowiedzi swojej krytykom i recenzentom warszawskim, i nigdy nawet bezkarnie nie pozwalał choćby najlżej potrącić o głębsze jego uczucia lub dogmaty jego osobistej wiary, jak tego parę razy doświadczyłem na sobie, wyrwawszy się niebacznie ze słówkiem sceptycznym, za co mnie nielitościwie zgromił. Ale nowa sprzecznosc; cała ta pycha upadła przed tym, który potrafił wnikać w sferę jego idei i dorzucić do nich nową, a jeżeli nie ideę, to przynajmniej jakieś porównanie, jakiś frazes, który do jego własnych idei dobrze przystawał.

Raz udało mi się takim frazesem pozyskać na cały wieczór zupełną jego łaskę. Mowa była jak zwykle prawie o emigracji i o Polsce. Nie wiem pod jakim natchnieniem odezwałem się, że dla ocalenia Polski trzeba chyba nowego Mojżesza, któryby całe stare pokolenie pogrzebał, a nowe, wychowane przez siebie na pustyni, wprowadził na próg ziemi obiecanej. „Ot toś prawdę powiedział,“ wykrzyknął Miśkiewicz i pochwyciwszy ten temat, rozwijał go z całą swoją treściwą wy-

mową, obracając się najczęściej ku mnie, a przy pożegnaniu serdecznie mi rękę uściśnął.

Nierównie większej sztuki dokazał Dzierzkowski w mojej obecności. Opowiem tę scenę ze szczegółami, bo daje ona słowo zagadki jak Mićkiewicz dał się nie jednemu zupełnie podbić, mianowicie też Towiańskiemu. Dzierzkowski przyjechał do Paryża w krótkim czasie po mnie. Wypłoszyła go z Galicji reakcja, która się rozpoczęła bombardowaniem Lwowa w czasie pobytu naszego w Węgrzech, a następnie rozwieliła się w całej Galicji. Dzierzkowski, gdyby był został schwytany, byłby ciężko przypłacił swoje posłowanie w Węgrzech. W Paryżu widywałem go niemal codziennie. Był to człowiek, którego nie można było szacować, ale niepodobna było nie lubić. Gotów złupić bez skrupułu przyjaciela kiedy go bieda przyparła, był równie gotów zbawić go nie cofając się przed żadną ofiarą, gdy go widział w nieszczęściu. Nie jestem pewny, czyby nie sprzedał diabłu duszy, gdyby go mocno kusił, ale jestem przekonany, żeby mu nie sprzedał ojczyzny. Żył patryotyzmem, a pomimo całej jego demoralizacji, gorąco sercowe buchało z niego; przytem rozmowa jego zawsze ożywiona, dowcipna, sympatyczna czyniła towarzystwo jego nader miłym. Nie taję się też, że miałem słabość do niego. Nalegał on na mnie, żebym go zaprowadził do Mićkiewicza i wprowadził mnie tem żądaniem w wielki kłopot. Krótko bowiem przedtem w towarzystwie Mićkiewicza nadmienił ktoś, że spotkał Dzierzkowskiego. Ztąd wszczęła się rozmowa o nim i jego sprawkach i nikt go nie bronił. Było zapewne w tych opowiadaniach wiele przesady, niektóre może nie miały ani części prawdy, ale to samo, że krążyły bez

żadnego protestu w emigracji, świadczyło, że w jej rozległym kole miał ustaloną fatalną reputacyą, z którą trudno mi było wziąć go pod moje skrzydła i wprowadzić do domu Mićkiewicza.

Wymawiałem się od tego dosyć długo pod różnemi pozorami, nareszcie przyparł mnie do muru: „Chceszże, rzekł mi, czy nie chcesz zaprowadzić mnie do Mićkiewicza? Powiedz wręcz, bo widzę, że ciągle tylko szukasz wybiegów“. Trzeba było rozwiązać ostatecznie w jakikolwiek sposób to zadanie. Odpowiedziałem mu, że zbyt mało znany jestem Mićkiewiczowi, żebym mógł bez jego upoważnienia wprowadzić kogokolwiek do jego domu, ale że natychmiast napiszę do niego z zapytaniem, czy zechce nas przyjąć. I w rzeczy samej napisałem, nie do Mićkiewicza, ale do jednego z jego poufników, prosząc żeby wybadał dyskretnie pod tym względem mistrza. Pewny byłem, że odpowiedź będzie grzecznie odmowna i że nią się przed Dzierzkowskim zasłonię. Z wielkiem zdziwieniem mojem otrzymałem zaproszenie w imieniu Mićkiewicza, ażebyśmy przyszli obydwać do niego nazajutrz wieczór na herbatę. Był w tem zapewne interes jego dziennika, do którego chciał mieć wiadomości od Dzierzkowskiego o stanie rzeczy w Galicyi. Przyszliśmy więc nazajutrz do poety, zastaliśmy go czekającego na nas w saloniku z dziećmi; nikogo obcego nie było. Rozmowa rozpoczęła się od spraw galicyjskich, które mu Dierzkowski bardzo jasno wyluszczył, sięgając w przeszłość do rzezi chłopskiej, do administracyi Stadiona, do systematu Metternichowskiego. Mićkiewicz bardzo zaciekawiony wypytywał go o różne szczegóły i idąc od skutków do przyczyn, rozszerzył zakres rozmowy. Dierzkowski był tego dnia w szczęśliwym

usposobieniu, może także trochę przygotowany i wszedł wstępny bojem w sferę idei Mićkiewicza. Mówił do-
wodnie o błędach, głupstwach, niesprawiedliwości szlachty. Wystawiał patryarchalną prostotę naszego chłopstwa, jego
pocziwość wrodzoną, jego wiarę czystą i głęboką, która
użyta za dźwignię, podniosłaby dwadzieścia milionów ludzi
na wyswobodzenie Polski i ztąd wyprowadzał, że warun-
kiem pierwszym tryumfu naszej sprawy jest pojednanie
się szczerze szlachty z ludem na gruncie Ewangelii, ale
że, aby taki skutek sprowadzić, trzeba nowego apostołstwa.
Mówił bez deklamacyi, skromnie, jak gdyby to wszystko
płynęło z jego serca, a może i płynęło rzeczywiście
w tej chwili.

Przez cały czas jego perory nie spuszczałem oka
z Mićkiewicza, którego fizyonomia, giesta, tony głosu obja-
wiały jakiś szczególny odbywający się w nim proces duchowy.

Sluchał najprzód z coraz bardziej natężoną uwagą.
W pewnej chwili zawołał córkę swoją Maryę, wówczas
13 letnią dziewczynkę, która siedziała opodal i wskazał
jój miejsce obok siebie z gościem nakazującym, ażeby
sluchała. Skinął także na najstarszego chłopczyka i po-
sadził go z drugiej strony obok siebie. Żona jego weszła,
dał jój znak, żeby nie przeszkadzała. Żona ze zwykłą
powolnością swoją zbliżyła się do krzesła cichym krokiem
i usiadła nieruchoma. Dzierzkowski prawil wtenczas o
pocziwości i czystej wierze ludu. Na twarzy wieszcza
malowało się nieopisane wzruszenie. „Tak Panie! wy-
krzyknął przerywając mu, i wierz mi, niema czystiejszego
ludu jak nasze koltuniaste Białorusiny.“ Wkrótce potem
pobudzony znowu jakimś frasesem Dzierzkowskiego, ode-
zwał się głosem tak już rozrzewnionym, iż zdawało się,

że szlocha. „Bo to widzisz Bóg prowadzi lud prosty jak dzieci na pasku“, i giestem udawał prowadzenie trzódki dzieci razem na jednym pasku. Nakoniec po konkluzyi Dzierzkowskiego powstał, cały drżący z wyrazem niemal ekstazy na twarzy, podszedł ku niemu rozciągając ramiona; „Panie — zawolał gdyby tak wszyscy myśleli jużby Polska dawno była wyswobodzona“ i począł go ścisnąć jakby swojego największego dobrodzieja. Stałem za jego plecami, a Dierzkowski w objęciach jego zerknął na mnie po nad jego ramieniem z uśmiechem ironicznym, który zdawał się mówić: „Ot widzisz jak łatwo poradziłem temu półbożkowi.“

Scena ta uczyniła na umyśle moim głębokie wrażenie. Autor Ody do młodości, Walenroda, Dziadów, Pana Tadeusza, pyszny zwiastun nowych idei i nowej niiby wiary, oczarowany przez Dzierzkowskiego, był to w rzeczy samej fakt wielce pouczający — dowodzący, że nie trudno jest i najpyszniejszy umysł opanować, kto się do tego zręcznie wzięść umie.

IX.

Dotąd raz tylko wspomniałem pobieżnie o żonie Mićkiewicza. Była jednak to postać nader sympatyczna, naznaczona piętnem fatalności i która służyć mogła za przedmiot do ciekawych psychologicznych zgłębiań. Pomówię też trochę o niej.

Pani Mićkiewiczowa mogła mieć natenczas 34 lub 35 lat, to jest była na schyłku młodości, która świeciła jeszcze swoim zachodzącym blaskiem na jej twarzy białej, okraszonej niekiedy świeżym rumieńcem. Była średniego wzrostu, rysy miała wybitne, ale bardzo regularne, rzeczy można posągowe, oczy i włosy ciemne, brwi pięknie nakreślone; lecz nie była to już owa Celina wesola, ciągle śmiejąca się i świegocąca, jak ją maluje mąż w swoich listach z miodowego miesiąca — lubiąca świat, stroje, zabawy, jak dodają drudzy. Od tych dni szczęśliwych oddzielało ją dwukrotne zaćmienie jej rozumu, które już od dawna przeszło było zupełnie, ale którego wspomnienie ścigało ją jak cień nieodstępny. Świat, stroje, zabawy nie miały już dla niej najmniejszego powabu. W towa-

rzystwach żadnych nie bywała. Odwiedzała tylko krewnych swoich Wołowskich. Zawsze jak najskromniej była ubrana i wątpię, żeby nawet spoglądała kiedy w zwierciadło. Gospodarstwo domowe i dzieci wszystek jej czas zajmowały. Wieczorem przyrządzała herbatę i pokazywała się chwilowo w kółku zwyczajnem swojego męża, ale przesuwała się tylko z wejrzeniem nieśmiałem lub siadała na stronie, nie mieszając się do rozmowy ogólnej i niebawem znikąca. Kilka razy jednak udało mi się zawiązać z nią gawędkę; miałem do tego przedmiot gotowy, bo jedna z kuzynek moich była w dawniejszych czasach jej przyjaciółką serdeczną. Raz przyszedłem prosić ją o bilecik wstępny do Ludwika Wołowskiego, którego pragnąłem poznać; udzieliła mi go nader uprzejmie i miałem sposobność dłużej z nią pomówić. Mąż nieobecny wszedł na to i bardzo był rad, a nawet wdzięczny mi, że się pod protekę jej udał. Przekonałem się, że rozmowa nie była dla niej wstrętą. Owszem we dwie osoby rozgadywała się chętnie i dosyć wesolo, w większych tylko towarzystwach była skrepowana nieśmiałością, której zwyciężyć niemogła, bo straciła była ufność w swoim rozumie, który ją po dwakroć tak zdradliwie opuścił; natomiast ufność jej w mężu i cześć dla niego podniosły się na wysokość wiary religijnej. Największą przyjemność miała usługiwać mu, przyrządzać mu ulubione jego kołduny i inne przysmaki litewskie, bo Mićkiewicz był smakoszem w swoim rodzaju*), lub nakładać mu fajkę, gdy

*) On sam częstokroć przechodząc niedaleko targowisk zachodził tam i kupował owoce i jarzyny, chował je do kieszeni a potem zapominał się niekiedy i siadał na tem wszystkiem.

postrzegła, że jej nie pali i w całym obejściu się z jej mężem widać było, że czeka na jego rozkazy, że rządzi się jego wolą, jego rozumem, jego myślą. I nic dziwnego. Wszelka dusza niewieścia uległaby przed tą ogromną potęgą moralną, jaką posiadał Mićkiewicz w swoim płomiennym geniuszu i w swoim charakterze czystym, szlachetnym a zarazem pysznym i niezłomnym. Jakże nie miała poddać mu się zupełnie kobieta, która przestała wierzyć w własny swój rozum a w nim widziała opatrność swoją na ziemi. Nie mogła bowiem zataić przed sobą, że ją pojął za żonę bez posagu*), co więcej, nie wiedząc nawet, czy zasługuje, żeby ją kochał — i że uczynił wtenczas wielką ofiarę pod wpływem wspaniałomyślnego jakiegoś natchnienia.

W rzeczy samej Celina Szymanowska była jeszcze prawie dzieckiem, kiedy Mićkiewicz ją znał w Petersburgu i to nie dzieckiem anielskim — jak ta dziewczynka zgasała w 12 roku życia; owa Beatrycza, którą Dante wystawił jako przewodniczkę swoją w najwyższej sferze nieba wśród błogosławionych, ale dzieckiem upornem, z którą wieszcz nasz ustawnie się klócił, jak o tem wspomina w liście do jej matki po wyjeździe swoim z Rosyi. Dodaje on jeszcze w tymże liście: „panna Celina niech mi daruje wszystkie dawniejsze urazy, a o przestroгах pamiętać może, bo zawsze pochodziły ze szczerzej przyjaźni“**). Te przestrogi nie wróżyły, że w lat pięć później oświadczy się o jej rękę. Ale

*) Posążek, jaki wniosła mężowi za ledwo wystarczył na zaprowadzenie bardzo skromnego gospodarstwa w ich domu.

**) Kor. Mićk. T. I. str. 31.

Mickiewicz zachował był najtłkliwszą przyjaźń i wdzięczność dla Maryi Szymanowskiej, w domu której przeżył najszcześniejsze chwile swego życia. Dowiedziawszy się, że ta wielka artystka umarła i zostawiła Celinę sierotą, uczuł jakby obowiązek serca, odplacić się matce, dzieląc los swój z jej córką*). Napisał w tym celu natychmiast do Celiny, przebywającej natenczas w Warszawie przy krewnych i do jej opiekuna i szwagra Maleckiego, kolegi swojego z Wileńskiego uniwersytetu. Celina była tém uszczęśliwiona równie jak cała jej rodzina i wkrótce przyjechała do Paryża, ale gdy zbliżała się chwila, w której poeta miał związać się nierozzerwalnym węzłem, obraz Marylli przesunął się zapewne przed jego myślą i smutno mu się zrobiło na sercu. Krył przed wszystkiemi swoje postanowione małżeństwo. Przyparty pytaniami listownemi Odyńca odpowiedział mu: „Oto krótko i węzłowato, żenię się z Celiną. Wiele byłoby pisać jak w tych czasach byłem smutny i ciężar życia bardzo mnie dusił. Obaczymy, czy będzie lżej, czy jeszcze ciężej“.**). Domejkę swojego Acha-tesa i Pylada w przeddzień ślubu dopiero na tę ceremonię zaprosił, dodając: „Nie mów nic o tem nikomu“.***)

*) W felietonie Czasu, gdzie niniejsze „Wspomnienia“ były pierwszy raz wydrukowane, mówiąc o małżeństwie Mickiewicza przytoczyłem okoliczność opowiedzianą mi przez poufnych przyjaciół poety, lecz której Bohdan Zaleski dał formalne i solenne zaprzeczenie a w epoce, do której się opowiadanie moje odnosiło był on świadkiem życia Mickiewicza, mieszkając w jego sąsiedztwie w Sèvres i widując go codziennie. Miałem więc sobie za obowiązek wyrzucić ten szczegół z mojego opowiadania, tem bardziej, że familia poety widziała w nim nijnę dla jego pamięci. Zostawiłem tylko fakta nienlegające zaprzeczeniu.

**) Korespondencya Mickiewicza tom I. str. 104.

***) tamże tom I. str. 105.

Dopiero po ślubie Mićkiewicz pogodził się z rzeczywistością i uczul się szczęśliwym, — pisze do Odyńca: „Owóż kochany Edwardzie, trzeci już tydzień jak żyjemy z Celiną na własnem gospodarstwie. Pojmiesz jako stary mąż, że nie miałem wiele czasu pisać do Ciebie. Rozwodzić się nad terazniejszym szczęściem jeszcze zawcześnie tyle ci tylko powiem, że od trzech tygodni nie byłem ani razu w kwaśnym humorze, a często czulem się wesoly i pusty, jakim od dawna nie byłem. Życz mnie tylko, żeby tak zawsze było. Celina też powiada, że jest zupełnie szczęśliwa i cieszy się jak dziecko. Trzy tygodnie szczęśliwe, dobre i to na świecie! . . Musisz też wiedzieć o naszym gospodarstwie. Mieszkamy daleko od środka miasta w zaciszy, jak na wsi. Mamy tylko trzy pokoje, własne meble, wkrótce będziemy mieli fortepiano. Od rana Celina robi kawę, potem niby to gospodaruje, kręci się, świegoce i śmieje się aż do wieczora*)“.

Do brata swojego Franciszka pisze na poważniejszy ton: „Szukałem pociechy w domowem szczęściu, póki można żyć w domu. Chociaż oboje nie mamy majątku, póki żyjąc będziemy mieli kawał chleba. O przyszłości wiesz, że mało myślę i wcale mi to nie truje szczęścia, że nie wiem jak długo to szczęście potrwa. Celina jest żoną, jakiej szukałem, śmiała na wszystkie przygody, przestająca na małym, zawsze wesola“**).

Niestety o przyszłości nie myślał, aż bieda emigrancka zapukała do jego drzwi. „My na drodze wzbo-

*) Korespondencya Mićkiewicza tom I. str. 104

**) tamże tom I str. 105.

gacenia — pisał do Domejki do Chili we Wrześniu 1837. Rząd dał mi pensyi na miesiąc 80 fr. i jednorazowej gratyfikacyi 1000 fr.“*). Jakiż to smutny obraz materyalnego położenia wielkiego wieszca w tych kilku prostych słowach. Autor Wallenroda, Pana Tadeusza, Dziadów zeszedł był na stopę biednego emigranta żyjącego z jałmużny rządu francuskiego i z tą ciężką biedą pasował się lat kilka. „Wyrdzewila ona duszę jego więcej niż się tego po sobie spodziewał“, jak to wyznał temuż samemu wiernemu przyjacielowi**). Myślał, że ją przełamie, jeżeli stworzy dramat jaki dla sceny francuskiej i napisał Konfederatów dla teatru Porte St. Martin. Oddał go pod sąd pani Sand, która pochwaliła i przedmiot i styl, ale nie zapewniała, ażeby się publiczności francuskiej podobał, bardziej jeszcze powątpiewał o tem Dyrektor teatru Porte St. Martin i sztuki nie przedstawił. Gust publiczności francuskiej w rzeczy samej tak się różni od gustu polskiego, jak cała historia Francyi od naszej. Mićkiewicz pisał do Domejki, że liczył na ten dramat jak na Chili t. j. uważał go za kopalnię jeżeli nie złota to przynajmniej miedzi dla siebie i ta nadzieja się rozchwiała. Nakoniec w r. 1838 otrzymał, bez długich zachodów posadę profesora literatury łacińskiej w Akademii Lauzańskiej, ale zły los jego nie był jeszcze zażegnany. Gdy już najął był mieszkanie dla siebie i rodziny swojej w Lauzannie, dowiedział się, że żona jego po drugim pologu w skutek uderzenia pokarmu do głowy dostała obłąkania umysłu. Niepodobna mu więc już było

*) Korespondencya Mićkiewicza tom I. str. 109.

**) tamże tom I. str. 120.

objąć katedry. Wrócił nieszczęsny do Paryża na ciężkie zmartwienia i dalsze walki z niedostatkiem. W rok potem dopiero z uzdrowioną już żoną mógł przyjechać do Lauzanny i zająć katedrę, która czekała jeszcze na niego.

Niestety nie skończyło się na tem jednym smutnem przejściu tego rodzaju w życiu Mićkiewiczów. W dwa lata później zamieniwszy skromną posadę profesora w Akademii Lauzańskiej na katedrę w Collège de France w Paryżu, Mićkiewicz przemawiał nie do saméj już tylko młodzieży cheiwéj nauki, ale do oświeconéj publiczności Paryskiej i powiedzieć można do Europy całej i gdy potęgą słowa swojego zaczynał budzić uspione współczucie ludów dla sprawy Polskiej, żona jego popadła powtórnie w obłąkanie z takiejże saméj przyczyny co poprzednim razem i w tym stanie stała się bezwiednem narzędziem w ręku wizyonera, pod którego fatalnym wpływem wielki wieszcz, przechylający się już do mistycyzmu, zeszedł ze swojego poważnego i tak wpływowego stanowiska na drogę chimerycznego apostołstwa i na niéj pozostał do śmierci. Sposób jakiego użył Towiański, nie był nigdy jeszcze, o ile mi wiadomo, dostatecznie wyjaśniony. Sam Mićkiewicz nie zdawał sobie z tego dokładnie sprawy, przekonany, że Towiański słowem swoim samem nawrócił go na swoją wiarę. W liście do generała Skrzyneckiego przyznaje on wprawdzie, że Towiański żonę jego uzdrowił, że temu uzdrowieniu towarzyszyły okoliczności, jak się wyraża, cudowne, ale okoliczności te przemilcza „opowiadać je, pisze, byłoby za długo“ *). Mogę pod tym

*) Korespondencya Mićkiewicza T. I. str. 187.

względem dopełnić jego opisu. Szczegóły tego pseudocudu wiem od przyjaciółki Mićkiewicza i jego żony, z którą mnie łączą także związki dawniej przyjaźni i pokrewieństwa, a która je z ust ich obojga słyszała. Przedtem jednak nie od rzeczy będzie dać czytelnikom kilka objaśnień, bez których czarodziejstwo Towiańskiego byłoby trudnem do zrozumienia.

Nie posądzam Towiańskiego o szarlatanizm. Niegdyś wioskowy czy dwuwioskowy obywatel litewski, wybrany przez swoich współobywateli na sędziego głównego sądu w Wilnie, opłacił on swoją rolę proroka między emigracją utratą majątku, który mu Rząd rosyjski skonfiskował*). Był więc niewątpliwie wizjonerem w dobrej wierze. Podobno przez lat kilka miał ślepotę i wtenczas to uroił sobie, że z duchami obcuje i powołanym jest do podniesienia chrystianizmu na wyższy stopień, tak jak chrystianizm jest wyższym stopniem wiary Mojżeszowej.

Wszyscy co widzieli Towiańskiego zgadzają się, że miał postać wyniosłą, poważną, organ miły, wymowę naturalnie płynną, przekonywającą, podnoszącą się niekiedy do tonu natchnienia; zgola najpotężniejsze środki do działania na swoich słuchaczy. Lelewel, który był stary sceptyk skłonniejszy do szyderstwa niż do entuzjazmu, wyznał mi, że go Towiański o mało co nieobalamucił. Skrzynecki pisze o nim do Mićkiewicza. „Nie sądzę ja lekko Andrzeja i Gutta; wiele mi głębokich udzieliłi rzeczy, wiele odkryli, które albo słabo czulem, albo jak przez zasłonę widziałem w czasie walki naszej, a największą

*) Ukaz tyczący się konfiskaty jego majątku; w korespondencyi Mićkiewicza, Tom I. na końcu.

mają w tem zasługę, że wszystko mają u siebie; (?) oni mi odkryli siłę i skuteczność modlitwy“.

Daléj zaś powiada: „Andrzeja zasady religii są bardzo łatwe do pojęcia; lekkie umysły przystaną do nich, bo są jasne jak na dłoni. Kościół ma głębsze, mniej zrozumiałe dla nas poziomych, ale nie przeto fałszywe i przez najgłębsze umysły potwierdzone, obalić z nich jedną tylko jest obalić wszystko.“

Towiański jak widzimy z tego listu miał pomocnika nazwiskiem Gutta . . . Byłto jego szwagier i pierwszy zwolennik. Mistrz mało miał nauki. Gutt go pod tym względem uzupełniał. Był on doktorem medycyny z uniwersytetu Wileńskiego, podobno dosyć wziętym na Litwie, a fakt sam, że tak łatwo przylgnął do nowéj religii wymarzonej przez swojego szwagra, każe się domyslać, że miał naturalny pociąg do mistycyzmu — rzadki bardzo u lekarzy — i że musiał się zajmować kwestyami fizyologicznemi, które z mistycyzmem mają styczność; to jest z tajemnicami ekstazy, magnetyzmu zwierzęcego i tak zwanych cudownych uzdrowień, tem bardziej, że w owéj epoce phenomena magnetyzmu zwracały na siebie uwagę powszechną. Świat medyczny podzielony był na dwa obozy, jedni wierzyli w nie i badali je pilnie, drudzy ani słyszeć o nich chcieli i ogłaszali je z góry za wierutne bajki. We Francyi szkoła medyczna w Montpellier walczyła za magnetyzmem przeciw szkole paryżkiej, podobnaż walka toczyła się w Niemczech i w pewnéj chwili magnetyzm tam tryumfował, gdy najzażartszy dawniej przeciwnik jego, sławny doktor Hufland przeszedł z wielkim rozgłosem na jego stronę i uzyskał od Rządu pruskiego pozwolenie na założenie w Berlinie kliniki magnetycznéj.

Przytem i uzdrowienia wrzekomo cudowne były w tym czasie nie rzadkie. Dr. Guepin, pierwszy lekarz w mieście Nantes, pare razy wybrany na mera tego miasta opowiada w swoim znakomitem dziele: *Philosophie du XIX siècle*, uderzające w tym rodzaju fakta, których był naocznym świadkiem, mianowicie w Nantes, gdzie pobożna jakaś dama, ale należąca do sekty Swedemborgistów, pod przybranem zapewne nazwiskiem pani de Sainte Amour, leczyła rozmaite choroby wiarą połączoną z pewnym wpływem magnetycznym i w Pau, gdzie nierównie większe jeszcze skutki osiągał stary wojskowy, komendant Laforgue. U niego zbierały się codziennie przez długi ciąg lat procesy chorych, a tak silnie na nich działał słowem powiedzianem w imieniu Boga, wejrzeniem, dotknięciem ręki, że cała izba jedna w jego domu zawalona była kulami, na których przychodzili do niego kulawi a które zostawiali mu na pamiątkę wychodząc, uzdrowieni*). Z tych

*) Dr. Guepin powiada o pani de Sainte Amour: „Sposób w jaki badała chorego, akcent przenikający jęj mowy, solenność (*l'orction*) z jaką przykładła ręce na jego czoło, działając nań zarazem religijnie i magnetycznie, sprowadzały jakieś wewnętrzne w nim wstrząśnienie, i czuł się wnet uzdrowionym, lub przynajmniej zdawało mu się, że tak jest.“ Autor dodaje na końcu: „Byłoby to wcale nie filozoficznie zaprzeczać a priori, jak to wielu uczonych czyniło, rzeczom, które tak łatwo było mi sprawdzić, przekonałem się więc naocznie, że były uzdrowienia, wprawdzie nie wiele było radykalnych i trwałych“. O komendancie Laforgue, opowiedziawszy rozliczne jego uzdrowienia w ciągu trzech tygodni w r. 1849 dokonane i protokularnie spisane, powiada: „Wie on dobrze, że magnetyzuje chorych, ale przekonany jest, że żadnego skutku by nie osiągnął, gdyby nie był położył sobie za cel jedyny działać na chwałę Boga, uważając się za pośrednika jego łask dla cierpiących“. Dodać należy, że autor znany mi osobiście był kompletny sceptyk. (*Philosophie du XIX siècle*.) Paris, Gustave Sandré, 1834, str. 539 ut *passim*.

i wielu tym podobnych przykładów wyprowadzić można wniosek, że pewne choroby nie nadwężające głównych organów żywotnych, wynikające tylko z jakiegoś zakłócenia w ich funkcyonowaniu, ustępują pod silnem wrażeniem moralnem, popartem działaniem magnetycznem. Wiedział o tem bez wątpienia Dr. Gutt i przysposobil Towiańskiego do wywierania podobnych skutków na przypadek, gdyby koniecznem mu było popróbować cudu, bo w każdym przedsięwzięciu nawet mistycznym *Qui veut la fin veut les moyens*.

Dwaj prorocy nie od razu zwrócili oczy na emigracyę. Udali się naprzód do Petersburga, gdzie nie wiodła ich zapewne myśl patriotyczna, — wallenrodowska, — lecz jedynie chęć wystąpienia na wielkiej scenie, ale niebawem general ober-policmajster wyprosił obu z carskiej stolicy. Wróciwszy jak niepyszni na Litwę pomiarkowali dopiero, że emigracya jest najlepszym gruntem na ich siejbę. Nie był jednak Towiański dosyć pewnym skutku, ażeby majątek swój wyprzedać i przenieść się między emigrantów jak misyonarz. Wyjechał tylko wraz z Guttem jak na wojaż, za paszportem jednorocznym. Po drodze, w Poznaniu, chcieli oni obydwa areybiskupa Dunina na swoją wiarę nawrócić i narazili się na drugą ostrą odprawę. W Brukselli natarli na Skrzyneckiego, licząc na jego dewocyę i miękkość charakteru, ale zapomnieli, że żołnierz nie odstępował swojej chorągwi, a Skrzynecki pod chorągwią katolicyzmu walczył w całym ciągu swojego wojskowego zawodu. Odesłał ich też do prawej władzy w kościele. Nie lepiej się im udało z innymi emigrantami w Brukselli. Nie pozostało im już jak na Mićkiewicza uderzyć z całą siłą i taktyką na jaką zdobyć się

mogli, skoro chcieli działać na emigracyę przykładem i wpływem z góry.

Mickiewicz z natury umysłu i serca swojego przechylał się od lat młodych do mistycyzmu. Daremnie w r. 1830 w Rzymie wypowiadał się z największą skruchą i przystąpił do św. Komunii*), daremnie przez pierwszych lat 10 w emigracyi starał się utrzymać na gruncie katolicyzmu i na nim opierać całą swoją działalność, mistycyzm kielkował w nim ciągle. Jego poetą najulubieńszym był mistyk Garczyński. Autorowie, których czytał najmiliej byli mistyce St. Martin i Baader**). Sam nawet gdy zarzucał cugłę na kark myśli swojej, to zapuszczał się w prorokowanie jak w IV części Dziadów i w niektórych numerach Pielgrzyma, wydawanym przez niego przez 6 miesięcy, a po powrocie z Lausanny do Paryża już się nie tał ze swojemi ideami, które nie wchodziły bynajmniej w zakres katolicyzmu. Jeszcze z Lausanny na początku 1848 pisał do Bohdana Zaleskiego list temi ideami już przejęty. „Twój wiersz semy, pisze, dziwna to, arcy dziwna rzecz“. Bo uważ, że ja kiedyś,

*) X. Kajsiewicz opowiada, że gdy poczuwszy powołanie do stanu duchownego zwierzył się z tem Mickiewiczowi, którego radami się rządził, poeta rozrzucony rzucił mu się na szyję i zawołał: niechże Bogu będą dzięki! i ja miałem powołanie, alem je zmarnował, może ty mnie zastąpisz. To powołanie dodaje X. Kajsiewicz otrzymał był Mickiewicz w Rzymie roku 1830 po odbytej spowiedzi z całego życia podczas gdy się modlił w kapliczce Matki Boskiej w kościele del Gesù. (Pism X. Kajsiewicza tom III. str. 410). Nie zmarnował on swego powołania bo rzeczywiście nigdy go nie miał. Umysł jego nie był zdolnym poddać się pod karność kościelną i zamknąć się w nieprzekraczalnych granicach jakimi są dogmata katolickie; dla tego to, uczyniwszy rachunek ze swoim sumieniem, odstąpił od zamiaru.

**) Korespondencya Mickiewicza tom I. str. 74.

w sierpniu czy wrześniu, napisałem albo rzuciłem na papier kilkadziesiąt wierszy w celu robienia pierwszej części *Dziadów*. Owoż rzecz taż sama. Chłopiec się tula między mogilami, tylko u mnie fantastyczniej, bo śpi a chórem nad nim nucą piołuny siwe i lebiada i ślimaki etc. etc. Inspiracya mnie opuściła i przestałem pisać. Twój ułamek aż mnie przestraszył taki ładny. Kto wie czy ty teraz nas (używał nas w znaczeniu mnie) nie okradasz przez sen z wszelkiej poezyi? Kto wie czy mocą teraz silniejszą nie ciągniesz do siebie całego światła i ciepła poetycznego^{*)}. Też samą tezę rozwija w innym liście jeszcze do Bohdana z okoliczności pamiętnej swojej improwizacyi u Eust. Januszkiewicza. „Wyzwany przez Słowackiego improwizacyę, są jego słowa — odpowiedziałem z natchnieniem, jakiego od czasu pisania *Dziadów* nigdy nie czułem. Było to dobrze, bo wszyscy ludzie różnych partyj rozplakali się i bardzo nas pokochali i na chwilę wszyscy napelnili się miłością. W tę chwilę duch poezyi był ze mną. Chciałbym wiedzieć co ty wczoraj robił i co myślał? bo mnie się zawdy widzi, że my we dwóch tylko jednego mamy ducha i że w jednym czasie nie możemy być poetami na ziemi. Bo choć duch jest wieczny, ogranicza się czasem kiedy się w nas wcieli^{**)}“.

Tu już zarysowuje się jakaś doktryna mistyczna, której bezwątpienia brak było jeszcze syntezy. Z tego to względu wyglądał mistrza, który całą prawdę miał objawić i zapowiedział go w owej wyżej wspomnianej improwizacyi, jak to poświadcza w liście do Skrzyneckiego:

^{*)} Korespondencya Mickiewicza tom I. str. 154.

^{**)} tamże tom I. str. 165.

„W roku przeszłym — powiada on — kilkudziesięciu Polaków dawało mi ucztę, czułem się w wielkiem podniesieniu ducha i powiedziałem im, że wszyscy są na złych drogach, że ich rozumowania, zabiegi nigdzie nie doprowadzą; że jeżeli Bóg zlituje się nad nami, to przysśle nam proroka, który będzie dla nas prawem żywym, którego słowa, czyny i gesta będą artykułami (wiary). Nie pamiętam słów poezyi ale ta była ich treść. Zaklinałem, żeby ją pamiętali; wielu już zapomniało. Zan Stefan kiedy przyszedł nazajutrz do mnie, powiedziałem mu ze smutkiem głębokim, że gdyby mi wówczas nie przerwano, wielką bym rzecz oznajmił, ale już nie byłem nazajutrz w stanie podnieść się do téj wysokości. Przerwano mi wówczas; jedni protestowali w imię rozumu, drudzy myśleli, że mówię o księciu Czartoryskim, kiedy wołałem, że tylko z takiego męża przeznaczenia mogą wyjść kapłani, królowie i hetmani*)“. Było to widziadło, które go ściągalo nie tylko od ostatnich Dziadów, ale jeszcze z przed 1830 roku, kiedy zaczynał już prorokować, tylko przybierało coraz inną postać. Owa improwizacya obudziła raz jeszcze to widziadło drzemiące od lat sześciu lub siedmiu w jego duszy, i zdaje się, że odtąd często musiał w domu o niem wspominać, bo żona jego tak miała niem głowę nabitą, że w swoim obłąkaniu ciągle o zapowiedzianym mistrzu gadała.

*) Kor. Miék. T. I. str. 186. „Lat siedm wprzód Mićkiewicz patrząc na gorączkowe i niepłodne zabiegi i robótki emigracyjne — pisze X. Kajsiwicz — powiedział na nie się to wszystko nie zdalo, trzeba dla Polski zakonu (Pisma X. Kajsiwicza, T. III str. 167). W 1840 r. nie dosyć mu było na zakonie, który już istniał pod formą zmartwychwstańców; oczekiwał nowego messyasza.

Towiański może nie wiedział do jakiego stopnia Mićkiewicz był przysposobionym dla niego zwolennikiem, ale znał niezawodnie jego proroctwo w *Dziadach*, i chodziło mu o to, iżby go przekonać, że tym przepowiadany przez niego mistrzem, prawem żyjącem, jest on — Towiański. Na to wymowa sama niewystarczała, trzeba było faktu, to jest cudu; a jak już nadmienilem, rady doktora Gutta zapewne pokierowały nim w tej okoliczności. Żona Mićkiewicza nie była w obłąkaniu nieuleczalnem; przyczyna jego była przemijającą (uderzenie pokarmu na mózg), i raz już z podobnego stanu wyprowadzoną została środkami zwyczajnemi w medycynie. Można więc było z niejaką nadzieją skutku uciec się także do środków moralnych i magnetycznych, zdolnych wstrząsnąć w niej system mózgowo-nerwowy i jakby cudem sprowadzić zbawienną reakcyę. Wszakże już podług Szekspira, urok pięknej muzyki dostatecznym był, aby wyprowadzić z obłąkania starego króla Leara.

Snać Towiański liczył na podobny skutek, gdy się wybierał do Mićkiewicza. Zastał go zajętym wypisywaniem not z różnych książek, które przytoczyć miał w swojej przyszlężej prelekcyi. Spostrzegłszy postać nieznajomą, przychodzącą przerywać mu jego prace, odezwał się on dosyć sucho, że niema czasu do żadnej rozmowy i prosi, ażeby mu dać pokój. „Ale ja przychodzę od Pana Boga do ciebie Adamie, rzekł Towiański tonem uroczystym, ażeby ci żonę uzdrowić“. Te słowa zelektryzowały Mićkiewicza. Zaczął mu zadawać różne pytania, na które odpowiadając, Towiański wyłożył mu w głównych zarysach swoją doktrynę, która spoczywała na takichże samych ideach o wpływie świata niewidomego na świat widomy i wcielaniu się

ducha wyższego w człowieka, które sobie wieszczę był wyrobił, ale które zdaje się Towiański w jeden system ujął i jasno, przynajmniej jak dla niego, tłumaczył. Co mu więc powiedział, to można wnioskować ze słów listu jego pisanego do Mićkiewicza w lat kilka później, gdy mu przebaczał jakiś zamach buntowniczy na jego władzę. „Bracie Adamie, pisał do niego. Tyś pierwszy zwiastował Polsce sprawę bożą i sługę bożego; coś niezwyčajnego a pocieszającego widziała Polska w Tobie, a był to pierwszy promień nowój epoki, który naprzód zabłysnął w Proroku Polski, a ten promień boży uznając i miłując w Tobie, Polska gotowała się do przyjęcia słowa wyższej epoki, słowa Bożego. W kolei czasu budziłeś w twych natchnieniach tułaczów Polski zapowiadając im zbliżającą się epokę i sługę jej“.*)

Mićkiewicz był podbity oczarowany i oczarowanie to maluje z szczerością w liście do Skrzyneckiego. „Moja wiara w słowa Andrzeja, powiada on, jest skutkiem całego mojego życia, wszystkich moich usposobień i prac duchownych“. Tu przypomina wszystkie swoje przepowiednie, kończąc na téj, którą wypowiedział u Januszkiewicza. Potem opowiada następującą okoliczność: „Okolo owego czasu, w miesiącu grudniu, kiedy oglądałem przygotowania do egzekwyi Napoleona. miałem w biały dzień widzenie; widziałem człowieka z głębi kraju jadącego wózkem jednokonnym w biedzie po błocie i w mgle i uczulem, że ten człowiek wiezie wielkość, wielkie rzeczy“. Było to niby widzenie Hegiry Towiańskiego, jadącego z Litwy ku Francyi.

*) Kor. Mićkiewicza T. I. str. 187.

Mickiewicz powiada, że się o tem przekonał z opowiadania mistrza, ale że się przekonał nie prędko, więc widzenie to nie wpłynęło na pierwsze wrażenie, jakie on na nim sprawił — zwłaszcza, że ten sam wózek Litewski długo potem kręcił się jeszcze luźny po głowie poety, skoro chciał, ażeby go Oleszczyński na grobie Kniaziewicza i Niemczewicza wyobrazil. Nakoniec przystępuje Mickiewicz w cytowanym liście do faktu uzdrowienia żony. „Jeszcze żona moja, powiada on, była w domu chorych, a już na słowo Andrzeja, (który jęj nie widział był), ogłosiłem krewnym, że będzie zdrowa. Wziąłem ją wbrew zdaniu lekarzy, niewzruszony ich zakłęciami, bo zaręczali, że ją trzeba będzie zaraz z rżyciem gwałtu napowrót zamknąć. Wziąłem żonę w zupełnem pomieszanu w kanikułę, w gorąco, w czasie burzy. Tegoż dnia odzyskała przytomność. Dotąd jest zdrowa i coraz pewniejsza zdrowia na przyszłość“. Tu dodaje, że okoliczności cudowne towarzyszyły jęj uzdrowieniu, które jednak, zdaniem jego nie przyczyniły się do jego wiary, bo ta już bez nich była zupełną. Pytanie jednak zachodzi, czyby ta wiara długo potrwała, gdyby jęj Towiański nie był pseudocudem poparł? i czyby nie upadła zaraz, gdyby zapowiedziawszy cud, ów cud się nie udał. Teraz opowiem całą tę ciekawą scenę.

Mickiewicz jak widzieliśmy z listu jego sprowadził żonę do domu. Przejazd w pośród burzy, zmiana miejsca, widok męża, pokoju swojego i wszystkich przedmiotów, do których była nawykła, poruszyły już były silnie biedną obłąkaną. Burza z grzmotem, błyskawicami, piorunami, dosyć częsta w Paryżu w miesiącu sierpniu w którym się to działo, trwała jeszcze czas jakiś po jęj przyjeździe

i wśród téj burzy zjawił się Towiański. Zbliżył się do niéj powolnym krokiem, wlepiając w nią wzrok swój magnetyczny; chciała uciekać, przestraszona. On pochwycił jéj dłoń jedną ręką, drugą rękę przyłożył do jéj czoła, jakby dla namaszczenia i głosem solennym zawołał: „Kobieto w imie Chrystusa uzdrawiam cię — jesteś uleczona“. Grzmoty i błyskawice towarzyszyły téj scenie, jakby się niebo i ziemia spiknęły dla obalamucenia poety. Pani Mićkiewiczowa jakby zbierała swoje zbłąkane myśli patrzyła jakąś chwilę na tę postać nieznajomą, imponującą jéj z tak potężną władzą. Następnie spojrzała na męża, krzyknęła i rzuciła się w jego objęcia — poznała go — była uzdrowioną — cud był dokonany, a Mićkiewicz ukorzył się przed zbawcą, uznając w nim posłannika Bóżego. Stan zachwyty w jaki popadł i w którym kilka tygodni przebył, odmalował on żywymi farbami w liście do Bohdana Zaleskiego, dosyć znanym, ale który przytoczę dla dopełnienia obrazu:

„Bohdanie! skoro ten list przeczytasz, upadnij na kolana i dziękuj Panu. Wielkie tu dzieją się rzeczy. Emigracya połączona. Spiesz zaraz, zaraz do nas, abyś serce twe pocieszył, rozradował, okwiecił, ozielenił. U mnie w domu kwiaty i wiosna i w sercu i w duchu. Od kilku dni piszę do ciebie na wszystkie strony, nie wiedząc gdzie się obracasz. Józefa wołaj natychiast do Paryża. Więcej pisać nie wolno.

Słowiczku mój! a leć a piéj
 Na pożegnanie piéj —
 Wylanym łzom, spełnionym snom,
 Skończonéj piosnce twéj.
 Słowiczku mój, twe pióra zzuż,
 Sokole skrzydła weź

I w ostrzu szpon złotostron
Dawidzki hymn tu nieś.

Bo wyszedł głos i padł już los:
Tajne brzemie lat
Wydało płód i stał się cud
I rozraduje świat *).

Zajął się też natychmiast Mićkiewicz apostołowaniem nauki Towiańskiego i 3 maja następnego roku (1842) sprowadził Towiańskiemu 44 zwolenników**), cały żywioł najbardziej egzaltowany w emigracyi: poetów Słowackiego, Goszczyńskiego, Aleks. Chodźkę; starych wojskowych: generała Różyckiego, pułkownika Mikołaja Kamieńskiego, którego ścigało wspomnienie młodzieńca, padłego od jego strzału w pojedynku, Belwederczyka Retla i. t. p.

Nie mógł jednak Mićkiewicz zostać długo ślepem narzędziem Towiańskiego. Była między nimi zasadnicza różnica. Patryotyzm Towiańskiego był bardzo wątpliwym i to już zraziło było od niego Skrzyneckiego: „Modlić się, pisze on do Mićkiewicza, cicho siedzieć i z założonymi rękami wyglądać zmiłowania boskiego, to cała nauka i rozkazy ztamtąd, kiedy szatan Mikołaj walczy nas, i po-malną zabija“. Przyjechawszy do Paryża i wyrozumiawszy trochę emigracyę, postrzegł ów prorok, że mu na inny ton trzeba śpiewać. Z początku też zapowiadał stęsknionym tułaczom powrót tryumfalny do Polski; mianował nawet poczciewego generała Różyckiego (Karola) naczelnym wodzem, mającym im przewodniczyć na siwym koniu jak ongi swojemu hufcowi wołyńskiemu, ale z czasem wrócił do naturalnego mu kosmopolityzmu i znowu

*) Kor. Mićk. T. I. str. 179.

**) Pisma ks. Kajsiewicza T. III. str. 427.

zalecał swoim zwolennikom, żeby się tylko modlili i wyglądali zmiłowania boskiego, a co gorsza nakłaniał ich do podpisania jakiegoś adresu do Mikołaja, który bardzo im zarzucało.

Mistycyzm Mićkiewicza był pod tym względem zupełnie odmiennym, bo na tle jego był patryotyzm namiętny, przed którym wszystko ustępowało w sercu poety. Mićkiewicz mniej myślał o zbawieniu duszy, jak o zbawieniu ojczyzny i czego szukał w mistycyzmie, to przede wszystkim upewnienia, którego mu ani rozumowania filozoficzne, ani nawet wiara katolicka dać nie mogły, że ojczyzna zbawiona będzie. Miałem sposobność dotrzeć do tego gruntu jego duszy w sposób dotkliwy dla siebie. Raz, w małym bardzo kółku u niego, rozmowa toczyła się o wypadkach ówczesnych; to jest o reakcyi biorącej wszędzie górę. Głównym mówcą był jakiś Francuz, który ntrzymywał, że ta reakcyja nie jest w stanie zwichnąć przyszłości ludów, a tą przyszłością podług niego miała być ogólna republika demokratyczna — stany zjednoczone Europy. „Eh, przyszłość — wyrwałem się pod wpływem jakiegoś zniechęcenia, jakichś błękitnych diabełków angielskich (blue devils), które mnie tego dnia opanowały, a których bardziej jeszcze podlegały komunali Francuza. — Eh przyszłość nie będzie czem innem, jak przedłużeniem przeszłości, dalszym ciągiem jednego i tegoż samego łańcucha przyczyn i skutków.“ Powiedziawszy to, spojrzałem na Mićkiewicza. Twarz jego była straszliwie gniewna. „Jakto! fuknął na mnie, jakże śmiesz takie herezye bredzić. Dalibóg nie wiem, gdzie ta młodzież dzisiejsza czerpie swoje idee, bo to nawet nie jest filozofia niemiecka. I cóż dla ojczyzny wypro-

wadzisz z takiego rozumowania.“ Umilkłem i lubo mnie Francuz wyciągał na dyskusję, nie odezwałem się już więcej; byłem zawstydzony ostatnim wyrzutem Mićkiewicza, lecz poznałem przy téj okoliczności, że dla niego kamieniem próbieczym wszelkiej doktryny jest to, czy może dać Polakowi dobrą otuchę czy nie? Tę otuchę dawała mu snąć doktryna Towiańskiego, bez względu jak ją mistrz sam zastosowywał w praktyce; świadczy to list pełen wynurzeń, jaki pisał do brata swojego Franciszka, gdy już i katedrę stracił i przeciwko sobie poburzył Polaków i Francuzów.

„Bracie, pisał, jużesmy podstarzeli, życie przeszło jak chwilka a zdamy tylko rachunek z tego jakieśmy go użyli dla dobra bliźnich i ojczyzny. Mam nadzieję, że z tobą jeszcze obaczę się na ziemi i w lepszych czasach a radbym, żebyś ty miał ufność w Bogu, że jeszcze i Litwę obaczymy. Litwę naszą już a nie moskiewską. Tem żyję, dla tego żyję i tego da Bóg dożyję... Widywałem tu różnych rodaków z naszych stron, ale oni na innych drogach kręcą się; czas pokaże czyja lepsza... Posyłam tobie mowę Quineta, żebyś widział, że tu Francuzi muszą mnie bronić od rodaków, którzy mnie ogłaszają za odszczepieńca (pobożni!) za Moskala, ale przyjdzie czas i niedługo, że i rodakom oczy otworzą się“*).

Z takim uczuciem w sercu, Mićkiewicz chciał działać jak dawni zakonnicy rycerze, a nie zakładać rąk jak to polecał Towiański; powstawał też nie raz przeciw niemu, lecz potem tknięty skrucą przeproszał go; nakoniec gdy

*) Kopia autografu w kor. Mićkiewicza.

wybuchła wojna we Włoszech, pojechał tam tworzyć jakąś falangę polską i poróżniwszy się o to znowu z Towiańskim przestał mu odtąd ulegać. Szedł swoją oddzielną drogą, która go w końcu zawiodła na Wschód w chwili, gdy okoliczności zdawały się odpowiadać wszystkim jego marzeniom, widzeniom i prorocstwom. Cesarstwo francuskie było przywrócone, Francya znowu jak w 1812 roku ścierała się z Moskwą a polskie hufce formowały się na wschodzie. Poeta sądził, że zbliża się przepowiedziana przez niego godzina. Nastroił znowu lutnię, która spoczywała już tak długo. Zaśpiewał hymn na wzięcie Bomarsundu i sam wyjechał do Turcyi, gdzie bez wątpienia spodziewał się kozaków polskich Czajkowskiego natchnąć swoją wiarą, — gdy cholera położyła koniec jego pieśniom, marzeniom, widzeniom i życiu.

Osobistość Mićkiewicza jest w pośród wspomnień, które opowiadam, jakby góra wysoka, u stóp której droga moja przeszła. Wdrapywać się na jej szczyt w obłokach ginący, lub przenikać jej wnętrze wulkaniczne, nie było mojem zadaniem. Patrzałem tylko z dołu na nią i z tego też punktu starałem się odszkiecować jej profil. Muszę jednak dolożyć jedną uwagę ogólną, którą mi nasunął F. Sarcey, znany krytyk i publicysta francuski. „Dziwna to rzecz, mówił mi on, że cokolwiek wychodzi z pod polskiego pióra, jest zawsze obwinione w jakąś mgłę mistycyzmu. Czy wy się mistykami rodzicie?” Zaprotestowałem żywo przeciw takowemu zapatrywaniu się na naszą literaturę współczesną. Sarcey nie mówiąc poszedł do swojej biblioteki i przyniósł kurs Mićkiewicza. Gdym spojrzał na tytuł dzieła uczulem wnet, że m się trochę zaawanturował z moją protestacją.

W rzeczy samój nie trudno było krytykowi francuskiemu dowieść mi podług rozbiorów i cytacyi Mićkiewicza, że po upadku powstania 1830 r., zaczęła się w poezyi naszej faza mistycyzmu i ascetyzmu, która nieco i po za obręb poezyi się rozciągnęła. Wieszcie nasi, którzy wyszli na tulactwo uciekali myślą w światy nadziemskie, żeby tam czerpać otuchę dla sere zrozpaczonych. Tam spotkali się z autorem „Dziadów“, Stefan Garczyński, który wyśpiewał swojego Wacława nad brzegiem grobu; Goseczyński, Slowacki, Zygmunt Krasiński, który lubo nie emigrant, żył powietrzem emigracyi. Nawet pobożny Bohdan Zaleski miał chwile, kiedy jak w „Duchu od stepu“, przypominał sobie na wiarę Platona swój żywot przedziemski:

Luby, dziwny gdzieś przed laty . .
Żywot czysty i skrzydlaty.

Z myślicieli zaś naszych ci, którzy nowe drogi dla myśli polskiej torować chcieli, niemał wszyscy, z jakiegokolwiek wychodzili punktu, biegli za ideałem bardzo dalekim od rzeczywistości ówczesnej, a dalszym jeszcze niestety od dzisiejszej, to jest od ery Bismarka z godłem swoim: „siła przed prawem“. Cieszkowski zatwierdziwszy przeciw filozofom niemieckim istnienie nieśmiertelnego ducha w człowieku, otwierał perspektywę na zrealizowanie się w społeczeństwie ludzkim w pełności tego boskiego pierwiastku i dla tego też znane pismo swoje do berlińskiego Micheleta zaczął i skończył wezwaniem *Veni creator spiritus*. Królikowski idąc dalej jeszcze zwiastował nowy kościół chrześcijański ufundowany na braterstwie tak harmonijnem, że każdy w nim będzie królem, każdy kapłanem. W podobnymże prawie świetle widział przyszłość przez rzewne lzy swoje zacny Brodziński, gdy w posłaniu do braci wy-

gnańców powiedział: „Wyświecajmy tyranów, ale oświecajmy narody, a oświecenie to rozgoreje w ogień spólną miłości, w którym spłonie potęga ciemieźców. Miłością uczniów Chrystusa pomiędzy sobą wszystkie ludy wzajemną miłością natchniecie. Sprawa nasza tak jest boska i ludzka, iż na całej kuli ziemskiej wyznawców dla niej znaleźć możemy, a przywrócenie szlachetnej Polski będzie kwiatem prawdziwej cywilizacji wieku, który ludzi i aniołów rozradować potrafi.“

Mógł więc Mićkiewicz z katedry swojej podawać rękę licznemu gronu poetów i myślicieli naszych, bo jego mistycyzm nie był pojedynczym fenomenem, ale objawem najwybitniejszą dążności, która opauowała była najbardziej egzaltowane dusze polskie po upadku sprawy narodowej mianowicie w emigracji i która przygotowała pole dla Towiańskiego. Pozwalam sobie zwrócić na to uwagę przyszłych historyków naszej ery męczeńskiej. Sam zaś wracam do moich wspomnień trochę bezładnych.

X.

Ciekawe typy, jakie się wytworzyły w emigracyi straciłyby swoje znaczenie, gdyby je oderwać od tła wspólnego i od tych warunków zupełnie wyjątkowych, wśród których żyła cała emigracya. Wszystko to się wiąże w jeden obraz i dla tego idąc dalej w mojem opowiadaniu będę musiał przechodzić z ogółu do jednostek lub odnosić się od jednostek do ogółu.

Czem była owa stara emigracya z 1831 roku o tem świadczyło najlepiej współzucie i szacunek powszechny, jaki jój okazywano we Francyi przez lat więcej niż czterdzieści, to jest póki nie pozostała z niej tylko garstka złamanych starców obcych dzisiejszemu pokoleniu. Nikt jój tam nie zazdrościł ani subsydyów jakie jój rząd przez tyle lat wypłacał, ani licznych posad jakie zajmowała w różnych gałęziach służby publicznej lub w kompaniach i zakładach prywatnych, nikt nie czynił ogółu odpowiedzialnym za usterki, nadużycia, długi pojedynczych jego członków. Przez lat czterdzieści imię starego emigranta było w poszanowaniu. Bo też emigracya ta była kością z kości narodu polskiego. Nie każdy wprowadzie do niej należący był rycerzem bez zmayı lub mężem nieposzlako-

wanej cnoty obywatelskiej. Wielu się przymieszało do niej którzy nie zasługiwali na szacunek, ale można powiedzieć, że ile było tylko w Polsce pod panowaniem rosyjskim sere prawdziwie rycerskich, ile było ludzi miłujących nade wszystko Ojczyznę i jój honor, jak je Polacy kochać umieją, wszyscy wyszli z chorągwiami narodowymi na obcą ziemię, ażeby zaświadczyć przed światem, że Polska uległa jedynie pod barbarzyńską przemocą a praw i nadziei swoich się nie zrzeka. Ci tylko pozostali w kraju, których wstrzymały choroby, rany, lub ciężkie obowiązki rodzinne. Wielu rannych nawet zawlekło się za wojskiem, jak Franciszek Mićkiewicz brat poety, Zdzisław Zamoyski i wielu innych. Widziałem sam w szpitalu w szkole aplikacyjnej, gdzie leżałem ciężko ranny i jeszcze prawie dzieckiem, gromadkę oficerów o kulach, z rękami na temblakach, z podwiązanymi głowami wychodzących za wojskiem w tój fatalnej nocy, która poprzedziła wejście Moskali do Warszawy. Była to rozdzierająca scena; ocknąłem się był z gorączki i spostrzegłem w sypialni przy świetle świeczki lojowej ojca Benjamina kapucyna*) otoczonego temi rannymi wojakami. Rozdawał im co prędzej trochę bielizny i pieniędzy, które złożone były u niego dla szpitala i błogosławił ich z płaczem, a z nim plakali ci co wychodzili w drogę — plakali nad krajem i nad sobą, przewidując, że trzeba im będzie szukać przytulku na obcej ziemi**).

*) Później biskupa.

**) Leżał w tejże sali niedaleko odemnie ex-akademik Suchodolski, autor wesolych piosneczek śpiewanych u Honoratki.

Moskalu wygnany
Zgryzotą nękany!

Przechód wychódtwa do Francji trwał ze dwa lata. Wielu bowiem z młodszych wojskowych z r. 1831, którzy zostali byli w kraju, uciekało następnie za granicę wszystkimi drożynami przed srogim poborem moskiewskim w 1832 roku*). Było także niemało takich, których pędziła za wychodźcami nieprzewyciężona jakaś tęsknota, jakieś heroiczne pragnienie dzielenia z nimi tułaczego życia, jakby na dopełnienie ofiary dla Ojczyzny, w nadziei, że Bóg miłosierny sprowadzi kiedyś wszystkich w tryumfie do Polski. Było w tem uczuciu coś podobnego do tego pragnienia męczeństwa nazwanego przez sceptyków francuskich *la folie de la croix*, które opanowało chrześcian pierwszych wieków. Takim wychodźcą był między innymi Stefan Witwicki, którego spotkałem w r. 1832 w Dreźnie, idącego dobrowolnie na wygnanie. Brodziński przez długie lata o tem także marzył tylko, żeby kraj zajęty przez Moskali opuścić i iść dzielić los emigrantów. „Tęsknię — pisał do Bohdana Zaleskiego — jakby u was była Ojczyzna“**). Miał jednak słodkie pociechy domowe; miłą, dobrą żonę i małą córeczkę piękną jak aniołek, ale to niemogło ukoić jego tęsknoty; zbierał powoli fundusik, nakoniec zabrał żonę i córkę, wybrał się do Francji i w pół drogi, w Dreźnie, umarł.

Nie mogąc podnieść się z łóżka, ażeby iść za drugimi, oderwał bandaż od ran a rozpacz była tak ogólna, że nikt nie śmiał go powstrzymać i krew go uszła.

*) Ukazem z 26 lutego 1832 r. Car Mikołaj nakazał brać do wojska Moskiewskiego jako żołnierzy wszystkich młodych ludzi, którzy walczyli za sprawę narodową w 1831 roku pomimo amnestyi, którą był ogłosił.

**) Posłanie do Braci wygnańców, Paryż 1850 roku. Przedmowa Bohdana Zaleskiego, str. IX.

Atrakcyą emigracyi działała nawet na charaktery zahartowane i zwykle dalekie od wszelkiej sentymentalności poetycznej. Stary Kniaziewicz, współzawodnik Dąbrowskiego, porzucił ulubione Drezno, w którym żył spokojnie lat kilkanaście i pojechał umrzeć wśród emigracyi. Chrzanowski, suchego i zgryźliwego charakteru, niepopularny w wojsku przy końcu wojny do tego stopnia, że go pośmiewano o brak patriotyzmu, zostawszy w kraju po upadku powstania, wysoko ceniony przez Moskali, zaproszony w sposób najpochlebniejszy, ażeby wszedł do służby carskiej, wzgardził temi ofiarami i pojechał połączyć się z wychodźcami, lubo wiedział, że się naraża na najgorsze z ich strony przyjęcie, na niesłuszne wyrzuty, na podejrzenia obelżywe. Przemogło w nim silniejsze nad wszystko poczucie, że między nimi tylko jest godne miejsce dla generała polskiego.

Emigracya r. 1831 tem się różniła od wszelkich innych emigracyj znanych w historii, że nie miała żadnej cechy rewolucyjnej, sekciarskiej lub kastowej. Wyszła na obcą ziemię, ażeby nie uchylić czoła przed zaborcą Ojczyzny, i przedstawiała wszystkie stany składające naród polski, równie jak wszystkie prowincye naszego kraju i wszystkie pułki naszego wojska, jak już wspomniałem wyżej.

Arystokracja historyczna była w niej znakomicie reprezentowana, poświęciwszy ogromne majątki. Kto przejeżdżał w lat kilka po powstaniu przez te żywe krainy Podola, Wołynia, Ukrainy, Litwy, gdzie były po większej części jej wielkie posiadłości, widział ze ścisniętym sercem te obszary ziemi mlekiem i miodem płynące, należące przed powstaniem do ks. Adama Czartoryskiego, do książąt

Eustachego i Leona Sapiehów, do hr. Aleksandra Potockiego, do Ludwika Steckiego i tylu innych możnych panów, skonfiskowane przez rząd moskiewski. Naznaczone już one były jego piętnem; to jest zmienione w jakieś osady symetrycznie uszykowane jak bataliony carskie. W Królestwie ks. Czartoryski zostawił jeszcze na łup Moskalom owe wspaniałe Puławy, gdzie książę generał ziem podolskich ugaszcział całe ówczesne pokolenie szlachty polskiej, a ostatni z Paców swój majątek dwudziesto-millionowy i pomniki swojego okazałego artystycznego gustu, którego ród Paców przyniósł z sobą z Florencyi do Polski i wiernie z pokolenia w pokolenie przez cztery wieki przechował*).

*) Pałace niezupełnie jeszcze ukończone, które generał Ludwik Pac, senator wojewoda, zostawił po sobie w Warszawie i w majątku swoim w Dospudzie, w dawnym województwie Augustowskim, mało miały równych sobie w Europie pod względem wspaniałości w wewnętrznym swoim urządzeniu. W jednym i drugim były sale z arkadami okryte sufitami z grubego szkła, na których miały być urządzane aquaria. Na ścianach rozpoczęte były freski historyczne odnoszące się do rodziny Paców, počawszy od ich antenatów florenckich, którzy odbyli wojny krzyżowe, a jeden z nich pasowany był na rycerza przez św. Ludwika. W bocznych salonach miały być wodotryski a wszędzie niszczące czekały na posłgi. Dziś pałac w Dospudzie w ruinie, a pałac w Warszawie mieści w sobie sądy rosyjskie. Koniec zaś twórcy, tych przepychów miał w sobie coś fatalnego. Wyszedłszy do Francyi zniknął nagle i nie wiadomo gdzie się podział, aż w r. 1835 przyszła wiadomość ze Smyrny, że do jednej austeryi w tem mieście przybył podróżny znużony i chory, i w nocy umarł, a z papierów jego dowiedziano się, że to był hrabia Ludwik Pac, generał polski Pac odbył wojny hispańskie jako generał, następnie kampanię 1812 r., gdzie pod Mało-Jarostawcem odbił Napoleona i Murata, otoczonych przez Moskali; w r. 1831 dowodził korpusem, który pilnował mostu na Wiśle pod Potyczką; potem bił się pod Ostrołęką i przy szturmie Warszawy.

Nagrobek jego w Smyrnie w przedsionku kościoła św. Antoniego z białego marmuru przedstawia kociół z urną. Napis na nagrobku,

Wiele panowie emigracyjni znosili stoicznie — trzeba im oddać tę sprawiedliwość — stratę owych majątków. Mając po większej części okruchy z nich wystarczające im jeszcze do swobodnego życia, wolnego od trosk, nie czuli się nieszczęśliwymi bez milionów. Jeden z nich nie należący wprowadzić do starłej emigracyi — emigrant z fantazyi — namawiany usilnie przez krewnych i przyjaciół, żeby się pogodził z rządem carskim, przeciw

zdjęty przez p. A. Müldnera, oficera c. k. austr. marynarki wojkowej, jest następujący:

D. O. M.

LUDOVICUS MICHAEL PAC,

Polonus.

Haerens in Dospuda, Rozanka etc. etc antique stirpis ultimus.

Dux militum, senator palatinus regni Poloniae

In ordine militari polonico nec non gallica honori legione commendator.

Eques polonici S. Stanislai, bavaricique melitensisque ordinis.

Natus Argentorati 19. Maii A. MDCCCLXXX

Patriam

Nefanda conspiratione a vicinis tyrannis oppressam

armis repetens, signaque Napoleonis secutus: in Hispania, Germania,

Rossia Annis MDCCCVII-IX-XII-XIII-XIV

Stipendia meruit

Mox anno MDCCCXXI Poloniae pro aris et focis in Moschos ruens

totum se fortunasque suas nil cunctatus devovit

ad Medina di Rio Secco, ad Burgos ad Laudunum, ad Ostrolencam vulnera passus

vir fortis, strenuus, pius, providus, artium bonarum fautor

Patriae rebus etiam afflictis ac desperatis ad mortem usque ditissimus

Polonis desideratissimus

Smyrnae diem supremum obiit exul

Totque heroum cristianorum ossibus hic ossa sua miscuit

D. XXXI Augusti anno MDCCCXXV.

Requiescat in pace.

któremu nie zbyt ciężko był przewinął i nie narażał na konfiskatę trzydziesto-milionowego działu majątkowego, jaki na niego przypadął, odpowiadał: „czegóż mam tak bardzo prosić o łaskę Mikołaja, kiedy bez tego mogę żyć wygodnie, a dwóch obiadów na dzień jeść nie będę, choćbym takim upokorzeniem ocalił majątek“. Była to prawdziwa filozofia praktyczna, którą jednak los wystawił na próbę. Rząd rosyjski znecierpliwiał się i zabrał mu dobra jego, ale natomiast pieniądze szczerze płynące mu ze szkatuły macierzyńskiej, przytem nader szczęśliwe i rozumne spekulacye odbudowywały mu we Francji straconą w kraju fortunę i po niewielu latach nowa ta fortuna przerosła niemal dawną. Lecz w miarę jak rosła, arystokratyczny emigrant coraz silniej się do niej przywiązywał, filozofia pierwszych dni jego wychództwa ustępowała przed urokiem coraz pomyślniejszych rachunków rocznych, a w końcu z hojnego dla biednych i szczerze ofiarnego dla państwotycznych celów pana, zrobił się typowy milioner, wielki pan finansista, bardzo lubiący obracać pieniędzmi i który już nigdy nie powtórzył, że mu miliony nie potrzebne, bo dwóch obiadów na dzień jeść nie będzie, z czego ten sens moralny wyciągnąć można, że człowiek do tego tylko szczerze się przywiązuje, co jest jego dziełem, co sobie tylko a nie losowi winien.

Inny typ wprost przeciwny, wielkiego niegdyś pana wyzutego ze swojej fortuny przedstawiał hr. Aleksander Potocki, syn Szczęsnego najstarszy z pięciorga dzieci urodzonych z Greczynki — przed wojną dziedzic Humaniszczyny i najpiękniejszego na kuli ziemskiej ogrodu Zofijówki.

Aleksander Potocki wzrósł i młodość spędził w atmosferze rosyjskiego świata, był pułkownikiem carskim,

odbył kampanię na Kaukazie, przeżył lat wiele w Petersburgu, mile widziany na dworze i w zażyłych stosunkach z wielkimi figurami, otaczającymi Jowiszową postać Mikołaja. Pod takim wpływem uczucia polskie zeszły u niego gdzieś aż na dno duszy. Ledwie sobie przypominał, że był Polakiem, że jego przodkowie hetmanili w Polsce i zasiadali przez kilka wieków na mnogich krzesłach senatorskich. W r. 1831 podróżował sobie spokojnie za granicą i zajechał do Wiednia w epoce, kiedy powstanie nasze chyliło się już ku upadkowi. W Wiedniu mieszkała siostra jego pani Kisielewowa, niegdyś ambassadorowa rosyjska, rozłączona z mężem i w ciągu wojny nawrócona z gorącym sercem na stronę sprawy narodowej. Postanowiła ona i brata nawrócić i pracowała nad nim nieustannie: „Wstydź się, mówiła mu nieraz. Gdybym ja była mężczyzną, toby mnie pewno tu nie było; walczyłabym w szeregach polskich.“ Pan Aleksander słuchał ze zdumieniem tego nowego dla siebie języka, ale każde słowo przenikało aż do głębi jego duszy i jednym razem patryotyzm wybuchnął w niej pełnym płomieniem. Nie zważając, że już mało było nadziei podźwignienia powstania, pojechał do Warszawy i trafił na rzeź 15 sierpnia. Zmarło go to niezmiernie ale nie odwróciło od powziętego raz już zamiaru. Poszedł do Krukowieckiego, nowego naczelnika rządu i oświadczył mu swoje życzenie uformowania pulku na swój koszt. „A z jakich pan Potockich? spytał go Krukiewicki.“ „Jestem bratem Włodzimierza, odpowiedział pan Aleksander.“ Mniej szczęśliwy jednak niż Włodzimierz Potocki, który uformował w r. 1809 baterię artylerii, nie mógł on swojego zamiaru do skutku doprowadzić.

Zapadł na tyfus pod wpływem wrażenia, jakie na nim sceny 15 sierpnia uczyniły i leżał jeszcze w zupełnej niemocy, a pułk jego ledwie był w zawiązku, gdy Moskale przypuścili szturm do Warszawy. Zaraz po kapitulacji kazał się wywieść za wojskiem i wieść aż do Prus, z kąd udał się do Drezna.

Nadaremnie J. Witt, mianowany gubernatorem Warszawy a brat jego przyrodni (urodzony z tejże samej matki Greczynki z pierwszego jój małżeństwa) usiłował wszelkimi sposobami nakłonić go, ażeby napisał na jego ręce prośbę o amnestyę, zaręczając solennie za jój skutek. „Ani myślę o tem” odpowiadał A. Potocki. Odkąd tak barbarzyńsko obszedł się rząd Mikołajewski z Romanem Sanguszką nie uwierzył bym najświętszym nawet przyrzeczeniom z jego strony. Zresztą złączyłem już los mój z Polską emigracją i nie odłączę się od niej“^{*)}.

W parę miesięcy po przybyciu jego do Drezna plenipotent, którego wysłał był do dóbr swoich na Ukrainę, ażeby uzbierał co można pieniędzy na formacyę pułku, przywiózł mu 2 miliony złotych polskich. Było to nie wiele więcej niż przychód jednoroczny z Humańszczyzny i na tem ograniczyć mu się trzeba było na resztę jego życia. Nie jeden zapewne z czytelników uważałby się za dosyć bogatego jeszcze w takich granicach. On się miał szczerze

^{*)} W kilka lat później na dworze Mikołaja księżna Leonowa Radziwiłłowa (z domu księżniczka Urusów) spostrzegłszy hr. Jarosława Potockiego spytała go, czy dawno miał wiadomość od brata Aleksandra. Mikołaj stał niedaleko, hr. Jarosław musiał dyplomatycznie odpowiedzieć i rzekł: „Nie mam z nim żadnych styczności od owego głupstwa jakie popełnił!“ „Dites donc depuis le crime qu'il a commis“ odezwał się grzmiącym głosem Mikołaj.

za biednego, nie mogąc pojąć, jak można żyć za mniej, niż za takie nędzne sto tysięcy złotych polskich, czyli jak po rosyjsku obrachowywał 15 tysięcy rubli sr. rocznie, na jakie zredukowany został ulokowawszy swoje fundusze w papierach publicznych — i tu zaczyna się oryginalność tego typu. Poznałem go w samym początku jego emigranckiego życia w roku 1832 w Dreźnie w kółku arystokracji emigracyjnej, które się gromadziło około siostry *Henr. Rzewuskiego*, wówczas pani *Hieronimowej Sobańskiej*. Wszyscy go poważali i kochali, ale wszyscy żartowali sobie z jego mniemanej biedy. „A cóżbym ja o sobie powiedział?“ rzekł mu raz ks. *Eustachy Sapieha*, któremu rząd *Moskiewski* skonfiskował co do grosza majątek, bodaj czy nie większy jeszcze od *Humaniszczyny*, tak że nawet dochodu jednorocznego nie mógł z sobą zabrać na wygnanie. „Możesz powiedzieć, odrzekł pan *Aleksander*, że jesteś biedak jeszcze większy odemnie: tylko masz matkę, która ci z głodu umrzeć nie dozwoli.“ Jedni się na to głośno roześmiali, drudzy się melancholicznie uśmiechnęli, ale pan *Aleksander* nie zważając na żadne żarciki trzymał się najściślej ekonomii, żeby mu nie zabrakło pieniędzy przed terminem wypłaty kuponów od swoich akcji i obligacji. Miał mieszkancko złożone z dwóch pokoi dosyć ubogich, jednego sługę ukraińca, stołował się w bardzo skromnej restauracji, ubierał się podług mody wojskowej — kolnierzyków nawet nie nosił, co nwydatniało jego fizyonomią śniadą z greckimi rysy — i żadnych sobie zbytków nie pozwalał. Był jednak jeszcze młody i z temperamentem silnie skierowanym ku płci nadobnej. W ciągu dwumiesięcznej bytności mojej w Dreźnie dwa razy się serce jego zapaliło. Raz do słynnej ber-

liński aktorze pani Schröder-Devrient, wielkiej artystki i bardzo pięknej kobiety*), drugi raz czystiejszym płomieniem do panny Iz. M. (dziś hr. I. Ł.) piękności warszawskiej, pod której wejrzeniem i uśmiechem najtwardsze ledy w duszach topniały, a jednak jednym i drugim razem wewnętrzny ten pożar siłą weli przytłumił — zawsze w tej myśli, że jest biednym i że mu przeto w żaden sposób kochać się nie wolno. Słyszałem jego wyznanie w tym względzie. Przyjaciele mówili mu: „kochasz się w pannie Iz., gonisz za nią, usychasz dla niej, czemuż więc nie żenisz się z nią.“ „Ot słuchajcie, odpowiedział: Daję wam słowe heneru, że gdybym miał jeszcze Humaniszczyznę i gdyby mnie panna Iz. chciała, to bym się dziś z nią ożenił, ale brać żonę, żeby ją skazać na emigranckie życie i być zmuszonym wszystkich przyjemności jej edmawiać, a dzieciem w spadku będę przekazać, to byłoby szaleństwem, którego nie popelnię.“

Po wypróbowaniu tego systematu przez rok pierwszy, rachunek ogólny pokazał mu w końcu, że ze 100 tysięcy złp. dechedu zostało mu przynajmniej z 80 tysięcy, ale zarazem przekonał się, że 20 tysięcy na rok, trochę mniej lub więcej, wystarczało zupełnie na jego potrzeby bardzo umiarkowane; że zatem przestając na takiej aurea mediocritas, nie będzie mu źle, a potrafi wiele do-

*) Miał za współzawodnika przy tej bogini teatralnej swojego brata Bolesława, który był tak różnym od niego, jak dzień od nocy, biały, delikatny jak panienka i rozmitowany w pięknych traszkach, a mianowicie w różnych częściach ubrania, których miał prawdziwe muzeum u siebie. Pani Schröder-Devrient nigdy uwierzyć nie chciała, żeby to byli dwaj bracia i sądziła, że ci, którzy to mówią, żartują sobie z niej.

brego świadczyć drugim. Postanowił więc żyć dalej tak jak zaczął; skromnie, oszczędnie, odmawiając sobie wszelkich zbytków, a oszczędzoną część dochodu swojego obracać na wsparcie emigrantów i jałmużny dla ubogich, gdziekolwiek mu przebywać wypadnie. Temu prawidłu został wiernym aż do końca życia, to jest przez lat blisko czterdzieści. Dobroczynność stała się dla niego większą uciechą niż wszystkie parady i festyny petersburskie, któremi się w młodości przesycił. I tak w Baden-Baden, gdzie przez długi ciąg lat przepędzał piękną porę, największa jego przyjemność była, że raniutko szedł do piekarza, zakupował sto lub więcej świeżych bułeczek, potem chodził po kramikach i wybierał muóstwo wstążeczek, fartuszków, chusteczek, małych czepeczków, materij na sukienki etc. Wszystko to kazał nieść za sobą i wracając do domu, dawał znak dzieciom z klasy pracującej, które go już dobrze znały, żeby się u niego zgromadziły. Niebawem też horda dzieciaków oblegała drzwi jego mieszkania, a on jak patriarchy między nimi rozdawał dziewczynkom kupione dla nich prezenta; chłopczykom po parę sztuk monety a w dodatku dziewczynkom i chłopczykom każdemu po jednej lub dwie bułeczek na śniadanie. Wykrzyki radosne i podziękowania naiwne w szwabskim dyalekcie całej téj dziatwy były mu miłsze niż chóry opery w Paryżu lub Dreźnie. Ludność badeńska tak też go pokochała, że dowiedziawszy się o jego śmierci wyprawiła solenne nabożeństwo za jego duszę i wystawiła mu ze składek ogólnych pomniczek między cienistemi lipami tego ślicznego kąpielnego miasteczka. Również kochanym był i w Dreźnie, gdzie ostatnie lata życia spędził w srogich cierpieniach. Dla

emigrantów, gdziekolwiek ich spotkał, był prawdziwą opatrznoscią. Nie czekał, żeby się zgłaszali do niego; gdy się dowiedział o rzeczywistej nędzy, lub gdy ją odgadł pod porządnem nieraz ubraniem, szedł naprzeciw niej z serdeczną ofiarą, a lewica jego nie wiedziała nigdy, podług przepisów ewangelii, co dawała prawica.

Innym przykładem spokojnej abnegacyi — przestawania na małym bez żalu i bez przechwałek, skromnie i cicho, będąc obdartym z jednego z największych majątków na obszarze dawniej Polski, szacowanego na półtora miliona złotych polskich dochodu — przytem wzorem wszystkich cnót domowych był książę Eustachy Sapieha. Przebywał on długo w Anglii w swojej młodości i przejął się był trochę angielskim duchem, który się w nim sharmonizował z duchem wielkiego pana Polskiego, potomka W. książąt Litewskich. W Anglii ożenił się z młodą miss z finansowego świata, nadzwyczajnej piękności. Wywiózł ją na Litwę — ubóstwiał ją i dla niej przeistoczył swój pałac, ogród i park w Dereczynie w rajske jakieś mieszkanie, w gniazdko szczęśliwości, gdzie wszystko się uśmiechało, wszystko było wdzięczne, miękkie, woniejące młodością, nacechowane piętnem najwytworniejszej sztuki; ale niedługo tego szczęścia używał. Po paru zaledwie latach pożycia z nim zgasła ta lilija Albionu, nie zostawiwszy mężowi żadnego dziecięcia i pałac Dereczyński ze swojemi przepychami został pusty.

Z krwawiącą się jeszcze raną w sercu Eustachy Sapieha na głos powstającej Ojczyzny pobiegł do Warszawy, wstąpił w szeregi, nieszczęśliwie osoby swojej w boju podobnie jak Roman Sanguszko, który także walczył w 1831 roku z żalobą w duszy po śmierci żony najpiękniejszej

z współczesnych niewiast Polskich, ale gdy Romana Sanguszkę, zabranego do niewoli pędzono na Sybir, Eustachy Sapieha wychodził z wojskiem do Prus, zostawiając na łup despotyzmowi carskiemu ogromne swoje dobra, swój wspaniały pałac w Dereczynie i nagromadzone w nim dzieła sztuki i zbytkowne cacka — pamiątki ubiegłego szczęścia — a nawet tytuły kapitałów ulokowanych w bankach angielskich. Rząd moskiewski wszystko zagrabiał. Łupami pałacu Sapiehy ozdobiły się salony i buduary carskiego siola. Niektóre poszły na dary dla ukoronowanych przyjaciół Cara. Między innemi król Pruski (Fryderyk Wilhelm III) otrzymał w prezencie jakiś posąg wysokiej wartości artystycznej. Dowiedziawszy się o pochodzeniu tego daru, chciał go zwrócić Sapieże, lecz ten restytucyi takowej zbyt podobnej do daru nie przyjął.

Gdym poznał księcia Eustachego Sapiehę w Dreźnie w 1832 r. był to człowiek w średnim wieku, przystojny jeszcze ale już osiwały; zmartwienie po śmierci żony było zapewne tego przyczyną. Pan ten niedawno tak możny, szczęśliwym był, że znalazł przytułek u swojego ojczyma, zarazem stryja ks. Pawła Sapiehy. W następnych czasach bank angielski wypłacił mu kapitały ulokowane w papierach angielskich jako prawemu właścicielowi ale wtenczas nie liczył on na odzyskanie tych nawet okrucichów swojej fortuny i mówił o tem bardzo spokojnie. W ogóle humor jego miły i uprzejmy, nigdy nie zafrasowany i odnawiająca się jego czułość na wejrzenia pięknych oczów nie objawiała zbyt dużego żalu za straconemi milionami. Nierównie więcej bezwątpienia żałował żony, póki czas, ten sceptyczny lekarz sere, i téj rany nie za-

bliżnił. Z Drezna Eustachy Sapieha przeniósł się do Paryża. Ożenił się w powtórne małżeństwie z hrabianką Różą Mostowską, córką znanego ministra urodzoną z Potockiej, starościanki Kaniowskiej i znalazł prawdziwe szczęście domowe. Gdy przyjechał do Paryża dom księstwa Sapiehów przedstawiał obraz patryarchalnego życia; nie bywało tam balów, tłumnych przyjmowań — zbierało się tylko kółko przyjaciół, w którym panowała szczerłość serdeczna, a jedyne festyny, jakie wyprawiano w tym domu odbywały się w momentach solennych w edukacji dzieci księstwa. Oboje byli dzieciom oddani. Książę oszczędnością, cierpliwością i umiejętnymi obrotami swoich kapitałów potrafił odtworzyć dla nich część zagrabionej swojej fortuny. Z resztą lubo do ostatniej chwili życia był najlepszym Polakiem, nie mieszał się ani do robot, ani do kłótni emigracyjnych. Księżna żyła dla dzieci, lecz przytem była jednym z aniołów opiekuńczych emigracyi i może najwięcej z nich miała słodkiej, sercowej dobroci która się nie zużyła do końca wśród ciężkich bied emigracyjnych, jakimi była otoczona. Każda niedola, zwłaszcza przygniatająca rodzinę emigrancką poruszała ją do łez i słuchając tylko żywego swego uczucia, dzieliła się czem miała w swojej kasie gosposi; częstokroć wszystko wysypywała byle ulżyć nieszczęśliwym.

Imię Sapiehów przywodzi zapewne nie jednemu czytelnikowi na myśl świeżą jeszcze mogiłę, którą Galicya cała wieńcami obsypuje*). Leon Sapieha był nie tylko związkami krwi, lecz i pewnym pokrewieństwem moralnem

*) Pisane we Wrześniu 1878 r.

złączony z Eustachym. Obydwaj z równym patryotyzmem pochwycili za broń w 1831 r. i walczyli do końca mężnie i chlubnie za sprawę narodową. Obydwaj rzucili kilkunastomilionowe majątki na pastwę moskiewskiemu rządowi, nie chcąc się przed nim ukorzyć — obydwaj na koniec mieli jednakowe umiarkowanie w charakterze, jednaką uprzejmość, słodycz, prostotę w obejściu i jednaki praktyczny umysł, który im pozwolił, jednemu i drugiemu odtworzyć cierpliwie w mniejszej lub większej części zabraną im przez wroga fortunę, ale Leon Sapieha nie zaszedł do Francyi, zwrócił swoją drogę z Prus do Galicyi i dobrze uczynił — przyniósł pierwiastek nowego życia do téj zmartwiałej części Polski. — Był tam prawdziwym misionarzem postępu jak Andrzej Zamoyski w Kongresówce. — Lubo więc nie należał faktycznie do emigracyi, duchem się z nią jednoczył i z tego względu niech mi wolno będzie zamieścić w ramach niniejszego obrazu, wizerunek jego skróślony przez najkompetentniejszych ludzi w Galicyi, bo osobiście nie miałem szczęścia go znać. „Książę Sapieha — powiedział nad grobem jego Ludwik Wodzicki, dzisiejszy marszałek sejmu Galicyjskiego — Książę Sapieha upatrzył tę część ziemi polskiej, gdzie mu wolno było zamieszkać, przyszedł bez programów żadnych z góry narzuconych nie stawiając się jako prorok, ani jako zbawca, ale stanął znowu jako szeregowiec w téj pracy codziennéj, w której miał już nie ustać do ostatniej życia godziny. A nie były to czasy takie jak dzisiaj, gdzie wolno swobodnie myśleć i mówić, wiele, bardzo wiele zrobić, byle tylko siły starczyły. Była to chwila w której z góry odmawiano wszystkiego, a z dołu był upadek na duchu zupełny. Księcia to nie

zniechęciło. Straciwszy milionową fortunę, — a tu niech mi będzie wolno nawiasem wspomnieć, że za życia księcia Sapieży zbytnią oszczędność zarzucano. Prawda, był oszczędnym, dla siebie był prawie skąpym — ale taka oszczędność i takie skąpstwo, które pozwalają rzucać milionami, ażeby tylko nie ugiąć głowy przed wrogiem kraju, które pozwalają nie pożalować na cel krajowy miłosierny lub dobroczynny . . . wszak zdaje mi się jedynym z ostatnich podpisów księcia był podpis dwunastu tysięcy złotych na liście składek do budowy szpitala św. Zofii, — takiej oszczędności i takiego skąpstwa, kiedy idzie o zaspokojenie własnych potrzeb, oby było jak najwięcej, byle towarzyszyła im taka hojność i ofiarność na rzecz publiczną.“

„Zaczął więc od małego, ze zdaniem swoim nikomu się nie narzucał, rady nie dawał, chyba tylko o nią proszony, rozgłosu około niego nie było żadnego; rozgłosu nigdy nie szukał: a jednakowoż po pewnym czasie spostrzeżono w kraju, że się coś zmieniło, że się coś robi, że powstają instytucje dla kraju pożyteczne, że staje się możebnem to, o czem pierwój nawet myśleć nie próbowano, że jest jakiś łącznik, jakiś duch opiekuńczy, który do zgody i pracy pobudza, zanim można było wiedzieć, kiedy i jaki sposób, stało się, że Galicya miała swojego przewodnika, który wyrósł sam tylko, własną zasługą wyrósł, a nie wyniósł się, bo on nigdy się uie wynosił. W nim te duchy, które zaczęły pokutować w niektórych panach polskich w czasach, kiedy psuć się zaczynało w naszej Rzeczypospolitej, ten duch pychy i zarozumiałości tej to niby miłości ojczyzny, która w ojczyźnie widzi tylko siebie i losy własnej rodziny, te złe duchy nigdy w nim

nie pokutowały. On kochał kraj prawdziwie z prostotą, nie dla siebie nie szukając i dla tego został sam z siebie kraju tego przewodnikiem.“

„Natur tak zdrowych, powiada Stanisław Tarnowski, umysłów tak jasnych i trzeźwych, charakterów wynikłych z tak doskonałej równowagi uznania i rozumu, jak był książę Leon Sapieha, mało się znajdzie między jego pokoleniem, mało między Polakami w ogólności. Miał on cały patryotyzm gorący roku 1830 i przechował go do śmierci w tej samej sile, w tym samym stopniu zapalu, jakim technie porewolucyjna poezya, albo emigracyjne prace Zamoyskiego, albo kazania Kajsiewicza; tylko w tej duszy rozważnej i beznamiętnej zapal przybrał inny kształt, objawiał, wyrażał się inaczej. Zmysłem rzeczywistości opatrzony lepiej niż którykolwiek z współczesnych, (?) wiedział, że jak człowiek nie jest duchem tylko ale i ciałem, tak ojczyzna nie jest ideą samą, abstrakcją, uczuciem, miłością, ale musi mieć i swoją część materialną i materialne życie i życia tego warunki. Ztąd poszło, że nie spuszczać z oka i z myśli tego, co być ma, przede wszystkim miał na oku i na myśli to, co jest“.

„Czcic i kochać ideał, marzyć o nim, żyć w jego nadziei, umierać jego ofiarą, to łatwiej: ale znając i kochając go, znać rzeczywistość także i nie odtrącać jej, nie gardzić nią, ale wziąć ją tak zaniedbaną i brzydką jak jest, i taką jak jest, kochać w nadziei, że z czasem stanie się piękniejszą, jej się poświęcić i chodować ją jak dziecko pełne złych skłonności i narowów, aż się z niej coś lepszego wykształci, to większa sztuka i większy trud. A jednak ten trud podjąć musi, kto chce „świat swój stwarzać z niczego . . . powoli.“

Kiedy książę Leon osiedlił się w Galicyi, jako emigrant wyzuty z ogromnego ojczystego majątku, był właśnie stan taki, że Polska musiała świat swój stworzyć z niczego powoli“. „Z księciem Leonem przybył i zamieszkał duch warszawski, warszawska tradycya w kraju i w mieście, które najdawniej od Rzeczypospolitej oderwane a za niej jeszcze od ogniska życia odległe, nie z własnej winy, ale pędziły żywot w sobie zamknięty, a z konieczności otwarty niepożądanym wcale wpływom i przykładom. Jak pomiędzy młodzieżą spiski, które miały się skończyć nie-szczęściem roku 1846, tak między starszymi a zwłaszcza bogatszymi grasowała pewna uległość nie zawsze godna, pewne uszanowanie zbytne dla tytułów i dostojenstw, jakaś dworskość tem dziwniejsza, że platoniczna, bez dworu. Wśród takich żywiołów człowiek z politycznym rozumem i doświadczeniem, który ani rządu nie wyzywał, ani mu prawdy nie taił, dom świetny i dawnością i dostatkami i zwyczajem wielkiego świata, a nie ubiegający się za niczem, niehołdujący niczemu, pełen dla swoich staropolskiej tradycyi i polskiego ducha, dla obcych wykwintnej uprzejmości ale i najściślej przestrzeganej godności, to był nabytek wielki i w braku politycznego życia jeden ze śpichlerzy, w którym się jego ziarna przechowywały, przybytek czysto polskich uczuć i wyobrażeń, które tu i owdzie zaczęły ulegać skażeniu.“

Dla czytelników nieobeznanych z historią wewnętrznego rozwoju Galicyi w okresie poczynającym się od upadku powstania Listopadowego nie od rzeczy będzie dać krótkie wyjaśnienie o działalności Leona Sapiehy. — Wyrobiony w szkole Lubeckiego poświęcił się głównie w Galicyi zadaniom ekonomicznym jak hrabia Scezeni

(Sceseny) w Węgrzech lecz zgromadziwszy około siebie kółko gorliwych współpracowników i używając większej dyplomacji względem rządu Austriackiego więcej zdziałać potrafił niż Scezeni. Jemu Galicya winna założenie towarzystwa kredytowego ziemskiego, pierwszej kasy oszczędności we Lwowie, pierwszego zawiązku towarzystwa rolniczego, szkoły rolniczej w Dublanach i wielkiej drogi żelaznej, ochrzczonej imieniem przyjaznego Polakom arcyksięcia Karola Ludwika, przerzynającej wszerz całą Galicyę. Gdy Galicya została powołana do życia konstytucyjnego, wybrany na posła do pierwszego sejmku przez sześć okręgów wyborczych i wielce popularny w całej tej prowincyi Polak był wskazany monarsze głosem opinij publicznej na marszałka sejmku krajowego i takowym też mianowany został przez Franciszka Józefa. Piastował lat 15 łaskę marszałkowską i można powiedzieć, że on zaprawił Galicyę do życia parlamentarnego.

Oto jest teraz portrecik dla oka, tego pierwszego marszałka Galicyjskiego, skreślony wytwornem piórem Stanisława Tarnowskiego.

„A jak wyglądał! Może to rzecz blaha, o tem mówić, ale jakże się wstrzymać od wspomnienia, że kto z jakim takim uczuciem patrzeć na niego umiał, jak siedział na swoim krześle, ten widział i najpiękniejszy obraz głowy starca poważnej siwizną, szlachetnej rysami, pociągającej wyrazem dobroci, imponującej wyrazem rozumu, doświadczenia, głębokiej myśli, ciężkiej pracy ducha, a czasem ciężkiego smutku, a prócz tego widział taką prawdziwą, wrodzoną, nie wiedzącą o sobie „senatorską wspańiałość,“ że żaden z dawnych Marszałków w zlocie i szkarłacie nie mógł robić większego wrażenia, jak on

w swojej czarnej zawsze jednakiój czamarze, z tą gładką czarną łaską, z której sam żartował, że kosztowała trzy złote. „Kto Polskę taką jak była zobaczy“, pyta ze smutkiem poeta, i ma słuszość. Rzeczypospolitęją jaką była nie zobaczy nikt, ale Marszałka takiego, że i żaden z tych dawnych bardziej marszałkiem być nie mógł, tośmy widzieli.“

Niestety na schyłku życia poznał Leon Sapieha jak wąż rzeczą jest popularność. Nadarzył się umysłem złośliwym i zawistnym, jakich wszędzie pełno, pozor do czernienia pocziwiej jego sławy, nabytęj blisko pięćdziesięcioletnią pracą około publicznego dobra i pochwyciły go z upragnieniem, a znaczna część publiczności uwierzyła tym oszczerstwom nie zadając sobie trudu sprawdzić, czy mają jakąśkolwiek rzeczywistą podstawę. Tknęło to aż do głębi serca zasłużonego w ojczyźnie starca i bolało go jeszcze na łożu śmierci. Rozporządzenie jego ostatnie, ażeby na zaproszeniach na pogrzeb i na grobie jego napisano to tylko, że był żołnierzem z 1831 roku, ozdobionym krzyżem *virtuti militari*, pomijając piętnaście lat pracowitego i tak płodnego w pożyteczne skutki marszałkowania jego na sejmach Galicyjskich nosi piętno bolesnego rozczarowania w jakim umarł. Wymieniwszy zasługi Leona Sapiehy, należy mi oddać także hold pamięci innych magnatów Polskich, wychodzców z pod Moskiewskiego panowania jak Władysław Sanguszko, Leon Rzewuski, Zdzisław Zamoyski i inni, którzy znalazłszy przytułek w Galicyi przyczynili się każdy w swoim zakresie do obudzenia polskiego ducha i polskich obyczajów a zarazem i politycznego życia w tój tak hojno od natury uposażonęj Polskiej prowincyi, ale która w r. 1831

była w stanie moralnego rozkładu. Wracam do arystokracji emigracyjnej, którą spotykałem na drogach mojej tułaczki.

Jednym jeszcze z najzacniejszych emigrantów tej kategorii pochodzącym w prawdzie z rodziny, która nie należała do możnowładczych, lecz dopiero przez związki z ostatnim nieszczęsnym królem naszym, podniosła się do arystokracji był Józef Sobolewski, syn prezesa Rady administracyjnej Królestwa Polskiego. Nie zdarzyło mi się, w ciągu dosyć już długiego życia mojego, spotkać równie sympatycznej osobistości. Złote serce, nie pojmujące życia bez poświęceń, umysł wysoko wykształcony i pelen wdzięku, sposób obejścia się z ludźmi szczerzy, serdeczny, bez najmniejszego cienia próżności, przytem nacechowany najdelikatniejszym taktem i godnością, która go na chwilę nie opuszczała utrzymując łagodnym swoim wpływem dobry ton w okolo niego w jakimkolwiek towarzystwie się znajdował; oto w kilku rysach charakterystyka tego milego wygnańca, który godnie reprezentował naród polski we Włoszech. Przed powstaniem Józef Sobolewski był w biurze ministra sekretarza stanu do spraw polskich w Petersburgu. Po wybuchu powstania wymknął się ztamtąd wraz z Linowskim kolegą swoim, odbył całą kampanię w szeregach naszych i wyszedłszy z wojskiem za granicę, udał się wprost do Genui połączyć się z ojcem, który tam przed końcem wojny przyjechał znękany wypadkami i chory. Dnie zasłużonego męża stanu były policzone. Coraz bardziej zapadał i wkrótce z łóżka podnieść się nie mógł. Syn go nie odstępował na chwilę. Przychodziła także codziennie do chorego starca i dnie całe przy nim przepędzała, pielęgnując go jak siostra miłosierdzia, pani palacu w którym mieszkał,

młoda i piękna patrycyuszka genueńska, opuszczona od męża, margrabina S. . Naturalnie młody wygnaniec powziął dla niej żywą wdzięczność i naturalnie także wdzięczność ta przeistoczyła się niebawem w miłość, ale co rzadziej bywa, miłości téj został on wiernym, jak rycerz średniowieczny aż do ostatniej chwili życia, gdy już obojgu przybył ciężar trzydziestu kilku lat więcej na barki. Owa to nie złota zatrzymała go po śmierci ojca w pysznej Genui — *Genua la superba* — wśród marmurowych pałaców i ogrodów zawieszonych na spadkach Apeninów, w około których wysokie zęby gór tworzą jakby olbrzymią, złamaną koronę. Tam on wypełniał misję opiekuńczą względem Polaków, których zawieruchy polityczne przerzucały z Francyi do Włoch lub przez Włochy na Wschód. Wszystkim pomagał funduszami swojemi lub wpływem. Nie jednemu, który we Włoszech pozostał, potrafił przyzwoity byt zapewnić, bo rekomendacja jego była w tym kraju jakby list kredytowy bogacza. Żył w ścisłej przyjaźni z mężami stanu, którzy przygotowywali jedność włoską, z d'Azeglio, Cavourem, Riccasolim, Ratazzim. Ile razy był w Turynie, widziano go towarzyszącego na konnych przejażdżkach królowi, czy nim był Karól Albert, czy Wiktor Emanuel, gdyż jeden po drugim przypuszczali go do poufnych z sobą stosunków. W Genui, imię *Il conte Sobolewski* było w większem poszanowaniu niż imiona patrycyuszów téj dawniej Rzeeczypospolitej, panów na marmurowych pałacach. On jeden był uznany za prawdziwego *Galantuomo*. Nie tylko bowiem był uczynny i ofiarny, tak, że w końcu nie wiele mu pozostało z ocalonego przez ojca majątku, ale miał przytem dar ujmowania sobie ludzi. Nikogo

nie upokorzył. Każdego nawet, którego widział zbyt pokornym starał się w własnych jego oczach podnieść, z każdym cierpieniem sympatyzował, każdą myśl szlachetną rozumiał. Przedewszystkiem jednak był Polakiem, gotowym wszystko poświęcić dla ojczyzny a żadne zawody nie zdołały zachwiać jego wiary w jej przyszłość. „Spotkamy się jeszcze na wielkiej drodze ku Polsce“, pisał do mnie w ostatnim liście swoim. Niestety! niedługo potem droga jego skończyła się w Genewie, a moja się przedłużyła aż do cmentarza w grodzie, którego jest cały jednym wielkim polskim grobowcem.

Były i umysły lżejsze w arystokracji emigracyjnej, ludzie gotowi w potrzebie ostatek krwi swojej przeleć, ale którym ani kataklizmy polityczne ani własne ich klęski majątkowe, nie zdołały odjąć dobrego humoru i chęci do zabaw, których widywano w zimie na balach wielkiego świata w Paryżu, lub przy stolikach gry w klubach, a w lecie u wód nad Renem i w kąpielach morskich w pośród szczęśliwców tego świata. Jeden z typów tego rodzaju, bardzo lubionym pomimo swój motylowej lekkości, był Józef Potocki, czyli Żużu, jak go nazywano poufale w świecie, w którym żył, tancerz zawolany, niezrównany mazurzysta na wieczorach w hotelu Lambert, i wielbiciel wszystkich słynnych piękności, za którymi nieraz gonil daleko po świecie.

Wyszedł on z kraju młodym i bardzo pięknym mężczyzną. W r. 1848 jesień życia zwiastowała się już dosyć wyraźnie na jego twarzy, ale włosy zawsze utrefione w wspaniałe pukle, niestraciły były swojej kruczej barwy, kształty zachował niemal młodzieńcze i miewał pozy klasyczne, mianowicie gdy oparłszy się o kominek zakładał

gruby palec ręki za kamizelkę pod ramieniem. Żył nierozłącznie ze starszym bratem Hermanem, najlepszym z ludzi; jeden bez drugiego obejść się nie mógł. Śmierć nawet nie rozdzieliła ich na długo, bo gdy jeden umarł, drugi jakby na zawołanie poszedł za nim, a jednak przez całe życie klócili się — bez złości wprawdzie, często nawet śmiejąc się — lecz nie obwijali słów w bawełnę, tak że przytomni tym komicznym zajściom familijnym śmieli się do rozpuku.

Również lekko jak Żuż, lubo nie w ten sam sposób, przebywał ciernie życia emigracyjnego Bernard Potocki, póki był w emigracyi. Powiedziała o nim dosyć wzięta w owym czasie powieściopisarka pani Ancelet, że „gdyby można Polskę zbawić słówkiem dowcipnem (par un bon mot) to by ją niewątpliwie Bernard Potocki zbawił“. Rzeczywiście Bernard Potocki wielki lubownik wesółych piosneczek w Cafés Chantants na polach Elizejskich, i co dziwniejsza widowisk maryonetek, choćby u Giugnol'a w braku innych*), brał świat z komicznej jego strony i wszystko w żart obracał, nigdy jednak drugich nie raniąc, a przynajmniej nie bardzo boleśnie. Żle było atoli zaczepić go, bo żarcikiem sprawę wygrywał. Tak było w zajściu jakie miał z demokracją poznańską w 1848 roku. W tej epoce gorączki demokratycznej

*) W czasie jednej bytności jego w Paryżu, widywałem go codziennie więcej niż przez miesiąc w lecie i codzień niemal towarzyszyłem mu i drugiej osobie z nim będącej, która podzielała jego gust, do Café chantants na jego usilne żądania. Zapraszał mnie i do maryonetek w Pré Catelan, ale mu tam już placu dotrzymać nie miałem cierpliwości.

w Księstwie, chciano go wykluczyć jako arystokratę z jakiegoś zgromadzenia, i tylko pamięć zmarłej jego żony, uwielbianej Klaudyny, osłoniła go przed tym ostracyzmem. Nazajutrz po tych rozprawach, Ber. Potocki przechodząc przez Fr. Wilhelmstrasse, widzi idącego naprzeciw sobie jednego z przywódców demokracji, a swojego głównego przeciwnika; zarazem spostrzega dwóch chłopców ulicznych, siedzących na brzegu chodnika i grających w kamyki. Powitał grzecznie demokratę, i pokazując mu tych chłopców rzekł: „Posądzasz mnie pan o arystokrację, otóż ja pójdę zagrać z temi ulicznikami partyjkę w kamyki, a pan zechceszże do nas należyć?“ Poważny demokratą ruszył ramionami, a Potocki przysiadł się do chłopców i zaczął grać z nimi brat za brat, jakby to było jego zwykłą zabawką. Wkrótce publiczność zgromadziła się w koło nich, kilka osób poznało Bernarda Potockiego i sądziło że chyba zwaryował. W tem on odwracając się do demokraty, który stał ciągle na jednym miejscu i przypatrywał się téj scenie. „No, któż z nas — rzekł do niego — jest większym demokratą, czy ja, który bez ceremonii zasiadłem grać z temi dziećmi ludu w kamyki, czy pan który się tego wstydzisz?“ Śmiech ogólny powstał, a demokratą na taki argument *ad hominem* ani słówka odpowiedzieć nie umiał.

Bernard Potocki był nadzwyczaj miłym człowiekiem w towarzystwie, ale przygniatała go w oczach świata pamięć jego żony. Od dawna ona już spoczywała pod swoim skromnym kamieniem grobowym w Genewie, kiedym przyjechał do Paryża; lecz widziałem ją w roku 1832 w Dreźnie, i to wspomnienie z najgłębszą czcią przechowuję w sercu.

Klaudyna Potocka była aniołem przewodnikiem emigracyi. Bez niej największa część tak tych, co wyszli z bronią za granicę, jak i tych, co później tłumami uciekali z Polski przed poborem moskiewskim, nie byłaby w możności dostać się do Francyi... Przez cały rok 1832 przybywało ich po stu i więcej dziennie do Drezna. Wszyscy z małym wyjątkiem byli bez grosza, zgłodniali, obdarci, ale wiedzieli, że w Dreźnie znajdą przytułek, opiekę i pomoc. Pani Klaudyna obracała na ten cel wszystko, co sama miała i co uezierać mogła niezmordowanym kwestowaniem. Za jój staraniem najęta była cała gospoda na przedmieściu, gdzie każdy przybywający wychodzić znaleźć mógł mieszkanie i stół na dni kilka, i w tem przeciągu czasu zgłosić się do niej lub do damy, która ją zastępowała — jeżeli sama była w podróży za kwestą — a otrzymywał fundusz i paszport na dalszą drogę. Na chorych i rannych rozciągała szczególną opiekę. Dla nich otwierała całą skarbnicę swojego serca. Mićkiewicz wyjeżdżając z Drezna, polecił jój swojego ukochanego Stefana Garczyńskiego i ona przywiozła go do Bex w Szwajcaryi, gdzie go wyprawili byli doktorzy w lipcu 1833 r., gdy już przechód emigrantów przez Drezno był skończony. Przy jego łożu czekała, póki Mićkiewicz nie przyjechał jój zastąpić. Nie wypuściła go jednak i potem ze swojej opieki. Pojechała za nim do Avignonu i na jój rękę skonał. Pani Klaudyna miała już natenczas w piersiach zaród téj samój nieublaganej choroby, na którą umierał w jój oczach młody wieszcz. Nie zbyt długo też po jego zgonie, skończywszy swoją świętą misję na ziemi, rozpostarła skrzydła i uleciała napowrót między anioły nieba.

Wiele było dam polskich, które zbliśka lub zdaleka szły za przykładem pani Klaudyny. Księżna Czartoryska zbierała corocznie swojemi kwestami i wentami po kilkadziesiąt tysięcy franków, które się rozpyływały wprawdzie jak mały strumyk w Saharze biedy emigracyjnej, zwłaszcza, gdy do dawniej emigracyi przybyła nowa w roku 1848 i 1849. Księżna utrzymywała przytem pensjonat dla panienek polskich w hotelu Lambert pod swoim dozorem, po większej części ze swoich funduszów i była na czele Towarzystwa Dam, które się opiekowało głównie biednemi rodzinami emigracyjnemi. Zaopatrywało je w sprzęty gospodarskie, w środki lecznicze w chorobie i ratowało w każdej toni.

Obok księżnej Adamowej Opatrznością emigracyi była księżna Marcelina Czartoryska, lubo nie emigrantka, ale najczęściej przebywająca w owym czasie w Paryżu, wielka artystka pod podwójną mitrą książęcą. Wielęż to widziałem rodzin w emigracyi, które ją błogosławiły! wielu z dzielnych pracowników, którzy jej byt swój zawdzięczali!

Do opiekunek emigracyi, których imiona wypisaćby należało złotemi literami nad bramą cmentarza w Montmorency, gdzie spoczywa w największej części bodaj czy nie ostatnie rycerstwo polskie i ostatnie rycerstwo stariej Europy, doliczyć winienem hr. Różę z Potockich Braniczką, która ze sto tysięcy franków rocznie jeżeli nie dwa razy tyle rozdawała między nieszczęśliwych emigrantów własnemi rękami po macierzyńsku w swoim pałacu na ulicy de Penthièvre, dla żadnego z nich nigdy nie zamkniętym, Hr. Ksawerę Grocholską, la bourrue bien-faisante, słodką i serdeczną księżną Różę (Eustachową)

Sapieżynę i panią Kunegundę Białopiotrowiczową znaną powszechnie w emigracyi pod nazwiskiem księżnej Giedroić. Było to bowiem jój rodowe nazwisko, które przybrała na powrót po rozłączeniu się z mężem.

Księżna Giedroić przedstawiała typ nader oryginalny. Znałem ją od moich lat dziecinnych, kiedy była jeszcze młodą i bardzo przystojną, ale już wtenczas wszystkie damy jój się baly. Niektóre nienawidziły ją otwarcie a zapewne przyjaciółki szczerzej nie miała ani jednej. Tak było przez cały ciąg jój życia. Przyczyną tego była jój prawdomówność niepowściągniona, nieublagana. Nikogo ona nie oszczędzała, każdemu przy sposobności *verba veritatis* bez ogródki palila, spokojnie, ze śmiechem i z pewnym tryumfem jak gdyby nader słodkie rzeczy prawila. Panie żzymały się pod takimi pociskami, ale miłość własna mężczyzn mniej drażliwa znosiła je bez wielkiego bólu; niejeden śmiał się nawet wraz z nią, uznając wewnętrznie, że go dobrze odgadła i że choć go kłuje to bez złości „li tylko z nałogu“. Wiedzano zresztą, że to była tylko odwrotna strona charakteru gorącego we wszystkich swoich uczuciach, męzkiego w działaniu i wielce uczynnego zarówno z zasad jak i z temperamentu. Pani Kunegunda była zapaloną patriotką i nie mniej prawie zapaloną Bonapartystką od chwili, gdy książę Napoleon wystąpił jako pretendent. W czasie uwięzienia jego w fortecy Ham spiskowała z jego stronnikami, żeby mu ucieczkę ułatwić. Przywiązanie do najbliższych swojego serca posuwała niemal do fanatyzmu. Dla pamięci ojca — zasłużonego generała Romualda Giedroicia — zachowywała cześć religijną; dla matki staruszkii zgrzybiałej która przy niej żyła, była prawdziwą

chrześcijańską Antygoną, a córkę swoją jedynaczkę ubóstwiała. Wykradzono ją z jej domu przy pomocy jej ojca i ma się rozumieć z cichem współnictwem zakochanej panienki. Poruszyła niebo i ziemię żeby się dowiedzieć, gdzie ją wywieziono; trzeciego dnia była na miejscu, ale już zapóźno, zastała pannę z wieńcem ślubnym przy stole godowym. Plakała, krzyczała krzykiem zranionej lwicy, lecz w końcu otworzyła objęcia jedynaczce i przycisnęła ją do serca. W rok potem straciła ją. Wystawiła sobie grób obok niej z napisem na którym brak tylko daty jej śmierci, przywdziała żałobę na resztę życia i odtąd poświęciła się na usługi emigracyi. Zbyt ograniczone miała fundusze, aby mogła z nich wspierać biednych rodaków, chyba w razach ostatecznych; zwłaszcza, że została jej wnuczka, o przyszłości której należało jej pamiętać. Ale więcej ona czyniła dobrego niestrudzonemi zachodami swemi, niż gdyby tysiące sypała.

Ktokolwiek z emigrantów potrzebował silnego poparcia dla uzyskania subsydyów, czy innej jakiej łaski od rządu francuskiego, lub też miejsca w jakiej kompanii, zakładzie przemysłowym, fabryce, warsztacie, do niej się udawał. Ona za nim pisała, biegła, wojowała, póki nie uzyskał, czego sobie życzył. Nie lękała się żadnych zachodów, żadnych trudów, żadnych przeszkód. Walczyła za każdym protegowanym swoim, jakby za własnym synem: co jej nie przeszkadzało zadrasnąć go swoim pazurkiem, ile razy się po temu sposobność nadarzyła. W tej działalności niezmiernie jej dopomagał tytuł księżnej, dawniej damy dworu cesarzowej Jozefiny. Tytuł ten był od chwili wyniesienia księcia Ludwika Napoleona na prezydenta Rzeczypospolitej talizmanem, przed którym wszystkie drzwie się

otwierały i bardzo często znaczne nawet przeszkody się usuwały. Mówiła mi też: „śmieją się ze mnie w pewnym świecie, że się tytułuję księżną Giedroić, ale gdybym nosiła publiczne nazwisko pani Białopiotrowiczowej, cóżbym mogła zrobić dla emigracyi? Nic.“ I miała słuszość. Trudno zliczyć, wielu to emigrantom potrafiła ona być zapewnić lub przynajmniej znakomite usługi wyświadczyć, czego dowodził skromny ale serdeczny i wymowny upominek złożony jój w hołdzie w dzień jój imienin i zawieszony na ścianie w jój gabinecie; to jest portret jój ojca ryty na miedzi przez Lewickiego i opatrzony podpisami kilkuset wdzięcznych emigrantów, na czele których był podpis Mićkiewicza.

Nie mogę zakończyć tego krótkiego przeglądu arystokracji emigracyjnej nie zwróciwszy się raz jeszcze do hotelu Lambert i dostojnej rodziny, która w nim zamieszkiwała, i w 1849 r. była jeszcze w całym swoim komplecie. W tym czasie hotel Lambert był w Paryżu jedynem domem polskim otwartym, przypominającym dawne dwory wojewodzińskie. Zewnątrz pałac ten nie jest wcale okazałym; położony na małej wysepce wśród Sekwany, która w epoce, kiedy był zbudowany, to jest za Ludwika XIV, należała do środkowej części miasta, dziś jest daleko od środka ruchu paryskiego i podróż tam jest równie dla emigrantów jak dla przyjezdnych Polaków i całego wyższego towarzystwa paryskiego prawdziwą pielgrzymką. Wchodzi się przez podwórko nie wielkie, nie okazałe i sądzićby można z pierwszego wejrzenia, że pałac nie bardzo obszerny, gdy przeciwnie, mieści w sobie ogromną liczbę mieszkań, a schodów i schodków bez liku, bo się rozciąga wielkim łukiem od strony Sekwany.

Wewnętrzne urządzenie jest wspaniałe a portrety historyczne polskie wzdłuż wschodów i we wszystkich pokojach nawet w mieszkaniach urzędników kancelaryi księcia tudzież nieocenione pamiątki narodowe, które w wielkich apartamentach wszędzie oko napotykało, oznajmiały, że w tym pałacu reprezentowaną była Polska ze swoją wielką przeszłością. Na drugim piętrze jest sławna galerya balowa z freskami Lessueur'a, która służyła na bale i rauty w okolicznościach solennych, a w przyległych salonach zamieszkałych dziś przez hrabiego i hrabinę Działyńskich, było za życia księcia Adama muzeum prywatne Czartoryskich ze wszystkimi skarbami pamiątek ocalonych z Puław, które dziś są w znaczniejszej części w Krakowie.

Pierwsze piętro było mieszkaniem starego księcia i księżnej, z oknami i wyjściem na ogródek zasadzony na naturalnym czy sztucznym tarasie na wysokości tego piętra. W tych apartamentach gromadziła się cała rodzina. Tam odbywały się wszystkie przyjęcia, a w zimie bywały wieczory peryodyczne, na których w r. 1848 i 1849 młodszy eleganckiej emigracyi wywijali jeszcze mazura jak za dobrych czasów.

Na Wielkanoc hotel Lambert otwarty był na rościę dla wszystkich emigrantów, którzy z Księciem i jego rodziną podzielić się chcieli jajkiem święconem, a że nie było potrzeby do tego przywdziwać fraka, gdyż emigracya stosowała się do zwyczaju francuskiego, który zwalnia wszystkich bezwzględnie od fraka aż do godziny obiadowej*), tłumy emigrantów zbierały się po staro-

*) Nawet na posłuchanie ministrów przychodzono w paletotach a ministrowie nicinaczęj ubrani szli na Radę do Cesarza pomimo, że po radzie zwykle proszeni byli na śniadanie.

polsku u swojego patryarchy w koło stołu hojnie zastawionego świeconem. Spotkałem na takiej fecie w hotelu Lambert w r. 1849 Mićkiewicza — i on, nieprzyjaciel fraka i rękawiczek ale zapewne nie obeznany jeszcze ze zwyczajami emigracyi, bo mało się udzielał, był sam jeden we fraku i białych rękawiczkach. Zakłopotało go to śnać trochę, bo schronił się do pobocznego pokoju, ale tam przybiegły do niego panie z pałacu z jajkami, babami, plackami i różnemi przysmakami ze stołu; za nimi przybyły także inne damy i wieszcz musiał się ukazać wszystkim w przyborze światowca, z czego mogłem tryumfować wewnątrznie, pomnąc na burę, jaką otrzymałem za moje rękawiczki, ale miałem zbyt wiele czci dla Mićkiewicza, ażeby podobnemu uczuciu dał przystęp do mojego serca.

Milszemi niż wszystkie wielkie zgromadzenia i zabawy były poufne wieczorki w małym kółku w hotelu Lambert. Stary książę nie był gawędą, nie lubił się wdawać w długie opowiadania a mniej jeszcze w długie dyskusye, którychby zresztą nikt nie śmiał z nim wszczynać, ale każde słówko jakie powiedział miało wielką wagę, bo umysł jego był wysoko i wszechstronnie wykształcony. Nie mu nie było obcem w dziedzinie wiedzy, nawet filozofia niemiecka współczesna a zdanie jego spokojne, wytrawne, do żadnych przesądów, do żadnych egzageracyj się nie przechylało. Nieraz z dobrodusznym uśmiechem żartował sobie z teoryi zbyt demaistrowskich Wł. Zamoyskiego. Pamięć jego była żywym źródłem historycznem do ostatnich lat Stanisława Augusta. Są ludzie z tej epoki, o których historyk z żadnych dokumentów dokładnego zdania wyrobić sobie nie potrafi, a na których on

słowem jednym rzucał wielkie światło, i tak np. raz rozmowa była nawiasowo o panu Szczęsnym Potockim, przytoczyłem zdanie jednej damy, bliskiej bardzo krewnej mojej, która często i długo przebywała w Tulczynie za jego życia i która go w ten sposób charakteryzowała: „Wiele pychy, wiele napuszyszystości a mało rozumu.“ Księżę potrząsł głową. „Sądziła go z pozoru, rzekł, jak zwykle młoda panienka. Ja go znałem dobrze i mogę poświadczyć, że wprawdzie był pysznym i napuszonym, ale miał wiele inteligencji i wiele sprytu. Dla tego też nikt na niego nie wpływał; on sam swoim stronnictwem po myśli swojej kierował i lubo się ciężko zawiódł, na niego spada cała odpowiedzialność za działania tego stronnictwa.“

Jakże cenne będą pamiętniki księcia uporządkowane już i przygotowane do druku przez Br. Zaleskiego, tylko nieszcześciem kończące się na roku 1800.*)

Księżna Adamowa była niegdyś bardzo piękna i taką widzę ją jeszcze trochę w pamięci przez gęstą mgłę czasu. Świetna jej piękność wczesnie przygasła w skutku ciężkiej choroby, jaką przebyła, ale został jej urok który nie przechodzi, słodczy charakteru, uprzejmości niezmiennej, naturalności bez najlżejszej cechy dumy, i miłego zawsze humoru.

Księżnę Annę Sapieżyne znają czytelnicy moich „Obrazów“ z listów jej z czasów jej młodości. W r. 1848 była to już sędziwa Matrona w czepeczku staropolskim;

*) Br. Zaleski prowadzi dalej historję życia księcia podług jego korespondencji i dokumentów rozmaitych bardzo obfitych, jak to już wspomniałem wyżej.

skrzętna gospoia, która wielce się przyczyniała do utrzymania ładu w gospodarstwie hotelu Lambert i z tąd nazywaną była ministrem finansów całej rodziny. Wielki jój rozum praktyczny jaśniał jeszcze w całej swojej pełni a serce jój było gorące jak przed półwiekiem, ale zahartowane w doświadczeniach życia. Do rysów jój charakteru jakie przebijają w jój tylko co wspomianej korespondencji dołożyć mogę jeden szczegół z osobistych moich wspomnień, mało znaczący na pozór a rzeczywiście dosyć charakterystyczny. Muszę nadmienić najprzód, że w r. 1821, gdy ojciec mój umierał, księżna Sapieżyna zabrała mnie z domu rodzicielskiego do siebie, ażeby nie był przytominym tój bolesnej scenie. W 10 lat później po wzięciu Warszawy przeniesiony ze szpitala w szkole aplikacyjnej do matki mojej, widywałem często księżnę, która mieszkała w naszym sąsiedztwie. Raz patrząc ze współczuciem na mnie, rzekła do matki mojej: „Nieborak musi się nudzić w swoim łóżku, przysyłę mu książek dla rozrywki“ i przysłała mi . . . Plutarcha.

Księżna Wirtemberska więcej niż ośmdziesięcioletnia staruszka, malutka, wielce podobna do portretów księcia generała ziem Podolskich była najrozmowniejszą osobą w hotelu Lambert. Pamięć jój, jak to bywa w tym wieku, słabe tylko zachowywała odbitki niedawnych czasów, nawet chwil tylko co minionych; czasem w godzinę po obiedzie pytała się „kiedyż będzie obiad“? Za to epoka jój młodości była jój przytomna z tak żywym i świeżym kolorytem, jak gdyby wśród niej jeszcze żyła i lubiła o niej mówić, tylko, niekiedy zapominała naznaczyć daty, do której się odnosiło jój opowiadanie, a jakież to długi szereg dat obejmowała ona w swoich wspomnieniach!

Jednego wieczora mówiła o obyczajach dworu pruskiego; słuchałem uważnie, lecz myślałem, że mowa jest o dworze Fryderyka Wilhelma III. Księżna Adamowa spostrzegłszy zapewne iż nie widzę nic nadzwyczajnego w tem opowiadaniu, odezwała się do mnie: „Niech się pan nie myli w dacie, Księżna mówi o dworze Fryderyka Wielkiego“. O dworze Fryderyka Wielkiego, który od sześćdziesięciu lat już nie żył! W jednym tylko hotelu Lambert w całej Europie słyszeć można było opowiadania o tym twórcy pruskiej potęgi, tudzież o Stanisławie Augustcie, o Katarzynie II, i innych współczesnych monarchach lub głośnych figurach XVIII wieku od osób które w téj epoce już znaczyły na świecie, a przed kilkoma zaledwie laty było jeszcze dwóch ważnych świadków tychże samych czasów, zwykłych gości w hotelu Lambert: Niemcewicz i Kniaziewicz, którym już tylko w ich mogile cześć oddać mogłem.

Księżna Wirtembergska najżywiej także z całej rodziny czuła w sercu swoim pociski, jakie rzucano na hotel Lambert z demokratycznego obozu. „Piszą ciągle na nas des paszkwile“ mówiła mi tak rzecznym głosem, jak gdyby lzy były tuż za słowami — po tym sercowym akcencie poznać można było autorkę Malwiny. Tak tkliwa, miała ona w przeznaczeniu swoim stronę jedną niezmiernie bolesną, od której starała się oczy odwracać. Nie wymawiała nigdy i nie wolno było przy niej wymawiać dwóch imion, w zwyczajnym trybie życia najdroższych sercu kobiety, imion męża i jedynego syna — dwóch zdrajców.

Mąż jój książę Ludwik Wirtembergski otrzymawszy Indygenat Polski, zamianowany został przez Stanisława Augusta generałem w nowo formującym się wojsku polskiem

w skutek uchwał czteroletniego sejmu, i w wojnie 1792 r. powierzono mu znaczne dowódzwo, ale niebawem dwuznacznem postępowaniem swoim ściągnął on na siebie podejrzenie naczelnego wodza ks. Józefa Poniatowskiego, który kazał jednemu z jenerałów mieć pilną baczność na niego. Pokazało się niebawem, że podejrzenia wodza były najzupełniej sprawiedliwe. Schwytano kuryera, którego Ludwik Wirtembergski wysyłał do Berlina cichaczem, a kuryer wiozł list od niego do króla Pruskiego objaśniający tego monarchę sprzymierzonego z Rosyą, o sile — rozkładzie wojska polskiego i planach ks. Józefa. Książę Wirtembergski uciekł do Niemiec — Żona jego natychmiast rozłączyła się z nim na wieki, a książę Józef w pamiętniku swoim o téj kampanij napiętnował go nazwą zdrajcy.

Z mocy wyroku rozwodowego ten zbezcześciony Niemiec odebrał matce syna i wychował go przy sobie. Syn też wstąpił w ślady ojca — zaszedł nawet dalej od niego na drodze niekzemności. Wrócił on do Polski po śmierci ojca i został przez W. K. Konstantego mianowany od razu jenerałem polskim, dowódcą brygady ułanów; ale nie pomny, że urodzony był w Polsce — z matki Polki i ojca naturalizowanego Polaka — że w Polsce szukał karyery i nosił mundur polskiego jenerała, że przeto ze wszech miar powinien był uważać Polskę za swoją jedyną ojczyznę, zdradził ją a co więcéj posunął się do matkobójczego zamachu. Wiadomo bowiem, że porzuciwszy po wypadkach listopadowych służbę w naszym wojsku, książę Adam Wirtembergski obrócił oręż przeciw Polsce i oblegał Puławy na czele moskiewskiego korpusiku, że działa jego ciskały na pałac granaty, których odłamki padały w salonie gdzie były jego matka

i jego babka — i że dopiero oddział polski z korpusu Paca odpędził go z téj pozycyi i ocalił te matrony a z niemi pamiątkowe skarby Puław*). Cesarz Mikołaj okazywał mu największą pogardę, ale go zapłacił. Dał mu majątek jego matki z warunkiem wszakże, żeby jój wypłacał w dożywociu dochody z tego majątku. Wyrodny syn oznajmił to matce listem, którego dosłownie przytoczyć nie jestem w stanie, lecz który zaczynał się od tych słów:

„Madame!

„L'empereur mon maitre etc.“

Księżna odpowiedziała mu na to:

Monsieur!

L'empereur votre maitre n'est pas le mien. Puisqu'il lui a plu de me ravir ma fortune et de vous la donner, gardez la, j'en refuse les revenus de vos mains. Je ne vous connais plus. Je n'ai pas de fils.

Panie!

(Cesarz Pan twój — nie jest moim Panem. Kiedy mu się podobalo zagrabić mój majątek i dać ci go — trzymaj go. Wszelkich przychodów z ręki twojej odmawiam. Nie znam Waćpana. Nie mam syna).

*) Spotkałem tego nikezemnika w 1832 r. w Wrocławiu w księgarni Szletera warszawianina. Wypierał się przy mnie solennie jakoby miał osobiście oblegać Puławę, ale czy je oblegał osobiście, czy kazał swojemu korpusikowi oblegać, to na jedno zupełnie wychodzi. Wszakże Neron matki sam nie zabił tylko kazał ją zabić.

List ten przypomina poniekąd słowa Agripiny —
Ventrem feri, ale te tak bolesne wspomnienia zacnej
staruszki słodziło najczulsze przywiązanie brata i całej
rodziny. Pielegnowano ją, dogadzano jej we wszystkim
i oplakiwano serdecznie jej zgon. Stary książę zwłaszcza
płakał rzewnymi łzami, jak to na własne oczy widziałem.

XI.

Ze sfery arystokracji emigracyjnej wolnej przynajmniej od dolegliwych trosk materyalnych, przejdźmy do czyśca pracujących, biedujących, walczących o życie codzienne wygnańców: I między niemi największa część posiadała przed wojną jakieś mienie; nie były to milionowe dobra i wspaniałe pałace, ale ten miał parę wiosek, tamten jedną, ów kawałek ziemi lub trochę dobytku jako dzierżawca, inny kamienicę, inny kapitałik na hipotecę, a wszystko to rząd moskiewski zagrabił nie przebacząc ani jednej sztuce bydła, ani najmniejszej wierzytelności emigranta jeżeli ją wytropił. Przez lat kilka szpalty dzienników polskich i rosyjskich zapełnione były listami takich konfiskat coraz nowych. Była to smutna ilustracya rządów rosyjskich, z której pokazuje się, że ogromna większość emigrantów przybyła do Francyi bez żadnego funduszu i byłaby umarła z głodu, gdyby Francya nie była ich przyjęła jak braci, poświęcając parę millionów franków rocznie na ich utrzymanie.

Podług statystyki podanej w Vade Mecum K. A. Hoffmana, a czerpanej w źródłach urzędowych, ogólna

liczba emigrantów polskich będących we Francyi 1 stycznia 1838 r. to jest na dziesięć lat przed epoką, do której odnoszą się moje opowiadania wynosiła 5,472 (?), zapisanych zaś w kontroli jako pobierających żołąd było 4,974. Z tych oznaczonych jako pracujących 3,004; jako niepracujących 1,970. Ci ostatni dzielili się na trzy kategorie: 1) Starców, niedołężnych, nie umiejących po francusku, obarczonych liczną familią 823; 2) zdrowych mogących pracować a nie mających roboty 874; 3) kobiet i dzieci (zapewne wdów i sierót) 223; niepobierających żołądu miało być 498, a z tych mających dostateczny fundusz do utrzymania tylko 59. Te dwie ostatnie cyfry nie zdają mi się dokładne, gdyż trzeba by przypuścić, że było 439 emigrantów zmuszonych żyć we Francyi z żebrania, co się nie zgadza ani z ludzkością rządów Ludwika Filipa ani z sympatją, jaką okazywały Polakom obie Izby prawodawcze. Prawdopodobnie cyfry te są wynikiem wyrachowań opartych na ogólnej liczbie emigrantów podanej na 5,472, a która zapewne zachowaną była z pierwszego obliczenia w roku 1832, lecz od tego czasu wymarło było podług Vadea Mecum 344, a 1 stycznia 1838 roku liczba ogólna emigrantów polskich we Francyi wynosiła nie więcej jak 5,128, nie pobierających zaś żołądu 154*). Ci albo mieli od rodzin swoich dostateczny fundusz na utrzymanie, albo też wyrobili sobie byli sytuację dosyć pomyslną w Francyi, ażeby się obejść bez sub-

*) Uważać należy, że prócz emigracyi będącej we Francyi, było jeszcze w 1848 roku około tysiąca w Anglii, tyleż zapewne w Ameryce i kilkuset rozrzuconych po reszcie świata, w Algierze, w Belgii, w Hiszpanii, we Włoszech i na Wschodzie.

sydyów. Godną uwagi jest statystyka śmiertelności w *Vade Mecum*. Liczba zmarłych rośnie z roku na rok w sposób przerażający, i tak w 1832 zmarło 11, w r. 1833 19, w r. 1834 39, w r. 1835 59, w r. 1836 53, w r. 1837 62, w r. 1838 74. Niewiadomo kiedy jeszcze 26. I nie są to starzy, którzy wymierają najpierwsi; śmiertelność pada głównie na najmłodszych, na żołnierzy, podoficerów, podporuczników, którzy w ogóle byli bardzo młodzi w wojnie 1831, i których część uczęszczała do szkół francuskich. Tych wszystkich w ciągu lat 7 zmarło było 298 na ogólną liczbę 344, a reszta składała się z 32 kapitanów, między którymi było jeszcze bardzo wielu młodych i 16-tu wyższych oficerów. Ten stosunek młodych do starych w śmiertelności utrzymywał się jeszcze przez lat kilka. Był to żywioł najłżejszy w emigracyi, który tak marnie wymierał. Można powiedzieć, że wszyscy młodzi ludzie niezdolni do pracy wytrwałej, do surowej oszczędności, do odmawiania sobie wszystkich przyjemności życia, nawykli do zabaw, hulatyk, kart, powymierali przed staremi z tęsknoty, z suchot, z nędzy, lub skończyli samobójstwem; choć wielu z nich otrzymywało zasiłki od rodziny. O nich to pisze Mićkiewicz pod datą 1834. „Nasza emigracya bardzo choruje i umiera. Wielu już ubyło, Bóg wie co z resztą się stanie“ a w r. 1841 pisze: „Jest wielu, którzyby ledwo do piekła nie poszli, aby tylko z emigracyi wydobyć się“*). Po tym ubytku zostały w emigracyi tylko trzy kategorie ludzi. Charaktery pracowite, które potrafiły sobie wysłać jakie takie gniazdko na wygnaniu, dusze z hartem żelaznym wśród starych wiarusów nie

*) Korespondencya Mićkiewicza tom I. str. 100 i 177

nieposobionych do żadnego innego zajęcia jak swoje dawne wojskowe rzemiosło i którzy zrezygnowali się ożenić z biedą; nakoniec małe serca, które się zgodziły na życie żebrackie, ale śpieszę dołożyć, że tych liczba była stosunkowo nie wielka i do niej nie należał żaden z dawnych oficerów, żaden z ludzi więcej wykształconych. Był to sam mętny spód emigracyi.

Pracujących była ogromnie przeważna liczba. Wzięli się oni powołać do wszystkich profesyj, do wszystkich rzemiosł po całej Francyi. Nie było miasta, miasteczka, zakątka w tym rozległym kraju, gdzieby losy nie zagnały tu gromady, tam garstki, owdzie choć jednego Polaka. Francuzi w pierwszych kilkunastu latach przyjmowali ich z otwartymi rękami do wszelkich zakładów, fabryk, stowarzyszeń. Wszędzie obchodzono się z nimi z wielkimi względami i powierzano im miejsca wymagające zaufania. Tytuł Polaka, *un brave Polonais*, był dostateczną do tego rękomią.

Ci, którzy potrafili sobie zjednać przyjaźń ludzi mających znaczenie i wpływ w miejscu gdzie przebywali, znajdowali w nich szczere poparcie, czasem nawet bez proszenia. Dopomagali im oni w przedsiębiorstwach, swatali ich i popychali naprzód we wszystkich karyerach. Przytoczę jeden przykład opowiedziany mi przez emigranta którego się on tyczy i potwierdzony przez wszystkich jego znajomych. W Lyonie czyli po dawnemu mówiąc w Lugdunie mieszkał Kisielewski, bliski kuzyn mojego kolegi z wojska. Żył on przez lat kilkanaście z bardzo szczupłego przychodu, jako agent jakiegoś domu handlowego w Paryżu, czy też jakiegoś towarzystwa ubezpieczeń, lecz skromna sytuacja jego nie przeszkodziła

mu zaznajomić się z całem niemal wyższem mieszczaństwem lyońskim, w którem znalazł kilku nawet szczerych przyjaciół. Podobał się on bardzo Francuzom, bo łączył w sobie to, co jest najmiłszego w typie polskim, męskość, serdeczność, żywość, koleżeńskość, z grzecznością, rozmownością i wesołością francuską. Nazywali go powszechnie jego znajomi Francuzi *notre ami Kisielewski*, ale żadnego z nich o nie nigdy nie prosił.

Raz był na obiedzie u pisarza trybunału (*Greffier*), a nie lada to figura w Lyonie, bo posada jego przynosiła już wówczas około 80,000 franków rocznie. Tego dnia miał on prócz Kisielewskiego jednego tylko gościa u stołu swojego: mera (burmistrza) miasta. Przy deserze, czyli jak Francuzi mówią, między gruszką a serem, pan gospodarz popatrzywszy chwilę na Kisielewskiego odezwał się nagle zwracając się do naczelnika miasta: „Panie merze, wartoby przecież wynaleść jaką porządną posadę dla naszego przyjaciela Kisielewskiego, *un brave polonais, un excellent garçon*, który tu wegetuje od tylu lat na lichym zarobku“.

„Pragnąłbym szczerze mu dopomódz, odpowiedział mer, ale nie widzę sposobu. Niezmiernie trudno o dobre jakieś miejsce“.

„No, pomyśl pan o tem na seryo, rzekł pisarz, a miejsce się znajdzie“.

Mer uśmiechnął się, bo w tejże chwili odkrył w swojej głowie, że może Kisielewskiemu nastęrczyć bez wielkich zachodów bardzo korzystną podług niego sytuację. Za trzy miesiące skończyć się miała dzierzawa trzech teatrów Lyońskich, należących do miasta i zwykle wypuszczanych jednemu tylko przedsiębiorcy. Kandydaci,

którzy się wtenczas przedstawiali nie dawali dostatecznej rękojmy i Mer zaproponował Kisielewskiemu, ażeby się z nimi współubiegał, zapewniając, że uzyska pierwszeństwo. Pisarz uznał tę myśl za bardzo szczęśliwą, Kisielewski zaś osądził, że obydwaj panowie nie znają zapewne jego sytuacji. „Panowie chyba żartujecie sobie ze mnie — wykrzyknął. — Na dyrektora teatrów Lyońskich trzeba kapitalisty, a ja jestem chudym pacholkiem, emigrantem i omnia mea mecum porto“. Nie frasuj się o to — odrzekli ze śmiechem jeden i drugi. — Napisz tylko stosowną deklarację — rzekł Mer — i mnie ją wręcz. A napisz ją tu zaraz po kawie — dołożył pisarz.

Kisielewski przyparty przez nich napisał, co żądali, ale wrócił do domu z przekonaniem, że to była czeza obietnica, błaga francuska i nie więcej. Aliści po upływie trzech miesięcy odbiera od Mera urzędowe zawiadomienie, że został dyrektorem trzech teatrów i tegoż samego dnia otrzymuje od pisarza zaproszenie na obiad na dzień następny. Nie pojmował on jeszcze wcale, jaką kombinację mogli byli wymyślić, ażeby tę dyrekcję teatrów uczynić możebną dla niego, lecz poszedł na obiad do pisarza i zastał u niego liczne zgromadzenie kapitalistów i przemysłowców Lyońskich, którzy go z wielkim odznaczeniem powitali. Położenie jego było dziwne i dosyć komiczne. Postawiony prawie mimowolnie na czele ogromnego przedsiębiorstwa wymagającego parę kroć sto tysięcy franków nakładu, przyjęty przez finansistów Lyońskich jakoby należący już do ich bractwa, nie wiedział, czy rolę tę będzie mógł 24 godzin utrzymać, bo miał w kieszeni 5 franków wszystkiego i to bodaj, czy nie

pożyczonych. Nadrabiał też miną tylko, ale był jak na torturach.

Gdy wszyscy zasiedli do stołu, Kisielewski postrzega, że serweta na jego talerzu ogromnie nabrzękała; rozwija ją i wypada z niej gruby pakiet banknotów 1000 frankowych. Zmieszał się niezmiernie i chciał się bronić przed tą paktolową powodzią. Śmiech ogólny powstał w około stołu. Daremnie Kisielewski wołał, że tych pieniędzy nie chce, że ich nie przyjmie, bo nie może przedstawić żadnej odpowiedzialności. Śmiech się ciągle wzmacniał pobudzany rotowym ogniem francuskich konceptów. „No, no — odezwał się pisarz, przerywając mu ostatecznie jego wykrzykniki — potem o tem; przy stole o interesach się nie mówi“. — Obiad przyrządzony z wyrafinowaną gastronomią, jak zwykle prozowane obiady francuskie, przeszedł wesoło i nową dyrekcyę Kisielewskiego obłano wszystkimi winami Saony, Garony i Marny. Po obiedzie wziął go gospodarz na stronę: „Nie dziw się tak bardzo hojności tych panów — rzekł mu — i nie dróż się więcej, bo to są po prostu spekulanci, którzy wkładają pieniądze w twoje przedsiębiorstwo, ażeby się z tobą zyskiem dzielić. Liczą oni na sympatye publiczności, która za Polakami idzie i pewno ciebie nie opuści. Zrobicie więc może wszyscy dobre interesa, a za pół godziny przyjdzie tu notaryusz i podpiszecie akt, który im da wszelkie możebne zapewnienia“.

W rzeczy samój akt uczestnictwa tych panów w przedsiębiorstwie Kisielewskiego został po kawie podpisany. Kisielewski objął dyrekcyę teatrów lyońskich, obsadził Polakami wszystkie miejsca w administracyi jakie im przypaść mogły. Sprowadził z Paryża dekoracye

i kostiumy dla wystawienia w wielkim teatrze lyońskim sztuki feerycznej *Le diable boiteux*, która w stolicy ogromne miała powodzenie, wystawił w dwóch innych teatrach sztuki trafnie wybrane, zastosowane do smaku Lyonczyków i zaczął swoje przedsiębiorstwo pod nader pomyślną wróżbą. — Cieszył się powodzeniem już blisko od pół roku, gdy spotkał na ulicy pana pisarza trybunału. Pogawędzili trochę i już się rozchodzili każdy w swoją stronę, gdy pisarz odwróciwszy się nagle rzekł: à propos słuchajno mój przyjacielu, teraz ożenie ci się trzeba; mówię ci to na seryo, bo żona i dzieci, to firma prawie niezbędna dla człowieka będącego na czele wielkiego przedsiębiorstwa; dodaje mu powagi, wzbudza zaufanie do niego i kredyt jego podnosi, gdy tymczasem od bezżenca zaufanie i kredyt stronią.

Kisielewski odpowiedział mu, że nie wyrzeka się bynajmniej małżeństwa, ale nieśmie o niem myśleć będąc cudzoziemcem, wychodzącą i bez majątku.

„Cóż to znaczy, wykrzyknął pisarz, że nie masz majątku, kiedy masz w ręku sposób zrobienia go i robotę pomyślnie rozpoczęłaś, a co się tyczy twojej narodowości, to chyba sobie żartujesz wskazując to jako przeszkodę do małżeństwa. Wiesz przecie, że my tu nie czynimy różnicy między Polakiem a Francuzem“ . . . „Wszakże, dołożył po chwili, jesteś w zażyłych stosunkach z panem X.“ — Był to dawny fabrykant poważany w Lyonie i który piastował niegdyś różne obywatelskie urzędy, ale wtenczas już był się wycofał z przemysłu i z urzędowań. — „On ma dorastającą córkę, jeżeli się nie mylę, czemuż do niej nie uderzysz?“

Oh! ona zbyt posażna, odrzekł Kisielewski, a przytem zbyt młoda, ażeby mi ją rodzice dali; jeszcze jest na pensyi.

Eh! brak ci odwagi, powiedział Mer, oto cała rzecz. Przyjdź do mnie na obiad — naznaczył mu dzień — to zagajemy ten nowy interes.

I powtórzyła się z małą odmianą scena, w której się ukleiło dyrektorstwo teatrów dla Kisielewskiego. Na obiadku u pisarza trybunału zeszedł się on z panem X. i znowu między gruszką a serem pan pisarz zaczął krążyć kolo projektu, o którym Kisielewskiemu napomknął. Mówił o pożyteczności małżeństwa dla swojego protegowanego i odwoływał się do zdania pana X. Ten mu potakiwał ale ostrożnie.

Po tych wstępnych manewrach p. pisarz wystrzelil wprost do niego tę propozycję: „Pan masz córkę 18-letnią, to mu ją daj“. Pan X. namysliwszy się chwilę, odpowiedział: „Ja osobiście nie przeciw panu Kisielewskiemu nie mam, owszem wielce go szacuję i uważam za przyjaciela, lecz wziąłem sobie za zasadę córkom moim zostawić zupełną wolność w kwestyi małżeństwa. Wszystko więc co dla naszego przyjaciela uczynić mogę i uczynię, jest to, że sprowadzę córkę moją z pensyi do domu. Niech się stara jęj przypodobać, a jeżeli pozyska jęj serce, to z mojęj strony, — a mogę toż samo powiedzieć o żonie mojęj, — żadnej przeszkody nie spotka.“

Pół roku znowu upłynęło i Kisielewski był na zenicie swojęj pomyślności. Panna X., której się przypodobać potrafił, była jego żoną i przyniosła mn około 150,000 franków posagu. Była to przytem osóbką

bardzo miła, przystojna, zgrabna, naiwna i szczerze go kochająca a teatry były ciągle jeszcze napelnione.

Gdyby ta pomyślność była potrwała, przeszlaby w legendę wskazującą jak daleko na drodze fortuny mógł zająć emigrant mający trochę sprytu i zaskarbiwszy sobie przyjaźń Francuzów, którzy byli w możności skutecznie mu dopomagać. Na nieszczęście na drodze, po której szedł, powodzenie lub niepowodzenie zależało głównie od zmiennego losu i niemniej zmiennego gustu publiczności. Przyszła chwila, że pomimo usilnych starań i zabiegów naszego ziomka, teatry jego zaczęły świecić pustkami. Rewolucya lutowa (w r. 1848) odjęła im i tę resztę publiczności, która jeszcze do nich uczęszczała. Na domiar nieszczęścia wielki teatr Lyoński stał się pastwą płomieni, a nie był ubezpieczony, nie z winy Kisielewskiego, lecz z winy miasta, które było właścicielem gmachu i ociagało się z zabezpieczeniem, lubo Kisielewski ciągle o to nalegał. Widziałem w 1848 r. ten teatr jeszcze w ruinach. W tych klęskach utonął cały kapitał zakładowy, a nawet i posag żony Kisielewskiego, bo wierny polskiej maxymie, „nie dam się bądź co bądź“, nie chciał się ogłosić jako będący w stanie upadłości, a teś go w tem postanowieniu utrzymywał i funduszami swemi wspomagał. Wyraz „upadłość“ brzmiał jak śmierć dla tego starego i zacnego przemysłowca. Chcąc się ratować, jeździł Kisielewski z swoją trupą teatralną, dekoracyami i kostiumami, jakie ocalić zdołał od pożaru, po mniejszych miastach prowincyalnych i dawał przedstawienia, na których ciągle tylko tracił, aż przyszło do tego, że w kasie jego nie było ani grosza. Trzeba mu było chwycić się jakiegoś rozpacznego środka.

Zabrawszy żonę i dzieci — już miał ich dwoje czy troje — wyjechał z pożyczonemi dwustu frankami do Genewy. Teść jego ze zmartwienia umarł, on zaś mężniejszy, rozpatrzywszy się dobrze w Szwajcaryi, wpadł na myśl zaprowadzenia w tym kraju ubezpieczeń od zarazy bydła, stanowiącego, jak wiadomo, główne bogactwo tego kraju. Myśl tę naleźycie obrobioną i na rachunkach opartą, poddał jednemu towarzystwu ubezpieczeń w Paryżu, które ją bez wahania się przyjęło i mianowało go swoim agentem ogólnym w Szwajcaryi, tak do ubezpieczeń bydła jak wszelkich innych. Kisielewski wziął się nader czynnie do tego nowego przedsięwzięcia, umiał przypodobać się Szwajcarom, podobnie jak dawniej Francuzom, i zaczął odtwarzać swoją fortunę. W lat kilkanaście już był długi swoje spłacił i miał pewien kapitałik, gdy padł ofiarą fatalnego wypadku, któremu gazety dały wielki rozgłos w Europie.

Płynął statkiem parowym z Genewy do Lauzanny. W tymże samym kierunku dążył drugi statek, należący do innéj kompanii i myśl nieszczęsna przyszła do głowy obu kapitanom iść w zawody. Statek, na którym był Kisielewski, pierwszy dobiegał do mety i chcąc wpłynąć do portu Lauzanny, skrzył nieogłędnie. Drugi statek zbyt rozpędzony, nie mógł być od razu wstrzymany i przebił na wskroś swojego współzawodnika. W mgnieniu oka statek ten zatonął, a z nim utonąła większa część podróżnych, Kisielewski w ich liczbie, lubo był doskonałym pływakiem. Gdy ciało jego na wierzch wody wypłynęło, do nóg jego przyczepiona była jeszcze stara baba, która chcąc się ratować, spowodowała jego śmierć, pociągając go za sobą na dno jeziora.

Nie wielu zapewne było emigrantów, których fortuna takim kołem się toczyła jak Kisielewskiego, była jednak dostateczna na pokaz liczba między niemi którzy pracą, przemysłnością i przy pomocy Francuzów, doszli w zawodzie przemysłowym lub handlowym, do bardzo przyzwoitego a nawet dostatniego bytu. Było takich po kilku w każdym większem mieście. W Nantes dwóch emigrantów należało do spółki najznaczniejszego domu, trudniącego się fabrykacją owych sławnych konserwów w puszkach cynkowych, które się rozeszły po świecie całym. Kilku innych dorobilo się majątków w handlu win w Bordeaux, Dijon, Reims, Epernay. W Paryżu Łabęcki i Okęcki mieli dosyć pokaźne fabryki lamp. Inni w Lyonie, w Marsylii i niektórych innych miastach, wyrobili sobie po kilka lub nawet kilkanaście tysięcy franków dochodu, jako komisyjonerzy handlowi.

W ogóle jednak, na kilkunastu lub kilkadziesiąciu Polaków, którym się powiodło w przemyśle i handlu było więcej niż 2,500 takich, którzy niebyliby wyżyli z tego chleba, gdyby rząd subsydjami ich nie wspomagał. Nie przysposobieni od lat dziecińczych do rzemiosł lub kupiectwa, nie zdolali nigdy nabrać w nich potrzebnej wprawy i biegłości; do czego zresztą natura sama nie bardzo usposobiła Polaków. Szczęśliwym był emigrant, który w jakimkolwiek rzemiośle zarabiał 5 franków dziennie, licząc nawet w to subsydia, a niemając tego nawet, najczęściej żenił się, nie pytając o posag, pragnąc tylko mieć swoje ognisko domowe, aby się do niego uciekał przed tęsknotą. Wkrótce przybywały dzieci i życie codzienne stawało się dla tak skromnie zarabiającego pracownika, codzien odnawiającym się problematem.

Najszcześliwsi byli ci, którzy przyszli do Francyi dosyć młodzi i dosyć intelligentni, ażeby wrócić do nauk w tym kraju i ukończyć edukacyę na uniwersytetach lub w szkołach specyalnych, do czego rząd im dawał wszelkie ułatwienia, a nawet pewne premia, bo ci co uczęszczali do szkół brali wyższe subsydia.

Z uniwersytetów francuskich wyszła znaczna liczba lekarzy Polaków. Niema miasta we Francyi, gdzieby przed trzydziestu laty nie było ich kilku a przynajmniej jednego, a Francuzi chętniej się do nich udawali niż do doktorów rodaków swoich, bo jeżeli Francuzi są niezrównanemi chirurgami, w praktyce czysto medycznej mniej mają cierpliwości, wyrozumiałości, troskliwości około chorych, a więcej są interesowni niż doktorzy Polacy, mianowicie ci, którzy praktykowali we Francyi i którzy czuli instyktowo, że klientelę zjednać sobie tylko potrafią zaletami, na których doktorom francuzkim zbywa. Kilku lekarzy Polaków pozyskało sobie wziętość w całej Francyi, jak Kijewski w Cette, słynny doktor kobiet, które zewsząd do niego po ratunek się zjeżdżały; Landowski założyciel hydroterapii w Lyonie; Raciborski w Paryżu. Było w téj stolicy kilkunastu innych doktorów Polaków, z których każdy miał dosyć liczną klientelę, a jeden zostawił po sobie w dzielnicy ogrodu botanicznego legendową reputacyę. Przypominam sobie z rozrzewnieniem, że po śmierci synka mojego pięcioletniego, kobiety z ludu, które zeszyły się na pogrzeb, mówiły mi: „O panie! chłopczyk pański nie byłby umarł, gdyby żył jeszcze doktor Polak, którego wszystkie matki w téj części miasta błogostawiają, bo on nie pozwalał małym dzieciom umierać — *il ne laissait pas mourir les petits enfans*“; ale żadna nie

umiała mi powiedzieć jego nazwiska. W Nantes, w Bordeaux i innych znaczniejszych miastach, byli podobnie doktorzy Polacy wysoko cenieni, a w ogóle powiedzieć można, że lekarze polscy przyczynili się wielce do dobrej sławy, jakiej dawna emigracya używała we Francyi.

Nie wymieniłem między niemi doktora Gałęzowskiego, bo ten zasługuje na oddzielny wizerunek w całej postaci wśród tych szkiców emigracyi polskiej.

Seweryn Gałęzowski był Ukraincem — kolegą Bohdana Zalewskiego i Seweryna Goszczyńskiego w szkole Bazylianów w Humanu — kolegą Mićkiewicza na uniwersytecie Wileńskim, lubo prawdopodobnie nie znali się wtenczas uczęszczając na bardzo różne od siebie wydziały. Otrzymałszy dyplom doktora medycyny i chirurgii, Gałęzowski niedługo potem został profesorem chirurgii w uniwersytecie Wileńskim, lecz przerwał swój kurs, aby się wydoskonalić w swojej sztuce za granicą, dzięki przeznaczonemu na podobny cel stypendium, które mu uniwersytet przysądził. Był w Neapolu, gdy wybuchła rewolucya listopadowa; pospieszył do kraju, przedarł się przez różne kordony, wstąpił do wojska jako chirurg i odznaczył się w ciągu wojny wielką biegłością w operacyach, nie mniej jak i szczególną gorliwością w pełnieniu swoich trudnych obowiązków, za co zaszczycony został krzyżem *Virtuti militari* dosyć skąpo udzielanym chirurgom. Wyszedł z wojskiem za granicę i na drodze tułactwa zatrzymał się czas jakiś w Getyndze, nie wiedząc, co z sobą poczynić. Radby był doskonalić się dalej jeszcze w chirurgii w Niemczech, ale przekonawszy się, że na gościnność rządów niemieckich liczyć nie może, rzucił okiem prak-

tycznego człowieka na świat i zdecydował się szukać szczęścia na drugiej półkuli. Pojechał do Meksyku i przeżył tam lat piętnaście, praktykując medycynę i chirurgię. Wyrobił sobie ogromną klientelkę i zyskał majątek i sławę, lecz gdy w 1848 r. zabłysła nadzieja wyzwolenia Ojczyzny — nadzieja, która przez pryzmat odległości wydawała się świetniejszą jeszcze niż była rzeczywistość, — wszystko porzucił, przebył ocean i przybył do Paryża, gdzie go zastałem. Był to już wtenczas człowiek nie młody (ur. 1801 r.) z siwą głową, postać miał pełną godności, w obejściu się był uprzejmy, słodki, pełen delikatności, lecz kto go zbliżka uważał, przekonywał się niebawem, że nie łatwo było wyrobić sobie o nim zdanie pewne. Charakter ten miał bowiem dwie strony dosyć różne. Z jednej strony był to człowiek ściśle i nieubłagany praktyczny w znaczeniu angielskiem tego wyrazu, rządzący się w stosunkach z ludźmi rozumem i doświadczeniem a nie uczuciem; szanował między współwyrzniętymi tych, którzy sami sobie radę dać umieli i niepotrzebowali niczyjej pomocy, cenił znakomitości narodowe, lecz dosyć chłodnym był dla biedaków upadających w walce z nieszczęściem i którzy udawali się o braterską pomoc do ziomków. Zbyt oswojony on był z widokiem najsroższych cierpień ludzkich fizycznych i moralnych, — zbyt się napatrzwał przy łożach umierających, ciosom niepowetowanym, straszliwym rozpaczom, istnieniom złamanym zostawionym bez nadziei na świecie, ażeby mógł być skorym do współczucia i litości dla bied zwyczajnych. Przytem, podobnie jak większa część ludzi mających do czynienia z wątlą machiną ludzką, był sceptykiem. Skalpel jego nie pokazał mu widomego siedliska duszy

nieśmiertelnej w naszym organizmie i przestał w nią wierzyć. Wtenczas i cała pochodnia wiary chrześcijańskiej zagasła przed nim — a człowiek znalazł w jego oczach — schodził nawet na zero jako jednostka, jeżeli nie potrafił odznaczającym się talentem wznieść się nad poziom ogólny. Sceptycyzm ten zawiewał jak wiatr jesienny, strząsający kwiaty i liście, z pod jego nader układnej powierzchowności i gdy znikał z jego twarzy grzeczny uśmiech, który naturalny jój wyraz osłaniał, na ustach jego zdawały się zawieszone słowa Hamleta „The man ravished me not and the woman no more“ (mężczyzna nie zachwyca mnie bynajmniej i niewiasta nie więcej).

Takim był Gałęzowski widziany z jednej strony, lecz z drugiej strony przedstawiał się mąż wysokich cnót obywatelskich, kochający Ojczyznę miłością namiętną, górującą nad wszystkim, tak jak ją kochali ludzie z 1830 roku i była to podobno jedyna namiętność, jaką znał w całym ciągu swojego życia, a z nią łączyła się jakaś wzniosła filozofia moralna podobna do moralności Zenona, lub raczej Spinozy, która w duszy jego zajęła miejsce straconej wiary. Nie mogła ona zastąpić tego żywego źródła miłości bliźniego i miłosierdzia, który płynie z serca na wskroś przejętych ewangelią, ale przywiązywała go przynajmniej do wszystkich szlachetnych idei.

Samotny na świecie, wolny od wszelkiej próżności i żądz kosztownych, stworzywszy sobie majątek więcej niż wystarczający na własne swoje potrzeby, powiedział sobie na progu starości, że nie może lepiej użyć reszty życia jak poświęcając go na spełnienie jakiejś misji pożytecznej dla emigracyi i dla przyszłej Polski. Nie miał zapewne

żadnego wyrobionego w tym względzie planu opuszczając
 Meksyk. Biegł tylko za błędnym ognikiem patryotycznych
 nadziei, które za przybyciem jego do Paryża znikaly już
 w mrocznej dali, ale w tej stolicy świata i zarazem
 stolicy emigracyi, upatrzył dla siebie cel odpowiadają-
 jący usposobieniom jego umysłu i charakteru. Szkoła
 Polska w Batignolles była w stanie opłakanym —
 bez opieki — bez funduszów — z 30^{tu} lub 40^{tu}
 najwięcej uczniami internami których utrzymać nie było
 za co i profesorami, którzy tych uczniów niczego nauczyć
 nie byli zdolni. Ażeby zakład ten wydzwignąć z upadku
 trzeba było poświęcenia i wytrwałości takiego ks. Bau-
 douina a założyciela domu podrzutków, lub takiego księdza
 Jakoba Falkowskiego, założyciela instytutu głuchoniemych
 w Warszawie i Gałęzowski się tego podjął. Sądził on,
 że szkoła Batignolska, gdyby się udało podnieść ją, opa-
 trzyć funduszami, i zreorganizować jak się należy, wyrobiła-
 by nowe pokolenie polskie na ziemi wygnania, wierne
 tradycyi ojców swoich i które by użytecznie służyć mogło
 sprawie narodowej. Przejęty tą myślą potrafił wymową
 swoją pozyskać dla niej najmożliwszych rodaków między
 emigrantami lub bawiącemi czasowo w Paryżu jako zwykli
 goście zimowi. Demokrata z przekonania, szukał jednak
 i w krótkim czasie znalazł w tym kółku arystokratycznym
 dosyć sere ofiarnych, ażeby założyć towarzystwo na akeye
 — nie posiadaczom swoim przynosić nie mające — dla
 zbudowania obszernego i dogodnego domu na Batignolach
 na pomieszczenie szkoły Polskiej. Było takich akeyi 20,
 każda po 10,000 franków. To był pierwszy owoc za-
 chodów Gałęzowskiego. Gdy dom stanął wprowadził do
 szkoły, jako prezes jej zarządu, program liceów francuskich,

a z nim wszystkie ulepszenia potrzebne; lepszych nauczycieli, ściślejszy dozór, większą karność, zdrowsze i obfitsze pożywienie i większe wygody. Odtąd liczba uczniów wzrastała od roku do roku i w kilku latach z 30^{tu} czy 40^{tu} podniosła się do dwustu kilkudziesięciu, a coroczne egzamina w obec urzędników uniwersyteckich francuzkich, nagrody i odznaczenia przysądzane uczniom, świadczyły o ciągłym i ogólnym ich postępie we wszystkich gałęziach wiedzy; ale w miarę jak wzrastała szkoła, rosły i jój potrzeby, budżet jój wydatków wynosił średnio około 180,000 franków rocznie a dochody z opłaty od uczniów nie przenosiły 30 tysięcy franków; największa część bowiem pobierała nauki i utrzymywana była bezpłatnie. Gałęzowski poparty przez ks. Czartoryskiego uzyskał od rządu francuskiego 70,000 franków rocznego wsparcia dla swojej szkoły a w ostatnich latach cesarstwa wyrobił jeszcze, że ją policzono do instytucyj publicznej użyteczności, co zdawało się zabezpieczeniem dla niej rządowej opieki na zawsze, ale około 80,000 franków trzeba było jeszcze co rok znaleźć dla wyrównania budżetu i Gałęzowski był niezmordowany w zabiegach, ażeby ten ciągle powtarzający się niedobór zapelniać. Zrósł się on był ze szkołą Bati-gnolską, był jój duszą, jój opatrnością przez lat więcej niż dwadzieścia a wziętość, jaką pozyskał w klasie możnych rodaków, których spotykał w zimie w Paryżu, w lecie w miejscach kąpielowych, dokąd co rok umyślnie za nimi jeździł, była taka, że nikt żądanego datku odmówić mu nie śmiał; kilka źródeł nawet miał stale zapewnionych. Słyszałem niektóre damy nazywające go nowym św. Wincentym à Paulo, a najdobroczyńniejsze z nich wzięły były sobie za regułę, odwoływać się ogólnie do jego zdania,

wiele razy chodziło o wsparcie jakiejś ciężkiej niedoli w emigracyi. Jedno słowo jego wystarczyło, aby biednego emigranta ocalić od rozpacz, ale Gałęzowski słówek takich skąpił. Uczucia jego zmierzone były ku celom ogólnym i jak napomknąłem wyżej, nie rozdzielał ich na drobną monetę litości dla jednostek. To mu narobiło wielu nieprzyjaciół, a było parę smutnych wypadków, w których sam wyrzucać sobie musiał, że nie miał natchnień litościwszych.

W ostatnich latach życia doczekał się tego zmartwienia, iż widział ów zakład Batignolski podźwigniony, odtworzony, wypielegnowany przez siebie, chylący się znowu ku upadkowi. Klęski poniesione przez Francją w 1870 roku i haracz 5 miliardów nałożony na nią, oddziaływały i na szkołę Batignolską. Rząd francuski odmówił nadal stałej subwencyi na jój utrzymanie. Był to cios dotkliwy, ale którego skutkom zaradzić jeszcze potrafił Gałęzowski. Sprzedano korzystnie Radzie municypalnej Paryża obszerny dom szkoły, wybudowany przed dwudziestu laty i już obciążony długami i zbudowano nowy, w skromniejszych rozmiarach, a Gałęzowski puścił się w pielgrzymkę do W. Ks. Poznańskiego i Galicyi, aby pukać do serc polskich o wsparcie dla zubożałej szkoły. Odbił dwa kroć tę podróż i zebrał więcej niż dostateczny fundusz dla prowadzenia dalej swojego dzieła, ale jest inna jeszcze przyczyna chylecia się do upadku zakładu Batignolskiego, której ani Gałęzowski, ani nikt po nim nie zaradzi, tą jest gaśnięcie emigracyi Polskiej a z nią i pierwiastku Polskiego na ziemi francuskiej. Gałęzowski oddawał znakomite przysługi emigrantom, dając im sposób wychowania synów za niewielką opłatą, a w wielkiej

części bezpłatnie; był dobrodziejem dla tych biednych dzieci, z których zrobił ludzi wykształconych, mogących poradzić sobie na świecie — ale zawiódł się w nadziei, że wyrobi nowe pokolenie Polskie na ziemi wygnania. To było niepodobnem. Ci synowie Polaków zrodzeni w największej części z matek francuzek, wzrosli w atmosferze francuskiej nie odetchnawszy nigdy Polskiem powietrzem, nie są już Polakami; w ogóle nawet bardzo lichy po polsku mówią. Wytworzyła się z nich jakaś klasa ludzi bez narodowości wybitnej, bez tradycyi, bez innej przyszłości jak ta, że się z czasem zleją zupełnie z żywiołem francuskim. Gałęzowski postrzegał to ze smutkiem, a za pierwszej bytności swojej w Krakowie, widząc w tej stolicy Piastów i Jagiellonów, tak szybko rozkwitające, za pierwszym brzaskiem pomyślniejszych czasów, instytucye naukowe z polskim językiem wykładowym i młodzież ze wszystkich części Polski garnącą się tłumnie do tych ognisk narodowej edukacyi, powiedzieć sobie musiał, że pokolenia polskie wyrabiać się tylko mogą na ziemi ojczystej, gdzie narodowość nasza z nieprzeliczonych i niewyczerpanych źródeł płynie; gdzie ją wszystko podtrzymuje i podsyca — pomniki przeszłości — groby ojców — opieka, jaką jęj dziś udziela rząd Austriacki, niemniej jak ucisk, którym ją gniecie krwawa ręka cara — nakoniec sama natura polskich krain, spojona z polską duszą, gdy przeciwnie na obczyźnie wszystko jest dla niej zabójczem. Dla tego to zapewne myśl sędziwego opiekuna dzieci wygnańców zwróciła się ku starzej naszej alma mater i zaczął na schyłku życia zbierać fundusze już nie na szkołę Batignolską, ale na ufundowanie stypendyów dla najzdolniejszych kandydatów

do katedr profesorskich na uniwersytecie Krakowskim, ażeby mogli wydoskonalić się ostatecznie w swoim zawodzie za granicą — pomniał że takiemu stypendyum zawdzięczał sam podróż swoją naukową za granicą. Na parę miesięcy przed zgonem mógł ustanowić jedno wspaniałe stypendium 5,000 franków rocznie i nadał mu imię Jana i Andrzeja Śniadeckich. Marzył o szeregu innych stypendyów temu podobnych, jak się to pokazuje z ostatniego listu jego już nad brzegiem grobu pisanego do prezesa akademii umiejętności w Krakowie, doktora Mayer'a „... Szerokie rozwinięcie tej myśli, pisze on, było mogę śmiało powiedzieć z niezapomnianym poetą

Ostatniem mojem ziemskim uczuciem na świecie,
Którym tulił, chodował, jak najmilsze dziecię.“

Prawdopodobnie pierwszym początkiem funduszu na nowe Stypendium była suma 12,000 fr., którą na dwa dni przed śmiercią polecił słownie swojemu synowcowi przesłać temuż samemu uczonemu mężowi, ażeby jój użył według swojego uznania. Dowód to rozczulający, że do ostatniej chwili życia, celem myśli jego było przysposobienie, użytecznych Ojczyźnie, przyszłych pokoleń.

Miło mi naznaczyć jeszcze szczęśliwy zwrot w jego umyśle na kilka tygodni przed śmiercią. Pogodził się szczerze z Bogiem, i umarł po chrześcijańsku.

XII.

Nie sama medycyna wydała w emigracyi ludzi użytecznych. Ze szkół specjalnych wyszedł liczny zastęp Polaków, konduktorów dróg i mostów i Agents-Voyers czyli konduktorów ulic w miastach i dróg prowincyalnych. W pewnej epoce było jednych i drugich razem kilkuset*). O konduktorach dał najchlubniejsze świadectwo w ostatnich latach drugiego cesarstwa minister robót publicznych. Znany z ekcentryczności margrabia de Boissy**) zarzucał w Senacie rządowi, że napchał Polakami służbę dróg i mostów. Na to minister odpowiedział, że konduktorowie Polacy, odznaczają się wielką zdolnością, pracowitością, uczciwością nieskazitelną i oddają krajowi rzetelne usługi. Mógłby to samo był

*) Licząc w to i Agents secondaires, którzy po zdaniu egzaminu zostawali konduktorami. Dołożyć tu trzeba mi, że bardzo wielu z pomiędzy konduktorów i Agents-Voyers nie potrzebowali całego kursu odbyć w szkołach specjalnych, ale tylko douczyli się, ażeby móc zdać egzamin.

**) Mąż dawniej hr. Gulceilli ostatniej kochanki Lorda Byrona.

powiedzieć o Agents-Voyers, lecz nie od niego zależeli, tylko od ministra spraw wewnętrznych a bezpośrednio od prefektów.

Stopień konduktora dróg i mostów pierwszej klasy był dla Polaków najwyższym szczeblem do jakiego sięgać mogli w zawodzie inżynierskim. Inżynierem rządowym żaden zostać nie mógł, bo do tego trzeba było mieć dyplomy, jeden ze szkoły polytechnicznej, drugi ze szkoły dróg i mostów, do których to szkół cudzoziemcy nie mają przystępu, chyba tylko jako wolni uczniowie wyłączeni od przywilejów służących uczniom zwyczajnym. Z tejże samej przyczyny niepodobna było także Polakowi, lub prawie niepodobna, otrzymać posadę inżyniera w kompaniach prywatnych, bo o takie posady wysoko płatne ubiegali się najzdolniejsi inżynierowie rządowi. Jednemu tylko Chobrzyńskiemu inżynierowi cywilnemu ze szkoły Centralnej udało się zostać inżynierem naczelnym ruchu przy drodze północnej, a winien to był głównie powinowactwu z bankierami Perreirami, których kuzynkę miał za żonę *). Zacytować mogę jednak jednego inżyniera cywilnego Polaka, który piękną reputację i piękny majątek zyskał pracami swojemi jeszcze przed rokiem 1848, to jest przed zbudowaniem wielkich linii kolei żelaznych. Był to Wędrychowski, który zbudował większą część mostów na Saonie i Rodanie, a przyszedł do Francji już ze swoją umiejętnością. Był bowiem przed 1830 r. profesorem w nowo zaprowadzonej szkole politechnicznej w Warszawie.

*) Jest jeszcze drugi inżynier Polak, uczeń szkoły centralnej w drodze żelaznej północnej, Mirecki.

Medycyna i inżynierstwo były to jak widzimy dwa zawody, w których Polakom we Francyi dosyć się poszczęściło. W innych, nie mówiąc już o przemyśle i handlu, mała bardzo liczba tylko dobila się pewnej wziętości lub korzystnego pod względem materyalnym stanowiska. Najdalej zaszedł Ludwik Wołowski, bo aż do Akademii umiejętności moralnych i politycznych i do Senatu, przeszedłszy przez Izbę deputowanych. Drogę mu utorowały nauki uniwersyteckie odbyte we Francyi, obywatelstwo francuskie, doskonała znajomość języka francuskiego, obszerna wiedza w zakresie prawodawstwa i ekonomii politycznej, pisma które wydawał, wykłady jakie miewał, głównie dla klasy rzemieślniczej w konserwatorium sztuk i rzemioł, przytem niezaprzeczenie tytuł Polaka. Zdolności jego były wielce we Francyi cenione, choć w teoryi ekonomicznej, nic nowego nie napisał ani powiedział, ale miał zdrowy rozsądek, opinie umiarkowane i niezachwiane, wielki takt i ogromną pracowitość. Temi zaletami, które nie są wcale powszechne, stał się użytecznym swojej nowej ojczyźnie, niezapominając nigdy o dawniej. Największa przysługa, jaką oddał Francyi była niewątpliwie ta, że zdrowym rozsądkiem swoim i uporną walką za swoim przekonaniem ustrzegł Izbę deputowanych w r. 1868 i 1869 od zaprowadzenia we Francyi jednometalowej — to jest wyłączenie złotej waluty jak tego chciało liczne a w pewnej chwili przeważniejsze stronnictwo pod kierunkiem utalentowanego, ale trochę fantastycznego ekonomisty, niegdyś St. Simonisty, Michala Chevalier, którego popierał ogromnym wpływem swoim *Journal des Debats*. Będąc profanem w tej materyi muszę się powołać na

opinię kompetentnego w tej mierze pisarza, który za-
sługę Wołowskiego w Czasie a następnie w oddzielnej
broszurze*) w pełnem świetle wystawił.

Głównym argumentem stronników jedno metalowej
waluty były oscylacje zachodzące zbyt często w stosunku
wartości złota do srebra. Wołowski bardzo logicznie argu-
ment ten zbijał. Dowodził — jak powiada ów bezimienny
pisarz — „że gdzie dwumetalowa moneta jest zapro-
wadzona z ulegalizowaniem uskutecznienia wypłat jedną
lub drugą podług wyboru placącego, tam przewaga chwi-
lowego kursu jednej monety nad drugą utrzymać się
nie może, bo jeśliby np. z jakichkolwiek przyczyn złoto
nabrało chwilowo większej wartości, wszyscy zaczęną usku-
teczniać wypłaty swe w srebrze jako tańszym środkiem
uiszczenia się z swych zobowiązań, co wywołać musi
większe poszukiwanie tego metalu, a tem samem wyższkę
jego kursu. Wyrównanie więc zachwianego na chwilę
stosunku wartościowego obu metali zostanie niebawem
przywrócone, uważał więc Wołowski wszelkie obawy wy-
nikające z zaprowadzania lub zatrzymywania dwumetalo-
wej waluty za płonne i niemające żadnej podstawy eko-
nomicznej, zwracał zaś uwagę na to, że do powszechnego
zaprowadzenia waluty zlotój, jest jeszcze zamało złota
w świecie, że potrzebom cyrkulacyjnym tylko oba metale
mogą zadość uczynić, utrzymując nadto, że tylko szcze-
gólny zbieg okoliczności, któryby wielką ilość monety
metalowej chwilowo w jednym państwie zgromadził, mógłby
je uzdolnić do zaprowadzenia nagle u siebie wyłącznie

*) Ludwik Wołowski, w Krakowie, czcionkami drukarni Czasu 1878.

złotej monety, a i w takim nawet razie nie obyło by się bez chwilowych przesileni na targach pieniężnych.“

„Zaprowadzenie jednometalowej waluty, mogło by też zdaniem jego, dla zbyt małej ilości tego metalu zostającej w obiegu, spowodzić najokropniejsze finansowe katastrofy, w chwili, gdyby nadzwyczajne jakie wypadki, wymagały nagłego zlikwidowania niezwykle wielkich sum w brzęczącej monecie.“

„Przekonywując wszystkich w ten sposób Wołowski przemawiał jakby wieszczym duchem. Ankiety, w których zdanie jego przeważało, odbywały się we Francyi w latach 1868 i 1869, a w dwa lata potem operacye finansowe połączone z wypłatą kontrybucyi francuskiej, stały się praktycznym dowodem, jakich katastrof finansowych unikła Francya przez to, że w chwili nałożenia kontrybucyi miała dwumetalową walutę i mogła się przez to dowolnie posługiwać tak targami, które miały złotą walutę jak i temi które miały mieszaną, lub wyłącznie srebrną.“

„Francya zapłaciła pięcio-miliardową kontrybucyę, używając na to podług raportu p. Leona Say, złożonego Izbie deputowanych, tylko 273 milionów złota, a 239 milionów srebra francuskiego, resztę złożyła w wexlach, których przeważną część nabyła na targach walutę srebrną posiadających. Uiszczenie się w dwu metalach dozwoliło jej rozdziału wypłaty na wszystkie główne targi pieniężne europejskie, ułatwiając przez to operacyę, która mimo poruszania tak znacznych sum, nie sprawiła żadnych wstrząśnień gwałtownych w zwykłej cyrkulacji pieniężnej.“

W początkach cesarstwa Wołowski, usunąwszy się z politycznej sceny, lecz chcąc być użytecznym Fran-

cyi stworzył instytucję kredytu ziemskiego (Credit foncier) trochę na wzór towarzystwa kredytowego Polskiego. Moźni emigranci, jak hr. Ksawery Branicki, ksiązę Eustachy Sapieha i parę innych, wzięli w tem przedsiębiorstwie znaczny udział jako akcyonariusze i dobrze na tem wyszli. Wołowski umieścił w biórach wielu emigrantów — ale zakład nie odpowiedział zupełnie celowi — kwestya kredytu ziemskiego nie trudna była do rozwiązania w Polsce Kongresowój, gdzie ziemia podzielona na wioski, hypoteki bardzo porządnie urządzone a przychód z gospodarstwa rolnego za czasów Lubeckiego wynosił najmniej 6%, ale we Francyi jest nierównie trudniejsza. Tam ziemia podzielona na przeszło 5 milionów parcellek, system hypoteczny zagmatwany a przychód w mniejszych tylko parcelkach dochodzi do 5 lub 6%, większe własności nie przynoszą jak 3%. Nie więc dziwnego, że system kredytowy ziemski na zasadach Lubeckiego przyjąć się dobrze we Francyi nie mógł. Kreacya Wołowskiego została znacznie zmieniona, dyrekcya przeszła w inne ręce, lecz i to nie wiele pomogło. Kredyt ziemski francuski utrzymuje się dziś raczej z pożyczek na domy, niż na grunta, które lichwa ciągle uciska.

Jeżeli dobre chęci Wołowskiego odwrócenia téj plagi od gospodarstwa rolnego we Francyi nie otrzymały zupełnego skutku, to nie licząc owéj wielkiej przysługi, o której tylko co mówiłem, tyle ile innych pomniejszych oddał on swojéj przybranéj Ojczyźnie jako członek izb prawodawczych, jako profesor, jako pisarz, że akademia umiejętności moralnych i politycznych, ogłosiła konkurs za najlepsze ocenienie, w rozprawie lub dziele oddzielnem, jego pism i jego działalności.

Obok Wolowskiego wymienić jeszcze można kilku innych emigrantów, którzy pracą także użyteczną dla Francji wyrobili sobie mniej świetne, ale niemniej zaszczytne sytuacje. Było i jest jeszcze w emigracji trzech oryentalistów pierwszorzędnych. Kazimierski najlepszy tłumacz Alkoranu na język francuski i tłumacz Sadiego na język polski; Aleksander Chodźko, dawniej poeta pełen wdzięku, któremu Mićkiewicz wróżył świetną przyszłość, gdy był jeszcze Olesiem, później badacz wschodnich literatur mianowicie perskiej, dziś profesor literatury słowiańskiej w „College de France“ i Kleczkowski synolog. W piśmiennictwie francuskim Leonard Chodźko położył wielkie zasługi rozpowszechniając we Francji znajomość historii polskiej, Krystyn Ostrowski zajął niepoślednie miejsce między poetami francuskimi a Julian Klaczko między publicystami. Nakoniec dwóch emigrantów o ile mi wiadomo, dwóch Ostrowskich doszło do posad wysokich; jeden był naczelnikiem biura statystycznego w kompanii drogi żelaznej z Paryża do Lyonu i Marsylii i pomieścił w tym biurze ile tylko mógł Polaków, drugi Ostrowski, Stanisław syn wojewody, miał znakomity urząd w ministerjum spraw wewnętrznych (dziś jest w Polsce).

Doszliśmy do najwyższych szczytów, do jakich dosięgli emigranci pracujący. Teraz zejdzmy na padół między tych, którzy nie pracowali i przeto nie nie zarabiali lub przemijające tylko mieli zarobki. Takich było w roku 1838 przeszło 1900, a w roku 1848 zapewne jeszcze z 1500.

Serce się kraje, myśląc o tej ogromnej liczbie Polaków rzuconych losem na obcą ziemię bez innego sposobu do życia, jak te szczupłe subsydia, które Francja poczuła się w obowiązku im wypłacać, a które chroniły

ich tylko od głodowej śmierci. Były one zastósowane do stopni wojskowych, jakie mieli w 1831 r. Żołnierze i podoficerowie pobierali w r. 1848 15 fr. na miesiąc, oficerowie niżsi od 25 do 30 fr. wyżsi od 30 do 50 fr. Jenerałowie 100 franków. Placa niewojskowych była dosyć dowolnie ustanowioną. Posłowie byli porównani z jenerałami, to jest pobierali 100 franków miesięcznie. Mićkiewiczowi przysądzono jak widzieliśmy, w epoce gdy nie miał żadnej posady, 80 fr., inni mieli daleko mniej, po większej części od 25 do 40 fr. miesięcznie. Do tego dodawał czasem rząd francuski na podania emigrantów i przekonawszy się dowodnie o ich rzeczywistej potrzebie, jednorazowe wsparcia.

Zważyć należy, że w téj liczbie 1500 niepracujących, była niemal połowa starców niedołężnych lub nieumiejących wcale po francusku, a między nimi niektórzy mieli żony i dzieci. Druga połowa większa niepracujących emigrantów składała się podług statystyki policyjnej z ludzi zdrowych, mogących pracować, lecz niemających roboty. Sądzićby można, że się lenili do pracy, a tak nie było. Wieluż to oficerów konstantynowskich, którzy jeszcze mieli siły, pracowało w różnych rzemiosłach, jakie zdołano im wynaleść. Byli zecerami w drukarniach, mianowicie u Martineta w Paryżu, drukującego polskie książki, rzemieślnikami w rozmaitych warsztatach, dozorcami w różnych zakładach i t. d. Pamiętam jednego starego wiarusa, niegdyś żołnierza w pułku lekkokonnym gwardyi Napoleona, później wachmistrza w gwardyi Szaserów, a nakoniec kapitana, czy nawet majora w wojnie 1831 r., który ozdobiony krzyżami legii honorowej i vir-tuti militari, był odzwierciedleniem w dworcu drogi żelaznej

w Amiens w bramie, przez którą wchodzili i wychodzili rzemieślnicy a obowiązkiem jego było zapisywać ich i pільnować, żeby nie wychodzili bez pozwolenia przełożonych. Nazywał się Miłodrowski, z czego Francuzi zrobili Milordowski, a przez skrócenie Milord. Raz przyjechał Napoleon III z żoną do Amiens i kawalerowie legii honorowej przedstawiali mu się, to jest przeciągali rzędem przed nim w sali audyencyalnej. W ich liczbie był Miłodrowski, wystrojony na tę okoliczność w dawną jakąś czamarkę, czapkę rogatą i z dwoma krzyżami swojemi na piersiach. Gdy przechodził przed Napoleonem, ten rzekł do żony dosyć głośno: *Voilà un polonais*. Miłodrowski usłyszał to, zrobił pół obrotu w lewo, stanął frontem przed Cesarzem, podniósł rękę do czola i odezwał się śmiało: *Oui, mon sire, (?) polonais*. Napoleon uśmiechnął się, a lubo Miłodrowski wracając między legionistów, wykrzyknął jeszcze w dodatku na całe gardło: *Vive l'empereur!* nowy cesarz francuski ani pomyślał ulżyć ciężkiego losu osiwiatemu wojakowi z pod Samosierry, który podobnie jak wielu innych nie zważając na swoją biedę, obarczył się był liczną familią.

Wszystkie sposoby zarobkowania, które tylko co wymieniłem, były bardzo mizerne, a jednak niezmiernie trudno było ich dostać. Do innych zaś trzeba było przysposobienia, na którym starym naszym wiarusom zbywało. Nie wielu ich, po kilkunastu latach pobytu we Francyi, lepiej mówiło po francusku od Miłodrowskiego, większa część gorzej jeszcze. Przytem edukacya w Polsce tak mało się liczyła z warunkami praktycznego życia, że rzadkim był Polak mający dobre pismo lub umiejący władać cyrklem, reisgrafem i piórkiem rysowniczem, czem

by mógł już być zarabiać sobie jako tako na życie we Francyi. Nic więc dziwnego, że na liczbę przeszło 5,000 emigrantów polskich we Francyi w r. 1838, było 870, a w r. 1848 ze 600 przynajmniej, którzy nienależąc do kategorii starców lub niedołężnych nie mogli jednak żadnego wyrobić sobie stałego sposobu do życia. Miewali niektórzy przemijające zarobki i to były chwile szczęśliwe w ich życiu, ale potem trzeba było wracać do biedy z ciężkim żalem w sercu. Większa część i takich chwil nie miała, bo za przemijającym nawet zarobkiem trzeba było czynić wiele zachodów, prosić, przypominać się, kłaniać, a stary wiarus wołał najczęściej poprzestać na suchym kawalku chleba, niż podobnemi upokorzeniami okupywać sobie niedługo trwałą ulgę w biedzie.

Ludzie ci z hardą duszą, o to tylko dbali, żeby się nikt nad nimi nie litował, żeby nikt nie domyślił się, że cierpią głód, że nie mają ognia w zimie, że w chorobie niestaje im na lekarstwo. Przez 10, 20, 30 lat grali oni tę straszliwą komedye nadrabiania miną, aby sądzono, że im na niczem nie zbywa, gdy tymczasem życie ich było powolnem konaniem.

Znałem dobrze jeden egzemplarz tego rodzaju. Był to pułkownik czy podpułkownik saperów z r. 1831, Franciszek Gawroński. W końcu r. 1849 przebywając dla prywatnych interesów kilka tygodni w Lyonie, gdzie on mieszkał, byłem świadkiem jego życia i odmaluję go wiernie ze wszystkimi szczegółami.

Pułkownik Gawroński maly, szczupły staruszek z białą głową i dobrotliwą fizyonomią, żył z 45 franków miesięcznego żołdu; ziomkowie chcieli mu dać sposób powiększenia sobie dochodu i nastęrczyli mu komis do

sprzedawania jakiegoś mydelka marsylskiego, nowo wynalezionego, i któremu przypisywano wysokie zalety. Na usilne ich namowy zgodził się stary pułkownik spróbować tego chleba; główny komisant do sprzedarzy owego mydelka, dobrze go wyuczył jak ma towar zachwalać, i pułkownik nasz zrobiwszy znak krzyża świętego, puścił się w wędrowkę po Lyonie. Zaszedł do jakiegoś kupca za możnego, który między innemi rzeczami sprzedawał także i mydelka. Ten widząc człowieka poważnego, dekorowanego, z białą głową przyjął go z największą grzecznością i poprosił do swojego gabinetu, ale gdy mu pułkownik zaczął prawić swój boniment, poznawszy, że to nie jest klient, tylko komisyoner, zmienił nagle ton i przerywając mu odezwał się: *Qu'est ce que vous me chantez là?* (Co mi tam pan śpiewasz?) Stary wojak zarumienił się jak panienka, ręce mu opadły i wszelka odwaga go odeszła. Daremnie Francuz chciał naprawić swoje trochę rubaszne słowa, wziąć nawet mydełek na próbę, pułkownik tak był zrażony, że skłoniwszy się wyszedł czempredzěj, mówiąc sobie, że go już drugi raz nikt nie złapie na prawieniu wyuczonych bonimentów. Postanowił poprzestać na swoich 45 frankach na miesiąc i żadnych innych zysków nie szukać. Tego postanowienia trzymał się aż do końca życia z niezłomną wolą. Budżet jego rozkładał się w następujący sposób: 10 franków płacił za mieszkanie, uważał to za zbytek, ale usprawiedliwiał się, że w ciasnej, dusznej i ciemnej izdebce niepodobnaby mu było mieszkać, że mu świeże powietrze, światło i widok na świat są niezbędnie potrzebne do życia; stancyjka też jego była porządna, dosyć obszerna na drugiem piętrze, z oknem na wybrzeże Saony. Miał przyzwoite mebelki,

a podobnie jak u wszystkich starych żołnierzy w emigracji, nad łóżkiem jego wisiały różne pamiątki z dawnych czasów, jego szpada, ryndgraf, para pistoletów, portrety Kościuszki, księcia Józefa, Chłopickiego i obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej; 15 franków odkładał na ubranie, pranie, opał w zimie i różne drobne, tudzież niespodziewane wydatki, ubierał się bardzo przyzwoicie a nawet trzymał się mody, ale ubranie kupował na tandecie, a bieliznę na wyprzedażach zbytecznej bielizny żołnierskiej w koszarach. Zostawało mu na życie i fajeczkę 15 franków. Miał za to śniadanie, zupełną rzepę, którą mu udzielała ze śniadania swojej rodziny pani szewcowa sąsiadka przez ścianę i przy tem bułeczkę świeżą; na drugie śniadanie kawałek chleba z masłem, na obiad idem, czasem z małym dodatkiem wędlinki; wieczór kiedy był w domu jeszcze też samo, niekiedy pił herbatkę przyrządzoną na spirytusie a fajeczek pozwalał sobie pięć na cały dzień, ani jednej więcej. Dołożyć należy, że czynił jeszcze oszczędności w tym biednym budżecie, ażeby mieć 5 franków zawsze w kieszeni na wsparcie biedniejszych jeszcze emigrantów, którzy się zgłaszali do niego. Dwa razy na tydzień jadał obiad u przyjaciół emigrantów mających familie i będących w położeniu pomyślnem, którzy, jeden i drugi usilnie go prosili, ażeby się u nich stołował, ale nigdy się na to zgodzić nie chciał i zaledwo otrzymali od niego te koncesye, że u każdego raz na tydzień gościł. Skrupulatność posuwał do tego stopnia, że odemnie, który u niego niegdyś przesiadywałem, nie chciał przyjąć nigdy ani śniadania, ani obiadu. Parę tylko razy wciągnąłem go prawie gwałtem na filiżankę kawy lub szklankę piwa do kawiarni. Dopiero gdy w zupełną popadł niemoc, dał się

nakoniec uprosić, żeby się przeniósł do domu jednego z owych najściślejszych przyjaciół swoich, do Urbanowskiego, wzbogaconego wynalazcy, u którego umarł.

Pulkownik Gawroński był to człowiek nader dobrotliwy, eichy, słodkiego charakteru, z młodszymi emigrantami obchodził się po ojcowsku, z biedniejszymi dzielił się czem miał. Wierzył święcie w odrodzenie przyszłe Polski, wierzył nawet w jakiś przyszły wiek złoty i pod tym względem zbliżał się trochę do utopistów. System Cabeta go zachwycił. Czytał i odczytywał jego *Voyage en Jearie* i wymógł na mnie, żem tę dziecinną elukubrację, nad którą można zasnąć stojący, jak mówią Francuzi, przeczytał od deski do deski.

Bywały jednak chwile czarne w jego życiu, kiedy natura w nim protestowała przeciw istnieniu, jakie prowadził, samotnie, na obcej ziemi, o głodzie i bez żadnej pomocy i wtenczas wspomnienia czasów szczęśliwszych oblegały go i szarpały mu serce, bo, jak mówi wieszcz „Boskiej komedyi“:

..... Nessun magior dolore
Che ricordarsi del tempo felice
Nella miseria

W takich chwilach pocziwy pulkownik był cierpki, zgryźliwy, gorzki; trzeba było uciekać od niego, lecz chwile te były bardzo rzadkie. W towarzystwie rodaków czło jego było zawsze pogodne i nikt domysleć się nie mógł, ile ten starzec czasami zmęczony był życiem.

Było może niewielu wśród starych wiarusów w emigracyi, którzy zachowali w ciężkiej biedzie podobną słodycz charakteru jak Gawroński, ale nie małooby można naliczyć takich, którzy przynajmniej nieskażoną godność

charakteru utrzymać potrafili, żyjąc z mniejszego nawet jeszcze żoldu, z 30 i z 25 franków na miesiąc. Jak żyli? O tem trzeba się było od nich samych wywiadywać lub od tych, co byli świadkami ich życia; inaczej niktby słowa takiej zagadki nie dociekl. Mogę zapewnić, że nie jeden chodził na targowisko i zbierał ukradkiem leżące na ziemi listki kapusty, nadpsute marchewki, rzepki i kartofle, o które przepukupki nie dbały, i oczyściwszy je, okroiwszy, dołożywszy do nich chleba, gotował sobie z tego zupę na przenośnym glinianym piecyku (fourneau) a na drugą potrawę kawałek chleba i czasem wędliny. Wiem także o jednym emigrancie, że się żywił głównie rzodkwią czarną, gotowaną i posypaną mialkim cukrem, przekonawszy się, z doświadczenia, że to jest pożywienie dosyć posilne. Ludzie ci byli po większej części uparci w swojej biedzie i trudno ich było namówić, żeby przyjęli lepszy obiad, bo i pycha ich na tem cierpiała i żołądek ich już nie znosił posilniejszej strawy. Mićkiewiczowi udało się, w czasach swojej pomyślności, jednego z tych stoików ściągnąć na obiad do siebie pod jakimś pretekstem, ażeby go raz dobrze pokrzepić. Kilka osób było na tym obiedzie dosyć wytwornym, lecz stoik, o którym mowa, skosztował tylko potraw najprostszych, lepszych nie tknął; nalano mu wina, zbliżył go do ust, poczuł, że dobre Bordeaux i kieliszek odsunął z gościem tak stanowczą woli, że nie śmiano bardzo nań nalegać, aby go wychylił. Postać ta wychudła i pyszna w swojej nędzy starannie ukrytą, wzbudziła u wieszcza najwyższy szacunek dla siebie i lubił o niej wspominać.

Do tej kategorii emigrantów przyłączał się pod pewnym względem Lelewel, to jest przyłączał się na pozór,

bo w rzeczywistości stanowił on typ oddzielny, sui generis. Jadąc do Francji, zatrzymałem się umyślnie dzień jeden w Brukseli, ażeby go poznać i złożyć mu hold mój, jak to już wspomniałem na właściwem miejscu. Miałem tytuł do podobnej natrętności. Byłem bowiem trochę spowinowaconym ze słynnym badaczem. Jedna siostra jego była za dalekim kuzynem moim Józefem Nosarzewskim. Znałem przytem bardzo dobrze jego brata Prota, pułkownika inżynierji polskiej w 1831 r., który ze swoją dosyć liczną familią mieszkał w sąsiedztwie moich bliskich krewnych i przynosiłem od nich panu Joachimowi interesujące dla niego nowiny, ale przystęp do niego był zupełnie wolnym dla każdego, kto tylko chciał z nim mówić. Nie potrzeba było żadnego pretekstu. Nie lubił nawet, żeby pukano do jego drzwi, chciał żeby wchodzono bez żadnej ceremonii, uważając wszelkie ceremonie za przeciwnie duchowi demokracji.

Od przybycia swojego do Brukseli w roku 1833 aż do wyjazdu w r. 1871, kiedy doktor Gałęzowski i Eust. Januszkiewicz gwałtem go prawie wywieźli umierającego do Paryża do domu zdrowia doktora Dubois, mieszkał Lelwel w jednym i temże samem miejscu, przy ulicy Des Epéroniers Nr. 18. Miał na pierwszym piętrze nad szynkownią (Estaminet) dwa pokoiki i mały alkierzyk, ale w jednym tylko pokoiku pracował, sypiał i zwykle przyjmował przychodzących; drugi, niby trochę lepiej umeblowany, służył na nadzwyczajne okoliczności.

Zastałem go nad stolikiem obładowanym książkami i papierami i koloryzującego mapy do swojego francuskiego dzieła, wydanego w r. 1851, *Géographie des Arabes*. Lubo nie był jeszcze bardzo starym, miał wten-

czas 62 lat, wyglądał jak dziadek kościany, wychudły, wyżółkły, z rzadkimi, siwymi i dosyć długimi włosami, które snać nie często z grzebieniem się spotykały. Miał na sobie wyszarzany płaszcz granatowy z krótką pelerynką podług mody 1822 r. W lecie chodził nietylko w domu, ale nawet na ulicy, w bluzie rzemieślniczej i chodakach drewnianych.

Zacząłem z nim rozmowę, opowiadając mu owe nowiny od rodziny, na które liczyłem, że go żywo zajmą, ale słuchał mnie w milczeniu z jakimś idiotycznym uśmiechem, jak gdyby nie bardzo rozumiał, co mu mówię. Smutno mi się zrobiło na sercu; myślałem, że wielki ten pracownik już zdzieciniał. Gdym atoli zwrócił rozmowę do prac, które miał przed sobą, wnet inteligencya zabłysła w jego oczach i całej jego fizyonomii. Uśmiech idiotyczny zmienił się w lekko szydery, do jakiego usta jego zdawały się naturalnie przykrojone i od téj chwili rozgadał się szczerze.

Opowiadał mi odkrycie geograficzne, jakie świeżo uczynił i wskazał mi go na mapie. Było to jakieś, znikłe już podobno, miasteczko w Arabii nadeufrackiej, wspomniane przez pisarzy starożytnych, a o którego położenie spierali się badacze nowożytni. Dawszy mi to objaśnienie, rzekł tonem, w którym przebijał jakby wewnętrzny tryumf: „Otóż ja znając troszkę język arabski, wniósłem z etymologii nazwy owego miasteczka, że zbudowane być musiało w pobliżu jednej z tych dolin solnych tak obfitych w tych stronach, i idąc za tą skazówką oznaczyłem z łatwością jego położenie dokładne tak, że opisy starożytnych pogodzić się dały.“ Był z tego uradowany, jak gdyby odkrył Atlantydę, albo źródła Nilu. Gotów był niemal wolać na

ulicach Eureka! jak Archimedes. Ta radość naiwna wtajemniczyła mnie nieco w życie owych cierpliwych szperaczy, oderwanych od rzeczywistości obecnej i spędzających dnie od rana do nocy nad spleśniałymi foliałami, nie dbając o żadne przyjemności świata, o zaspokojenie nawet głodu lub pragnienia. Rozwiązanie jednej jakiegóż zagadki z zamierzchłej przeszłości jest dla nich rozkoszą, która im wynagradza długie lata mozolnej pracy i abnegacyi; gonią też za nią równie namiętnie jak chciwcy za złotem, ambitni za władzą, Lowelasy za miłosnemi tryumfami.

Żalowałem, żeśmy następnie zeszli do polityki i do wypadków 1831 r., bo uczony nasz ziomek ukazał mi się mniej sympatycznym. Żyjąc w książkach a nie znając ludzi, wyrobił on sobie pewne wyobrażenia polityczne i pewne prawidła życia zupełnie abstrakcyjne, zbliżające się z jednej strony do teorii Russa, z drugiej strony do filozoficznego cynizmu Diogenesa. Przykład urzeczywistnionej teorii Russa widział w Słowiańszczyźnie przedchrześcijańskiej i już Chrobremu darować nie mógł, że na tym gruncie, tak doskonale przygotowanym do demokratycznej uprawy, zbudował monarchię szlachecką — na obronę której to jednak powiedzieć można przynajmniej, że ośm wieków trwała i nie bez sławy.

Lelewel oderwany od swoich foliałów i z takimi wyobrazeniami o władzy, odgrywał w powstaniu 1830 r. dziwną rolę; był członkiem rządu narodowego a zarazem prezesem nominalnym tak zwanego Towarzystwa patriotycznego i patronem jawnym najsłabszych dzienników, które wraz z owym towarzystwem podkopywały Rząd Narodowy i w końcu go obaliły, ażeby zostawić wolne pole

krwawej anarchii w chwili gdy nieprzyjaciół już zagrażał stolicy.

Nikt jednak Lelewelowi postępowania jego politycznego nie wyrzucał. Żył na wygnaniu otoczony czcią swoich i obcych. Ci nawet, którzy najwięcej żalić się na niego mogli, widzieli w nim już tylko uczzonego badacza, którego ogromne i użyteczne prace przeważały szalę jego win politycznych. Ale Lelewel nie miał ze swojej strony podobnej wyrozumiałości dla nich. Przeciwnie, czas szerzył był przepaść, jaka go od nich dzieliła. Wbił on sobie w głowę, że to byli zdrajcy przekupieni i nie zdając sobie sprawy z moralnego i materialnego niepodobieństwa, o które się podobne oszczerstwa rozbijały, rozpowiadał mi ze szczegółami jak i kiedy, za jaką cenę nawet byli przekupieni i jakie miał kiedyś na to w ręku swoje dowody. Mówił spokojnie z owym uśmiechem szyderyczym, który z ust jego nie schodził, jak gdyby był najpewniejszym tego, co mi rozpowiadał. Przeraził mnie ten ton. Nie przypuszczałem nigdy, ażeby człowiek, poświęcony pracy naukowej, wyszedłszy z teoretycznych zasad mógł dojść do tak ślepej, tak zapamiętałej nienawiści ku po-
wnym rodakom, dla tego jedynie, że postępują podług innych przekonań. Można by, przekręcając lekko znany wiersz francuskiego poety, wykrzyknąć: „Boże! wieleż to może być zólei w duszy uczzonego.“

Co do sposobu życia Lelewela, który przypominał Diogenesa, jak to nadmienilem, ten nie czyni mu zapewne ujmy, ale trudno też w nim widzieć wielką zasługę z jego strony. Lelewel żył w nędzy, bo tak mu się podobało. Gdyby był chciał, miałby być bardzo przyzwoicie utrzymany ze swoich prac, bo pracował ogromnie, a na każde

dzielo, zaledwie skończone, znajdował wnet wydawców. Oto spis chronologiczny tych, które dokonał w Brukseli, tak w polskim jak we francuskim języku:

1835. Polska odradzająca się: Numismatique du moyen âge.

1836. Pytheas de Marseille et la géographie de son temps.

1837. Dzieje Polski potocznie opowiadane.

1839. Dzieje Litwy i Mało-Rusi aż do Unii z Polską.

1840. Etudes Numismatiques et Archéologiques.

W 1841 roku miasto Bruksela zbywając swój zbiór numizmatyczny rządowi, wezwalo Lelewela, ażeby go skatalogował i ocenił. Nasz uczony zajął się tą pracą gorliwie i rok cały nad nią strawił.

1844. Wydał w tłumaczeniu francuskim: Polska odradzająca się, z dodatkiem obszerniej rozprawy pod tytułem: Considération sur l'état politique de l'ancienne Pologne et sur l'histoire de son peuple, 2 tomy. Od tego roku zaczyna Żupański wydawnictwo jego dawniejszych rozpraw, rozbiorów, tudzież dzieł nowych, jak „Polska średnich wieków“ i inne.

Jednocześnie z temi dziełami większych rozmiarów pisał artykuły i rozprawy to po polsku, to po francusku do różnych przeglądów uczonych i encyklopedyj. Na żądanie ś. p. Bobrowicza napisał trzy wielkie rozprawy do nowego wydania Niesieckiego.

W r. 1848 zastałem go nad dwiema pracami w języku francuskim: Géographie des Arabes, która już była ukończona i mapy tylko do niej koloryzował; wyszła w r. 1851 w dwóch tomach i Géographie du Moyen

age, którą powolnie od kilkunastu lat już układał, lecz dopiero w r. 1857 wydaną została w 4 tomach.

Jakimże sposobem przy takich pracach, wychodzących na świat jedna po drugiej, i z których każda rzucała żywe światło na jakąś ciemną stronę ubiegłych wieków, jakimże sposobem zarabiał tyle tylko, żeby z głodu nie umrzeć? Na to odpowiem jednym przykładem cen, jakie sam naznaczał za swoje prace. Gdy skatalogował, opisał i ocenił zbiór numizmatyczny miasta Brukseli, prosił go magistrat, ażeby sam oznaczył cyfrę honoraryów, jakie mu się należą. Otóż Lelewel policzył sobie 1 franka za dzień; więcej pomimo nalegań magistratu przyjąć nie chciał, i za cały rok pracy wziął wszystkiego około 300 franków, bo święta nie wchodziły oczywiście w jego rachunek.

W podobnymże stosunku kazał sobie płacić wydawcom za swoje dzieła, z czego wynikało, że oni zarabiali po kilka lub może kilkanaście tysięcy franków na każdym wydaniu, a on żył jak nędzarz, obywatel się bez ognia w zimie i żywił się głównie mlekiem, serem i chlebem, których zapasik na cały dzień kładł na półce swojej biblioteki między książkami, czasem dodawał do tego jakąś mięsna potrawę, lub kawałek ryby, zawsze na zimno. Raz na tydzień pozwalał sobie filiżankę kawy, którą brał z szynkowni na dole, a w lecie, gdy był spragniony, szedł na miasto w bluzie po butelkę piwa „faro.“

Rano obsługiwała go stara wiwandierka polska, jeszcze z czasów wojen napoleońskich. Chlubila się ona, że książę Józef w bitwie pod Lipskiem wypił z jój flaszki ostatni kieliszek wódki, poczem rzucił się w Elstrę. W 1831 r. wróciła do swojego dawnego rzemiosła i wy-

szła z wojskiem za granicę. Ta wysłużona wiwandierka była największym zbytkiem Lelewela. Pomimo całej filozofii swojej nie potrafił się wdrożyć do zamiatania samemu swojej izby i słania swego łóżka. Zresztą był biedniej, jak to widzieliśmy, niż najbiedniejszy wyrobnik brukselski, a że to była bieda dobrowolna, łatwo pojąć, iż żadnej pomocy od bogatszych współziomków nie przyjmował, że ją nawet z dumą odpychał. Znana jest dość powszechnie anegdota o tym piecyku żelaznym, który jedna z dam naszych kazała w czasie nieobecności jego postawić w biednej, nieogrzanej izbie, gdzie pracował i sypiał, a on wróciwszy do domu natychmiast go za drzwi wyrzucił. Wiadomo także, że dopiero na wymagania usilne gospodarza domu w znowie z tą damą, zezwolił, ażeby przeprowadzono rurę z sąsiedniego pieca przez jego izdebkę. Ta jedna rura ogrzewała go w zimie, ale ogrzewała nieźle, bo będąc u niego w grudniu nie czułem wcale zimna. Również trudno było uprosić go, żeby przyjął śniadanie lub obiadek. Czynił to tylko dla dawnych przyjaciół, których już nie podejrzewał, że go zapraszają li tylko z litości, i z którymi pragnął się nagadać. Łatwiej go było skusić ponętą kawy, którą bardzo lubił, jak większa część ludzi pracujących umysłowo, lecz przyjąć pomoc rzeczywistą od drugich, choćby od szczerých przyjaciół, było dla niego rzeczą najwstrętniejszą, nawet gdy już był umierającym. W rzeczy samej, w 1861 roku wielki badacz już wówczas 75cio letni starzec, zapadł na chorobę, która go w krótkim czasie porwać miała. Na wiadomość o tem, i wiedząc przytem że jest pozbawiony wszelkiej pomocy lekarskiej, doktor S. Gałęzowski, uczeń jego z uniwersytetu wileńskiego i Eustachy Januszkiewicz pośpieszyli do

Brukseli z postanowieniem, ażeby go koniecznie wywieść do Paryża do domu zdrowia doktora Dubois, ale musieli uciec się do fortelu subtelnie obmyślnego, aby go do tego nakłonić. Powiedzieli mu, że wydawcy zrobiwszy grube pieniądze na jego dziełach, powodowani uczuciami sprawiedliwości, wdzięczności, czei dla niego, nie mniej jak własnym swoim interesem, który każe im troszczyć się o życie i zdrowie tak użytecznego im pracownika, przysłali komitetowi polskiemu pewną sumę na jego kurację. Na takie zapewnienia, kilkakrotnie powtórzone, dał się na koniec Lelewel wywieść do Paryża, lecz przyjechawszy do domu doktora Dubois, gdy zobaczył pokój przeznaczony dla niego, przyrządzony z pewnym komfortem, to jest z wszelkimi wygodami połączonemi z elegancją, zaczął się na nowo zżymać, nie chciał w tym pokoju zostać, wołał, że mu chcą czynić jakieś łaski, których on nie potrzebuje i nie przyjmuje; trzeba było znowu Gałęzowskiemu i Januszkiewiczowi twierdzić uparcie, że cały ten komfort jest opłacony zarobionemi przez niego pieniędzmi, które wystarczą mu przynajmniej na dziesięć lat wygodnego życia. Uwierzył temu w końcu i został w owym pięknym pokoju, lecz nie przestał sarkać na niepotrzebny zbytek jaki mu narzucają. Niedługo niestety używał go, bo w trzy dni po przyjeździe do Paryża umarł na wygodnem łóżku doktora Dubois.

Ogromna popularność, jaką sobie pozyskał, przy końcu życia jego dopiero okazała się w pełnem świetle. Człowiek ten, który żył tak biednie, skończył, rzec można, tryumfalnie. W Brukseli cała prawie ludność rzemieślnicza odprowadziła go z domu do dworca kolei żelaznej, uważając go za patriarchę demokracji. W dworcu hold mu

składały deputacye młodzieży uniwersyteckiej z Bruxelli, Gandawy, Lowanium, Leodium. Rodacy obecni w Bruxelli byli tam wszyscy zgromadzeni i żegnali go z czcią i głębokiem rozrzewnieniem, a w Paryżu, na miejsce wiecznego spoczynku odprowadzili go najznakomitsi uczeni Francyi, oraz wszyscy emigranci przebywający w téj stolicy.

Nie do mnie należy oceniać w Lelewelu niespracowanego badacza przeszłości na tak rozmaitych polach, ale wolno mi streścić w kilku słowach szczerych wrażenie jakie na mnie sprawił. Lelewel był zagadką której słowem bodaj czy nie była wielka дума ukryta pod pozorami dobroduszości, demokracji i abnegacyi najwyższej.

Ale дума a próżność to nie jedno. Дума jest czasem ogromną siłą — podporą wielkich charakterów, kiedy jak u Lelewela łączy się z najczystszym patriotyzmem, najszlachetniejszą bezinteresownością, bystrym rozumem, ogromną wiedzą i niezmordowaną pracowitością. Wtenczas дума w charakterze wszystkie te przymioty spaja, potęguje i wytwarza człowieka, dla którego nie ma nic trudnego na drodze przez siebie obranej. Lelewel zyskał sobie sławę europejską przez odkrycia, jakie poczynił na różnych polach badań historycznych i wdzięczną cześć swojego narodu za światło, jakie rzucił tak obficie na nasze dzieje ojczyste, a Bóg jeden wie, ile go to męczącej pracy kosztowało. — Wspomnienie tego uczonego, żyjącego na wygnaniu biedniej niż nie jeden żebrak, wprawdzie nie rozczuła mnie bynajmniej, bo wiem, że tę biedę cierpiał dobrowolnie, aby pokazać wierność swoją zasadam demokratycznym posuniętym w życiu prywatnem, aż

do Diogenesowskiego cynizmu, ale jakże nie podziwiać potężnej woli i żelaznej wytrwałości tego starca, który przez trzydzieści ostatnich lat życia swojego, gdy go już siły fizyczne opuszczały, od téj roli na chwilę nie odstąpił i jakże nie żalować, że mąż taki nie pojawił w r. 1831 na stanowisku ważnem, do jakiego go opinia publiczna wyniosła, iż dla polskiego narodu wszelkie zadania polityki wewnętrznej i urządzeń społecznych były w owej chwili na dalekim planie w obec téj jednej, straszliwej — trzymającej nas wszystkich za gardło, Hamletowskiej kwestyi — „Być albo nie być.“

XIII.

Jeżeli w emigracyi znaleźli się ludzie, którzy potrafili zgodzić się z najcięższą biedą i znosić ją stoiczuie przez długie lata wygnania — zrzekłszy się wszelkiej nadziei polepszenia swojego losu jak chyba po odzyskaniu Ojczyzny — to nie mało było i takich, którzy przeciwnie gonili za widziadłem fortuny po zwodniczych drogach wynalazków i projektów różnego rodzaju. Było ich, mówię nie mało, bo nawet spytać można, kto w emigracyi, prócz owych wiarusów zupełnie na biedę zrezygnowanych, nie próbował choć raz coś wynaleść — coś wykombinować, coby mu zabezpieczyło na wygnaniu byt spokojny, nie zawisły i użyteczny współziomkom. Dembiński był wynalazcą, Mićkiewicz był wynalazcą, jak przynajmniej twierdzi Niewarowicz, który opowiada, że mu wygotowywał rysunki dla przedstawienia na papierze jakiegoś wynalazku wyszłego z jego poetycznej głowy. Wynalazcami byli emigranci naukowo wykształceni, którzy łamali sobie głowy nad zadaniem mechaniki lub chemij

w zastosowaniu do przemysłu, byli i prostaczkowie, którzy trzymali się poziomu i kombinowali tylko jakieś ulepszenia w rzeczach drobnych służących do powszechnego użytku; a wszyscy wychodzili z tej zasady, że w kraju tak ucywilizowanym, tak przedsiębiorczym, tak bogatym jak Francya, dosyć jest rzucić między spekulantów myśl nową, — wielką czy małą — byle użyteczną, zabezpieczywszy ją sobie — ma się rozumieć — brewetem, ażeby ci ją natychmiast pochwycili i wprowadzili w życie a niedługo czekając zaczęnie przynosić autorowi i przedsiębiorcom złote owoce. Był to jeden z mirażów które się przedstawiały naszym wychodźcom w ich smutnej pielgrzymce. Speculanci bowiem ani we Francyi, ani w żadnym innym kraju nie są pochopni do chwytania wynalazków, z których jeden ledwo na tysiące pokazuje się rzeczywiście praktycznym, jak tego dowodzi sama statystyka brewetów, ale któryż wynalazca przypuszcza, że jego pomysł może być nie praktycznym póki go bolesne doświadczenie nie nauczy mniej nfać tak zdradnej kusicielce jaką jest miłość własna, przeważnie wpływająca na pracowników tego rodzaju.

Najrzutniejszym z takowych w emigracyi był jak sądzę jeden z kolegów moich w korpusie kadetów, którego na ławkach szkolnych nazywaliśmy Waćko. Był to wtenczas gładki i miły chłopczyk wychowany w dostatkach i który pod mundurkiem kadeta przechowywał układ panicza z wrodzonym pociągiem do światowego życia. W emigracyi, gdym go pierwszy raz widział trudno mi było poznać dawnego Waćka. Z młodzieniaszka uśmiechającego się do świata zrobił się człowiek rozgorączkowany,

roznamietuiony, prawiący tylko o swoich wynalazkach i projektach, a samo ubranie jego świadczyło, że żadnego z nich jeszcze plonu nie zebrał Biedny Waćko! Poniósł on na wygnanie swoje nawyknięcia i zachcianki paniczowskie. Nie chciał się wprządnąć do żadnej obowiązkowej pracy, nie czując w sobie dosyć cierpliwości i dosyć rezygnacji, ażeby zaprzedać cały swój czas i postępować powoli, mozolnie i smutnie od 100 fr. na miesiąc do 120 do 150 a w najdalszej perspektywie do 200. Liczył na swój geniusz, więcęć może jeszcze na swoją gwiazdę i obiecywał sobie, że jednym szczęśliwym pomysłem zdobędzie fortunę i sławę. W téj nadziei przestawał na subsydyach i skromnych bardzo zasiłkach od rodziny; cierpiał biedę, ale głowa jego stała się istnem laboratorium projektów, wynalazków, wymysłów wszelkiego rodzaju. Nie było kwestyi ekonomicznej, finansowej, przemysłowej, wprowadzonej na porządek dzienny w izbach prawodawczych lub w polemice dziennikarskiej, w którejby on nie wystąpił z rozwiązaniem, rozwinięciem w broszurze lub memoryale rękopiśmiennym. Posyłał te elukubracje ludziom kompetentnym i najczęściej odbierał od nich odpowiedzi, któremi pugilares jego był napełniony. Pokazał mi je za pierwszym zaraz widzeniem się naszym. Były to listy nader grzeczne, podchlebne nawet, tylko po komplementach następowało zawsze jakieś złowrogie ale, które całą wartość jego pomysłu podawało w wątpliwość. Po wielu latach takiej walki, kruchym orężem który się zawsze w jego ręku łamał, Waćko uczynił wielkie wysilenie i niewątpił, że marzoną fortunę ma już ręką. Chodziło o oczyszczenie portu Marsylii, który zmienił się był w brudną kałużę ziejącą niezdrowymi miazmami. Podniesiono tę ważną kwestyę

w izbie deputowanych, rząd się nią zajął, dzienniki ją roztrząsały i podawano najrozmaitsze projekta, aby zlemu zaradzić. Waćko wstąpił w szranki z planem kolosalnym — proponował wykopanie sieci kanałów i zdobycie na morzu różnych zasp podwodnych a na tych zaspach zmienionych w wyspy budować doksy. Tym sposobem zmieniał nadbrzeżną część Marsylii w drugą Wenecję. Zarazem osuszał Camargę, bagnistą deltę Rodanu i pozyskiwał na uprawę rozległą przestrzeń ziemi namulowej. Było to wspaniałe na rysunku, tylko koszta takowego przedsięwzięcia podług własnych wyrachowań Waćka przenosiłyby 1,500 milionów i to było znowu ogromne ale które cały jego projekt przerzucało w dziedzinę tysięcy jednej nocy. Waćko był nim jednak tak upojony, że ani słuchać chciał żadnej uwagi pod tym względem i nigdy mi nie przebaczył, że się powążył, gdy ten projekt rozwijał przedemną, lekko powątpiewać, ażeby go rząd zatwierdził. Od téj chwili noga jego już więcej u mnie nie powstała. W kilka miesięcy później powiedziano mi, że sprawa jego wzięła pomysłu obrót, że kilku kapitalistów Marsyjskich olśnionych perspektywą wspaniałą jaką otwierał dla ich ukochanego miasta, dostarczyło mu funduszy na uzupełnienie potrzebnych studyów i że szuka inżynierów — budowniczych — rysowników — przepisowaczy — do bióra które zakłada. Niebawem spotkałem Waćka samego pod arkadami ulicy Rivoli, ubranego podług najświeższej mody z teką pełną papierów pod pachą i miną tryumfującą. Powitał mnie zimno — oznajmił mi w kilku słowach, że wykonanie jego projektu jest zapewnione — poczem skinął na przejeżdżającego fiakra — sklonił mi się protekcyjnie

i siadając do powozu zawołał dosyć głośno, ażebym go pod arkadami mógł uszlyszeć: „Do ministerstwa robót publicznych!“

Złoty ten sen trwał kilka tygodni i skończył się jak wszystkie inne — żalosnem przebudzeniem. Ministerium robót publicznych odrzuciło projekt Waćka a zatwierdziło inny wypracowany jednocześnie przez inżynierów rządowych, który polegał na tem, ażeby po prostu wyszlamować stary port na użytek statków przybijających do Marsylii z podróznymi i wybudować nowy w wielkich rozmiarach tak, aby mógł pomieścić wszystkie okręty handlowe krążące na śródziemnem morzu. Skutek okazał, że rząd francuski miał słuszość. Zatwierdzony przez niego projekt, od wielu lat już wykonany, zostawił wprawdzie Camargę jak była i niezmienił Marsylii w drugą Wenecyę, ale podniósł ogromnie jój pomyslność i zrobił z niej, nie tylko największe, ale i najwspanialsze targowisko na śródziemnem morzu, za cenę o wiele razy mniejszą od kosztorysu Waćki. Czy ta ciężka przegrana wyleczyła go z manij projektów i wynalazków? podobno że nie zupełnie. Zapewniano mnie, że zostawił sobie w odwodzie jedno wielkie zadanie, nad którym ciągle przemyślał i o możebności rozwiązania którego ze wszystkiemi się spierał, a było to nic innego jak perpetuum mobile. Miał już jeden czynnik do takiego mechanizmu, to jest siłę ciężkości n. p. ładunek na wozie — chodziło tylko o drugą siłę, któraby z ciężkością walczyła i wprowadzała koła w taniec, jak owa siła dotąd nieznaną pchająca planety w przestrzeń, która walcząc z atrakcją słoneczną urzeczywistnia perpetuum mobile w systemacie świata.

Wykradłże Waćko te drugą siłę naturze? wątpić o tem można.

Waćko przedstawiał typ wynalazcy tragicznego ustroju. Każdy pomysł wykwitły w jego głowie fanatyzował go — żadnego nie poddawał pod, zimną i wszechstronną rozwałę — w każdy z nich z kolei wierzył jak w wyższe natchnienie — na nim budował całą przyszłość swoją — a kto wiary jego nie podzielał tego uważał za człowieka zawistnego i swojego osobistego nieprzyjaciela. Każde też rozczarowanie musiałoby być dla niego strasliwym ciosem. Ale były w emigracyi i typy odmienne wynalazców. Nie brakło zwłaszcza wynalazców komicznych. W pierwszym rzędzie takowych odznaczał się, w rodzaju wysokiej komiki Fredrowskiej, St. Ch. nieodrodny szlachcic Polski, szczery, serdeczny, gadatliwy, zawsze kontent z siebie i drugich, przekonany o wyższości naturalnej Polaków nad Francuzami we wszystkim — i to głównie wykierowało go na wynalazcę.

Należał on do rodziny protegowanej przez muzy — wydała bowiem w naszych czasach całą plejadkę ludzi pełnych talentu, poetów, powieściopisarzy, historyków; lecz St. Ch. nie puścił się za ich przykładem na literackie drogi. Wolał szukać szczęścia w przemyśle i wszedł do fabryki malowanych perkalów. Zaraz na wstępie uderzyła rzutny jego umysł jedna wielka niedogodność w téj fabrykacyi; to jest, że do odbijania różnokolorowych deseni trzeba używać tylu kamieni, ile jest farb w desenie, gdyż na jednym nie można zapobiedz, ażeby się różne farby jedna z drugą nie mieszały. St. Ch. poszedł po rozum do głowy i powiedział sobie; ożoż ja Francuzom

pokażę, że można tyle farb kłaść na kamieniu, ile się spodoba i nie będą się mieszały. Powywiercał w kamieniu różne kanaliki do prowadzenia rozmaitych farb płynnych, przeznaczonych do odwilżania i podsycania farb gęstych, a przeto nie mieszających się jedna z drugą, które kładł na deseniach do odbijania; kanaliki zaś zamykał lub otwierał kurkami stosownie do potrzeby — i zadanie było rozwiązane — tak przynajmniej twierdził z najgłębszem przekonaniem. Wprawdzie lata mijały a żadna fabryka nie kwapila się zastosować u siebie tego wynalazku i żaden paktol nie dążył ku kasie wynalazcy, ale nadzieja go nie opuszczała, ani dobry humor — a czekając na zarobiony wrzekomo milion, zrobił nawiasowo nowy wynalazek z okoliczności następującej. Minister spraw wewnętrznych zalecił był okólnikiem wszystkim prefektom, ażeby zwrócili uwagę fabrykantów na coraz naglejszą potrzebę ze względu na zdrowie publiczne, zaprowadzenia w fabrykach pieców, któreby pochłaniały w sobie dym ogniska i nie przepuszczały go na zewnątrz, czyli fumiworów. Fabrykanci odpowiadali na to, że jak najchętniej nzyją takich fumiworów byleby były wynalezione. Snać pan minister sądził, że to nie bardzo trudne zadanie i St. Ch. był jego zdania. Dla niego nie było nic trudnego na świecie — chyba napisać dobrą tragedię, co podług Woltera jest jedyną trudną rzeczą na tym padole. Nie namyślając się też długo odkrył sekret jak można mieć ogień w piecu bez dymu. „Wyobraź sobie — mówił mi — iż te głupie Francuzy nie postrzegły się na rzeczy tak prostej, że aby dym był strawiony w piecu i nie wychodził na zewnątrz, dosyć jest zapalać węgle lub drzewo nie ze

spodu ale zwierzchu, bo wtenczas atmosfera nad ogniskiem rozgrzewa się do tego stopnia, iż pożera dym, jak atmosfera Sahary pochłania chmury i mgły, które wiatr ku niej pędzi.“ Może jest w tem trochę prawdy, nie będę się o to spierał, ale nie mniej prawdziwą jest rzeczą niestety! że fumiwory wymyślone przez St. Ch. zdradziły go niegodnie. Zamiast pożerać dym poszły z dymem. Szczęściem, że niebudował jak Waćko całej przyszłości swojej na wynalazkach — doszedł był powolną pracą i inteligencją do dosyć zyskownej posady w fabryce, która go przyjęła od początku emigracyi i mógł wygodnie żyć z żoną i dziećmi lubo marzone krocie mu nie dopisywały.

B. . . był innego jeszcze rodzaju wynalazcą — rozważnym i wyrachowanym aż do pendentyzmu. Nie zabłąkał się on nigdy goniąc za ideą, której by schwycić i ovladnąć nie potrafił. Wynalazki jego były zawsze oparte na ścisłych rachubach i odpowiadały jakiejś potrzebie niewątpliwéj, a jednak żaden się nie upowszechnił i B. . . zawsze poprzestawać musiał na tem, co Francuzi nazywają *un succès d'estime*, czyli na podchlebnem uznaniu ludzi kompetentnych. Wymyślił on machinę rachunkową, wielce pożyteczną dla kasyerów, bo z jéj pomocą mogli szybko, a co ważniejsza bez zmyłki, uskuteczniać wszystkie prawie rachunki potrzebne do ksiąg handlowych. Będąc sam kasyerem w jednym znakomitym domu bankowym, dowodził podług własnego doświadczenia, że zmyłki prawie nieuniknione w szybkim rachowaniu prowadzą w końcu roku do znacznej straty w wielkich kasach; ale B. . . zapominał obliczyć się z miłością własną wielkich firm bankowych i handlowych, które się do żadnych

zmylek przyznać nie chciały, a każdy z panów kasyerów, słysząc o jego wynalazku wstrząsał ramionami i powiadał, że najlepszą machiną rachunkową jest jego własna głowa. Tym sposobem machina B... zeszła na przedmiot ciekawości bez praktycznego użytku i chyba w jakim muzeum przemyslowem znajdzie przytułek, dopóki się panowie rachmistrze zbytnej zarozumiałości nie pozbędą.

Innym jego wynalazkiem, dosyć głośnym w swoim czasie, była machina sygnałowa dla uchronienia pociągów na kolejach żelaznych od starcia się jednego z drugim, o ile powodem do takowych starć bywa niedbałość dozorców przy tarczach sygnałowych; co najczęściej się zdarza. Kilka nawet wypadków podobnych, zaszłych w krótkim przeciągu czasu na różnych kolejach francuskich z przyczyny pomienionej, to jest ztąd, że dozorca nie odwrócił tarczy w potrzebnej chwili było pobudką do wynalazku naszego ziomka. Publiczność bowiem była mocno zaniepokojona. Wszędzie mówiono o niebezpieczeństwie na jakie są narażone pociągi przez niedbalstwo służby na drogach żelaznych. — Wszystkie dzienniki o tem prawiły i kwestya zapobieżenia temu niebezpieczeństwu przedstawiała się jako niezmiernie ważna i nagła. B... zajął się nią, sformułował ją sobie jako problemat mechaniczny i jeżeli na mechanikę bezwzględnie spuścić się można, rozwiązał ją zupełnie. W jego systemie przechodzący pociąg sam odwracał tarczę sygnałową za pomocą sprężynki położonej na szynach; kolo lokomotywy przycisnęło ją a ona przez pewną kombinacyę dobrze obrachowanych środków spowodowała obrot tarczy. Rada dróg i mostów (le conseil des ponts et chaussées) kazała ten wynalazek wypróbować i pochwaliła go. Podobał się on

i dziennikom, które mu dały wielki rozgłos. Niektóre pisma ilustrowane zamieściły jego rysunek. B.. stał się na chwilę sławnym, ale tymczasem zaprowadzono na drogach żelaznych lepszy dozór nad tarczami; smutne wypadki, które tak zaniepokoiły były publiczność już się nie powtarzały; kompanie poprzestały na takowym rezultacie i wynalazku B.. nie przyjęły, fundując się na tem, że gdzie chodzi o bezpieczeństwo i życie tysięcy podróżnych, tam oka i ręki ludzkiej najlepsza machina zastąpić zupełnie nie jest w stanie, potrzebując sama, żeby nad nią czuwano. Przykład to nowy, że i najściślejsze wyrachowania nie są jeszcze dostateczną rękojmią powodzenia dla opartego na nich wynalazku — jeżeli przy tem nie obiecując millionów przedsiębiorcom a zostawia ludziom fachowym, zwykle hołdującym rutynie, jakiśkolwiek pretext mogący posłużyć im za broń, ażeby takowej nowości nie dopuścić do życia.

Mówiąc o wynalazcach, nie mogę pominąć generała Dembińskiego — *A tout seigneur tout honneur* — lecz przy tej sposobności niech mi wolno będzie wspomnieć i o dawniejszych kolejach wojaka-wynalazcy.

Dembiński stworzonym był do zawodu wojskowego; miał po temu wszystkie potrzebne dary, mężstwo, zimną krew wśród największych niebezpieczeństw, umysł płodny w szybkie kombinacje a nawet błyski geniuszu. Mając lat zaledwie 20, w kampanii 1812 r. w jednej potyczce okazał tyle odwagi i przytomności umysłu pod oczami Napoleona samego, że go tenże na połu boju posunął z porucznika na kapitana i ozdobił krzyżem legii honorowej. Powinno to było zachęcić go do wytrwania na tej drodze, na której mógł ojczyźnie najznakomitsze oddać usługi,

ale po upadku Napoleona wrócił do roli i wybrany posłem na sejm przeszedł na pole walk oratorskich, do których najmniejszego nie miał usposobienia. Nawyknienia jego wojskowe do karności popchnęły go ku małej partii konserwatystów, którzy podtrzymywali władzę i instytucje Królestwa kongresowego przeciw ogólnym popędom narodowym. Zapewne, zapatrując się na tę przeszłość z dzisiejszego stanowiska, przyznać trzeba, że owi konserwatyści z przed 1830 roku widzieli zdrowo rzeczy i mieli słuszość, ale cóż mogła usilność kilku ludzi bez wielkiego wpływu przeciw prądowi, który cały naród coraz silniej pędził ku powstaniu. Porwał on w końcu i Dembińskiego. W 1831 r. wrócił do wojska w stopniu, w jakim przed 15 laty przerwał był swoją służbę; koledzy jego, jak Skrzynecki, Rybiński i inni byli pułkownikami znanymi w wojsku — wnet postąpili na generałów i mieli już znaczne dowództwa w pierwszych bitwach — on zaś dopiero przy końcu wojny znalazł sposobność okazania swoich świetnych talentów wojskowych. Odwrót jego z Litwy na czele 4000 walecznych można śmiało porównać do słynnych odwrótów generała Moreau i arcyksięcia Karola. Przeszedł 150 mil wywijając się między licznymi korpusami moskiewskimi, które usiłowały okrążyć go i zabrać w niewolę tak że powiada pruski pułkownik Schmidt — świadek całej kampanii 1831 r. przy sztabie głównym rosyjskim, w swoim dziele o téjże kampanii — gdyby Dembiński był jeden tylko fałszywy marsz uczynił lub jedną godzinę czasu bezczynnie stracił, byłby niezawodnie z całym korpusikiem swoim wpadł w ciągłe zastawiane nań sidła. Dembiński przybył do Warszawy gdy sprawa narodowa była już w wielkiem niebezpieczeństwie, w które ją niepojęta opie-

szalosc i chwiejnosc Skrzyneckiego wprowadzily. Niedawny ten tryumfator stal sie byl wodzem niepodobnym. Rzad widzial sie zmuszonym odebrac mu dowodztwo a nie wiedzial w czyje rece je powierzyc, gdy Dembinski, okryty swiezą slawą, zjawil sie jak zbawca i wnet tez wodzem naczelnym przez Rzad zgodnie z sejmem mianowany zostal. Mialze on dosyc smialosci, zręcznosc, bieglosci w fortelach strategicznych, azeby arme moskiewską zuchwale zaawanturowaną na lewy brzeg Wisly wpedzic w matnie i kraj ocalic? Byc moze; wiele nawet bylo za tem prawdopodobienstwa. Na nieszczęście wszystkie zalety Dembinskiego psula w całym ciągu jego życia jedna wada: brak zupełny taktu w postępowaniu*). W dwóch dniach popelnil on dwa błędy, które mu bulawę z rąk wytrącily.

Pierwszym błędem bylo, że dozwolil, aby Skrzynecki zaprezentowal go armii w obozie pod Bolimowem. Pamietam dobrze tę scene rozrzuwającą. Całe wojsko uszykowane bylo nad małą rzeczką w ogromne czworoboki z bokami obróconemi frontem ku środkowi. Ten, w którym sie znajdowalem, byl pierwszym od dworu, zajetego przez sztab główny, i do niego zajechali najprzód obaj wodzowie, jeden i drugi w pełnych mundurach, na dzielnych koniach i mając za sobą świetny orszak sztabowców i adjutantów; wszyscy wjechali przy odglosie bębnów w środek czworoboku. Skrzynecki pierwszy raz przywdzial był szlify ze znakami hetmaństwa, to jest z dwoma skrzyżowanemi bulawami, i pierwszy raz także zawiesil na szyi krzyż komandorski Virtuti militari, otrzymany za zwycięztwa pod Wawrem i Dębem Wielkim. Miał on wszystko,

*) Zarzucał mu to Görgöi i w tem jednym miał słusznosc.

co serca ujmuje: postać rycerską, nader sympatyczną i zarazem imponującą, organ miły, wymowę ze źrójów duszy płynącą, a urok jakim go otoczyły świetne zwycięstwa kwietniowe, które cały naród olśniły, przetrwał był w oczach wojska późniejsze ciężkie jego winy. Była to gloriola pobladła wprawdzie, ale w chwili gdy miał składać dowództwo innemu, świeciła nad jego głową całym odbłaskiem tych wspomnień tak, że go powszechnie żałowano w obozie. Znajdowano różne pozory, aby wytłómaczyć zarzucane mu winy, mianowicie ostatnią, że przepuścił Moskali na lewy brzeg Wisły. Mówiono, że to bez wątpienia wchodziło w jego plan; że chciał, ażeby armia moskiewska, odciawszy się sama od swojej podstawy operacyjnej, dała mu przez to sposobność zniweczenia jej do szczytu i uważano się, że Rząd i sejm nie pozwalają mu tego planu do skutku doprowadzić.

Ze swojej strony Skrzynecki wysadził się, ażeby ostatnie wystąpienie jego przed frontem armii wywarło na nią głębokie, niezatarte wrażenie. Już w drobnych szczegółach: w ubiorze jego jeneralskim, zupełnie świeżym, w tych insygniach hetmańskich, które pierwszy raz błyszczały na jego szlifach, i w postawie pełnej godności i rezygnacji — trochę wyuczonyj — jaką przybrał na swoim dziarskim koniu była pewna kokieterya, która osiągnęła swój cel, bo wszystkich ujęła; a nigdy wymowa jego nie podniosła się do takiej wysokości i do takich efektów dramatycznych, jak w tej uroczystej chwili. Przemowa, jaką miał w naszym czworoboku, tchnęła najczystszy patryotyzmem, najszlachetniejszą abnegacją i niezachwianą nadzieją w Opatrzność że Polski nie opuści; mówił, że posłuszny władzy krajowej, składa dowództwo, ale szpady swojej nie złamie póki

się święta walka toczy, że służyć będzie w jakiejkolwiek randze, choćby w szeregach jako prosty żołnierz, a w głosie jego czuć było lzy i łkanie tłumione; jednym słowem, żegnał się z armią jakby z kochanką, z którą zmuszony rozstać się, chciał, ażeby w głębi serca zachowała czułe i rzewne o nim wspomnienie. Nie myślał on zapewne szkodzić tem wszystkiem swojemu następcy, oddawał mu nawet zasłużone pochwały, tylko pochwały te obracały się na własną jego korzyść jako nowy dowód jego abnegacyi, i gdy skończył, zabrzmiał jednogłosny okrzyk we wszystkich batalionach: „Niech żyje Skrzynecki,“ a wiele głosów dodawało: „nasz wódz naczelny; innego nie chcemy!“ Nikt, powiedzieć można, nie widział natenczas w Skrzyneckim owego miękkiego, ciągle wahającego się wodza, który najprzyjaźniejsze sposobności wyparcia Moskali z naszej ziemi z rąk wypuścił, i na wygnaniu w chwilach szczerości sam powiadał: „Miałem Polskę na dłoni i nie umiałem jęj schwytać!“ Wszyscy widzieli w nim tylko bohatera z pod Dobrego, Olszynki grochowskiej, Wawru i Dębego.

Dembiński czekać musiał dopóki się ten entuzjazm nie uspokoił, ażeby przemówić z kolei. Nie miał on żadnego z ujmujących lubo powierzehownych darów Skrzyneckiego, przeciwnie, fizyonomia jego, nie znana w wojsku, nie uprzedzała bynajmniej na jego korzyść; była — mówiąc bez ogródki — trochę barbarzyńską, w sprzeczności z jego znakomitą choć mało uprawioną inteligencyą. Na wymowie zbywało mu zupełnie, a odwrót jego z Litwy, któremu zawdzięczał swoją buławę, był zasługą, którą tylko uczeni wojskowi należycie ocenić mogli lecz nie miał tego blasku co działa na wyobraźnię ogółu w wojskach —

w oczach ich najmniejsze zwycięstwo więcej warte, niż najumiejętniejszy odwrót.

Dembiński poznał smać, że się w fałszywym położeniu postawił i jak to zwykle bywa w takich razach, popsuł je jeszcze bardziej swoim zachowaniem się niezręcznem. Przez cały czas przemowy Skrzyneckiego był zasepiony, głowę miał zwieszoną tak, że nie widać było rysów jego twarzy, tylko długie zawiesziste jego wąsy. W dodatku wystąpił na pięknym koniu, ale czarnym jak kruk i który także głowę spuścił smutnie jak jego pan, jakby na dopełnienie obrazu Rycerza smutnej figury na równie smutnym rumaku.

W przemowie swojej pocziwy generał nie innego powiedzieć nie umiał, coby go podniosło w opinii słuchających go oficerów i żołnierzy, jak to, że będzie szedł w ślady swojego poprzednika, ażeby zasłużyć sobie choć w części na tę miłość całego wojska, jaką on sobie zjednał — na co każdy w duchu odpowiadał: „Po cóż nam kopia, kiedy możemy mieć oryginał.“

Drugi błąd Dembińskiego był cięższym jeszcze. Okazawszy aż nadto skromności i zapomnienia o sobie przed frontem armii, nazajutrz czy trzeciego dnia oburzył na siebie Rząd, sejm i całą Warszawę krokiem zbyt ambitnym. Żądał władzy dyktatorskiej nie mając należytej podstawy, na którejby ją mógł oprzeć, to jest zupełnego zaufania narodu a przynajmniej wojska. Trzeba mu było najprzód tę podstawę sobie stworzyć jednym świetnem zwycięstwem i zdaje się że o tem myślał, gdyż natychmiast po objęciu dowództwa zarządził odwrót wojska pod Sochaczew, gdzieśmy zajęli nader silną pozycję, odparwszy w pięknej bitewce pod Szymanowem korpus Witta, stanowiący przednią straż

wielkiej armii moskiewskiej, który nam drogę zastąpił. Była to jakby zapowiednia stanowczego zwycięstwa, ale Dembiński nierozważnym pospiechem wszystko zepsuł. Sejm bez długiego namysłu z hetmaństwa go zrzucił a wojsko przyjęło wiadomość o tem, pod Sochaczewem, bardzo obojętnie.

Na tem skończyła się Dembińskiego karyera w roku 1831. Na emigracyi skazany na nieczynne życie, z nader czynną głową, nie lubiącą spoczynku, zwłaszcza pod wpływem Paryża, który działał w sposób odmładzający na wchodzącego już w jesień życia wojaka — rozgrzewał mu wyobraźnię i serce — rzucił się w zapasy z mechaniką, chemią i oporniejszym jeszcze rutynizmem francuzkim, ażeby wstępnym bojem zdobyć sobie choć milionik na miejsce szlacheckiej fortuny, którą mu rząd moskiewski w największej części skonfiskował. Nie widziałem żadnego z jego wynalazków, ale przyjaciele jego a mianowicie poseł Barzykowski, na którego zdaniu polegać można, zapewniali mnie, że nie było ani jednego, któryby nie miał w sobie myśli inteligentnej i oryginalnej, a niektóre błyszczały myślą twórczą, tylko jedno z nich nie miały za sobą dowodnej praktycznej użyteczności, drugie nie były zupełnie dojrzałe, inne nie przedstawiały się w formie dostatecznie przekonywającej. Pierwszym, zdaje się, pomysłem wynalazczym, jaki miał Dembiński, było użyć ogromnej siły zgęszczonego powietrza, wpuszczonego w próżnię ażeby popychać pociągi pod górę na pochyłych drogach. System na takim pomysle oparty, urzeczywistniony został na drodze z Paryża do St. Germain pod niewłaściwym nazwaniem „Drogi atmosferycznej.“ Dembiński twierdził, że ten pomysł od niego pochodził, że go powierzył jednemu Fran-

cuzowi, a ten mu go ukradł. Jeżeli tak było, a wątpię o tem nie można, to generał powinien był sobie powinszować, że mu ów wynalazek ukradziono. Droga atmosferyczna ogromne sumy kosztowała a miała wielkie niedogodności i nie wiele przynosiła — była ona przez jaki dziesiątek lat zabawką Paryżanów, potem upadła, jak to z góry przewidział był ojciec drog żelaznych sławny Stephenson.

Z innych wynalazków Dembińskiego, ten, po którym on sobie najwięcej obiecywał, był nowy sposób uprawy ziemniaków, który podobno dawał zadziwiające rezultaty.... w dóniezkach. Na nieszczęście rólnicy są zbyt zatwardziali w rutynie, ażeby rezultaty otrzymane w dóniezkach zupełnie ich przekonać mogły. Trzeba było na to doświadczeń długich, cierpliwych i w wielkich rozmiarach; inaczej mówiąc, trzeba było Dembińskiemu nabyć spory kawał ziemi i na nim podług swojego sposobu uprawiać ziemniaki przez lat kilka; gdyby na tem ciągle dużo pieniędzy zarabiał, to powoli wynalazek jego byłby się upowszechnił — wszelkie inne środki przekonania żadnego skutku osiągnąć nie mogły.

Takież same zawody spotkały pono Dembińskiego we wszystkich zgola jego wynalazkach. Nie wiele lepiej na nich wyszedł jak Zabłocki, ów typ historyczny przedsiębiorcy polskiego, w swojej spekulacyi na mydle.

Szczęśliwszym od niego i bodaj czy jedynym nawet szczęśliwym między wszystkimi wynalazcami polskimi we Francyi był człowiek, który nie miał pretensyi ani do geniuszu, ani do naukowego wykształcenia, lecz miał zdrowy, praktyczny rozsądek, wiele chłopskiej zmyślności, przytem był pracowitym, cierpliwym, wytrwałym a przypadek wprowadził go na drożynkę, którą idąc z temi skromnemi da-

rami mógł dojść do fortuny, gdy inni z większym talentem i większą nauką gonili za nią napróżno.

Nazwisko jego wspomniałem już nawiasem mówiąc o pułkowniku Gawrońskim — był to Urbanowski, expod-officer z 1831 r. Przybywszy do Francyi, szukał on natychmiast pracy, bo z subsydyów, jakie rząd francuski wypłacał podoficerom polskim, nie był w stanie wyżyć, i znalazł pomieszczenie w fabryce pluszów na kapelusze w Lyonie. Nie rozumiał ani słówka po francuzku, ale znał język niemiecki a farbiarz w téj fabryce był Niemcem czy Alzateczykiem, i dano mu go do pomocy, przedstawiając na téj rękojmi, że był dawnym żołnierzem i un brave polonais a przeto sekretów fabryki pewnoby nie zdradził, zwłaszcza że po francuzku nie umiał. Trzeba bowiem wiedzieć, że każda podobna fabryka miała w owym czasie swoje sekreta farbiarskie i dla tego do pomocy farbiarzom przydzielano tylko ludzi pewnych. Urbanowski pracował przy farbiarzu lat kilka i pozyskał zupełne jego zaufanie tak że ten wyuczył go swojej sztuki i wtajemniczył do sekretów wyłącznie właściwych fabryce, ale słabą stroną wszystkich fabryk tego rodzaju, której żaden z owych farbiarskich sekretów dostatecznie nie zaradzał, było to, że ogólnie nie umiały nadać pluszowi farby doskonale czarnej i trwałej. Wszystkie kapelusze ówczesne po niedługim użytku przybierały odcień mniej lub więcej rudawy, wcale nieładny. Urbanowskiego chętką wzięła próbować, czy mu się nie uda wynaleść farby czarnej, pięknej i nie ulegającej żadnej zmianie. Zaczął pracować nad tem w wielkiej tajemnicy, nocami, w swojej izdebce. Mieszał pospółu najrozmaitsze kolory i ingredyencye chemiczne, jak mu to do głowy przychodziło; nie zrażał się

żadnem niepowodzeniem, pracował jak alchemik szukający kamienia filozoficznego i znajdował w swoich coraz nowych doświadczeniach coraz silniejszą podniechę, żeby doświadczać dalej, póki nie rozwiąże problemu jaki sobie założył.

Nakoniec udało mu się wytworzyć farbę prawie doskonale czarną, przytem polyskującą i trwałą. Długo jednak nie śmiał z nią wystąpić. Mówił sobie: „może to głupstwo i wystawię się tylko na śmiech Francuzów,“ aż dopiero nadarzyła mu się sposobność tak przyjazna do wyprowadzenia na jaw swojego wynalazku bez narażenia się na śmiech Francuzów, że mu przyszła odwaga. Farbiarz ciężko zachorował — fabrykant znalazł się z tego względu w wielkim kłopotcie; co widząc Urbanowski, który już po francusku trochę się był poduczył, odezwał się śmiało, że może farbiarza zastąpić znając wszystkie jego sposoby. Fabrykant pozwolił mu jedną sztukę pluszu na próbę zafarbować — tego też tylko było mu potrzeba; powiedział sobie: „teraz albo nigdy“ i zafarbował swoją farbą powierzoną mu sztukę pluszu. Zbyt długo byłoby opowiadać zdumienie fabrykanta, przyjaciół których zwołał, przelożonych w fabryce i całej rzeszy rzemieślników, gdy pokazał swoją próbę. Był to prawdziwy *coup de théâtre*, wszyscy postrzegli od razu, że to nie była używana zwykłe farba, lecz inna, doskonalsza od wszystkich dotąd znanych, i Urbanowski nie widział potrzeby taić, że jest jég wynalazcą. Fabrykant wszedł z nim w układy — zaproponował mu, ażeby wynalazek swój oddał na wyłączny użytek jego fabryki a za to ofiarował mu pewien udział w zysku z całej swojej fabrykacyi i miejsce farbiarza do syć drogo płatne. Urbanowski zgodził się na to i obydwaj bardzo dobrze wyszli na spółce. Po kilku latach

fabrykant zyskał kilka milionów i w dodatku medale na wszystkich wystawach przemysłowych. Urbanowski musiał poprzestać na mniejszém, lecz i to przeszło wszelkie jego marzenia; zlikwidował swój udział w zyskach fabryki podobno za 1,500,000 fr. i zwolniwszy się od pracy obowiązkowej, żyje dotąd swobodnie w zimie w swoim własnym domu w Lyonie, w lecie w swojej villi pod Lyonem, a pomyślność, trzeba mu oddać tę sprawiedliwość, nie zrobiła go samolubem — łoży, kiedy tego potrzeba, na cele patryotyczne w rozumieniu demokracji do której należy i nie szczędzi pomocy biedniejszym rodakom.

Na Urbanowskim zakończę księgę wynalazców i wynalazków polskich w emigracji, bo przedłużając ją, miałbym pono same już tylko zawody do zapisania — a zawody wynalazcy są to cierpienia które Dante mógłby był śmiało w swoim Piekłe umieścić. Dla emigranta mianowicie wynalazek, którym się łudził, był najczęściej jedynym kąci-kiem błękitnym na jego posępnym widnokręgu i gdy ten się zasunął zostawało mu życie bez nadziei, bez wiary w siebie — czasem przed nim otchłań, której w myśli już nawet nie miał czem zapełnić zwłaszcza jeżeli miał rodzinę do wyżywienia.

Zapewne, największa część wynalazków emigracyjnych była albo oparta na fałszywej zasadzie, albo nie odpowiadała żadnej potrzebie rzeczywistej; było nawet wiele śmiesznych ale były i takie, które miały w sobie pierwiastek pożyteczny i płodny, tylko niedostatecznie obrobiony, i nie jeden jeszcze wykwiśnie kiedyś na francuzkiej ziemi, tylko nikt wiedzieć nie będzie, że go polska ręka zasiała.

XIV.

Od wynalazków i rozlicznych projektów przemysłowych emigracyi mogą — bez nadzwyczajnego skoku — przetrzucić się do jej planów politycznych i w ogóle do wspólnych nam wszystkim Polakom, przed niedawnym jeszcze czasem patryotycznych marzeń. — Owe bowiem wynalazki i wszystkie te plany, wszystkie te marzenia kwitły na jednejże niwie, a tą jest bujna i płodna polska wyobraźnia — wytwarzająca poetów nieśmiertelnych — malarzy pierwszorzędných — twórców wszelkiego rodzaju — czasem proroków, ale zarazem wydająca ciągle plony złudzeń, któremi się dosyć powszechnie żywimy, a zbyt często upajamy aż do szaleństwa.

Zwyczaj to nasz dawny wierzyć jakby w rzecz najpewniejszą w to czego pragniemy i ani przypuszczać — przynajmniej na seryo — że inaczej stać się może. Jednym przykładem tego byli wynalazcy emigracyjni z których każdy prawie widział dobrą tylko stronę swego pomysłu a na odwrotną bardzo mało zwracał uwagi i podchlebiał sobie, że jest na drodze fortuny gdy tym-

czasem brnął w coraz większą biedę; lecz podobnież i całe pokolenia polskie widziały zawsze tylko jedną stronę sprawy narodowej, stronę słuszną, świętą, wszystkie ludy ucywilizowane obchodzącą a nie obliczały się nigdy z olbrzymimi trudnościami, które stanowią drugą jej stronę i zamiast pracować cicho — cierpliwie — wytrwale, aby siły nasze wzmacniać, skupiać, jednoczyć i w przymierzu z czasem i z Bogiem trawić jak rdza tę przemoc żelazną, której wręcz złamać nie jesteśmy w stanie *) występowały po kolei w 1831, 1848, 1863 do walki otwartej z dziesięć kroć silniejszym wrogiem i upadały jedno po drugim w obec nieporuszonej Europy, sprowadając na kraj coraz cięższe plagi.

Miedzy walką 1831 r., — która jeszcze w pewnej chwili przedstawiała możliwość tryumfu — gdybyśmy byli mieli nowego Żółkiewskiego lub Czarneckiego na czele — a walką 1863 r., w której zwycięstwo nie było ani na chwilę podobnem, przez te lat trzydzieści, całe nasze życie narodowe skupiało się w emigracyi; emigracya zaś zaszła była aż za Ren, aby tam znaleźć archimedesowski punkt oparcia dla podzwignięcia ojczyzny, której niestety! zbawić nie potrafiliśmy mając blisko stotysięczną i prawdziwie bohaterską armię — 200 milionów złotych polskich. zaoszczędzonych w skarbie — zasoby wszelkiego rodzaju — i walecząc na własnej ziemi, gdzie za każdym krokiem posuniętym ku granicy Dzwiny i Dniepru mogliśmy znaleźć nowe siły i nowe zasoby. Chimeryczne to przedsię-

*) Nie mówię tu o Austrii, która jest dziś naszym naturalnym sprzymierzeńcem ale o Rosyi, na którą wpływ ducha, cywilizacyi i obyczajów polskich, był ogromny przed 1838 rokiem i po niedługiej przerwie zaczął znowu działać aż do 1862 roku.

wzięcie było jednakże fatalnie narzucone szlachetnym rozbitkom 1831 roku, skoro dłuższej walki prowadzić nie byli wstanie a ukorzyć się przed moskiewską przemocą i skwitować z praw narodowych niechcieli. Postawili się oni w jakiejś sferze idealnej wśród zmateryalizowanej Europy — założyli sobie słowem, piórem, ideami góry poruszać i od takowej pracy honor odstąpić im nie pozwalali. „Polak emigrant — mawiał Wł. Zamoyski lubo konserwatysta z zasad i stronnik władzy — Polak emigrant nie biorący udziału w politycznem zadaniu wychodźstwa polskiego, jest dezterem z pola, na którem toczy się walka o wszystko co jest najświętsze“*) — i mało też było takich dezterów w emigracyi. Każdy prawie wychodziec, czy miał zyskowne zajęcie, czy nie miał żadnego, czy stworzył sobie byt wygodny, czy żył o głodzie, czy łamał sobie głowę nad wynalazkami ażeby zwalczyć biedę, czy z tą biedą się godził, każdy przedewszystkiem zaprzątał się polityką**), dla każdego głównym celem życia było odzyskanie ojczyzny — ale jak ją odzyskać? W tem różniły się zdania i inaczej być nie mogło wśród tylu głów polskich. Dwie drogi się przedstawiały jako mogące doprowadzić do tego celu nie licząc dróg mistycznych — droga dyplomatyczna i droga konspiracyjna. Sędziwy nie-

*) Bronisław Zaleski, monografia Orpiszewskiego w Przeglądzie Polskim na miesiąc Wrzesień 1875.

**) Mićkiewicz tak maluje w liście do brata swojego stan moralny emigracyi w 1841 roku: „Nie możesz wystawić sobie, co to za bieda z ludźmi zamkniętymi w tak smutnem położeniu. Każdy, dzień i noc, kuje projekta polityczne i wścieka się, kiedy drugich nie może na swoją stronę przemówić. Chodzą nasi na mój kurs, ale dla tego, żeby się wywiedzieć z jakiej ja partyi? czy arystokrata? czy demokrata? i gniewają się, że ja im o polityce nie gadam.“ — Korespondencya Mićkiewicza, t. I, str. 176.

gdys prezes Rządu narodowego wszedł na pierwszą a za nim poszli w większej części senatorowie, posłowie, jenerałowie będący w emigracyi i wszyscy ci, którzy wierzyli w jego patryotyzm czysty i niezachwiany — w jego długie doświadczenie, w jego wysokie znaczenie w świecie politycznym. Na drugą stronę rzuciła się część gorętsza, niecierpliwsza, mniej doświadczona emigracyi.

System księcia Czartoryskiego polegał na tem, ażeby sprawę polską utrzymywać ciągle na widoku, przekonywać wszystkie zdrowe umysły o jój ważności europejskiej a zarazem rozgłaszać środki chytre i zabójcze, jakich używa Moskwa na zagładę naszej narodowości oraz jój zabiegi ambitne, zagrażające światu całemu — innemi słowy na szerzeniu w całym ucywilizowanym świecie współczucia dla Polski a nienawiści ku Moskwie. Działał na opinią publiczną a w pewnej mierze i na rządy przez dzienniki, które opłacał — przez ludzi wpływowych w izbach francuskich i w parlamencie angielskim, których dla Polski zjednać potrafił — nakoniec przez agentów swoich w różnych krajach, w Londynie, w Sztokholmie, w Wiedniu, w Rzymie, w Konstantynopolu. Zresztą stanowisko księcia Czartoryskiego było wyczekujące. Nauczony doświadczeniem dziejowem i swoim własnem wśród ogromnych wypadków, które przeżył, że nikt przewidzieć nie jest w stanie, co się stać ma na świecie, że najczęściej to się staje, o czem ludzie polityczni najmniej myślą, a nie to, na co najwięcej liczą i na czem się ubezpieczają, nie wiązał losu Polski z żadną wyłącznie hipotezą polityczną, lecz szukał dla niej wszędzie sprzymierzeńców i starał się być przygotowanym na wszelkie wypadki nastąpić mogące, aby z nich korzystać ile się da.

Ta polityka powolna, cierpliwa, oględna, przytem otaczająca się tajemniczością niezbędną w działaniach dyplomatycznych, nie przypadła gorętszej części emigracji, która nie pokładała żadnej ufności ani w istniejące wówczas rządy i parlamenty, ani w ogóle w dyplomację a zbyt lekceważyła doświadczenie księcia Czartoryskiego. Natomiast wierzyła ona z najsilniejszym przekonaniem w możliwość nowego powstania w Polsce w daleko szerszych rozmiarach niż było powstanie listopadowe, byle je umiejętnie i fundamentalnie przygotować, poświęcając wszystko temu celowi. „Jest nas, mówiła, 20 milionów Polaków i Rusinów na przestrzeni dawniej Polski — poruszmy te masy, sfanatyzujmy je i wywołajmy prawdziwe pospolite ruszenie, a obejdziemy się bez wszelkiej obcej pomocy — wywalczymy Polskę własnymi siłami — Polonia fara da se.“

Jeżeli porównamy teraz skutki działań jednego i drugiego stronnictwa, przekonamy się, że najwięcej ludzili się demokraci. Cały ich plan polegał na złudzeniu, które wywodziło na śmierć męczeńską tylu prawdziwych bohaterów, wysłanych jako emisaryusze do kraju, ściągnęło najsrozsze prześladowania i niepowetowane klęski na wiele bardzo patryotycznych rodzin, a skończyło się najsmutniejszym rozczarowaniem, nad którym rozwodzić się nie mam potrzeby, bo aż nadto pamiętne jest wszystkim.

Stronnictwo Hotelu Lambert doznało także wiele ciężkich zawodów — jeżeli bowiem demokraci poświęcali nadaremnie najdzielniejszych swoich ludzi, ażeby obudzić w chłopstwie naszym śpiącego jeszcze ducha, a po części, jak w Galicji, znarowionego długiem i zgubnem działaniem wrogiego nam rządu — to z drugiej strony Hotel

Lambert zużywał napróżno najlepiej obmyślane środki aby poruścić i wyprowadzić na drogę wielkiej polityki krótko widzący, apatyczny, w ciasnem kółku interesów materialnych zasklepiiony egoizm rządów i klas rządzących na Zachodzie. Hotel Lambert potrafił zająć takie stanowisko w kwestyi wschodniej, że Francya i Anglia traktowały z nim i wchodziły z nim w porozumienia, jakby z jakimś mocarstwem, we wszystkim, co się do téj wielkiej kwestyi odnosiło; agenci bowiem Hotelu Lambert na półwyspie bałkańskim, Czajkowski*), Kościelski i inni, lepiej byli zawiadomieni o rzeczach, które tym rządóm wiedzieć trzeba było i nierównie więcej wpływu wywierali na ludy słowiańskie tych stron, niżeli ich konsulowie. Była chwila, kiedy Hotel Lambert sądził się już bliskim celu, do którego powolnie zmierzał; mianowicie gdy wybuchła wojna wschodnia 1854 r., wywołana głównie jego niezmordowanemi zachodami i publikacyami, poczynawszy od ogłoszenia sławnego *Porto foglio*, zawierającego, jak wiadomo, tajne korespondencye w sprawie wschodniej, znalezione w gabinecie w. ks. Konstantego. Na nieszczęście duch kupiecki Anglii przeważył w radzie sprzymierzonych mocarstw i skrzywił całą wyprawę — zrobił z niej chybioną epopeę. Zamiast podnieść Polskę, która przez tyle wieków była przedmurzem osłaniającem Europę przed ambicyą moskiewską i wszystkiemi dziczami Azji, a w 1854 r. pokazała się ze swoją chorągwią tulaczą obok Francyi, Anglii, Piemontu i Turcyi, mocarstwa te po dwuletniej wojnie, wy-

*) Przykro mi wypisać nazwisko tego zdrajcy, ale zaprzeczyć nie można, że będąc agentem Hotelu Lambert wypełniał nader czynnie i z wielkim sprytem powierzoną mu misyą i stał się popularnym między Słowianami podbałkańskimi.

rzuconych miliardach i wylanych potokach krwi poprzestaly na tem, że związały Rosyą blahemi warunkami traktatu paryskiego — istnym sznureczkiem jedwabnym, który ona rozerwała w kawałki, gdy się nadarzyła pierwsza przyjazna sposobność, i dziś jest pod murami Konstantynopola, u celu swojej wiekowej polityki*).

Traktat paryski zniweczył więcćj niż dwudziestoletnią pracę księcia Czartoryskiego, lecz nie jestżę rzeczą podziwienia godną, że człowiek jeden bez władzy — wygnaniec i starzec ośmdziesięcioletni — mógł tyle zdziałać w największej i najtrudniejszej sprawie europejskiej; to jest odciągnąć ludy cale z pod wpływu Rosyi i przysposobić z nich sprzymierzeńców dla Zachodu. Nietylko bowiem w Serbii i w Bułgaryi sparaliżował wpływ Rosyi, ale i w Szwecyi, gdzie agenci jego ująć sobie potrafili rząd i naród — jak się to pokazało dowodnie w r. 1863 w czasie wyprawy Łabęckiego. Czego niestety stary książę dokazać nie mógł, to przekonać najbardziej właśnie zainteresowane w tej kwestyi mocarstwa o tej prawdzie jasnej jak dzień, że ona rozwiązana być może na korzyść cywilizacyi li tylko nad Wisłą — a nie nad Dunajem a mniej jeszcze nad Bosforem.

Działalność Hotelu Lambert nie ograniczała się wszakże do jednej sprawy wschodniej, rozciągała się ona i na inne pola, gdzie ją podobnie przykre zawody nie spotkały — w Rzymie mianowicie wydała ona zbawienne owoce. Wiadomo powszechnie, że Papież Grzegorz XVI potępił solenną encykliką nasze powstanie listopadowe; prawdziwy autor tej encykliki kardynał Lambruschini, se-

*) Pisane w Październiku 1878 r.

kretarz stanu Ojca św., patrzył na rzeczy polskie tylko przez szkiełka moskiewskie, żadnego Polaka przyjeżdżającego nawet za paszportem i choćby duchownego przypuścić do siebie nie chciał, a wychodząc polskim przystęp do Rzymu był zupełnie wzbroniony. Uprzedzenia przeciw Polakom były zresztą prawie powszechne między kardynałami. Hotel Lambert potrafił przełamać te lody. W roku 1837 udało się Wł. Zamoyskiemu przez potężne wpływy otrzymać posłuchanie u Ojca św. i przekonał go dowodnie, że Moskwa zwodzi ohydnie Rzym — że uciska katolicyzm i szerzy gwałtem szyzmę między rusińskimi unitami — że jeżeli więc duchowieństwo polskie jest nieprzychylnie Moskwie i podpira sprawę narodową, to dla tego, że sprawa ta jest jak najściślej złączona z interesami Kościoła, w którego obronie Polska nie od dziś, lecz od 10 wieków stoi. Papież się udobruchał, jednak kilka lat trzeba było jeszcze nad nim pracować, nim zezwolił na pobyt w Rzymie emigranta, agenta polskiego. W 1844 r. dopiero mógł książę Czartoryski wyprawić tam Ludwika Orpiszewskiego, człowieka oględnego, ostrożnego, z wielkim taktem, stworzonego niejako do podobnej misji i posiadającego zupełne jego zaufanie. Orpiszewski, lubo opatrzony listami polecającymi od nuncjusza papieskiego w Paryżu, został bardzo jeszcze zimno przyjęty przez kardynała Lambruschini, lecz w ciągu jednego roku tak potrafił zjednać sobie większą część kardynałów i całe wyższe towarzystwo rzymskie, nakoniec i samego kardynała Lambruschini, że przebywać mu spokojnie w Stolicy św. pozwolono nawet w ciągu pobytu tam cara Mikołaja w 1845 roku, a gdy Pius IX wstąpił na tron, nie znalazł już w swoim otoczeniu tego wrogiego nam usposobienia, które nas dawniej

przedzierało od Głowy Kościoła. Szlachetny Pius IX dopuszczał Polaków do siebie, słuchał ich chętnie, niektórych serdecznie polubił, a w pierwszym rzędzie, wraz ze starym generałem Szymanowskim, Orpiszewskiego. Orpiszewski, szczęśliwem przecuciem wiedziony, zaprzyjaźnił się był ściśle przed wyborem jeszcze Piusa IX z jego synowcem, hr. Gabryelem Mastai, i to mu dało tak silną podstawę na dworze papieskim, że mógł ciągle komunikować sekretarzowi stanu Ojca św. memoryały, które mu książę Czartoryski przysyłał. Pius IX coraz więcej się przekonywał z jednej strony o zgubnych dla katolicyzmu zamysłach moskiewskich, z drugiej strony o niewzruszonym przywiązaniu polskiego narodu do Kościoła i coraz bardziej brał do serca los Polski. W chwili gdy Moskwa najokropniej pastwiła się nad nią, nie mogąc sam jej osłonić przed tą dziką zemstą, nakazał powszechne modły za nią — a z jakimże rzewnem, prawdziwie ojcowskiem uczuciem przyjął deputacye nasze, przybyłe do Watykanu złożyć mu hołdy narodu z okoliczności pięćdziesięcioletniego jubileuszu jego pasterstwa nad duszami. U stóp jego tronu złączyły się wszystkie części Polski, a on jedność ich błogosławieństwem swoim utwierdził i odwagę do zniesienia wszystkich wymierzonych przeciw nim ciosów pokrzepił. Nakoniec jednym z ostatnich aktów jego pontyfikatu był zakaz uroczysty przez św. kongregacyą konsylium wydany duchowieństwu polskiemu, wprowadzania języka moskiewskiego do kościołów naszych. Przez to sprawa narodowości polskiej została solidarnie związana ze sprawą Kościoła i solidarność tę potwierdził Leon XIII w tych słowach, które z głębokiem rozrzewnieniem powiedział Polakom: „Wszystkich was Polaków noszę tu w sercu mojem.“

Ta opieka najwyższej władzy widomej w Kościele przyniosła nam w zysku, prócz wzmocnienia dusz pobożnych w różnych dzielnicach Polski, czynne współczucie całego duchowieństwa katolickiego, tudzież wszystkich katolickich organów i ogółu szczerych katolików w Europie. Jest to wielka siła, którąśmy pozyskali do sojuszu z nami a do takiego rezultatu przyczyniły się głównie cierpliwe i umiejętne zachody Hotelu Lambert. Znakomita to niewątpliwie usługa, którą wyświadczył sprawie narodowej, nie narażając kraju na żadne ofiary, na żadne nowe prześladowania ze swojej przyczyny.

Bezstronność, którą wziąłem sobie za правило pisząc niniejsze wspomnienia, nakazuje mi obliczyć się jeszcze sumiennie ze stronnictwem demokratycznym. Sądzę, że głos historii potępi je za zuchwały i nierozważny plan powstania wśród najnieprzyjaźniejszych okoliczności i to nie przeciw jednemu mocarstwu, ale przeciw trzem razem. Na krótki czas przed jego wybuchem Józef Wysocki przyszedł do Hotelu Lambert, jako delegat centralizacyi, spytał księcia Czartoryskiego, czy on i jego stronnictwo chcą przystąpić do powstania. Książę uprzedzony że centralizacya krok ten do niego zamierza uczynić, naradził się z przyjaciółmi i odpowiedź przygotowaną dał Wysockiemu w tych słowach: „Nie jesteśmy bynajmniej przeciwni w zasadzie powstaniu; przyznajemy, że Polska ma prawo powstać, ale zdaniem naszym nie ma żadnego podobieństwa, aby się to powstanie udać mogło; sprowadzi tylko okropne klęski na kraj, i z tego względu jesteśmy mu zupełnie przeciwni.“ Była to odpowiedź rozumu politycznego na głos ślepej namiętności.

Tak, Polska miała prawo powstać przeciw obecj ty-

raniu i konspiratorskie działanie centralizacyi nie było zdrożnem w zasadzie, lecz w tem, że nie było kierowane żadną zdrową myślą polityczną. Gdyby centralizacya ograniczyła się była na obmyśleniu i przygotowaniu środków powstania a czekała z daniem hasła na wybuch, póki się okoliczności przyjazne nie nadarzą, to w ośm lat później, podczas wojny krymskiej miałaby była jak najspodobniejszą porę po temu. Wtenczas powstanie, nie przeciw trzem mocarstwom razem ale przeciw Rosyi samój i prowadzone z taką energią jaką rozwinęli przywódcy powstania 1863 roku, byłoby niewątpliwie osiągnęło, jeżeli nie w zupełności, to przynajmniej w znacznej części pożądaný skutek, bo choćby Anglia nam odmówiła swojej pomocy, to Napoleon III z żadnej miary odmówiłby nam jój nie mógł. Zasady jakie zawsze wygłaszał, głos opinii we Francyi, potrzeba utrzymania uroku imienia swojego który był całą jego siłą, niemniej jak i interes rzeczywisty Francyi, złączony z interesem ogólnym cywilizacyi zmusiłyby go — skoro już był w wojnie z Rosyą — ażeby poparł powstanie w Polsce*), ale niewczesny wybuch 1846 r. zużył był wszystkie środki centralizacyi, sparaliżował siły moralne kraju i Polska nie ruszyła się w tój tak ważnej chwili z wielkiem zdziwieniem całej Europy, a powstała w siedm lat później wśród ogólnego pokoju.

Wytknąwszy ten brak przezorności i w ogóle wszelkiej praktyczności w planach demokracji, przyznać jój

*) Napoleon III wysyłając flotę francuską na Bałtyk, wezwał był ks. Czartoryskiego do Tuilleryów, ażeby się go poradzić, czyby można i w jakim punkcie wylądować korpus wojska na Litwie. Książę mu wskazał Połagę, ale pokazuje się, że projekt ten znalazł przeciwników w jego radzie ministrów.

trzeba, że podtrzymywała życie polityczne w emigracji a przez to i godność jej w obec kraju i cudzoziemców, a ożywiała duchem bohaterskim młode pokolenia polskie, które ze wszystkich części kraju ku niej się zwracały, oczekując od niej i jej hetmanów zbawienia ojczyzny — szkoda tylko, że nie umiała lepiej niemi pokierować.

Słowa powiedziane przez księcia Czartoryskiego Wysockiemu wskazują co rzeczywiście rozdarło emigrację na dwa stronnictwa; to była, jak już napomknąłem wyżej, różność dróg i środków obranych przez nie dla odzyskania ojczyzny nie zaś teoretyczna sprzeczność zasad politycznych i społecznych, o które śmiesznemby było wadzić się nie mając ojczyzny. Wprawdzie stronnictwo Hotelu Lambert postawiło się na gruncie monarchicznym, ale na tym gruncie stała Polska przez dziesięć wieków i nie zesza z niego nawet w powstaniu 1831 roku. Żadne więc stronnictwo emigracyjne nie miało prawa zerwać z tą tradycją — zdjąć koronę z nad orla i pogoni, bo do tego uprawnionym być mógł tylko nowy sejm konstytucyjny — lecz zachowując zasadę monarchiczną, ani książe Czartoryski, ani nikt w jego stronnictwie nie myślał o wskrzeszeniu jakichbądź przywilejów, które w Królestwie kongresowem już nie istniały. Wszyscy czuli to dobrze, że w Polsce podobnie jak w każdym innym kraju należącym do cywilizacji zachodniej społeczeństwo nie ostałoby się na inném podstawie, jak na równości wszystkich w obec prawa cywilnego i politycznego. Książe Czartoryski w szczególności tyle uczynił był dla rozkrzewienia jak najszerszego oświaty w Polsce, do takiego dobrobytu doprowadził włościan w swoich ogromnych dobrach puławskich, gronowskich, sieniawskich, gdzie już w r. 1823 przeprowadził był

regulację gruntów włościańskich i oczynszowanie ich de facto — nie mogąc tego uczynić prawnie — nakoniec tak skrzętnie wyszukiwał ludzi zdolnych, w jakiegokolwiek sferze społecznej zrodzonych, ażeby zużytkować ich zdolności na korzyść kraju, iż rzucać mu w oczy zarzut zasadniczej jakiegós arystokracji było największą niesprawiedliwością. Maurycy Mochnacki przyznał sam w swojej historii powstania 1831 r., że „arystokracja była raczej w manierach księcia niż w jego sercu.“ Księżna wirtemberska, mówiąc raz o klótniach emigracyjnych, wykrzyknęła: „Wszakże my wszyscy jesteśmy demokraci!“ i miała słuszość, zapewne nie w znaczeniu przyznawania wszechwładztwa li-czbie, ale w znaczeniu zasad 1789 roku.

Stronnictwo demokratyczne ze swojej strony nie zapędzało się ani do republikanizmu ani do socjalizmu ani nawet do powszechnego głosowania. Przed rokiem 1848 cała Europa była monarchiczną; o głosowaniu powszechnem powiedział Guizot w izbie deputowanych, że do tego nigdy a nigdy nie przyjdzie we Francyi, a zaledwie jeden lub dwa głosy mu zaprzeczyły; socjalizm zaś dopiero się wylęgał w książkach mało czytanych i tak niedotworzoną miał postać, że nawet biednych rzemieślników nie przynęcał, a duchowi polskiemu zupełnie był wstrętny. Dąbrowski i później go się wyrzekał, a w ogóle prócz jednego Worcła nie znałem nigdy Polaka emigranta socjalisty*).

*) Może nie jeden był marzyciel, który jak pocziwy pułkownik Gawroński czytał Cabet'a, Fourier'a Considerant'a i znajdował pewne upodobanie w tych utopiach; ale, o ile wiem, żaden się do sekty socjalistów nie przyłączył; ci co walczyli w szeregach komunistów, czynili to, aby z głodu nie umrzeć. Dąbrowski bodaj czy nie jeden wyniósł z wojska rosyjskiego jakieś nihilistowskie idee.

Zasady, na których się opierało stronnictwo demokratyczne, nie wiele się więc różniły od tych, które i arystokraci Hotelu Lambert uważali za słuszne, tylko wygłaszane były w sposób jaskrawy, przeplatane wyrzutami czynionemi pauc i szlachcie za winy ich przodków, i ilustrowane obietnicami zbyt hojnymi dla klas upośledzonych z krzywdą tych, którzy krwią swoją wszystkie niwy ojczyste zrosili, ale też programu demokracji nie należało brać bardzo na seryo. Był on, jak wszystkie programy tego rodzaju, niczem innem, jak narzędziem do poruszenia mas, i w kraju ani w 1846 ani w 1848 roku nikt go się nie lękał. Rzeczywiście nie było między dwoma głównemi stronnictwami w emigracji żadnej przepaści niepodobnej do zapelnienia — podobne im istnieją we wszystkich krajach konstytucyjnych i tolerują się — ponderują — na wzajem, ale u nas miłość własna bardzo drażliwa — próżność dosyć ogólna pod różnemi formami — skłonność do egzageracyi we wszystkim i łatwowierność uprzedzająca z jaką przyjmujemy co tylko złego słyszymy o drugich, mięszają się do wszelkich sporów i przeradzają je w zażarte walki, a w emigracyi przyczyniło się do tego jeszcze rozdrażnienie ogólne, będące skutkiem nieszczęść wspólnych wszystkim i zmartwień prywatnych, od których żaden wychodzić nie był wolnym. To tłumaczy dla czego dwa stronnictwa emigracyjne, jednakimże patryotyzmem przejęte i zmierzające do jednegoż celu, tylko różnemi drogami, stały naprzeciw siebie przez lat kilkanaście jak dwa wrogie obozy, lecz historia ich kłótni nie wchodzi w zakres niniejszych wspomnień. Gdym przybył do Francyi kłótnie te zaczynały się już uciszać; odzywały się tylko echa dawnych zarzutów i jątrzyły się jeszcze rany

niesłusznie zadane, ale do napaści wzajemnych nie było już nietylko rzeczywistego powodu, ale nawet żadnego pretekstu. Oba stronnictwa znużone i mniej lub więcej rozczarowane bezskutecznością swoich zamysłów, zostały zaskoczone wypadkami, których ani one, ani nikt na świecie nie przewidywał. Była to wstępna doba tej ery zmian ogromnych tak w stosunkach międzynarodowych państw europejskich, jak i w ich organizacyi wewnętrznej, która dotąd się jeszcze przeciąga i zapewne nie prędko się skończy. Tę to dobę, pełną najświetniejszych dla nas nadziei, zakończonych jak zwykle smutnemi zawodami, pochwyliłem w przelocie, ażeby opisać jej wydarzenia o ile byłem ich świadkiem. Przerwałem moje opowiadania ażeby skreślić ogólny obrazek emigracyi, a dla wiernego odmalowania jej kół, kólek, koteryi i kategorii rozmaitych, również jak i jej osobistości wybitnych, musiałem częstokroć czynić wycieczki w dawniejsze lub późniejsze lata i moje spostrzeżenia własne z owego czasu uzupełnić postrzeżeniami 27 lat następnych, spędzonych w emigracyi; lecz nicią moją przewodnią jest rok 1848 i 1849. Do tej nici wracam ostatecznie.

Nadzieja nasza, oparta na węgierskiej sprawie, ostatnia z tych które nam zaświeciły gromadnie jakby promienna zorza w Marcu i Kwietniu, zdawała się już także bardzo blisko zgaśnięcia po zajęciu Pesztu przez Austryaków 4 Stycznia 1849 roku i cofnięciu się Węgrów za Cisę; ale upływały tygodnie i miesiące a nie było słychać o dalszych postępach Austryaków, co zdawało się niezłym znakiem podług francuskiego przysłowia „Point de nouvelles bonnes nouvelles.“ W rzeczy samej armia węgierska, na której czele stanął Dembiński, reor-

ganizowała się i wzmacniała za Cisą i na początku Marca dowiedzieliśmy się z gazet, że ją Dembiński wyprowadził na prawy brzeg téj rzeki na spotkanie Windischgrätza i że obie armie starły się 27 Lutego pod Kapolną. Dembiński zaraz za przyjazdem swoim do Debreczyna, rozpatrzywszy się w położeniu wojsk na szachownicy wojennej, przewidział był, że około tego punktu nastąpi walna bitwa i spodziewał się Austryaków zgnębić. Poczynił po temu najumiejętniejsze rozporządzenia i miał już prawie w ręku zwycięstwo, lecz mu je wytrąciło nieposłuszeństwo jenerałów węgierskich. Görgöi przez cały czas bitwy działał wprost na przekór jego rozkazom, a Aulich, inny jenerał węgierski, cofnął się samowolnie z naznaczonego mu stanowiska do pobliskiego lasu i schował się w nim z 9000 wojska. Adjutanci Dembińskiego, wysyłani jeden po drugim do niego, wyprowadzić go ztamtąd nie zdołali. Była to jakby cicha zmowa między tymi jenerałami, ażeby niemilego im wodza, dla tego że był cudzoziemcem, o klęskę przypisać. Dembiński cofnąć się musiał, lecz cofnął się w porządku i wrócił za Cisę. Wszystkie te szczegóły wykrył dopiero jenerał Bułharyn w dziele swoim o wojnie węgierskiej*); w czasie wojny wiedzieć o nich nie mogliśmy w Paryżu. Zasmuciliśmy się z przegranej Węgrów, zwłaszcza że ją gazety austriackie przedstawiały jako rozbitcie zupełne ich wojska, lecz niebawem pokazało się, że bitwa pod Kapolną żadnej korzyści nie przyniosła zwycięzcom, a wielce posłużyła zwyciężonym. W kilka dni bowiem później przyszła wiadomość, że Węgrzy pod dowództwem Damianicza zdobyli miasto Solnok z szacem

*) Rys wojny węgierskiej, str. 150 i dalsze.

przedmostowym na Cisie, a jak generał Bulharyn opowiada zabrali Austryakom ośm dział, mnóstwo amunicyi i bagażów i znieśli kilka pułków kawaleryi. Otóż Dembiński, ściągając na siebie wszystkie siły nieprzyjacielskie pod Kapolną, osiągnął był ten przynajmniej skutek, że ułatwił Damianiczowi zdobycie tak ważnego punktu strategicznego jakim był Solnok. Sam zaś cofnął się w takim porządku, że go Austryacy ścigać nie śmieli. Polacy odznaczyli się znakomicie w bitwie pod Solnokiem. Brygada, dowodzona przez Wysockiego, natenczas jeszcze podpułkownika, z dwoma kompaniami Polaków na czele, pierwsza rzuciła się do szturm, wzięła miasto bagnetami przy różnych polskich okrzykach, a szwadron ułanów polskich pod dowództwem Ponińskiego (dziś generała dywizyi w służbie włoskiej) rozbił do szczytu dywizion dragonów austryackich, przyczem zginął porucznik Rzepecki*). W końcu tegoż samego miesiąca, to jest 26, 27, 28 i 29 Marca, cała armia węgierska przeszła znowu Cisę pod Tisza-füred i od-tąd zaczyna się długa serya zwycięstw ze strony Węgrów. Dembiński już nie był ich wodzem; intrygi Görgöja wzięły były górę nad prostodusznością zbyt naiwną i częstokroć niezręczną polskiego wojaka; Koszuth odebrał mu dowództwo i powierzył je chytremu i ambitnemu młokosowi, który miał węgierską sprawę zabić — zaprzeczyć mu jednak nie można, że kampanię zaczępną rozpoczął w sposób świetny. 2 Kwietnia generał austryacki Schlik był pobity przez generała Gasparego pod Hatwan**). 4 Kwietnia ta-

*) Rys wojny węgierskiej, str. 201.

**) „Jeden pluton polski, powiada Bulharyn (ib. str. 226), rozsypany w tyraliery pod dowództwem porucznika Jagmin (który zgi-

kiż sam los spotkał Jelačyca pod Tapio-Biczko, stracił tam 1500 ludzi i ledwie ująć potrafił z resztą — zwycięzcą był Serb z pochodzenia, ale najdzielniejszy z jenerałów węgierskich, wyżej wymieniony Damianicz, a Polacy nie mało przyłożyli się i tym razem do zwycięstwa*). Dnia 6 Kwietnia tenże sam Damianicz poraził na głowę korpus Schlika i połączone z nim rozbitki Jelačyca pod Isaszeg — ubił im 4000 ludzi a przeszło 2000 wziął w niewolę. Książę Windischgrätz zatrwożony temi postęпами Węgrów, cofnął się z okolic nadcisańskich do Pesztu z główną armią; za nim postępował krok w krok Aułich i odciał od niego dwie brygady jenerałów Götzi i księcia Jabłonowskiego, które schroniły się do Wacowa na zachód Pesztu a tam przez połączone korpusy Damianicza Klapki i Gasparego prawie do szczętu zniesione zostały; jenerał Götz zginął — Polacy weszli pierwsi szturmem do Wacowa**). Książę Windischgrätz, bojąc się żeby nie był odcięty od Wiednia, nie długo się zatrzymał w Peszcie — przeszedł z całą siłą swoją na prawy brzeg Dunaju i począł się cofać ku austryackiej granicy; Aułich zajął opuszczoną węgierską stolicę, lecz której groziła z cytateli w Budzie silna pozostawiona tam załoga austriacka z potężną artylerią wałową.

Tak rzeczy stały w Węgrzech w środku Kwietnia 1849 r. Dzienniki austriackie osłaniały jak mogły postępy Węgrów, a przez nie tylko mieliśmy w Paryżu wia-

nał w ostatniej wojnie tureckiej) pod największym ogniem nieprzyjacielskim przez rozebrany most po belkach przeszedł i rzucając się na nieprzyjaciela walecznie, pięknie się odznaczył.“

*) Rys wojny węgierskiej, str. 228.

**) Ib. str. 235.

domości z teatru wojny, ale przyszła chwila że już ludzić publiczności dłużej nie mogły. Księżę Windischgrätz, ów generał, który stłumił był rewolucyą w Pradze a następnie groźniejszą jeszcze rewolucyą w Wiedniu i przez to ocalił monarchią, złożony został z naczelnego dowództwa nad armią i zastąpionym przez generała Weldena. To dało miarę klęsk, poniesionych przez Austryaków w ciągu dwóch tygodni.

Zachodziło pytanie, czy te powodzenia Węgrów posłużyć mogą naszej sprawie. Wiedząc że Dembiński już nie jest na czele wojska, miałem w tym względzie wielką wątpliwość, bo Dembiński był w oczach moich jedyną rękojmnią solidarności między Węgrami a Polakami; usposobienie nieprzychylnie Görgöja i innych generałów węgierskich było mi aż nadto dobrze znane, a obawiałem się, że oni opanują umysł Kossutha i krew polska przelewać się będzie na węgierskich polach bez użytku dla sprawy ojczystej. Dręczyła mnie ta myśl, bo i los tylu dzielnych młodzieńców, walczących w Węgrzech, jak najżywiej mnie obchodził i sam rzuciłem był cały byt mój na grę w téj sprawie. W tym czasie, długo oczekiwany Mierosławski przyjechał do Wersalu, co mi przyniosło, wyznaje to szczerze, wielką otuchę.

Wiadomo już czytelnikom, że Kossuth miał wysokie wyobrażenie o jego talentach wojskowych, niemniej jak o jego politycznych ideach, i że mi polecił dolożyć wszelkich starań, aby go do Węgier ściągnąć. Wprawdzie Mierosławski był wielkim hetmanem tylko w oczach demokratów — byłem jednak świadkiem, że się nauce strategii oddawał od lat niemal dziecinnych — czytałem jego obszerne dzieło o wojnie 1831 r. i wnosiłem, że jeżeli

sam armią dowodzić nie był w stanie, to przynajmniej dobrze radziłby potrafił mając potrzebne po temu stanowisko bądź w sztabie głównym węgierskim, bądź przy boku Kossutha; przytem przyznawano mu prawie powszechnie łatwą, płynną, przekonującą wymowę i dar ujmowania sobie ludzi kiedy tego chciał.

Mickiewicz pisze o nim w jednym ze swoich listów, kiedy jeszcze Mierosławski był mało znanym, że ma słabość do niego *). Podobną słabość do niego miał St. Marc Girardin, słynny profesor Sorbony i wielu innych ludzi wyższych, którym przypodobać się nie było łatwo. Sądzilem więc, że jeżeli zdecyduje się wybrać do Węgier, to prawdopodobnie przeważą wpływ generałów i ministrów węgierskich na Kossutha i potrafi dać wojnie takie rozmiary, aby sprawę polską mógł stanowczo w nią objąć. Ta idea tkwiła dosyć długo w mojej głowie; nim opowiem na czem się skończyła, skreślę w krótkości przeszłość tego człowieka, który w chwili, do której zaszedłem w mojem opowiadaniu, był bożyszczem naszej młodzieży i głośnym w całej Europie.

*) Oto co pisze o nim Mickiewicz do Bohdana Zaleskiego w roku 1839 (Koresp. Mickiewicza, t. I, str. 144):

„Ale, ale mam być u ciebie jutro we czwartek a pewnieć w piątek. Przybędę statkiem parowym; Goszczyński też pewno jedzie ze mną; biorę też z sobą Mazura Mierosławskiego, który bardzo chce ciebie poznać. Ja mam do niego słabość.... My już pokwasnieli, ten Mazur nam się przyda, bo jest okropny gawęda; tylko boję się, żebyś ty na niego nie krzywił się. Jeżeli nie zechcesz przed nim czytać, to go wyprawim won, już to sobie z góry zamówiłem. Możeby nie źle i jemu co przeczytać, ażeby na Mazura technąć lepszym wiatrem poetyckim; inaczej.... (nie kończy frazesu).“

XV.

Ludwik Mierosławski, syn adjutanta Davoust, którego pamiętam przy schyłku Konstantynowskich czasów pułkownikiem weteranów czynnych, urodził się we Francyi w 1812 roku, z matki Francuzki. Po upadku Napoleona przybył z rodzicami do kraju, następnie pobierał nauki w korpusie kadetów w Kaliszu, gdzie byłem z nim razem lat cztery. W ostatnim roku, nie wiem już jaki przypadek zbliżył mnie do niego i pomimo różnicy wieku, bo on miał lat 18 gdy ja nie miałem jeszcze 15, żyliśmy w przyjaźni, to jest chodziliśmy razem, gdyż w téj szkole wojskowej, trzymanej w całym rygorze Konstantynowskiej karności, jedyną rozrywką naszą, w rzadkich chwilach wolnych, było chodzić w kółko, grupami po dwóch, trzech, czterech, po dwóch smutnych dziedzińcach, pod dozorem służbowych oficerów i podoficerów wysłużonych, których nam przysyłano. Widzę jeszcze w pamięci te dziedzińce i dreszcz mnie przejmuje, gdy sobie przypominam owe godziny młodzieńczego wieku, któreśmy w nich przedeptali. Pierwszy z nich był zupełnym prawie czworobo-

kiem, którego bok jeden stanowił kościół niegdyś Jezuitów, dany ewangelikom za pruskich czasów. Do niego przystawiony był domek dla jednego oficera, a trzy inne boki tworzył gmach nasz, niegdyś klasztor Jezuitów*), wysoki, poważny, ponury. W jednym skrzydle były arkady, pod którymi przechodziło się do kaplicy, sali fechtunku i dwóch kóz, ciemnej i widnej. Między tem skrzydłem a kościołem było przejście, jakby szeroka cieśnina — z owego pierwszego dziedzińca, którego słońce nigdy nie ogrzewało i którego wszystkie kamienie i cegły w bruku dziśbył jeszcze wyliczył — do drugiego dziedzińca, gdzie się odbywały nasze musztry, manewry i parady; ten był trochę weselszy; zdołał go ładny pawilon, w którym na dole było mieszkanie naszego generała, na piętrze zaś pokoje dla Wielkiego Księcia gdy raczył do nas zawitać a czynił nam ten zaszczyt przynajmniej raz na rok. Dalej był ogród nasz w dole; trzeba było do niego po kilkunastu schodach zstępować; wpuszczano nas tam tylko w piękne dnie letnie, ażebyśmy patrzyli z daleka na drzewa pełne owoców, których nam nigdy prawie nie udzielano — były one dla generała i oficerów. Za ogrodem nad Prosną był cienisty park miasta, którego wspaniałe lipy i dęby, przenoszące ogromnie skromne jabłonie i grusze naszego ogrodu, stanowiły w tej stronie, w lecie, zieloną krawędź naszego widnokregu.

Po tych więc dziedzińcach, czasami w tym ogrodzie, czasami także na okopanym bloniu za Prosną, który jeszcze do zakładu naszego należał i przeznaczony był głównie na wielkie manewry, przechadzałem się podczas

*) Korpus kadetów w Kaliszu ufundowany był przez rząd pruski.

rekreacyi w roku szkolnym 1829 na 1830 z Mierosławskim i Szwajcarem, bratem belwederczyka, wraz z 224 kolegami, rozdzielonymi na nie wiem wiele grup. Każdy z nas trzech miał w tych wolnych chwilach umysł w inną stronę zwrócony; żadnemu wprawdzie nie przychodziło na myśl szukać przyszłości na innej drodze, jak w zawodzie wojskowym; byliśmy do tego zawodu nieodwołalnie przeznaczeni i z resztą wszyscy w korpusie kadetów — z małym bardzo wyjątkiem synowie żołnierzy — nawykliśmy byli od lat najmłodszych uważać go za jeden tylko na świecie zaszczytny i godzien ludzi z sercem, lecz pod tym mundurem wojskowym, z którym byliśmy skutkiem wychowania tak zrośnięci, że nie jeden byłby się powiesił, gdyby mu powiedziano, że będzie kiedyś chodził w surducie cywilusa, przebijały najrozmaitsze usposobienia naturalne. Między nami trzema Szwajcar kochał się w poezyi, czuł, rozumiał i nam dwom drugim dawał poznać piękności utworów przedwallenrodowskich Mićkiewicza. Ja, po przeczytaniu 4 tomu Pism rozmaitych Jana Śniadeckiego, które wraz z dziełami Krasickiego były w kurs między nami puszczone, zasmakowałem w psychologii — gwałtem chciało mi się wiedzieć co to jest dusza ludzka. Mierosławskiego zajmowały już od lat paru same tylko dzieła wojskowe; obfitowała w nie biblioteka nasza, ale trzeba było wielkich zachodów i wielkich protekcyi, ażeby takowe do przeczytania uzyskać. Mierosławski otrzymywał przez protekcję jednego z naszych profesorów wojskowych najważniejsze z nich, jako to: dzieło zbiorowe i klasyczne naówczas „*Victoires et conquêtes de l'armée française pendant la république et l'Empire*,” Strategią arcyksięcia Karola, Opisy wojen Fryde-

ryka II i księcia Eugeniusza, a co najdziwniejsza, pożyczono mu krążące w tajemnicy między oficerami litografowane dzieło Prądyńskiego pod tytułem Strategia, bez nazwiska autora. Był to wprost plan wyrozumowany powstania w Polsce i wojny przeciw Rosyi, któren i ja z łaski Mierosławskiego przeczytałem i wryłem je sobie w pamięć. Prądyński nauczał w niem jak formować kadry, nowe pulki zdolne w krótkim czasie iść na linią bojową, rezerwy i magazyny; dalej w treściwych zarysach kreślił geografję militarną Polski, czyli geografję uważaną jako szachownicę wojenną. Wskazywał jako punkt, od zajęcia którego podług jego rozumowań los wojny zależał, źródła Prypeci. Mierosławski wiele z tego dzieła wyciągnął, ażeby sobie wyrobić kryterium do sądzenia działań wojennych w r. 1831.

Ale to czytanie tak cheiwe dzieł, traktujących o wysokiej strategii, odrywało go od nauk najpotrzebniejszych wojskowemu, które stanowiły podstawę edukacyi w korpusie kadetów, to jest od matematyki, fortyfikacyi polowej i artyleryi. Był on zawsze uczniem miernym, żadnej nagrody nigdy nie otrzymał, i po skończeniu naszych czterech klas*) w Lipcu 1830 r. nie był wybrany do szkoły aplikacyjnój, tój pepimierzy wyższych oficerów, ale wyszedł jako podoficer do liniowego pułku. Marzył on jednak już na ławkach szkolnych, że będzie kiedyś wielkim hetmanem, nowym Napoleonem, „który błędów pierwszego

*) Właściwie było ich sześć. Dla tych, którzy przychodzili niedostatecznie przysposobieni do pierwszój, była przygotowawcza czyli podpierwsza — dla tych zaś, którzy z czwartój nie wychodzili do szkoły aplikacyjnój a byli zbyt młodzi żeby iść do pułków, była druga sekcya czwartój klasy z wyższemi naukami czyli rzeczywiście szóstą klasą.

nie popełni,“ jak to później słyszałem go mówiącego, lecz budował gmach swojej przyszłej wielkości zaczynając od dachu. Chciał dowodzić armiami, a nie był w stanie dobrze dowodzić plutonem na mustrze lub manewrach; regulaminu wcale nie znał, bo go w korpusie kadetów, nie wiem dla czego, nie wykładano, a zdaje się, że nawet później nie miał cierpliwości go się wyuczyć; żadnego szanśa usypaćby nie potrafił, a wszystko co się odnosi do artylerji, téj broni tak ważnej w dzisiejszych wojnach, było mu prawie obce. Co więc, nie miał, w sobie nic co odznacza zwykle natury wojskowe — nietylko że nie lubił nauk ścisłych, ćwiczeń ciała, szczegółów służby wojskowej i zgoła wszystkiego w czem upodobanie znajdują wojskowi z powołania, ale czynność, karność, porządek były wprost przeciwne jego naturze. Około niego samego było zawsze dosyć nieporządku i koledzy naśmiewali się z niego z tego względu. W charakterze jego była dziwna mieszanina — był tam pierwiastek francuski i pierwiastek polski, które się równoważyły tak że ani typ francuski ani typ polski w nim się zupełnie nie wyrobił. Płonącego patryotyzmu polskiego nigdy nie miał — przytłumiał go pociąg francuzki do lekkomyślnego szyderstwa ze wszystkiego. Umysł jego był bardzo pojętny, bystry, wyrażający się z wielką łatwością, skory do odpowiedzi dowcipnych, lecz nienawidzący pracy — lubiący tylko bujać po szczytach rzeczy na zbudowanych przez siebie balonach; przytem skłonny do przechwałek, do bonimentów, do blagi, wszakże bez żywości, lekkości, wesołości francuskiej, która téj blageryi służy za wymówkę. Ambicyą miał kolosalną, zarozumiałość bez granic a żadnej energii, nie nawet coby zapowiadało w nim rycerską odwagę. Nie wywierał też żadnego

wplywu na kolegów, coby trudno wytłómaczyć, gdyby to był rzeczywiście charakter wyższy, stworzony do przewożenia drugim. My, którzyśmy najściślej z nim żyli, lubiliśmy go dla jego łagodności, delikatności w obejściu, rozmowności i znajomości strategicznych, któremi nam imponował, opowiadając nam w sposób nader jasny i z pewnym artyzmem obroty wojenne wielkich wodzów. Pamiętam jak raz słowem jednym zbił z tropu szowinizm Szwajcara, który utrzymywał mordicus że to Kniaziewicz zwyciężył pod Hohenlinden. Mierosławski, nie mogąc go przekonać że tak nie było, zawołał w końcu: „Dobrze więc, Moreau dowodził a Kniaziewicz zwyciężył“ i tem usta zamknął swojemu przeciwnikowi. Ale i nas zrażał często zarozumiałością swęją, posuniętą aż do śmieszności, a więcęj jeszcze napadami wyuzdanego cynizmu, które zdawały się w sprzeczności z jego ustrojem zwyczajnym — były to echa z ojczyzny Rabelego, Pirona, Woltera, ale brzmiały jak fałszywy ton wśród naszych rozmów, ożywionych czystym młodzieńczym zapalem do rzeczy wzniosłych.

Zarozumiałość jego była taka, że się ośmielił raz wystąpić przed carem Mikołajem z projektem dziecinnym. Mikołaj, wracając z Berlina do Warszawy na sejm w roku 1830, raczył był wstąpić do nas. Czekali już na niego w naszym zakładzie wielcy książęta Konstanty i Michał — i wszyscy po odbytych przeglądzie zasiedli z nami do obiadu w wielkiej sali sklepionej, która niegdyś służyła Jezuitom za refektarz. Stolów tam było kilkanaście, car zajął miejsce przy jednym z nich w samym środku i szczególny traf zrządził, że miał za sąsiada Mierosławskiego. W czasie obiadu zadał mu kilka pytań — nie wiem już w jakim języku — między innemi spytał go co robimy w chwi-

lach wolnych. Mierosławski, który mówił po francusku jak rodowity Francuz, odpowiedział mu w tym języku, że chodzimy w kółko i nie więcej — lecz korzystając ze sposobności rozwinął przed nim *ex abrupto* projekt jakiejś gry wojennej, którą miał dawno w swojej głowie a później jeszcze i we Francyi z nią występował. Mikołaj słuchał jednym uchem, i gdy Mierosławski skończył, przed samym końcem skromnego naszego obiadu, samodzierca bąkał sobie pod nosem: „mleko;“ chciał bowiem, żebyśmy mleko jedli na śniadanie w dodatku do chleba z masłem, który nam dawano, i „gry wojenne“ — ale zapewne ani wiedział, co to za gry być miały. Po obiedzie otoczyliśmy gromadnie Mierosławskiego, ażeby się dowiedzieć, o czym tak długo prawił z carem. Rozczarowanie było wielkie, gdy nam powiedział, że chodziło tylko o gry wojenne. „Mialesz też nad czym się rozwodzić!“ odzywano się ze wszystkich stron; „kiedy ci już pozwolił gadać, to trzeba było przynajmniej powiedzieć mu, że my jedni z kadetów świata całego wychodzimy na podoficerów a nie na oficerów.“

Dolożę jeszcze jeden szczegół, charakteryzujący przysłego hetmana demokratów. Kadetem, młodzieniaszkiem 18letnim już spiskował, czując zapewne instynktowo, że tylko na podziemnych drogach spiskowania może dojść do téj władzy hetmańskiej o której marzył, ale plan jego bardzo skomplikowany i w Wallenrodowskim rodzaju — lubo Wallenrod nie był nam jeszcze znany — wcale nam nie przypadał. Chciał on, żeby część nas jedna wyszła do moskiewskiego wojska i zawiązała na nowo nie zerwaną 1825 roku. Owoż wszyscy prawie, zacząwszy od dorosłych aż do malców, gdyby nas kto dobrze zagrzal, by-

libyśmy poszli na Belweder, ale przywdziać mundur moskiewski i wypełniać między Moskalami jakieś apostołstwo rewolucyjne — na to heroizm nasz nie mógłby się zdobyć.

Mierosławski wyszedł, jak już nadmienilem, w końcu Lipca 1830 roku na podoficera do jednego z liniowych pułków, zdaje mi się 5go, i po wojnie 1831 r., w której nie dobił się i dobić nie mógł wyższej rangi jak podporucznika czy porucznika, wyszedł za granicę z wojskiem i przybył do Francyi ze starym ojcem, bratem młodszym Adamem i z jedną z sióstr swoich. Na wychodźstwie najprzód odezwała się w nim ta struna cyniczna, która nas tak zrażała w korpusie kadetów. Napisał i wydrukował — zdaje mi się jeszcze w zakładzie w Besançon — obrzydłe wierszydła Szuja i Czarna Maryna. Jeżeli chciał sobie tem zyskać popularność między wychodźcami, to się bardzo zawiódł. Wkrótce potem rozpoczął szereg prac o wojnie 1831 roku. W 1835 roku wydał *Tableau de la première époque de la révolution de Pologne* — w 1836 r. obszerniejsze dzieło jeszcze we francuskim języku *Histoire de la révolution de Pologne*, a następnie nagromadziwszy ogromną masę materyalów, których część dostarczył mu podobno Prądyński, zaczął swoją wielką pracę w ojczystym języku, która miała być wrzekomo dalszym ciągiem „Powstania narodu polskiego przez M. Mochnackiego“ i wyszła pod tymże samym tytułem — ale autor zapowiada z góry, że nie zgadza się z zapatrywaniami Mochnackiego w 2 tomie jego dzieła. Mierosławski był już wtenczas pod sztandarem demokracji i zmierzał do tego, ażeby ten sztandar w rękę swoją ująć a za mecenasa

miał, smutnej pamięci, Jana Leduchowskiego, który pracę jego swoim nakładem wydał w r. 1845. — Jest to dzieło rozwlekłe, technące namiętnością stronniczą, nacechowane spotęgowaną już do najwyższego stopnia zarozumiałością autora. Stawia się on jak mistrz w sztuce wojennej — z sądem nieomylnym — co krok wytyka błędy generałów i wskazuje co robić im należało a częstokroć między jedną a drugą stronnicą są sprzeczności takie, że co było błędem na jednej, pokazuje się ruchem usprawiedliwionym na drugiej. Styl jego to się podnosi do tonu epopei, to spada w trywialność. Jednak zaprzeczyć nie można, że są w temże dziele obrazy wspaniałe; takim jest geografia militarna Polski i takimi są niektóre opisy wielkich bitew — widać w nich wszystkie ruchy dwóch armii wrogich jak na dłoni, słyszać całą wrzawę bitwy, czuć proch a zapal walczących odbija się w stylu pisarza. Nic więcej porywającego n. p. jak opis bitwy pod Grochowem 25 Lutego, mianowicie chwili stanowczej, gdy dzielne pulki nasze wyparły Moskali z Olszyny. Prądyński „w uniesieniu artysty“ woła na grenadyerów: „Dzieci! jeszcze sto kroków naprzód a te działa wasze!“ a Chłopicki odpowiada: „jak doświadczenie odpowiada poezji“ niechaj przybywają natychmiast rezerwy! — Autor przytacza dla wytłómaczenia tego rozkazu правило, „że w bitwach równoległych ta sama masa nie może przesiągać pewnego zamachu i iść dalej niż ją rzucił pierwotny impuls“ — i wyciąga z tego pravidła wniosek: „Trzeba było, że tak się wysłowię, ażeby siekiera dokonała tego, co klin napoczął.“ Ale w pobliżu nie było innych rezerw jak część rozstrzelonego korpusu jazdy Łubieńskiego, a adjutanci Chłopickiego daremnie przybiegają do niego jeden po dru-

gim, nakazują, proszą, błagają żeby z czem ma biegł do Olszyny — Łubieński pod różnemi pozorami odmawia — w końcu, przyparty przez adjutantów, powiada, że Chłopicki dla niego jest niczem, że nie ruszy bez rozkazu na piśmie od Radziwiłła.

Teraz niech mi wolno będzie przytoczyć dosłownie dwa ustępy z opisu Mierosławskiego prawdziwie dramatyczne. „Znowuż tedy i prędzęj niż kolumny Chłopickiego i Skrzyneckiego zdołały rozpatrzeć się w swoim gorączkowym zapędzie, przeszło czterdzieści batalionów moskiewskich, jedne rozbite, drugie w kupkach tyralierskich, wiele oznajmujących się tylko przytomnością chorągwi, ale wszystkie zajmujące przestrzeń i szczelnie powiązane ogniwami ciąglęj kanonady, powtórna niejako rozpoczynają bitwę z wyżyn na równinę, z zakrytego obwodu do naszego środka. Przez pół godziny grenadyery i 4 pułk, stanowiące czoła kolumn Chłopickiego i Skrzyneckiego, wytrzymują pod Olszyną nlewę kul, granatów, kartaczów, ognie plutonów, ognie rot, ognie tłumów całych, na które regulamin nie wyszukał nazwiska — wszystko to w pragnieniu i pewności doczekania się zapowiedzianej rezerwy. Chłopicki obiega bojowisko na wszystkie strony, wyglądając jazdy Łubieńskiego; dwa konie pod nim ubito; sam w nogę postrzelony kartaczem, płaszcz jego popruty od kul karabinowych. Za nim, przed nim, w koło niego giną szeregi całemi — szefowie batalionów grenadyerskich i strzeleckich zapadli się prawie wszyscy w ziemię — a rezerwy jeszcze nie widać.“ Tu następuje opis postępów wojska moskiewskiego. Koniec zaś całego tego epizodu bitwy jest skreślony w ten sposób: „Bój cofnął się z równiny międzyłesnej i wre gwałtownym odwrotem po Olszynie.

Milberg i Skrzynecki, parci przez wszystkie rezerwy moskiewskie, cofnęli się za rów naczelny i zaledwie trzymają się za wewnętrznym. Już weterany, 8my i 20ty liniowy wybiegają na pole Wielkiego, a 2ga brygada strzelecka na pole Małego Grochowa. Grenadyery częścią garną się do 4go pułku w Olszynie, częścią znów ustępują po drodze Okuniewskiej. Chłopicki bieży nazad z pod słupa żelaznego, mniej ażeby wstrzymać odwrót Skrzyneckiego i Milberga jak żeby w odpustnej śmierci znaleźć schronienie przed okropnościami przewidzianej klęski. Zwycięzał jako wódz — umrzeć chce jako prosty żołnierz. Po drodze żadnego nie wydaje rozkazu; wymyka się swoim adjutantom; z obojętnością przelatuje bataliony Rolanda nadaremnie oczekujące jakiego przeznaczenia. Jak mijał baterie prawego skrzydła, granat pękł pod brzuchem jego konia i samego powalił o ziemię poszarpawszy mu obie nogi. Adjutanci zbiegli się około niego i niesionego na kosach odprowadzili na Pragę“*).

Podobnych obrazów jest kilka w dziele Mierosławskiego. Poglądy jego w głównych punktach oparte są na zasadach ścisłych jak formuły algebraiczne i przeciwstawione planom i działaniom jenerałów, a ogrom nagromadzonych przez niego szczegółów malowniczych lub charakterystycznych jest prawdziwie zadziwiający. Nie więc dziwnego, że dzieło jego niezmierne wrażenie sprawiło w emigracyi i zrobiło złudzenie, zwłaszcza między młodszymi emigrantami, że autor stworzony jest na wielkiego wodza. Muszę tu, uprzedzając dalsze opowiadania moje, przytoczyć zdanie, jakie mi o nim powiedział Heltman.

*) Powstanie Narodu Polskiego, str. 288, 291 i 292.

Siedzieliśmy, dwóch nas tylko, na trawniku w pięknym ale w owej chwili pustym zupełnie parku w Bad-Badenie. Odezwałem się do Heltmana: Jest tu nas dwóch tylko w tym niemieckim zakątku i Bóg trzeci z nami — powiedz mi więc szczerze, z ręką na sercu, co myślisz o Mierosławskim? Heltman odpowiedział mi: Kładę rękę na sercu i daję ci święte słowo honoru że Mierosławski jest podług mnie najpierwszym dziś generałem w Europie. Takie wyobrażenie o nim miała cała demokracja a na czele jej centralizacja. Po wyjściu dzieła Mierosławskiego, ci przywódcy demokracji powiedzieli sobie z wewnętrznym tryumfem: „Otóż mamy na koniec hetmana do kierowania zamierzonym powstaniem“ i jednogłośnie zamianowali go takim hetmanem. Szczególną jakąś łaską losu — został schwytany, uwięziony, sądzony, skazany na śmierć — ażeby być uwolnionym i w tryumfie niesionym przez lud berliński. W ciągu tych wypadków złudna jego sława rosła ciągle; obrona, jaką w swojej sprawie wypowiedział po francusku przed sądem, przejęła entuzjazmem dla niego całe Niemcy, a odwaga prawdziwa czy udana, jaką okazał, przyjmując bez żadnego odwołania się do łaski królewskiej wyrok skazujący go na śmierć, podniosła popularność jego między demokracją nie tylko niemiecką, ale w ogóle europejską do najwyższego stopnia. Stał się chwilowo jej bohaterem. Dowodzi tego tryumf jego w Berlinie, a następnie ta ufność, z jaką powoływano go wszędzie, gdzie tylko wybuchła rewolucja — w Sycylii, w Węgrzech, w Bałtyckim. Ale od chwili, gdy z dziedziny pióra i słowa przeszedł na pole czynów, zaczyna się jego upadek. W Wielkim Księstwie Poznańskim znalazł się jak student chelpliwy, junacki, nierozważny i zwichnął sprawę

polską, którą niespodziewane wypadki wprowadziły były na tak pomyślny tor; w Sycylii odegrał rolę Don Kiszota, a wojna badeńska strąciła go ostatecznie z tego piedestału, na którym go złudzona wyobraźnia demokratów postawiła.

Złudzeń tych nie podzielałem nigdy. Wprawdzie, nie raz słysząc tyle o nim, pomyślałem sobie, że może w ciągu wojny a następnie w emigracyi nabrał tych wiadomości poziomych, drobiazgowych, ale fundamentalnych w sztuce wojennej, na których mu zbywało, i że czas, okoliczności, doświadczenie wyrobiły w nim więcej mężkości, energii, decyzji i wszelkich zgoła cnót wojskowych, niżeli ich zapowiadał w pierwszej młodości — ale gdym się więcej zastanawiał i przypominał sobie dobrze naturę jego umysłu i głównejsze rysy jego charakteru, przypuszczenie to zupełnie się rozpraszało. Zresztą śmieszne jego wynalazki wojenne: kozły dla zasłaniania wrzekomo piechoty przed szarżami jazdy i barykady na kółkach na użytek tyralierów, któremi się zajmował jeszcze w 1848 r., dowodziły, że jedna strona jego umysłu została była błahą i dziecinną. Kozły te i barykady przypominały owe gry wojenne, któremi się zaprzętał w korpusie kadetów i uważał za tak ważne, że ośmielił się carowi o nich mówić. Pomimo tego miałem przekonanie i trwam w niem dotąd, że w sztabie głównym n. p. jako podszef sztabu, radziłoby dobrze potrafił — i że na Kossutha przeważnieby mógł być wpływać, gdyby się do tego zrećcznie wziął, jak to już mówiłem wyżej. Dla tego to pragnąłem bardzo nakłonić go do życzeń Kossutha i dowiedziawszy się o jego przyjeździe od młodszego brata jego Adama, także niegdyś kolegi mego w korpusie kadetów, wtenczas kapi-

tana w marynarce kupieckiej*), który przybywszy z Ludwikiem z Sycyli przyszedł niebawem mnie odwiedzić, wybrałem się nazajutrz do Wersalu.

Mierosławski mieszkał u jakiejś familii francuskiej, zaprzyjaźnionej z nim od dawna, czy też nawet spokrewnionej przez matkę. Urządzono mu mieszkanie na poddaszu i z francuskim gustem dekoracyjnym użytkowano pochyłość sufitu ażeby dać podobieństwo namiotu skromnej izdebce, która mu służyła zarazem za sypialnię i za salonik. Mierosławski przyjął mnie jak dawny kolega — szczerze i serdecznie. Mamże dla tego rzucić pióro i zataić cośmy mówili między sobą, a następnie i fakta których byłem świadkiem? Wstrzymywał mnie ten skrupuł lat trzydzieści lubo po wypadkach badeńskich zerwałem był zupełnie z Mierosławskim. Dziś przeszłość ta weszła w dziedzinę historyi i służyć może dla nauki nowych pokoleń — godzina więc podobnych skrupułów minęła a dla pisarzy, którzy z bliska patrzeli na wypadki ówczesne i ludzi grających w nich ważne role, świadczyć o nich podług sumienia jest niewątpliwie obowiązkiem wyższym nad wszelkie względy, wypływające z dawnych związków koleżeńskich — *Amicus Plato sed magis amica veritas*. Opowiem też bardzo krótko, ale wiernie, pierwszą rozmowę, jaką miałem z owym dawnym kolegą, tak głośnym wówczas na świecie.

*) Był to republikanin najczernerwieńszy i wielki zawadzak. Raz byłem z nim w teatrze *le Vaudeville* na przedstawieniu sztuki jakiejś antyrepublikańskiej; zaczął sam jeden gwizdać — publiczność krzyczała „za drzwi!“ — on w odpowiedzi rzucił czapkę swoją marynarską na publiczność wymyślając jęć od ostatnich słów; nareszcie policja go wyrzuciła za drzwi. W kilka lat po wypadkach, które opisuje, został zabity na morzu przez swoich majtków.

Po chwili, poświęconej wspólnym naszym wspomnieniom, gdyśmy przeszli do okoliczności świeższych, postrzegłem wnet, że Mierosławski w tem się tylko zmienił od czasów kadeckich, że dawna jego zarozumiałość i próżność wzrosły do kolosalnych rozmiarów. W korpusie kadetów był to wielki człowiek w zarodzie, w Wersalu był to już wielki człowiek w całej pełni swojego geniuszu, był duszą demokracji i jej mieczem — to jest za takiego się miał. „Centralizacya, mówił mi, służyła mi za piedestał, a dziś centralizacyą jestem ja — obracam tymi ludźmi jak lalkami i żaden z nich nie śmie w czemkolwiek mi się sprzeciwić.“ Mówił po części prawdę i ta pycha miała ton dosyć imponujący, ale efekt jej psuł jego mundur jenerała sycylijskiego, cały złotem szamerowany, rozpięty na krześle i czapka jeneralska, także sownie złotem galonowana, położona na stole. Były to okazy próżności studentkiej, boć przecie tego stroju nie myślał włożyć na siebie w Wersalu i o to mu tylko chodziło, ażeby go wszyscy widzieli, którzy przychodzą do niego.

Przystąpiłem do zlecenia, jakie mi dał Kossuth, lecz po pierwszych słowach moich odezwał się: „Ale cóż ja tam mam robić, kiedy tam już jest Dembiński?“ Dembiński, odrzekłem, był tam wezwany na wodza naczelnego, jako jenerał chlubnie już znany z 1831 r., jednak na tem stanowisku utrzymać się nie mógł dla tego, że jest obcym. Nie jest to więc dla cudzoziemca władza tak bardzo do pożądanego; Kossuth otwiera ci drogę skromniejszą ale pewniejszą: ofiaruje ci rangę pułkownika w sztabie głównym z upewnieniem że postąpisz wyżej — na szefa sztabu prawdopodobnie — jak tylko pokażesz swoje zdolności. Mierosławski wstrząsnął ramionami. Jakże chcesz, odrzekł, żebym

przyjął rangę pułkownika w Węgrzech, gdzie się przedzierać muszę przez największe trudności, kiedy mnie Badeńczycy tuż za Renem wzywają z entuzjazmem na wodza naczelnego, a wojsko badeńskie warte węgierskiego, bo jest tam 10,000 starego żołnierza, 60 armat i 20,000 ruchawki.

Lecz w Węgrzech, rzekłem, jest cel patryotyczny i najmniej 2000 Polaków pod narodową chorągwią.

Mają oni Bema, Dembińskiego, odparł Mierosławski, niech ich prowadzą. Mnie ci dwaj wielcy ludzie do niczego w Węgrzech nie dopuścili.

Skorzystałem ze wzmianki o Dembińskim, żeby go spytać, jak mógł powiedzieć o nim, że wyszedł z Warszawy jak zdrajca. . . .

Źle mnie zrozumiał Dembiński! wykrzyknął Mierosławski — ja nikogo ani w polskich, ani we francuskich moich pismach nie nazwałem zdrajcą — nawet Krukowieckiego, nawet Łubieńskiego. Frazes o Dembińskim nie dałem jako moje zdanie, lecz jako sposób widzenia stronnictwa ruchu i czynu w Warszawie. Powiedziałem w francuzkiej historyi powstania, że w oczach tego stronnictwa Dembiński wszedł do Warszawy jak zbawca, a wyszedł z niej jak zdrajca, ale nie dałem żadnego pozoru do przypuszczenia że i ja tak samo myślę.

Słuchaj więc Ludwiku, rzekłem, skoro ten wyraz zdrajca, który tak głęboko zranił starego Dembińskiego, nie wyszedł z twojego przekonania, sprawiedliwość i uczciwość wymagają, żebyś przy pierwszej sposobności zadeklarował to publicznie; Dembiński zaś kazał mi powiedzieć przez Barzykowskiego (właściwie powiedział mi to tylko Barzykowski), że jak odwołasz lub sprostujesz ten

obelżywy frazes, gotów jest resztę puścić w niepamięć, a jeżeli udasz się do Węgier, to ci objęcia swoje otworzy.

Ale mnie się ani śni, odrzekł, jechać do Węgier.

Wolisz więc hetmanic Sycylińczykom lub Badeńczykom, odezwalem się trochę gorzko. Pozwól mi jako starszemu koledze powiedzieć ci Ludwiku, że stanowisko jakie zająć zamierzasz wodza kosmopolitycznego wszelkich bezwzględnie rewolucyi, nie może ci sławy przyczynić. Dziwnie to nawet wydawać się będzie, że Mierosławski, przywódzca powstania polskiego w r. 1846, walczy za jedność niemiecką.

Co mi tam gadasz! zawołał niecierpliwie Mierosławski, alboż wiesz prawdziwy powód, dla którego włóczę się to do Sycylii, to nad Ren. Ja jeden go wiem; oto że mi potrzeba koniecznie praktyki wojennego rzemiosła, bo tego mi nie dostaje i ja to czuję. O co zaś chodzi Sycylińczykom, o co chodzi Badeńczykom, to mnie bardzo mało interesuje. Dają mi wojska, żebym nimi dowodził i to dla mnie szkoła — na tem mi dosyć.

Trudno mi było powstrzymać się od uśmiechu, bo mi przypominał Mierosławski młodych i niedoświadczonych chirurgów, którzy się wprawiają do operacyi in anima vili.

Dobrze to jest, rzekłem, tylko podczas gdy będziesz się wprawiał do hetmaństwa na Niemczech, minie chwila arcyważna i może niepowrotna, w której mógłbyś ogromne oddać usługi ojczyźnie i zarobić sobie na piękną, czystą, niezaprzeczoną sławę. Przedstawiłem mu obszernie stan rzeczy w Węgrzech, łączność sprawy węgierskiej z polską, przychylne usposobienie Kossutha dla Polaków w ogólności, dla niego w szczególności, szkodliwy wpływ na niego

w obecnej chwili jenerałów węgierskich, który udałoby mu się — jemu Mierosławskiemu — zapewne przeważyć, gdyby nad tem popracował; dalej świetne powodzenie Węgrów i prawdopodobieństwo wdania się w tę sprawę Moskali.

Mierosławski rozprawiał ze mną dosyć długo nad tem wszystkim; widocznie walczył sam z sobą, czy ma hetmaństwo badeńskie poświęcić czy nie? Miłość własna jego wzięła górę — to tylko otrzymałem od niego jako ostatnie słowo, że jeżeli Moskale wejdą do Węgier, to wtenczas zda dowództwo badeńskiego wojska Syblowi i puści się do Węgier jakąkolwiek drogą.

W kilka dni potem, w ciągu których jeszcze parę razy widziałem go w Paryżu i w Wersalu, pojechał do Badeńczyków, ja zaś śledziłem pilnie obroty Węgrów, o których otrzymywaliśmy w Paryżu wiadomości coraz pewniejsze i coraz więcej szczegółowe — Wysocki już mógł nawet przysyłać relacye z teatru wojny do Gazety Polskiej w Poznaniu.

Przerwałem krótkie opowiadanie moje o węgierskiej wojnie na wzięciu Wacowa i odwołaniu Windischgrätza. Jenerał Welden, który go zastąpił, skoncentrował wszystkie siły, jakimi mógł rozrządzać, a nie wynosiły więcej nad 25,000 wojska podług Bulharyna, na prawym brzegu rzeki Gran. Mosty na tej rzeczce były popalone, Węgrzy bardzo mało mieli pontonierów i postawienie nowych mostów wiele im czasu zajęło. Dnia 18 Kwietnia nakoniec trzy korpusy węgierskie przeszły rzekę Gran; dwa z nich, to jest korpusy Klapki i Damianicza, uderzyły 19go na armią Weldena pod Nowym Sarlo i rozbiły ją, a jenerał Gaspary, który z trzecim korpusem przeszedł rzekę

poniżej, zastąpił uciekającym drogę i dokonał zupełnego zwycięstwa; niedobitki jednak zdołały ująć przez most pod Granem na prawy brzeg Dunaju i nie zatrzymując się dla spalenia mostu za sobą, biegły w nieładzie dalej. Nie oparły się aż pod Raab. Austriacy stracili pod Nowym Sarlo 2000 ludzi w zabitych, 6000 zaś wzięto w niewolę*) W tej bitwie Wysocki dowodził dywizją a Polacy, jak zwykle, walczyli jak bohaterzy. Görgöi nie ścigał Weldena, co mu Bułharyn za błąd poczytuje, ale poszedł na odsiecz twierdzy Komorn, obleganey przez Austryaków. Mieli oni w posiadaniu swoim wzgórze na prawym brzegu Dunaju, zwane Piaskową górą, panujące nad szanćem przedmostowym Komorna, ale mostu na Dunaju nie było; Görgöi musiał go postawić pod ogniem nieprzyjaciela — przeszedł ten most 26 Kwietnia, zdobył Piaskową górę i laszek, w którym Austriacy mieli wszystkie narzędzia oblężnicze, lecz w tem zjawił się nagle nowy nieprzyjaciel. Był to generał Schlick, który cofając się z Pesztu, trafił na bitwę pod Komornem i uderzył na prawe skrzydło armii węgierskiej. Bitwa rozpoczęła się na nowo — skończyła się klęską Schlicka — Austriacy stracili w ogóle w tym dniu w poległych i wziętych w niewolę 3000 ludzi, 10 dział i wszystkie narzędzia oblężnicze z ogromnym zapasem amunicyi, a Komorn, w którym była załoga z 10,000 ludzi, został oswobodzony od nieprzyjaciela. Görgöi stanął wtenczas na najwyższym szczyblu swojej karyery, lecz okoliczności ogromnie go przerastały. Miał on drogę otwartą do Wiednia, a opanowawszy tę stolicę, miałby być w ręku los monarchii austryackiej

*) Bułharyn. Rys wojny węgierskiej, str. 239.

i w następstwie los całej wschodniej Europy. Zdaje się nawet że ta perspektywa ukazała się na chwilę przed jego oczyma. Po zwycięztwie pod Komornem ruszył śmiało za Austryakami w kierunku Raab; Jeneral Welden przerażony, opuścił, silną z natury i umocnioną fortyfikacyami pozycyą pod tem miastem, i cofnął się pod Presburg. Tymczasem Görgöi, namyśliwszy się w drodze, wrócił do Komorna, a z Komorna z całą prawie armią swoją z 45,000 ludzi wyruszył ku Budzie prawym brzegiem Dunaju. Buda, jak wiadomo dawna stolica Węgier, wznosi się naprzeciw Pesztu, przedzielona od niego Dunajem. Miasto było w posiadaniu Węgrów, ale załoga austriacka zajmowała starożytną cytadelę zamkową, którą dowodzący w niej jeneral Hentzy na prędko umocnił był wałem i palisadami. Görgöi stanął pod murami téj cytadeli 5 Maja i wezwał jenerala Hentzy o poddanie się. Jeneral austriacki odmówił w sposób rycerski i tem ocalił monarchię Habsburgów. Görgöi stracił dwa tygodnie czasu na obleganiu téj cytadeli, gdyż musiał sprowadzać działa oblężnicze z Komorna i wystawił miasto Peszt na srogie bombardowanie, w którym pięćdziesiąt najpiękniejszych gmachów splonęło a cała ludność wyniosła się była do pobliskiego miasteczka, gdzie największa część musiała obozować pod gołym niebem. Zdobył nakoniec Görgöi cytadelę zamkową 20 Maja, znalazł w niej wielkie lupy i zabrał 3500 niewolników. Obrońca cytadeli J. Hentzy zginął. — Komitet obrony krajowej, z Kossuthem na czele, wysłał do zwycięzcy deputacyę z orderem węgierskim nowo ustanowionym pierwszój klasy, lecz cały ten tryumf drogo był opłacony. Görgöi wrócił pod Komorn dopiero w końcu Maja, gdy już armia austriacka była wzmożona posiłkami z Włoch do 50,000 ludzi — armia węgier-

ska wynosiła wprawdzie 137,000 ludzi z 400 działami*), ale rozrzucona była na całej przestrzeni Węgier i Görgöi miał znowu tylko 45,000 ludzi pod ręką. Nie było więc z czem iść na Wiedeń, a co gorsza, w ciągu tych czterech tygodni, użytych przez Görgöja na wzięcie Budy jako też na marsze z Komorna pod to miasto i powrót do Komorna, rząd austriacki wszedł był w układy z Rosyą o interwencyą jej w Węgrzech. Na początku Czerwca przygotowania armii rosyjskiej w Królestwie Kongresowem do wyprawy na pomoc Austrii były tak widoczne, że wszystkie dzienniki europejskie o tem mówiły. Dla nas, we Francyi, nie była to, przyznać muszę, nowina nieprzyjemna, zwłaszcza że wiedzieliśmy, iż Dembiński wstąpił na powrót do czynnej służby w Węgrzech, że dowodził korpusem do którego należał legion polski i że nalegał na Kossutha i Görgöja, aby mu pozwolili z tym korpusem wejść do Galicji. Gazeta Polska poznańska z 2 Maja zawierała pismo Wysockiego, który dawał w tym względzie obszernie wyjaśnienia i powiadał, że jest przeciwnym wkroczeniu korpusu węgierskiego do Galicji póki formacya legionu polskiego nie będzie ukończona, ale zapewniał, że tą formacyą czynnie się zajmuje.

Zbliżała się więc kryzys stanowcza w sprawie węgierskiej, która i polską sprawę poruszyć miała. Tymczasem w Badeńskim Mierosławskiemu wcale się nie wiodło. Z początku pisywał do dziennika *le Siècle* relacye ze swojej kampanii i chełpił się z różnych małych sukcesów, czasem w sposób cyniczny, gdyż ta struna odzywała się na nieszczęście zbyt często u niego, i tak raz zdając

*) Rys wojny węgierskiej, str. 246.

rachunek z pieniędzy, które przeszły przez jego ręce na koszt wojenne, i strat jakie zadał Prusakom, dowodził, że sprząta Prusaków za tanie pieniądze — tyle za każdego. Pamiętam, że *Journal des Debats* powstał z oburzeniem na przechwałki tak brutalskie. Pomimo jednak owych gloszonych przez niego sukcesów i ekonomicznego zabijania Prusaków, pokazało się, że się ciągle cofa i nakoniec przyszła wiadomość, że został rozbity pod Waghäusel. Pomyślałem sobie, że chwila przyszła przypomnieć mu jego przyrzeczenia; zarazem pod wpływem świeżych wypadków w Węgrzech wyklął się w głowie mój projekt, który zdawał mi się płodnym w rezultaty i podobnym do wykonania. Był następujący:

Miedzy W. Księstwem Badeńskim a Tyrolem austryackim po nad brzegami jeziora Boden (*lac de Constance*) jest najwięcej pięć mil niemieckich przedziału; są to terytorya wyrtembergskie i bawarskie; pierwsze przytyka do jeziora klinem nie szerszym nad 4 mile, drugie daleko węższym jeszcze klinem, bo zaledwie na milę jedną szerokim — oba przebyć można jedną nocą marszem forsonym. Owoż myślą moją było naklonić Mieroslawskiego, ażeby, gdy sprawa badeńska już tak prawie jak stracona, wziął ze starego wojska badeńskiego 6 lub 8 tysięcy ochotników, całą artylerją jeżeli można, zapasów ile się wzięść da i ruszył z takim korpusikiem przez te dwa kliny do Tyrolu, nie uważając na zgwałcenie prawa narodów i inne dyplomatyczne trudności, które nas mało obchodziły. Co zaś do wojska badeńskiego liczyłem na to, że mu się ten projekt podoba. Bunt to wojska był początkiem rewolucyi badeńskiej i żołnierze mogli byli być pewni, że im to gładko nie ujdzie, jeżeli książę ich wróci

do władzy. Nie mieliby przeto nic do stracenia puszczając się na awanturniczą wyprawę do Tyrolu, i w rzeczy samej przekonałem się później naocznie, że byli do wszystkiego gotowi, byle nie wrócić pod panowanie swojego księcia.

Przejęty tą myślą postanowiłem jechać bezzwłocznie w Badeńskie i w razie potrzeby zostać przy Mierosławskim aż do chwili stanowczej, w której nie pozostanie mu inna alternatywa jak wrócić ze wstydem do Francyi — po drugiej a nawet trzeciej niendanей donkiszockiej wyprawie — albo ratować swoją sławę rzucając się zuchwale w góry Tyrolskie na tyły armii austryackiej ażeby podać rękę Węgrom i Polakom. W razie jednak gdyby mi się nie udało nakłonić go do tego ostatniego planu — a miałem wewnętrzne przekonanie że mi się nie uda — byłem zdecydowany wrócić sam do Węgier, tylko nie miałem wielkiej ochoty przedzierać się znowu przez kordony pruskie i austryackie, umyśliłem puścić się morzem do Konstantynopola a ztamtąd przez Wołoszczyznę do Temeszwaru. Droga była wprawdzie długa, ale nie wiele zależało nikomu na tem, czy trochę wcześniej, czy trochę później przyjadę na teatr wojny — nie przynosząc Węgrom wysokich zdolności wojskowych, lecz tylko ramię żołnierza. — Droga morska miała dla mnie jeszcze tę korzyść, iż byłem prawie pewnym, że mi rząd piemoncki ułatwi przeprawę, jeżeli się zgłoszę do niego z dobrą rekomendacją. W tym celu udałem się do księcia Adama Czartoryskiego i do Alex. Walewskiego. Jeden i drugi udzielili mi jak najchętniej rekomendacyi, książę Czartoryski do Józefa Sobolewskiego, Alex. Walewski do posła francuskiego w Turynie pana Bois le Comte. Ani jednemu ani drugiemu nie

wyjawilem mojego awanturniczego planu, bo o takich planach mówić można tylko po skutku pomyślnym — inaczej wydają się szaleństwem. Uważałem jednak że książę Czartoryski był zamierzoną interwencją moskiewską bardzo zaniepokojony. Nie wróżył nic dobrego i bardzo ganił Görgöja — tak jak wszyscy ludzie, którzy się temi wypadkami interesowali — iż zamiast iść na Wiedeń po zwycięztwie pod Komornem zwrócił się był pod Budę i stracił sposobność wzięcia austriackiej stolicy. Władysław Zamoyski miał więcej otuchy; widziałem go wybierającego się do Węgier przez Konstantynopol. Widziałem także przed wyjazdem Telekiego — ale znalazłszy go w tymże samym sceptyzmie i epikureizmie jak za przybyciem moim do Paryża — mówiłem z nim mało bardzo o węgierskiej a obszernie o innéj sprawie. Miałem w hotelu sąsiadkę Moskiewkę, pod polskiem, nawet bardzo arystokratycznym nazwiskiem — nie wiem jakim sposobem zabłąkanem w głąb Rosyi — którą pianista Liszt uwięził był z Charkowa od męża i dzieci i zostawił na koszu nad Renem. Ona snąć nie lubiła Niemców i wyrwała się do Paryża, gdzie się zgłosiła do Telekiego, ażeby nawrócić do niej niewiernego. Teleki nie miał zbyt czulego serca i nieszczęsna musiała drogo okupić obietnicę protekcyi, która na niczem spelzła. Była już podwójną Ariadną, gdy w łoży odźwiernego spostrzegła pod moim kluczem bilet wizytowy Telekiego. Nuż w prośby do mnie, żebym jęj choć Telekiego zwrócił. Nie przyrzekłem jęj tego bynajmniej, lecz będąc u ambasadora węgierskiego i widząc że ziewa gdym zaczął z nim o wypadkach węgierskich mówić, wprowadziłem sprawę owéj moskiewskiej Ariadny. Wydawało mi się to zabawnem. Rzeczywiście Teleki się po-

ruszył, uniewinniał się, oskarżał Ariadnę i w końcu zarzucił mi, że zapewne każę sobie moje adwokatowanie taką samą ceną opłacać jak on swoją obietnicę protekcyi. Odpowiedziałem mu, śmiejąc się, że nie jestem ambasadorem węgierskim, abym na taką grubą zwierzynę polował... i na tem skończyła się moja konferencya dyplomatyczna.

Wyjechałem z Paryża 14 Czerwca. Pamiętam tę datę, bo w przeddzień była — z powodu wyprawy do Rzymu — tłumna manifestacya, którą wojsko rozpedziło; a cholera tak silnie grasowała w stolicy francuskiej, że kawalerya rozstawiona wzdłuż Bulwarów, przeciąwszy komunikacyę między jedną a drugą stroną téj głównej arteryi paryskiej, wstrzymała na wszystkich poprzecznych ulicach pogrzeby, a na nie jednej kilka pogrzebów; co nie przeszkodziło Paryżanom manifestować.

W Badeńskiem zatrzymałem się naprzód w Bad-Badenie, gdzie wiedziałem że jest Heltman, i od niego spodziewałem się dowiedzieć, gdzie mam szukać Mierosławskiego — ale i on nie wiedział co się z nim dzieje. Musiałem więc czekać na jakąś wiadomość o wodzu i wojsku badeńskiem i przebawiłem parę dni z Heltmanem w Bad-Badenie. Heltman był to charakter idealny — poeta w czynie — ale tem samem więcej szkodliwy niż użyteczny. Żył ciągłemi złudzeniami i drugich w nie pociągał atrakcyą jaką umysł i charakter jego wywierały na dusze skłonne do entuzjazmu. Długo kierował on całą demokracją jako prezes centralizacyi, przytem był najobfitszym i najcelniejszym z demokratycznych pisarzy. Styl jego czysty i gładki płynął szerokiem korytem jak rzeka, a gdzie trzeba było bohaterskich poświęceń tam on biegł

pierwszy, jakby poświęcenia były jego specjalnością. Nie wiem wiele razy był emisaryuszem w najrozmaitszych częściach Polski, ażeby przygotowywać to powstanie mas, które było jego marzeniem. Zresztą był skromnym, słodkim i ufnym jak dziecko. Przytoczyłem wyżej zdanie jego o Mierosławskim — podobnież wierzył we wszystkich swoich współdziałaczy i swoich przyjaciół, każdego brał za co się dawał, a zawody jego zacząć się miały dopiero od Mierosławskiego.

Po dwóch czy trzech dniach oczekiwania przywiózł nam nakoniec inny centralizator, Krzyżanowski, nowiny od Mierosławskiego. Przyjechał on z Karlsruhe i doniósł nam, że przybył tam tegoż samego dnia rankiem Adam Mierosławski, który bratu swojemu Ludwikowi ciągle towarzyszył. Zostawił on go w marszu o parę etapów od Karlsruhe z całą prawie armią badeńską na nowo po rozbiciu zgromadzoną — i powiadał że Ludwik dąży do stolicy badeńskiej, gdzie przykazał, ażeby czekała na niego formująca się kompania polska, złożona z 200 młodzieży z nowej emigracyi — Adam zaś Mierosławski ma się zająć umocnieniem na przedzie tego miasta.

Podług tych nowin nie mnie bardzo nie nagliło do wyjazdu z Bad-Badenu, a miałem interes wyrozumieć tych dwóch centralizatorów jakby im przypadł mój projekt. Przepędziłem więc resztę dnia z nimi. Skreśliłem już sylwetkę Heltmana, Krzyżanowski był zupełnie odmiennym człowiekiem. Po długiej rozmowie można było poznać, że ani uczuciem, ani wyobraźnią się nie rządzi, że to charakter umiarkowany, wytrawny, ale pozytywny i energiczny. Był on delegatem centralizacyi przy rządzie rewolu-

cyjnym badeńskim a centralizacya wiedziała kogo wybrała. Krzyżanowski, mówiący doskonale po niemiecku i obznajmiony ze stóśunkami niemieckimi, wychodził z wielkim taktem z adwokatami składającymi ów rząd i każde zdanie jego miało u nich wielką wagę, jak się później o tem przekonałem. Heltman przyłączył się wnet z entuzjazmem do mojego projektu, Krzyżanowski zaś był mu zrazu zupełnie przeciwny. Utrzymywał on, że Mierosławski ma takie zobowiązania względem Badeńczyków, iż mu honor nie pozwala odstąpić ich sprawy, a zwłaszcza też zabierać im najlepszą część wojska, ażeby je dla innéj sprawy użyć — że to byłoby wprost zdradą. Wyjaśniłem mu, że nie chodzi tu bynajmniej o to, żeby to natychmiast uczynił i bez wiedzy rządu. Niech Mierosławski, rzekłem, próbnje jeszcze szczęścia póki się nie przekona i póki rząd badeński także się nie przekona, że dłuższa walka doprowadzić może tylko do ogromnéj klęski lub poddania się na łaskę i niełaskę Prusaków. Wiem ja, że Mierosławski mógłby się trzymać długo w Czarnéj puszczy, gdyby miał podostatkiem żywności i amunicyi, ale prawdopodobnie zabraknie mu prędko tego wszystkiego i wojsko mu się rozprzęgnie pod ręką. Czyż nie lepiej więc, nim do téj ostateczności przyjdzie, zastanowić się dobrze jakby jój uniknąć. Owoż zdaje mi się, że projekt podany przeze mnie jest nawet ze stanowiska badeńskiego najpraktyczniejszym i najzaszczytniejszym po temu środkiem. Rzucając się na tyły armii austryackiéj ażeby współdziałać z Węgrami, korpus ochotniczy badeński walczyć nie przestanie za sprawę jedności niemieckiej, z większą nadzieją skutku niż w tym zakątku Niemiec, gdzie Badeńczyków prą tak przeważną siłą Prusacy. Rewolucya badeńska

mogła się tylko w takim razie udać, gdyby pociągnęła była w tenże sam wir Württemberg, Bawaryą, male państwa niemieckie a w końcu i Prusy, ale Badeńczycy walczą samotnie przeciw całej potędze pruskiej i niezawodnie sami jedności niemieckiej nie wywalczą — ulegną nie dziś to jutro. W państwie anstryackiem zaś znajdują sprzymierzeńców w Czechach, Węgrach, Polakach, Niemcach wiedeńskich, Włochach, a jeżeli Moskale wkroczą do Węgier, to wszystkie kwestye europejskie ześrodkują się w obrębie tego państwa. Krzyżanowski zaczął się chwiać; pokazałom mu wtenczas na karcie geograficznej jak łatwe jest przejście z Badeńskiego do Tyrolu; dowodziłem, że żywność i amunicyę można nawet przewieść jeziorem Boden na brzeg tyrolski w okolice Bregenzy, a Tyrol, rzekłem, ogolcony jest z anstryackiego wojska; tam więc Badeńczycy rozgospodarować się będą mogli, rekwirować co im potrzeba i posuwać się w kierunku jaki wypadki wskażą — w najgorszym zaś razie cofnąć się do Szwajcaryi. Przy pomocy karty dokonałem przekonania Krzyżanowskiego. „Będę ja o tem mówił, rzekł, z ministrami badeńskimi — od razu wszystkiego nie powiem — po słówku rzecz wprowadzę i o wszystkim wam doniosę.“

Nazajutrz po téj rozmowie byłem w Karlsruhe. Adam Mierosławski rządził tam jak gubernator moskiewski w zdobytem mieście; napędzał całą ludność do sypania szafców, kłął i wymyślał po francusku, a spokojni mieszczanie — przeklinający w duszy rewolucyą — drżeli przed nim. Kompania ochotników z młodej emigracyi, która się znajdowała w Karlsruhe, była w oplakanym stanie, wszyscy w bluzach obdartych i zgłodniiali, bo nikt się nimi nie zajmował a oni nie wiedzieli do kogo się odwo-

łać*). Wszyscy nie bawiliśmy długo w stolicy badeńskiej, bo drugiego czy trzeciego dnia przyszła wiadomość od Ludwika Mierosławskiego, że przybył z wojskiem do Rastadtu ominąwszy Karlsruhe, której bronić nie myśli. Podążyliśmy za nim a rząd rewolucyjny przeniósł się do Freiburga.

Ludwik Mierosławski zdziwił się nie mało, gdy mnie zobaczył. Powiedziałem mu, że przyjechałem z Francji, aby być z nim aż do chwili, w której sam osądzi, że sprawa badeńska stracona a sprawa polska się podnosi w Węgrzech. Prosił mnie o szczegóły wypadków jakie zaszły w Węgrzech, bo dawno już żadnej gazety nie miał w ręku. Opowiedziałem mu zwycięstwa jenerałów węgierskich, plan Dembińskiego wkroczenia do Galicji i wszystko co mówią o przyszłej interwencji moskiewskiej. Chciałem go wybadać co myśli począć, ale nic innego wydobyć z niego nie mogłem, jak fanfaronadę i błagę. Sądzićby można było, że był najpewniejszym zwycięstwa. W końcu rzekł mi: kiedy już tu przyjechałeś, zostań przy mnie, będziesz moim adjutantem. Zgodziłem się na to, lubo rola ta wydawała się komiczną w własnych moich oczach, ale chciałem popracować jeszcze nad Mierosławskim, a liczyłem na poparcie ze strony Heltmana, Krzyżanowskiego i otaczających go Polaków. Przywdziałem więc mundur adjutanta jenerała Mierosławskiego i o mało drogo tego nie opłaciłem, jak to opowiem dalej.

W Rastadzie upłynęło mi kilka dni jak na zabawie, o Prusakach nie było słyhać, a sztab główny obsadzony

*) Był między nimi młody jeden Fredro, syn Maksymiliana, bardzo dobrze wychowany i utalentowany młodzieniec; umarł na suchoty w Szwajcaryi

był samymi tylko Polakami, dla których te dni wolne od biedy były prawdziwemi wakacyami. Był tam Chrystowski, kolega Mierosławskiego w centralizacyi, Służalski, ów faworyt Mićkiewicza, o którym mówiłem dawniej, Żurkowski, doktor, który na Mierosławskiego największy wpływ wywierał i kilkunastu innych w najrozmaitszych mundurach, bo każdy sobie wybierał taki jaki mu się podobał, tylko wszyscy brali wzory z wojska Konstantynowskiego. W fortecy i w wojsku panowała niesłychana anarchia. Mierosławski zachował był szwadron dragonów gwardyi książęcej, który był najprzeciwiejszym ruchowi rewolucyjnemu. W czasie odwrotu Mierosławskiego reszta tego pułku i dwa inne także dragonów były pod dowództwem pocziwego generała naszego Szneidera, napadli na niego, pobili go nie miłosiernie i poranili tak, że musiano go odwieść do Francyi a dragoni przeszli do Prusaków pod Waghäusel. Mierosławski jednak zatrzymał przy sobie pozostały szwadron dragonów, ażeby mu tworzył orszak na przeglądach i paradach, lecz obawiając się losu Szneidera, uformował z Polaków z młodziej emigracyi swoją straż przyboczną i kazał im sypiać z bronią na korytarzach kwatery głównej. Artylerzyści mieli podobnie przywilój bezkarności, wieszali bez sądu różnych podejrzanych im ludzi w Rastadzie. Jednego dnia powiesili rano szewca dla tego, że był Prusakiem, lubo od trzydziestu lat osiadłym w tem mieście; wieczor powiesili innego mieszkańca, którego podejrzywali o szpiegostwo. Mówiłem o tem z oburzeniem Mierosławskiemu: „Rastadt, rzekłem, stanie się niebawem jaskinią rozbójników.“ „Ech! wykrzyknął Mierosławski, moim artylerzystom wszystko wolno!“

Tolerować wszystko żołnierzom było rzeczywiście koniecznością jego sytuacji. — Gdyby był chciał zaprowa-

dzić porządek, karność, sądy wojenne — i gdyby jednego tylko żołnierza rozstrzelano, całe to buntownicze wojsko byłoby rzuciło się na niego i rozszarpało go. — Pod taką grozą nie mógł lub nie śmiał inaczej go uorganizować, jak na sposób radykalnie-demokratyczny. Żołnierze wybierali sami sobie podoficerów i oficerów niższych. Wyższych tylko on mianował ale jak widzieliśmy na przykładzie jenerała Szejdera nie szło to w smak żołdactwu. Stare wojsko Badeńskie było wprawdzie tak wyćwiczone — mianowicie artylerya — że żołnierze sami wiedzieli co czynić i umieli się poznać na zdolniejszych kolegach, ale ruchawkę ani podobna było prowadzić w kupie, a Mierosławski nie korzystał nawet z kilku dni wolnych żeby tę holotę trochę przemusztrować.

Miałże on jaki plan strategiczny w tej awanturniczej kampanii? Mogę śmiało powiedzieć — opierając się na zdaniu jednomyślnym zebranej później rady wojennej — żadnego. Cała jego strategia polegała na ciągłym cofaniu się przed Prusakami, któremi dowodził następca tronu dzisiejszy cesarz Wilhelm, ostrzeliwał się tylko gdzie na to była sposobna pozycja dla ocalenia honoru. W Rastadtzie ani myślał się bronić; było to widoczne, dla najmniej znającego się na sztuce wojennej. Rastadt była to forteca nie ukończona, nie uzbrojona, bez żadnych zapasów, a przed szaniami w jednej stronie ciągnął się szeroko dosyć gęsty las, który mógł doskonale zasłaniać ruchy nieprzyjaciela. Wszyscy w okolo Mierosławskiego radzili mu żeby ten las spalili — on tego nie chciał; co było najoczywistszym dowodem, że ma zamiar Rastadt opuścić za pojawieniem się Prusaków. Kazał tylko wystawić za laskiem baterią z faszyn i z ziemi, za tą zasłoną

umieścił kilka dział a za nimi posterunek starój piechoty. Podobnych posterunków postawił kilka w okolo fortecy i na tém się ograniczały jego przygotowania do przyjęcia Prusaków.

Zmiarkowawszy jego myśl, raz gdy był sam w swoim gabinecie zbliżyłem się do niego i przedstawiłem mu projekt z jakim udałem się za nim w Badeńskie. Powtórzyłem mu wszystko com powiedział Heltmanowi i Krzyżanowskiemu popierając moje argumenta, podobnie jak to uczyniłem z niemi, skazówkami na karcie geograficznój; starałem się poruszyć jego patryotyzm, jego ambicję, jego uczucie honoru wojskowego, któren mógł w ten sposób ocalić, ale słuchał mnie dosyć obojętnie i w końcu odpowiedział, że żadnój decyzji pod tym względem powziąć nie może, nim się raz jeszcze z Prusakami nie zmierzy mając nadzieję, że weźmie odwet. Trzeba było więc jeszcze czekać na tę próbę stanowczą i nie czekałem długo. W parę dni potém okolo południa, podczas gdy Mieroslawski z częścią sztabu swojego objeżdżał posterunki a ja tylko i Chrystowski byliśmy w kwaterze głównej, zagrmiały działa za laskiem. Kanonada była silna i przedłużała się. W krótce przybiegł do nas kanonier cały prochem osmolony i powiedział nam że Prusacy są w znacznej sile ukryci w dole i bez wątpienia gotują się do ataku a skoro się pokażą działa badeńskie będą musiały cofnąć się mając zbyt słabą asekuracyą za sobą. Byliśmy w straszliwym kłopotcie, nie wiedząc gdzie szukać Mierosławskiego. Szczęściem po chwile przyjechał i natychmiast kazał uderzyć w bębny na alarm; wojsko zaczęło się gromadzić na placu a on nie zsiadając z konia z całym sztabem, do którego ja i Chrystowski przyłączyliśmy

się, pospieszył ku zaatakowanej baterii. Czekał tam na niego Służalski, który już obejrzał był pozycją Prusaków i zaofiarował się pokazać ją Mierosławskiemu. Pojechaliśmy wszyscy za jego przewodem. Długo nie widać było jak tylko gołe pole podnoszące się zwolna. Dopiero gdyśmy przybyli na krawędź tego podniesienia, postrzeegliśmy w dole artyleryą pruską faszynami osłoniętą a za nią rozciągłą linię piechoty. Prusacy przywitani nas wściekłym krzykiem zwróciliśmy czémprędzej konie, puściliśmy im cugle — instynkt zbil je w jedną kupkę a było nas przynajmniej piętnastu i taką kupą biegliśmy. Prusacy kartaczami za nami sypnęli ale nikogo nie dosięgli. Wróciwszy do lasu zastaliśmy tam już zgromadzoną całą armią jaką Mierosławski miał pod ręką. Wnet porozysłał on stare pulki na prawo i na lewo; została tylko ruchawka, którą kazal mnie prowadzić na Prusaków, bo już strzały karabinowe zwiastowały, że postępują naprzód. Trudno mi wypowiedzieć co to za bieda była prowadzić tę holotę do boju a właśnie szedłem w sam środek ataku, gdzie należało było posłać stare pulki. Pies owczarski napędzający do kupy spłoszoną trzodę owiec mniej nie wątpliwie ma do roboty niżeli ja miałem z ową ludzką trzodą. Na próżno dla dodania jój animuszu kazałem jój śpiewać chórem pieśni patryotyczne — pieśni zatrzymywały się w gardłach a śpiewacy kryli się we wszystkie krzaki, za wszystkie drzewa, w fosy i w doły, pod różnemi pretekstami. Nareszcie wyprowadziłem, jeżeli nie wszystkich to przynajmniej największą część, na otwarte pole gdzie stały nasze armaty zupełnie odkryte z lewego skrzydła i spostrzegłem tyralierów pruskich zbliżających się dosyć szybko żeby napaść z tyłu na nie, a za tyralierami ścisłe linie piechoty. Rozsypałem ruchawkę moją

w tyraliery za rowem, na którym był mostek, a sam stanąłem na tym mostku, ażeby uciekającym drogę przeciąć bo miałem przekonanie że moi żołnierze kilku minut nie wytrzymają w ogniu. Nie omyliłem się; wkrótce zaczęli ustępować — ciżbą tłoczyć się na mostek — koń mój wspiął się i pchany przez tłum zleciał ze mną w rów. Nimem zdolał — potłuczony — wydobyć się z wody i z błota i konia mojego pochwycić, już cała ruchawka moja była w ucieczce a artylerzyści zaprzodkowali byli działa i ruszyli za hołotą. Turkoć armat i jaszczyków pędzących cwałem po drodze bitój dał hasło do ogólnej ucieczki. Kurz taki powstał, że nie widać było świata, musiałem znowu koniowi cugle puścić i zdać się na jego instynkt. Dopiero pod samymi walami zdolał Mierosławski na czele polskiej kompanii cały ten popłoch wstrzymać i wojsko napowrót uszykować. Zostawił mu potem kilka godzin na wypoczynek i obiad. Pod wieczór wyprowadził go znowu przeciw nieprzyjacielowi. Tymrazem, na czele szła kompania polska rozsypana w tyraliery, za nią stare pułki, w końcu ruchawka. * Polacy dawali przykład męstwa i oni głównie wyparli Prusaków z lasku. Działa nasze wróciły na dawną pozycję i niebezpieczeństwo zdawało się zażegnane.

Nazajutrz mieliśmy ranek spokojny, żadnych strzałów nie było słyhać a Mierosławski był tryumfującym; spostrzegłem jednak, że wewnątrz gryzła go jakaś troska. Wyprawił mnie do posterunku dosyć odległego, w stronie przeciwniej laskowi i baterjom przed nim ustawionym, ażebym go zlustrował na pędce i dowiedział się czy się tam Prusacy nie pokazują. Dopełniłem tego zlecenia i wracałem do fortecy, gdy rzuciwszy okiem na prawo

postrzegam na innej drodze wiodącej także do Rastadtu, w dosyć znacznej odległości, długą linią czarną, poruszającą się w kierunku wstecznym od fortecy. Przypatruję się lepiej i poznaję sztab główny na koniach, piechotę, artyleryą, pociągi — zgola całe wojsko Badeńskie. Zdziwiony, skręcam konia, daję mu ostrogę i lecę przez mokrą łąkę i orane pola — dopędzam Mierosławskiego i pytam go, co się stało, że tak znienacka wychodzi z Rastadtu. Odpowiada mi że Prusacy otaczają tę fortecę, jedna tylko pozostała droga do wyjścia, którą lada chwilę zamknąć mogą — nie było chwili do stracania i wyprowadził czém prędzej wojsko, ażeby nie być odcięty. Tak więc gdyby nie przypadek szczęśliwy żem spostrzegł wychodzące wojsko, byłbym wrócił do opuszczonego Rastadtu, gdzieby mnie rozstrzelali, jak się to stało z Mniewskim, którego Mierosławski na innym jakimś posterunku zostawił.

Seus moralny wynikający z podobnych nauczek, jest że adjutantując przy jenerale awanturniczym, który wojuje bez żadnego planu, trzeba być przygotowanym, iż można bardzo łatwo wpaść w ręce nieprzyjaciela i być rozstrzelanym lub powieszonym.

Prusacy nie zaraz spostrzegli, że Mierosławski z rąk im się wymknął. Zaszliśmy spokojnie do jakiegoś miasteczka, którego nazwiska nie pamiętam, dwie czy trzy mile na południe Rastadtu. Tam Mierosławski chciał jakiś opór stawić nieprzyjacielowi dla ocalenia honoru poraż ostatni, ale nim pozycję wybrał, krzyk się rozległ: Prusacy idą! Żołnierze nie czekając na żaden rozkaz porwali za broń, artylerzyści zaprzodkowali działa i cała armia

ruszyła w dalszy pochód, — przyznać muszę, że w pe-
wnym porządku lubo nikt nią nie komenderował.

Wśród tego ruchu Mieroslawski z oczów mi zniknął
szukałem go i nie mogłem go nigdzie znaleźć, aż na-
reszcie spostrzegam, że jestem na rynku sam jeden
z Badeńskiego wojska. Dopadam do kwatery głównej
i szczęściem zastaję tam jeszcze szefa sztabu Mieroslaw-
skiego, niemca, ale dobrze mówiącego po francuzku i jo-
wialnego. Pakował już z swoim kancelistą resztki ró-
żnych papierów wojskowych — pytam go gdzież jeneral
„Il a f... le camp“, a cóż my poczniemy? Nous f...
le camp idem. Zaofiarował mi miejsce w swoim powozie,
który czekał przed bramą, przyczepiłem konia mojego do
koni powozowych i zabrałem się z Niemcem i jego kan-
celistą.

Czas był już wielki na to, bo Prusacy byli tuż pod
miastem i z tamtąd puszczała kartacze za wojskiem Badeń-
skim a tyralierzy ich postrzegłszy nasz powóz dążący za nim
strzelali do niego jak do celu. Kilka kul przeszło po-
krycie powozu. Snać nie mieli kawaleryi na podporządku
bo bylaby nas niewątpliwie dognęła.

Wieczorem przybyliśmy do Offenburga, zostawiwszy
o parę mil za sobą armię Badeńską samą sobie zo-
stawioną, lecz, która w nocy czy nad rankiem zgro-
madziła się w całość prawie pod tym miastem. Miero-
slawskiego widzieć nie mogłem tegoż wieczora. Zaszede-
łem do doktora Żurkowskiego, który jeden jak już
wspomniałem wyżej, wywierał wpływ na niego i poprosi-
łem go żeby natychmiast wezwał wszystkich Polaków ze

sztabu, gdyż mam im ważną rzecz do przedłożenia. Niebawem zebrali się wszyscy, opowiedziałem im mój projekt. „Chwila jest stanowcza, rzekłem, dłużej wahać się nie można. W téj armii, którą Mierosławski ma jeszcze pod ręką i z którą już nie zrobić nie potrafi na Badeńskiej ziemi jest jeszcze z 8000 starych żołnierzy na wszystko zdecydowanych. Pewny jestem, że jeżeli Mierosławski zechce przeznaczyć się do Tyrolu znajdzie między niemi ze 6000 ochotników, którzy pójdą za nim a nie wątpliwie cała artylerya z swoim 40 czy 50 działami nie opuści go. Rząd nawet pójdzie z nami z kasą.“

Wszyscy byli swojego zdania i przyrzekli mi nazajutrz jednoznacznie nalegać na Mierosławskiego ażeby się tego projektu chwycił. Rzeczywiście nazajutrz zaatakowaliśmy go połączonemi silami. Zmieształ się, „wiem ja, rzekł, że to nie jest projekt niemożliwy i drugiemu by się udał, ale ja nie jestem szczęśliwy, widzicie że nic mi się nie udaje, mnie otoczą i schwycą.“

Daremuie staraliśmy się podnieść w nim ducha, na wszystkie perswazyje nasze odpowiadał jednostajnie „nie, nie namówicie mnie do tego przedsięwzięcia, bo mam przekonanie, żeby mi się nie udało“ — „C'est un homme fini et f...“, szepnął mu do ucha szef sztabu Niemiec. Nie mogąc nic wskórać rozeszli się wezwani przezemnie ziomkowie, wszyscy zasmuceni, tem bardziej, że nam Mierosławski słówka jednego nie powiedział o dalszych swoich planach. Dano obiad, do którego zasiadło pięć osób, dwaj Mierosławscy, Chrystowski, Żurkowski i ja. Pożywaliśmy w milczeniu, gdy nagle drzwi się otwierają i wpada Polak ze szlifami pułkownika a w mundurze takim jaki nosili fligiel adjutanci Konstantego; za nim dwóch czy

trzech innych także w mundurach oficerskich fantazyjnych. Pułkownik, którego nazwiska nie pamiętam, odezwał się do Mierosławskiego tonem grzecznym ale stanowczym: „jenerale, dowiedziałem się i z dobrego źródła żeś dał dymisyę, wzywam cię w imię honoru i uczciwości żebyś nam powiedział, czy tak jest. Ja mam żonę i dzieci i miałbyś ciężko na sumieniu, gdybyś mnie wystawił na śmierć jak Mniewskiego, bez użytku ani dla polskiej ani nawet dla badeńskiego sprawy.“

Mierosławski zbladł, i po chwili wahania się; „tak jest, rzekł, posłałem dymisyę moją rządowi i wyjeżdżam pierwszym pociągiem, ale proszę was wszystkich nie jedźcie ze mną, bo wszystkich nas razem zatrzymają na drodze Badeńczycy i może rozsiekają, mnie zgubicie a siebie nie ocalicie.“ Pułkownik nie słuchając dalej wyszedł ze swoimi kolegami, skinąwszy zaledwie głową Mierosławskiemu, Poszedłem niedługo potem za jego przykładem. — Wszyscy Polacy będący w Offenburgu zebraliśmy się na naradę i zdecydowaliśmy, że nie zważając na wszystkie samolubne zakłęcia Mierosławskiego, pojedziemy wraz z nim pierwszym pociągiem bo Prusacy wejdą zapewne w nocy do miasta a nie mamy żadnej przyczyny czekać na nich i poświęcić się dla uchronienia Mierosławskiego od jakiegoś niebezpieczeństwa, które jest wprost tylko w jego imaginacyi. Zgodziliśmy się na to że cokolwiek z sobą pocznie Mierosławski, my udamy się do Freiburga i oddamy się pod rozporządzenie rządu badeńskiego. Tak się téż stało, wyjechaliśmy tymże samym pociągiem co Mierosławski, którego widzieliśmy wsiadającego z bratem do Coupé; obydwaj w paletotach i czapkach cywilnych. My wsiedliśmy do innych wagonów, a w Freiburgu wysiedli-

śmy nie troszcząc się już dalej o naszego ex wodza. — Poszedłem tegoż wieczora jeszcze do Heitmana i Krzyżanowskiego, opowiedziałem im wszystko co zaszło i oświadczyłem, że podług postanowienia powziętego na zgromadzeniu Polaków w Offenburgu poddajemy się wszyscy pod rozkazy rządu tymczasowego badeńskiego.

Nazajutrz rano wchodzi do mnie Krzyżanowski z miną zasepioną i powiada mi: Dobrze że choć pan tu zostałeś. — Choć ja! zawołałem, przecież jest tu nas więcej Polaków. — To nie wiesz pan co się stało, zapytał mnie. — Nie nie wiem, odpowiedziałem. — „Zaszedł tu oplakany wypadek, rzekł Krzyżanowski, Mierosławskiego poznał jakiś dozorca na Bahnhofie tutejszym, a naczelnik Bahnhofu zaarrestował go myśląc że ucieka, a może i z kasą. Dymisyja, którą mu Mierosławski pokazał, nie zaspokoila go, odwołał się do rządu. Tymczasem pociąg odjechał i zrobiła się zamieszka na dworcu. Wymyślano na Mierosławskiego, nazywano go zdrajcą, nareszcie przyszedł rozkaz od rządu, żeby go wolno puścić, musiał jednak czekać na następny pociąg. Z tego czasu korzystał brat jego, ażeby wyszukać Polaków, opowiedział wszystkim, snać z przesadą niebezpieczeństwo w jakim się brat jego znajdował, zapewniał, że kontr-rewolucya gotuje się w Freiburgu; że Niemcy chcą na Polaków złożyć winę rewolucyi i wydać ich Prusakom, że przeto nie im nie pozostaje do czynienia jak zabrać się z bratem jego do Szwajcaryi. Wszyscy usłuchali go i wyjechali z nimi jednym pociągiem, a co najgorsza, młodzież kompanii polskiej, zabrała z sobą broń, którą na granicy Szwajcaram wydać musiała. — Wysiadając tam rozpowiadali ci młodzi ludzie głośno plotki, jakie słyszeli od Adama Mie-

rosławskiego; raport o tém przyszedł do rządu i członkowie jego chcieli manifest przeciw postępowaniu Polaków ogłosić w gazecie tutejszej — ledwo ich od tego wstrzymałem. Dziś ma być rada wojenna, na którą ja i Hełtman jesteśmy wezwani — przyjdź tam pan wraz z nami — jako świadek naoczny weźmiesz obronę honoru polskiego.“

Przyrzekłem to uczynić. Byłem na tej radzie — okropne były ze wszystkich względów oskarżenia na Mierosławskiego. Sybel, minister wojny i organizator całego powstania, wziął nas trzech Polaków na stronę i rzekł nam: Nie chcę głośno oskarżać Mierosławskiego, ale wam, ziomkom jego, powiem szczerze, że on wszystko zdeorganizował, co ja uorganizowałem; wprowadził anarchię, nieład, chaos wszędzie — żadnego rachunku nie składał z przesyłanych mu funduszków — w całym ciągu tej blisko trzymiesięcznej kampanii żadnego ruchu strategicznego, to jest mającego jakąś zasadę, jakieś wyrachowanie, jakiś cel, nie wykonał — zmarnował tylko wszystkie siły, któreśmy mu powierzyli, a miał 10,000 regularnego wojska i 10,000 nowego dobrze uzbrojonego. Teraz postawił nas w takim położeniu, że wszyscy obecni na tej radzie musimy uchodzić i zostawić kraj na łaskę i niełaskę Prusaków.

Nie widziałem sposobu bronięcia Mierosławskiego — broniłem tylko młodzież polską, która obowiązek swój przy najmniej pod Rastadtem świetnie wypełniła. Wychodząc z tej rady, przypominałem Hełtmanowi zdanie jakie mi wypowiedział o Mierosławskim w Bad-Badenie. Któż się mógł tego spodziewać, odpowiedział mi smutnie — i w rzeczy sa-

mój Mierosławski złudził wszystkich, którzy sądzą, że kto zdolnym jest krytykować działania wodzów, jest tem samem zdolnym dowodzić wojskami, a takich jest bardzo wielu. Mówilem już wyżej, że Mierosławskiemu, obznajomionemu z prawidłami strategii, brak było nie tylko praktyki sztuki wojkowej, ale nawet fundamentalnych wiadomości, potrzebnych oficerowi — że nawet temperament jego nie był wojskowym a tem mniej rycerskim. W Badeńskim przekonałem się dowodnie, że odwaga jego miała jedyne źródło w jego ambicji i w próżności; dla tego też wystarczała na krótką chwilę tylko. Mógł podjechać pod armaty nieprzyjacielskie, wyprowadzić tyralierów, może i kolumny ściśle w najgęstszy ogień karabinowy, ale w tym ogniu długo wytrzymać nie mógł — wnet się cofał na bezpieczne miejsce, choćby ztamtąd trudno mu było dojrzeć co się dzieje na przednich liniach, jak to uczynił pod Rastadtem. Odwaga ciągle, we wszystkich okolicznościach, we wszystkich chwilach życia, odwaga wojskowa i cywilna zarazem była cnotą zupełnie mu obcą. W Badeńskim okazał się może niższym od zwyczajnego poziomu swojego talentu i charakteru, a to z podwójnej przyczyny, raz, że go badeńska sprawa bynajmniej nie obchodziła — drugi raz, że strach przed zemstą pruską wszystkie siły jego paraliżował i charakter jego w chwilach groźnych poniżał do takiego stopnia, że miał się wstydzić za niego. Wiedział on bowiem dobrze, że sprzeniewierzywszy się przyrzeczeniu pod słowem honoru podpisanemu przez niego przy kapitulacji w 1848 roku, iż na Prusaków nigdy broni nie podniesie, musiałby głowę schylić pod najsroźszymi obelgami gdyby wpadł w ich ręce, nie licząc tego, że byłby w dodatku niechybnie rozstrzelany lub powieszony. Jak mógł w ta-

kich okolicznościach podjąć się dowództwa nad zbuntowanym wojskiem badeńskim? to chyba tem jednym wytłómaczyć można przy zwykłej jego lekkomyślności, że się nie spodziewał mieć z Prusakami do czynienia. Bądź co bądź, strach ten, towarzyszący mu jak cień nieodstępny gdy hetmanił na czele 20,000 wojska, był karą za jego niesłychaną próżność.

XVI.

Sprawa badeńska zakończyła się na radzie wojennej, o której wspomniałem. Wszyscy obecni uznali, że dłużej prowadzić walkę jest niepodobieństwem. Mógłem więc już bez skrupułu wyjechać z Badeńskiego. Dla formy zażądałem dymisji od ministra wojny Sybla, który przysłał mi był patent na kapitana badeńskiego i udałem się do Bernu. W Szwajcaryi trzeba mi było przesiedzieć około trzech tygodni, ażeby doczekać się tam przesyłki funduszków z kraju, mając zamiar jechać do Węgier przez Turcyą. Zabawiłem tydzień w Bernie. Na wstępie, zaszedłszy na obiad do restauracyi w hotelu gdzieś stanął, słysząc przy stole ogólnym rozmowę o Mierosławskim, którego Szwajcarzy nazywali „der general Miroluski,“ siedział między nimi człowiek jeden, wysoki, gruby, osiwały, ślepy na jedno oko a drugie błyszczało złośliwością mefistofelesowską. Ten odezwał się po francusku z akcentem wszakże cudzoziemskim: „Ech! jenerał ci to wątpliwy, ale czem on jest niezaprzeczenie, to grabarzem rewolucyów. Już trzecią pogrzebał, jak będzie ich pięć, trzeba będzie to krzy-

żykiem naznaczyć.“ ZaciekaWił mnie ten jegomość, starałem się wywiedzieć kto on jest i powiedziano mi w biurze hotelowem, że to osławiony Adam Gurowski.

Pod Bernem w ładnej willi mieszkała spokrewniona ze mną rodzina generała Józefa Szymanowskiego, który przebywał w Rzymie i był w wysokich łaskach u Ojca św. Piusa IX. Odwiedzałem codziennie prawie, w ciągu krótkiego pobytu mojego w Bernie, tę zacną rodzinę, znajdując u niej serdeczne, prawdziwie familijne przyjęcie, tak miłe na obcej ziemi jak cień palm i źródł ożywczy w oazie dla Araba błakającego się na pustyni; tylko w oazie pani Szymanowskiej zamieszkiwało nieszczęście — jedna z jej córek była obłąkana. Wyobraziła sobie, że przyjmując na siebie pokutę za ojczyznę, odwróci od niej plagi jakie Bóg na nią zesłał. Nie przestając na modłach i postach, zadawała sobie dziwne pokuty, n. p. zgrzytała po całych dniach zębami do Najświętszej Panny. Gdym był w Bernie żadnego pożywienia brać nie chciała i nie można było tego jej postanowienia przełamać, trzeba było dla pokrzepienia trochę jej sił kąpać ją w bulionie. Nie mogło to jednak długo utrzymać jej życia, wkrótce po wyjeździe moim z Berna umarła biedna obłąkana zagłodziwszy się.

Z Berna udałem się do Genewy, gdzie zastałem mnóstwo przyjezdnych Polaków emigrantów, między innymi Józefa Sobolewskiego, do którego miałem, jak to już wyżej nadmienilem, list polecający od księcia Czartoryskiego. Największa część tych gości w Genewie zgromadzała się w willi zamieszkałej przez państwo Nakwaskich, którzy przyjmowali rodaków z prawdziwie staropolską gościnnością. P. Henryk Nakwaski, poseł na sejm 1831 roku, był najczystszy typem Warszawianina. Najlepiej go zcha-

rakteryzowała dawna jedna piękność warszawska, która chlubne polskie nazwisko Chodkiewiczowej zamieniła na nazwisko moskiewskie Galicynowej. Widząc go wchodzącego do jej salonu, gdzieś u wód nad Renem, po wielu latach niewidzenia, wykrzyknęła: Ach! zdaje mi się, że widzę samego króla Zygmunta schodzącego ze swojej kolumny! W rzeczy samój Henryk Nakwaski, żywy, ruchliwy, gadatliwy, wesoły, uprzejmy, gościnny, miał w swoim obejściu, akcencie, wyrażeniach, sposobie widzenia rzeczy i ludzi, cechę właściwą wyłącznie Warszawianom i nie było wielką przesadą widzieć w nim na obczyźnie symbol żywej tej kochanej stolicy naszej tak jak król Zygmunt jest jej symbolem kamiennym.

Pani Nakwaska, z domu Potocka, dawniej piękność pierwszorzędną, była w późniejszym wieku jedną z najzacniejszych matron polskich, u której wysoki rozum, wszystkie cnoty domowe i serce szczeropolskie łączyły się z najwytworniejszem obejściem i salonowym dowcipem*). W domu państwa Nakwaskich byłem jak między krewnymi, bo rodzina moja macierzyńska pochodziła z tejże samej Płockiej ziemi i zaprzyjaźniona z Nakwaskimi od kilku pokoleń. Dzięki zachodom pana Henryka Nakwaskiego, prezydent kantonu genewskiego, James Fazy, dał mi paszport pod obcym nazwiskiem jako rodowitemu z tego kantonu i z tym paszportem otrzymawszy oczekiwany fundusz puściłem się w drogę przez Turyn do Genui, gdzie zamierzałem wsiąść na statek parowy idący do Konstan-

*) Pani Karolina Nakwaska była autorką kilku dzieł, z których najwięcej upowszechnionem jest: Dwór polski, przewodnik dla gośpodyń.

tynopola. W Turynie zatrzymałem się dwa dni; byłem z listem Alex. Walewskiego u posła francuskiego, pana Bois le Comte, ażeby popróbować czy mi się nie uda otrzymać miejsce bezpłatne na statku parowym należącym do rządu i udało mi się. Pan Bois le Comte wyrobił mi w dwadzieścia cztery godzin bezpłatne miejsce pierwszej klasy na tym statku pomimo mojego szwajcarskiego paszportu. Korzystając z czasu, który mi przeczekać trzeba było w Turynie, odwiedziłem generała Chrzanowskiego. Było to już po bitwie pod Novarą, stoczonej podczas gdy byłem w Badeńskim czy w Szwajcaryi i zastałem naszego generała przybitego tą klęską, lubo nikt na świecie nie przypisywał jój jego winie. Jemu jednemu zdawało się, że honor jego ucierpiał, że dobra sława, na jaką sobie zarobił w 1831 roku, zaćmiła się pod Novarą. „Wyżej ja stałem przed tą bitwą, mówił mi, lubo naczelnie wojskiem pierwój nie dowodziłem, potrzebaż mi było dowodzić Włochami, powszechnie znanymi z tchórzostwa; król i ja byliśmy tam w największym ogniu, ażeby dać przykład wojsku i nie to nie pomogło — żołnierze uciekli, zostawiając na polu bitwy i nas obydwoch i swoich oficerów, których ani słuchać chcieli. Nie ma tu co mówić, czy plan bitwy był zły czy dobry, najlepszyby się z takim żołnierzem nie udał.“

Zwątpienie i zniechęcenie, w jakie popadł Chrzanowski, oddziaływało nawet na jego opinie polityczne. Człowiek ten, wyszły ze szkoły Konstantego, który porządek tak w wojsku jak w całym społeczeństwie widział tylko w tych trzech warunkach: władza jedna — hierarchia — karność, gdy rozmowa nasza przeszła do obecnego stanu Europy, biorąc mnie za republikanina, jakim nigdy nie byłem odnośnie do Polski, czynił mi ustępstwa. Jeżeli w koło

nas, rzekł mi, będą wszędzie republiki, to i my będziemy republiką, zgadzam się na to — lecz jeżeli około nas będą same monarchie, to i my musimy być monarchią. Ach jenerale, odrzekłem, miejmy najprzód Polskę jakąkolwiek a potem zobaczymy co mamy z nią czynić. Mówiliśmy następnie o wojnie węgierskiej — jenerał nic dobrego o niej nie wróżył, odradzał mi nawet awanturowania się na teatr walki. Rzeczywiście od kilku tygodni nie dobrze szło Węgrom. Moskałom byli już na ich ziemi i nigdzie silnego nie znajdowali oporu. Już byli panami Debreczyna, Szegedyna i zagrażali Pesztowi; z drugiej strony armia austriacka, wzmocniona dywizją siedmnastotysięczną Paniutyna, pobiła była Węgrów pod Raab i postępowała naprzód ku twierdzy Komorn. Nie rozpaczalem jednak jeszcze o sprawie węgierskiej, mając na uwadze że armia austriacka i rosyjska nie wynoszą obiedwie razem podług gazet więcej nad 160,000 ludzi — węgierska zaś liczyła wprawdzie tylko 130,000, lecz miała w swoim posiadaniu silne fortece i nader obronne pozycye. Powstanie w Polsce na tyłach armii rosyjskiej mogło więc przeważać szalę na stronę Węgrów i Polaków. Przedstawiłem to jenerałowi, lecz go nie przekonałem. Powtarzał, że Węgrzy nie będą mieli ani odwagi ani siły opierać się Moskałom — każdy z nas został przy swoim zdaniu — przyznać jednak muszę, że walczyłem z wewnętrznym uczuciem, które przemawiało za Chrzanowskiego sposobem widzenia.

Nazajutrz późnym wieczorem przyjechałem dyliżansem do Genui, bo jeszcze nie było kolei żelaznej z Turynu do tego pięknego portowego miasta. Przebiegłem jeszcze tegoż wieczora ulice Strada Balbi, Strada Nuova, Strada Nuovissima, ozdobione palacami z białego marmuru, które

przy świetle księżyca wydawały mi się jakby cudne jakieś dekoracye. Nie znałem nikogo w Genui, ale mi Józef Sobolewski dał był list do jednego swojego protegowanego Polaka z poleceniem ażeby mi służył za przewodnika — tylko na liście nie było wskazanego mieszkania tego Polaka. Nie frasowało mnie to, wiedząc że Sobolewski tak jest znanym w Genui, że do jego domu jak najłatwiej trafię, i pewny byłem, że tam się o owym Polaku wywiem. Zawiódłem się. Do domu Sobolewskiego zaprowadził mnie wprawdzie faktor hotelu, gdzieś wysiadł, ale słudzy Sobolewskiego Włosi, nazwiska owego Polaka nie znali — pytali mnie się jak wygląda a że nie umiałem im tego powiedzieć, musiałem z niczem wrócić do hotelu.

Ten zawód wynagrodziła mi miła bardzo i prawdziwie szczęśliwa niespodzianka. Przemyślając nad tem, jak wynaleść protegowanego Sobolewskiego, zwołałem faktora i zapytałem czy nie wie o jakimkolwiek Polaku przebywającym w Genui. Odpowiedział mi: Si, si Signore conosco una famiglia polacca.

Familia polska! wykrzyknąłem, ale jesteśże pewny, że polska, bo wy tu wszystkie narodowości mieszacie, nawet Piemontczyka gotowicie wziąć za Polaka.

— Nie panie, to polska familia, zaręczyć to mogę, i jeżeli pan chcesz, zaprowadzę go do niej.

— Prowadź.

Faktor prowadzi mnie do jednego domu na pierwsze piętro, dzwoni. Drzwi nam otwiera pani jakaś nie wielka, szczupła, nie bardzo młoda ale z nader miłą twarzą, czarno-

włosa, czarnooka i z cerą południową. Pewny byłem, że to Hiszpanka, Francuzka południowa, Wołoszka, może nawet Neapolitanka, którą faktor uznał za Polkę i bardzo nieśmiało odzywam się: czy pani Polka?

— A juścić Polka panie, odpowiada.

Uradowany pytam się jój o Polaka, którego szukam.

Nie potrafię, odpowiada mi, objaśnić pana, ale za-
wołałam męża albo syna, który zapewne będzie mógł mi
powiedzieć wszystko czego żądasz, tymczasem zechciej mi
pan wejść do pokoju i wprowadziła mnie do bardzo porzą-
dnego salonika, a sama wyszła. Wkrótce wróciła z doro-
dnym wybujałym, jasnowłosym młodzieńcem, który wypisał
na karteczce adres poszukiwanego przezemnie Polaka i te
kartkę mi wręczył. W trakcie tego wchodzi do pokoju
drugi mężczyzna, stary z siwą głową, ogromnie także
wysoki, ale trochę zgarbiony, siada przy mnie na kanapie,
i wszczynają rozmowę, do której się matka i syn mieszają,
ośmieliłem się spytać z kim mam zaszczyt mówić. —
Jestem Wiszniewski, odpowiedział mi. — Michał? — Tak
jest. — Jakżem szczęśliwy, zawołałem żywo, że mi przy-
padek pozwolił zrobić znajomość pańską. Istotnie byłem
z tego szczęśliwy, bo miałem wielką cześć dla autora mo-
numentalnej Historii literatury polskiej, Charakterów rozu-
mów ludzkich i innych dzieł znakomitych. Przypomniałem
sobie wtenczas, że słyszałem, iż Michał Wiszniewski osiadł
w Genui i został bankierem, ale zarazem że stroni od
współziomków zniechęciwszy się do nich najzupełniej. —
Przedłużyłem więc jeszcze rozmowę, naprowadziłem ją na
jego dzieła i spytałem go czy rzeczywiście skruszył pióro
swoje na zawsze, jak to powiadają. A czyż to warto pisać

w rodzinnym naszym języku, odrzekł, ażeby rzuciwszy w świat dzieła, które kosztowały długie lata, czasem życie całe mozolnej i sumiennej pracy i zawierają w sobie czasem kwintesencją ogromu przetrawionej nauki i myśli wypróbowanej w długich rozważach — rzuciwszy to w świat, widzieć lada chłystka bez nauki, bez talentu wyrokującego w gazetach o téj pracy tonem profesora, który ma przed sobą ćwiczenie studenta, i widzieć publiczność czerpiącą sąd swój w takich wyrokach. — Och biedne jest, panie, u nas rzemiosło pisarza, dobrze robisz że się do niego nie bierzesz; wszędzie daje chleb, przynosi poważanie, prowadzi częstokroć do dostojęństw i do władzy; u nas pisarz z głodu by umarł, gdyby nie miał innego źródła dochodu, a pod względem poważania najwyższy honor jaki go spotkać może, jest być zaproszonym na święcone do wielkiego pana z tłumem różnobarwnej publiczności. Prawdziwego, ogólnego poważania nikt się u nas nie dorobi nauką i piórem.

Zaprzeczałem temu jak najżywiej.

Nie mówię tego o Warszawie — ciągnął dalej — ale o Krakowie i mówię to panu z własnego doświadczenia. W 1846 r. miałem to złudzenie żem sobie pracą zarobił na poważanie młodzieży i usiłowałem wstrzymać ją od szalonego powstania, które kraj cały mogło wepchnąć w otchłań; otóż o mało mnie kijami nie wytłukli a wszyscy poszli za Tysowskim, o którym pierwej nikt nie słyszał w Krakowie. Wyjechałem zaraz z kraju, otrząsłszy pył z nóg moich. Świeżo spadła była na mnie dosyć znaczna sukcesya, którą jużem był spieniężył. Z tym kapitałem wyniosłem się do Genui, gdzie z profesora i pisarza zrobiłem się bankierem.

Tu zwrócił rozmowę do Genui, zapytał mnie czy nie mam chęci zwiedzić pięknych pałaców tamtejszych i ofiarował mi się za Cicerone zrobiwszy mi uwagę, że parostatek odpływa dopiero za cztery dni co mi daje trzy dni czasu do zwiedzenia osobliwości miasta. Oczywiście przyjąłem tę ofiarę z największą wdzięcznością. Wiszniewski zaprosił mnie na obiad na dzień następny i przyrzekł po obiedzie zacząć ze mną przegląd pałaców.

Obiad Wiszniewskiego był nową niespodzianką — dano barszcz z uszkami, zrazy, pierożki, wszystko przyrządzone przez panią Wiszniewską. W Genui było to osobliwością, wprawdzie innego rodzaju niż pałace marmurowe, miłą jednak dla mnie. Michał Wiszniewski był w doskonałym humorze, przyczem pokazało się, że pesymizm jego w poglądach na Polskę nie był tak czarnym, jakim mi się dnia poprzedniego okazał, lub też odnosił się wyłącznie do losu literatów w naszym kraju. Mówiliśmy o bitwie pod Nowarą i spełzłych usiłowaniach Włochów, ażeby odebrać Austryakom Medyolan i Wenecję. — Trochę lepiej pono — odezwałem się — biliśmy się w 1831 r. nie chwając się zbyt. — Ha! wykrzyknął Wiszniewski, gdyby Włosi mieli szlachtę taką jak Polska, przy środkach jakie posiadają to nie byłoby już oddawna Austryaków na ich ziemi. — Myślałem że mówi to z ironią — odgadł moją myśl. — Mówię to szczerze, rzekł. — Przejeżdż pan świat a nie znajdziesz nigdzie kasty tak poświęconej dla ojczyzny, tak walecznej a przytem tak rozmnożonej jak szlachta polska. I rozgadał się o szlacheć naszej *con amore* na ton Henryka Rzewuskiego. W końcu szepnął mi, jakby wyznanie wydzierające mu się z serca. „Nie bierz tego *ad litteram* com mówil, zem pióro moje na

zawsze skruszył, mam jeszcze na myśli skreślić obrazy szlachty naszej, znajdziecie to po śmierci mojej.*)

Podług przyrzeczenia oprowadził mnie autor historyi literatury naszej po Genui i nie skończyło się na jednym razie. Nazajutrz i trzeciego dnia pokazywał mi dalej wszystko co godne widzenia w tem mieście — najpiękniejsze palace, kościół katedralny zbudowany ze sztuk czarnego i białego marmuru na przemian, port, Ville na spadku Apeninów, skały z czarnego marmuru sterczące nad morzem za portem. Nie będę tego wszystkiego opisywał, lecz przytoczę słowa, z jakimi się odezwał do mnie, gdyśmy oglądali pałac Brignolles-Salle, najpiękniejszy ze wszystkich w Genui. Główny pokój jest tam cały niepokalanéj białości jakby świątynia niewinności. Ściany, sufit, posadzka, dwa ogromne kominy, jeden naprzeciw drugiego stojące i cudnie rzeźbione, wszystko jest z białego marmuru bez jednej żyłki odmiennéj. Nad kominami są zwierciadła weneckie, z dwóch stron portrety w całej wielkości członków rodziny Brignolles-Salle w XVI wieku pędzla Rubensa i Van Dyck'a, którzy przebywali jeden po drugim czas jakiś w Genui i malowali portrety wszystkich ówczesnych patrycyuszów tego miasta — ale co najwięcej zadziwia w tym pokoju zwykłych śmiertelników, to posadzka, w której nie widać śladu złączeń między składającymi ją płytami białego marmuru; zdaje się być cała z jednej sztuki, podobna do rozlanego mleka.

„No i cóż panie — zawołał Michał Wiszniewski — jest to trochę inaczej jak w naszych polskich pałacach,

*) Nic jednak podobnego o ile wiem nie zostało po nim. Wdał się w wielkie przedsięwzięcia dróg żelaznych, w których majątek jego przepadł i nie miał czasu oddawać się literaturze.

a cóżby powiedział nasz Szlachcie wiejski, gdyby go tu wprowadzono; jakżeby się przewróciły wszystkie jego wyobrażenia o wykuintności i przepychu w mieszkaniach“ — i śmiał się serdecznie zacny nasz uczony, bo i on, czy był luminarzem uniwersytetu Jagiellońskiego czy bankierem w Genui, nigdy nie przestał być szlachcicem pod skórą.

W ten miły sposób zeszło mi trzy dni w Genui. Czwartego dnia parostatek odpływał do Konstantynopola. Rankiem pożegnałem się z Michałem Wiszniewskim i jego rodziną. Wszyscy oni wstrzymywali mnie przez te trzy dni od mojej zamierzonej wyprawy, ale odpowiadałem, że to dla mnie kwestya honoru, gdyż z wielu względów byłem ze sprawą węgierską związany. Nie mogąc zbić téj racyi, pobłogosławili mnie, stary Wiszniewski i jego żona na drogę.

Przed godziną naznaczoną na wyjazd statku byłem w porcie z moim skromnym tłumoczkim i przechadzałem się w towarzystwie protegowanego Sobolewskiego, który stósownie do danego mu polecenia starał się być mi użytecznym — czekałem już tylko na głos dzwonka na statku, gdy w tem spostrzegam Wiszniewskiego syna, biegnącego do portu co mu tchu stało i powiewającego chustką z daleka. Pobieglem naprzeciw niego. „Nie masz pan czego jechać do Węgier, zawolał, wszystko tam już skończone. Oto jest depesza telegraficzna, którą tylko cośmy odebrali, donosząca że 13 Sierpnia pod Villagosz Görgöi z główną armią węgierską poddał się Moskałom.“

Depesza ta położyła ostatecznie koniec nadziejom i marzeniom, które mnie w Październiku poprzedniego roku powiodły do Węgier a następnie z Węgier do Francyi. Lepszaby była kulka moskiewska pod Temeswarem, ale

nie moja wina, jeżeli tam zdążyć nie mogłem. Szczęśliwy byłem przynajmniej, że mnie zacny Michał Wiszniewski ustrzegł od niepotrzebnej waleśki do Konstantynopola, i za to zachowałem wdzięczną cześć dla jego pamięci.

Zanim zamknę te wspomnienia, niech mi wolno będzie rzucić wejrzenie na opisaną przezemnie epokę ze stanowiska dzisiejszego, to jest z odległości trzydziestu lat, które nas od niej przedzielają. Wielki ruch ludów w 1848 r. został na całej przestrzeni Europy powstrzymany i wszędzie nastąpiła reakcja wroga wszystkim ich dążnościom. We Francyi Napoleon III ujął w rękę władzę prawie absolutną, obróciwszy na swoją korzyść głosowanie powszechne. W Niemczech zakwitł na nowo stan rzeczy z 1815 roku z sejmem frankfurtskim, a ustępstwa, poczynione duchowi wieku w różnych państwach rzeszy, zmieniły się w cześć formę. Austria wróciła do systemu Metternichowskiego, srodze obostrzonego dla Węgrów, których prawa historyczne pochłonięte zostały w ogólnem zcentralizowaniu wszystkich składowych części monarchii. Włochy widziały się już skazane na wieczne rozszarpanie i pod ręką Austrii, ciążącą na Wenecyi i Medyolanie, Karol Albert — la spada d'Italia — rozpaczony złożył koronę i pojechał umrzeć w Portugalii, a dawni Carbonari rozpoczęli na nowo swoje spiski podziemne pod kierunkiem Mazziniego i wysyłali na ukoronowanego Carbonaro — Napoleona III — Orsiniego, Pianotego i innych póki mu nie przypomnieli dawniejszych jego przysiąg. — Jednak cóż dzisiaj widzimy? Oto Francya jest znówu rzecz-

pospolitą i osadzoną podobno na silnym gruncie; Niemcy są zjednoczone i choć na pozór konstytucyjne; Włochy także zjednoczone, konstytucyjne i dążące dalej — zbyt zuchwale — do republiki; ludy Austrii mają autonomię i swobody; Węgry uzyskały wszystko czego pragnęły nim zmuszone zostały chwycić za broń — zgola program 1848 roku jest dziś w najznacniejszej części wykonany — nie przez siły rewolucyjne lecz przez samą moc okoliczności. Nie należyż ztąd wnosić że prądy 1848 roku wynikały z pewnych praw historycznych, przeciw którym ani monarchowie, ani żelazni kanclerze, ani stronnictwa trzymające się zapamiętałe przeszłości, ani nawet bagnety nie mogą — bo te prawa rządzą ludzkością a nie pojedynczy ludzie, nie koterye, nie bagnety — i możemy wierzyć, że program 1848 roku będzie z czasem w całości logicznie i konsekwentnie spełniony, to jest że sprawa polska, która w nim pierwsze zajmowała miejsce, będzie rozstrzygniętą podług sprawiedliwości — cywilizacyi i ogólnego interesu Europy — bo jak powiedział bardzo rozumnie arcyksiążę Jan: „Przywrócenie Polski jest rzeczą konieczną, a co jest koniecznem to stać się musi.“

KONIEC.

